

**THOMAS THIEMEYER**

**MEDUZA**

Tytuł oryginału Medusa

Tłumaczyła Jola Zepp

ISBN 978-83-60383-27-8

Wydanie I

Wydawnictwo Replika 2007



Każdy człowiek jest jak księżyc. Ma swoją drugą stronę, której nie pokazuje nikomu.

Mark Twain

Kto zrywa kwiat, niszczy gwiazdę.

Francis Thompson

*Bruni*

*głęboko wdzięczny za wspieranie siedemnaście lat*

# 1

Gruby żwir chrząścił pod jej butami z cholewkami, gdy szła w górę wyschniętym korytem rzeki. Na koniuszkach zaschniętych kęp trawy pobłyskiwała poranna rosa. Nosowy głos lelka kozodoja pobrzmiwał skargą w głębi bezimiennej doliny, a gdzieś tam bzykały muchy szukające ochrony przed skwarem nadchodzącego dnia.

Hannah Peters zerknęła zza okularów i spojrzała w kobaltowy błękit nieba. Nie widać było najmniejszej chmurki. Mimo że słońce stało już tak wysoko, iż jego promienie padały na ściany skał po lewej stronie, powietrze przesycone było jeszcze nocnym chłodem, ale za dwie godziny nie będzie tutaj ani odrobiny cienia. Powietrze będzie parzyć, a każdy krok stanie się torturą. Do tego czasu musi dojść do wyznaczonego miejsca, do stromego urwiska skalnego przy zbiegu trzech wadi - tak tubylcy nazywają suche i długie doliny pustyni, które tylko od czasu do czasu wypełnia woda. Na jej mapie obszar ten przedstawiał się idealnie. Jakby stworzony do rysunków naskalnych.

Hannah przerzucała rzeczy w plecaku, szukając zegarka. Natknęła się na paszport, choć właściwie tutaj nie było jego miejsce, aż w końcu znalazła to, czego szukała. Już po siódmej. Szlag by to trafił. Właściwie chciała wyruszyć przed godziną, ale musiała przecież wczoraj wieczorem koniecznie pić to wino daktylowe! Teraz język przykleił się do podniebienia, było jednakże zbyt wcześnie, aby wypić z manierki bodaj łyk. Na pustyni trzeba dobrze dzielić zapasy wody - kiedyś przekonała się o tym na własnej skórze. Zresztą musi iść dalej, aby uniknąć spiekoty w południe.

Właśnie miała zamiar przyspieszyć, gdy usłyszała dziwne prychnięcie, które w ogóle nie pasowało do ciszy, panującej w skalnej dolinie: było to prychnięcie dużego zwierzęcia.

Hannah skręciła za wyłom skały i zatrzymała się jak wryta. Nie dalej jak w odległości 50 metrów stał adaks. Kiedyś Hannah widziała stado tych płochliwych antylop na rozległych terenach pustynnych, nigdy jednak nie słyszała o tym, aby zwierzęta te odważyły się

zapuszczać w góry. To był samiec o szarobrazowej sierści z krętymi, prawie metrowymi rogami. Wspaniały okaz.

Badawczo kierował nozdrza w stronę wiatru. Jego bok drżał. Wyglądało na to, że jest bardzo niespokojny. Czego się boi? Hannah powędrowała wzrokiem po okolicy, lecz nie zauważyła niczego szczególnego. Wiedziała, jak niebezpieczne jest przebywanie w pobliżu rozdrażnionego zwierzęcia. Powoli, aby nie przestraszyć antylopy, zaczęła się cofać, szukając równocześnie miejsca w skałach, gdzie mogłaby się ukryć.

Nagle usłyszała odgłos spadających kamieni. Samiec podniósł łeb do góry, szybko rozglądając się na wszystkie strony. Żałosny jęk wydobył się z jego gardzieli. Stał dęba i ruszył z szybkością zapierającą dech. Hannah zdrętwiała. Antylopa z opuszczonymi, spiczastymi rogami galopowała prosto na nią. Jak pociąg towarowy - pomyślała. Hannah nie miała żadnej szansy. W pobliżu nie było ani skały, za którą mogłaby się ukryć, ani drzewa, na które mogłaby się wdrapać. Jej puls walił jak oszałały. Wydawało się, że czuje, jak ziemia drży pod uderzeniem kopyt. Otworzyła usta i chciała krzyknąć, lecz głos odmówił jej posłuszeństwa. Bezradnie patrzyła na przerażające rogi, gdy nagle antylopę powaliło potężne uderzenie. Olbrzymie ciało przewróciło się i w tumanie kurzu potoczyło pod jej nogi. Upłynęły nieskończenie długie sekundy; Hannah odetchnęła z ulgą.

Samiec leżał nieruchomo u jej stóp. Hannah, trzęsąc się, skrzyżowała ręce i cofnęła kilka kroków, niezdolna, by pojąć, co wydarzyło się przed chwilą. Nie słyszała strzału i nie spostrzegła niczego, co mogłoby wytłumaczyć przyczynę upadku zwierzęcia. Dopiero, gdy kurz opadł zobaczyła obok antylopy dwa psy o piaskowej sierści. Musiały być bardzo szybkie, gdyż nie zauważyła ich wcześniej. A może to śmiertelny strach spowodował, że miała zamglone oczy? Psy były duże, miały długie pyski i krótką sierść. Jeden z nich dopadł tylnej nogi antylopy i trzymał między potężnymi zębami. Drugi wbił kły w jej szyję. Groźnie warczały.

Pod Hannah ugięły się nogi. Przysiadła na płaskiej skale, drżącymi rękami otworzyła plecak i wyjęła manierkę z wodą. Chłodny płyn poprawił jej samopoczucie. Zamknęła na chwilę oczy i poczuła, że stan osłabienia mija. Gdy je otworzyła, ujrzała przed sobą Tuarega. Błyszczące oczy wyglądały z zasłaniającego twarz zawoju.

- *Ca va?* - jego głos był pełny i jasny.

Mówił po francusku bez obcego akcentu. Hannah była zbyt zdumiona, by czuć strach. Przytaknęła i zmusiła się do uśmiechu.

- *Oui. Tout va bien. Merci* - wycierała zakurzoną twarz.

Tuareg kiwnął głową i poszedł w kierunku antylopy.

Dopiero teraz Hannah zrozumiała, że psy należą do niego. Na dany znak pana, odstąpiły od antylopy i położyły się kilka metrów dalej, czujnie spoglądając na żwir. U góry, na krawędzi skały, Hannah odkryła dwa wspaniałe, czarne konie. Ruszały kopytami, jakby niecierpliwie oczekiwały na rozkaz swojego właściciela. Hannah spojrzała ponownie na antylopę i przestraszyła się. Zwierzę miało ślady zadrapań, ale żyło. Było w szoku i leżało apatycznie.

Tuareg przez kilka chwil gładził uspakajająco nozdrza zwierzęcia. Potem delikatnym, ale silnym ruchem przewrócił antylopę na grzbiet. Było niesłychane, że antylopa bezwolnie poddawała się jego poczynaniom. Miała podkurczone kończyny, leżała nieruchomo i patrzyła tępo przed siebie.

Hannah wstrzymała oddech, gdy Tuareg wyciągnął nóż. Niemal pieszczotliwym gestem rozciął klatkę piersiową poniżej żeber. Następnie uwolnił prawe ramię z szaty i zanurzył dłoń w ciało zwierzęcia w miejscu, gdzie znajdowało się serce. Hannah przyglądała się z fascynacją odgrywającej się scenie. Nie było prawie krwi. Oczy antylopy były spokojne i wyglądało na to, że ufnie oczekuje na śmierć. Nic nie wskazywało na gwałtowne zejście żywej istoty. Ręka Tuarega naciskała na serce, zwalniała jego bicie, aż w końcu doprowadziła do bezruchu. Hannah ze zdziwieniem patrzyła, jak korpus antylopy staje się bezwładny, a oczy matowieją.

Zręcznymi ruchami Tuareg wycinał narządy zwierzęcia i pakował do skórzanego worka. Kawalki jelit rzucił psom, które łapczywie pożarły zdobycz. Z nerek odciął dwa kawalki - jeden dla siebie, a drugi dla Hannah. Gdy ociągała się z przyjęciem, uśmiechnął się zachęcająco.

- Proszę wziąć. To dobre na nerwy. Wzmacnia krew.

Hannah wiedziała, że odmowa byłaby obrazą, sięgnęła więc po kęs wielkości kciuka i włożyła do ust. Mięso było ciepłe, miało smak krwi i było zadziwiająco delikatne. Mimo to żołądek buntował się wyraźnie. Hannah połknęła niepogryziony kawałek i usiłowała powstrzymać wymioty. Tuareg podniósł się i odłożył na bok chustę, chroniącą twarz przed słońcem. Hannah była zaskoczona, zobaczywszy twarz starszego mężczyzny. Może miał pięćdziesiąt, a może sześćdziesiąt lat. Włosy, spadające na zniszczoną warunkami klimatycznymi twarz, zaczynała pokrywać siwizna.

- Kore. Kore Szejk Mellah z plemienia Kel Ajjer - przedstawił się, wyciągając rękę.

Hannah uściśnęła jego dłoń. Następnie oboje położyli prawe ręce na sercu. Hannah mieszkała dostatecznie długo w Algierii, by poznać panujące zwyczaje.

- Hannah Peters. Jestem archeologiem, studiuję i pracuję nad skatalogowaniem sztuki naskalnej epoki kamiennej.

- Aa, to pani jest kobietą, która rozmawia z *kel essuf*. Słyszałem o pani.

- Mam nadzieję, że tylko dobre rzeczy.

- Szczerze mówiąc, ludzie uważają panią za obłąkaną. Mówią, że kobieta samotnie chodząca do miejsca zamieszkania duchów, musi być obłąkana. Żaden z Tuaregów nie poszedłby do Starych dobrowolnie.

- Nie jestem sama. Mój pracownik przebywa w bazie, oddalonej o jeden dzień drogi. Ponadto moje badania, związane ze starymi - jak pan nazywa duchy - trwają już od 10 lat.

- Dziwne, że nie spotkaliśmy się wcześniej. Co dwa, trzy lata wracam tutaj na polowania.

- Pewnie dlatego, że dotychczas prowadziłam prace na innym terenie. Pierwszy raz jestem w Sefar.

Patrzyła na niego z zainteresowaniem. Jego stopy tkwiły w kunsztownie pomalowanych i wyplatanych sandałach. Na szyi miał tradycyjny *gris-gris*, amulet, składający się z wielu małych skórzanych woreczków, w których Tuaregowie nosili fetysze i sury z Koranu, chroniące ich przed duchami pustyni.

Hannah wpadła na pewien pomysł.

- Może mógłby pan mi pomóc - powiedziała. - Próbowałam dotrzeć do tego miejsca.

Wyjęła mapę z plecaka i wskazała cel pierwszego etapu wędrówki.

- Zna pan tę miejscowość? Czy można znaleźć tam jakieś ryciny albo malowidła? Obrazy na skałach lub coś w tym rodzaju?

Tuareg podszedł bliżej. Jego spojrzenie zdradzało niepewność. Hannah wskazała inne miejsce.

- Niech pan spojrzy. Jesteśmy tutaj. Tu jest nasz wąwóz, który pnie się pionowo w górę, a po lewej i prawej stronie jest płaskowyż.

Obserwowała go. Powoli zaczynał rozumieć, o co chodzi. Olbrzymim palcem wędrował po papierze, oglądając mapę.

- To miejsce, tutaj? - Tuareg potrząsnął głową. - Nie, tam nic nie ma. Może pani zaoszczędzić sobie trudu.

Hannah skuliła się. Nadaremnie odbyła tak długą drogę. Dzisiejszy dzień nie był najwyraźniej jej dniem. Gdy składała mapę, mężczyzna zajął się antylopą. Gwizdnął na konie, potem z trudem ulokował ciężkie ciało antylopy na końskim grzbiecie i powiesił po bokach skórzane worki. Wsiadł na wierzchowca.

- Niech pani nie będzie rozczarowana. Na płaskowyżu jest wiele tajemnic, które czekają na ludzi. Naraziłem panią na niebezpieczeństwo. Aby to wynagrodzić, pokażę pani coś, co na pewno panią zainteresuje.

Wyciągnął rękę. Hannah zawahała się. Nie była pewna, czy przyjąć zaproszenie. Tuaregowie byli wobec kobiet bardzo uprzejmi. Kobiety dbały o obóz przez długie miesiące, gdy mężczyźni byli w drodze, dlatego miały duże wpływy i cieszyły się respektem. Jednak i wśród Tuaregów mogła znaleźć się czarna owca.

- Sama nie wiem. Potrzebna mi jest woda, a mój pracownik oczekuje mojego powrotu.

- Woda nie stanowi żadnego problemu. Niech pani pojedzie ze mną - nie będzie pani żałować.

Coś w oczach mężczyzny przekonało ją, że miał uczciwe zamiary. Przyjęła wyciągniętą rękę i usadowiła się za nim na siodle.

Godzinę później siedziała pod ruszającym się na wietrze dachem *khaima* ze szklanką herbaty *The de Tuareg*, którą mieszkańcy pustyni parzyli z zielonych kulistych liści. Herbata była słodka i mocna. Hannah lubiła ten napój, którego przygotowanie wymagało olbrzymiego nakładu pracy. W obozowiskach Tuaregów czas jednak nie miał żadnego znaczenia.

Popijając herbatę, Hannah rozglądała się dokoła. Kochała Saharę, a tutaj znajdowała się w najpiękniejszym miejscu, jakie mogła sobie wyobrazić: *Tassili N'Ajjer*, obszar strumieni, jak go nazywają Tuaregowie. Płaskowyż w południowo-wschodniej Algierii, niszczone jedynie wiatrem i wodą, był niezmienny - pozostał taki sam jak w dniu stworzenia. Na południu rozciągały się dwa pasma górskie Ahaggar i Air. Oba ciemne i wulkaniczne, jakby stanowiły część piekła Dantego. Po zachodniej i wschodniej stronie był już tylko piasek. Nieskończony piasek. Morze z piasku, tworzące fale, sięgające wysokość 250 metrów. Było to królestwo ergu, największej pustyni piaszczystej na Ziemi. Tutaj nie była w stanie przeżyć żadna istota ludzka, z wyjątkiem Tuaregów. W porównaniu do tej pustyni, nawet *Tassili N'Ajjer* był rajem. Można było tu spotkać źródła, gaje cyprysowe i palmy daktylowe, od czasu do czasu węża, kozę albo lisa pustynnego - fenka. Żyły tu również ptaki: wrony, sępy, a nawet sowy. *Tassili N'Ajjer* było jakby wyspą, ratującą żywe stworzenia Sahary przed burzą piaskową.

Hannah obserwowała Kore, jak obrabia zabitą antylopę. Cztery fachowe cięcia wzdłuż ścięgien, przekrojona czaszka. Specjalnie w tym celu zrobioną pompką wprowadził powietrze pod wierzchnią warstwę i ściągnął z antylopy skórę tak sprawnie, jakby zdejmował rękawiczki. Futro powiesił ostrożnie do wyschnięcia i dzielił mięso antylopy na poręczne kawałki, wkładając je do skórzanych worków. Od czasu do czasu rzucał kąski psom, lecz



niezbyt wiele, aby tak naprawdę nie były syte. Nie mogły stracić swojego instynktu do polowania. Gdy Kore zakończył pracę i było oczywiste, że nic więcej nie dostaną, psy wyniosły się między skały, aby tam coś upolować.

- Tak... - po zakończonej pracy Kore zwrócił się do swojego gościa. - Proszę wybaczyć, lecz musiałem zająć się tym natychmiast, aby mięso nie zepsuło się. Może teraz dojrzewać w workach do czasu mojego powrotu do obozowiska.

Hannah machnęła ręką.

- Nie szkodzi. Dobrych ma pan pomocników. Co to za psy?

Na twarzy Kore pojawił się uśmiech.

- Mieszańce. Najlepsze psy myśliwskie. Ciągłe głodne, zawsze niezadowolone. Nie zatraciły instynktu myśliwskiego. Wiedzą też doskonale, że nie wolno im zabijać ofiary. Są bardzo pojętne.

Usiadł koło Hannah i nalał sobie herbaty.

- Proszę mi powiedzieć, dlaczego szuka pani rysunków na skałach?

- To mnie fascynuje. W Afryce Południowej też są takie malowidła, lecz nigdzie nie zachowały się w lepszym stanie niż tutaj, w środku Sahary. Suche powietrze konserwuje ryciny i barwy lepiej niż to robią w muzeum.

Odniosła wrażenie, że zaczyna prowadzić wykład, lecz Kore nie okazywał braku zainteresowania.

- Problem stanowi jedynie ich odkrycie - kontynuowała. - Na obszarze o powierzchni całej Europy są tak trudne do znalezienia jak przysłowiowa igła w stogu siana. Na tych terenach, na północny-wschód od Dżanet, można odkryć najpiękniejsze i najwartościowsze obrazy Afryki. A może nawet całego świata. Mogą mierzyć się z nimi malowidła w jaskiniach nad Wezerą w południowo-zachodniej Francji. Jaskinie z połyskującymi napisami, jak w Font de Gaume, Les Combarelles lub Lascaux. Są to miejscowości, które zdobyły światową sławę.

Kore przytakiwał ze zrozumieniem.

- U nas nie ma napisów, tylko skały i malowidła Starych.

- Tak, lecz jakie one są piękne! Gdy zobaczyłam je po raz pierwszy, wiedziałam od razu, że jedno ludzkie życie nie wystarczy, aby je zbadać.

Gdy mówiła te słowa, jej głos brzmiał coraz ciszej. Kore gładził palcem szkło filiżanki z herbatą.

- Jak rodzina reaguje na pani samotne wędrówki po pustyni?

- Moja rodzina? - zaśmiała się gorzko. - Od lat nie miałam z nią kontaktu. Ojciec mnie znienawidził, gdyż nie uległam jego życzeniom. Chciał, abym przejęła jego interes i była

przyzwoitą kobietą. To były jedyne dwie możliwości. Bardzo rozczarowałam go w przeciwieństwie do mojej siostry.

Hannah zająknęła się. Od dłuższego czasu nie rozmawiała z nikim tak szczerze, nawet ze swoim asystentem. Nigdy też nie spotkała człowieka, który tak cierpliwie potrafił słuchać. Bolesnie uświadomiła sobie, jak bardzo jest samotna. Wyprostowała się.

- Pan chciał mi coś pokazać?

Kore podniósł wzrok.

- Przepraszam za ciekawość. To było niegrzeczne.

Hannah zaprzeczyła.

- Moja wina. Nie powinnam pana zanudzać moimi problemami. Dobrze mi zrobiło, że mogłam z kimś porozmawiać.

Kore uśmiechnął się.

- Może jeszcze jedną filiżankę herbaty?

- Dziękuję. Wypiłam wystarczająco dużo.

- Dobrze. Chodźmy. To niedaleko.

Tuareg zaklaskał w dłonie. W mgnieniu oka pojawiły się psy. Kore wstał i wraz z Hannah opuścili cień, jaki dawał namiot.

Na czole Hannah pojawiły się natychmiast krople potu. Nie było jeszcze południa, a panowało już takie gorąco, że można było poparzyć sobie stopy na żwirze. Kore, stawiając długie kroki, szedł przodem jak sternik, prowadząc przez wąskie przejścia między skałami. Psy biegły jako pierwsze, ich pan za nimi, a pozostająca w tyle Hannah rozglądała się po okolicy, która nie wyglądała obiecująco. Hannah w ciągu wielu lat zdobyła umiejętność oceny skalnych form. Na skałach były ślady erozji pod wpływem działania wiatru. Jeśli nawet coś kiedyś na nich było, uległo dawno zniszczeniu. Ale - wiedziała o tym doskonale - nigdy nie można przedwcześnie wyciągać wniosków. Być może Kore wcale nie chce pokazać jej malowideł.

Szła za Tuaregiem wąskim przejściem. Im dalej, tym ściany bardziej schodziły się ze sobą. W dwóch miejscach trzeba było przeciskać się bokiem. Kamera otarła się o szorstkie kamienie.

- Kurcze! - Hannah zdenerwowała się, dojrawszy rysy na obudowie kamery. Troskliwie objęła ją ramieniem.

Po kilku metrach odległość między ścianami uległa zwiększeniu i ukazał się bajeczny widok kotliny. Była okrągła i otaczały ją dziwnie zeszlifowane, prostopadłe skały. W środku znajdowała się studnia, otoczona grubym murem, obok którego rósł bardzo stary

cyprys. Kształt drzewa i grubość pnia wskazywały na to, że drzewo musiało mieć około 3000 lat. Ze starości sprawiało wrażenie skamieniałego. „Żywa skamieniałość” - pomyślała Hannah. Ze studnią u boku wyglądał jak niezemska piękność.

- Cudowne. Jak to możliwe, że nic nie wiadomo na temat tego miejsca?

- My, Tuaregowie, trzymamy to w tajemnicy. Dawniej było tu ważne miejsce z wodą i plac modlitwy. Od wielu pokoleń studnia jest wyschnięta i nie przybywają już pielgrzymi.

Hannah zbliżyła kamerę do oczu, lecz Kore potrząsnął głową.

- Nie, bardzo proszę. To jest święte miejsce. Zgodnie z zasadami Koranu, takich miejsc nie wolno fotografować. Przykro mi.

Hannah spojrzała z rozczarowaniem.

- Szkoda. Ten plac mógłby być sławny. Już to drzewo...

- Właśnie o to chodzi. Zasadniczo Koran nie ma z tym nic wspólnego. Chodzi o ciszę. Czy może sobie pani wyobrazić, co działałoby się tutaj, gdyby dowiedział się o tym świat?

Hannah wiedziała, o czym mówił. Dostyc często widywała, jak turyści obchodzą się z relikwiami innych kultur, lecz czuła potrzebę podzielenia się z kimś tym odkryciem. Z kimś, kto był jej bliski. Wydawało się, że Kore odgadł jej myśli.

- Rozumiem pani życzenie, ale niech pani dobrze zastanowi się, czy i komu chce pani o tym opowiedzieć. Od tysięcy lat to miejsce jest dla Tuaregów świętością i tak ma pozostać. Właściwie miałem zamiar pokazać pani coś całkiem innego - wskazał na skały. - Czy widzi pani tę szczelinę za drzewem po drugiej stronie?

Hannah powędrowała wzrokiem we wskazanym kierunku. Początkowo uważała szczelinę za cień. Wyłom w skale musiał powstać bardzo dawno temu, prawdopodobnie wskutek ogromnych wahań temperatury. Brzegi wyłomu były zaokrąglone pod wpływem działania wiatru i wody. Gnana ciekawością, podeszła do wyrwy. Zauważyła, że Kore i psy pozostali na miejscu.

- Nie pójdzie pan ze mną?

- Nie - odparł z poważnym wyrazem twarzy. - To jest miejsce *kel essuf*. Dla nas tabu. Dla pani może być jednakże bardzo interesujące.

Hannah uśmiechnęła się. Skąd może o tym wiedzieć, skoro tutaj nigdy nie był?

- Jest pan pewny? Przydałby mi się dobry przewodnik. Byłabym bardzo wdzięczna.

Kore kiwnął przecząco głową. - Niech pani idzie sama, to nie jest daleko. Na pewno w wąwozie nie będzie czasu na rozmowę ze mną. Idę w góry Air, mówiąc dokładniej do Montagnes Bleues, gdzie w chłodzie cienia mam zamiar spędzić lato. Będę rad, gdy odwiedzi

mnie pani i opowie, co tutaj znalazła. Zostawię pani wystarczającą ilość wody pod cyprysem. Niech pani będzie zdrowa, Hannah Peters! Niechaj Allah ma cię w swojej opiece!

- Bądź zdrowy, Kore. Dziękuję za wszystko. *Allach es malladek!* - podniosła rękę, lecz Kore już oddalił się.

Hannah odwróciła się ku szczelinie. Z bijącym sercem wkroczyła w tajemniczy półmrok. Skały wyglądały jak wygarbowana skóra. Gładziła ich surową powierzchnię. Ciekawość rosła. Dlaczego Kore był taki tajemniczy? Co może znajdować się w wąwozie? Wysoko ponad nią, na płaskowyżu, gwizdał wiatr. Jego wycie odbijało się echem między skałami. Jakby wołały na nią jakieś głosy. Czasem wydawało się, że ktoś szepcze do ucha, a potem słychać wołania z dali. Hannah odwróciła się - nikogo nie było. Poczula dreszcz na plecach. Nic dziwnego, że Tuaregowie wierzą, że tu mieszkają duchy. Zmusiła się do wyjaśnienia fizycznej przyczyny fenomenu. Strome skały tworzyły komin, w którym powietrze drga pod wpływem wiatru z góry. Te odgłosy były po prostu drgającymi cząstkami powietrza. To proste. A jednak: Nie mogła pozbyć się wrażenia, że nie jest tutaj sama. Hannah, Hannah! - wydawało się jej, że słyszy wołania. Było je słychać bardzo wyraźnie. Skrzyżowała ręce na piersiach i szła dalej. Krok po kroku. Z każdym metrem poczucie zagrożenia było coraz większe. Pierwszy raz tak się czuła. Dlaczego Kore posłał ją do wąwozu? Dlaczego jej nie towarzyszył? Czy chciał ją przestraszyć? Jeżeli tak, to osiągnął cel. Hannah była skłonna zawrócić, gdy nagle coś odkryła. Cień na skale. Jakieś kształty, tutaj i po drugiej stronie też. Niewyraźne, ale jakby znajome. Ramiona, nogi, brzuch. Były ogromne, były...

Hannah wstrzymała oddech. Tam było ich jeszcze więcej. Pokrywały całe ściany, jak daleko sięgało oko. Trzydzieści, czterdzieści. Gigantyczne istoty dawno minionych dni. Wydawało się, że każda z nich patrzy na Hannah, jakby od wieków na nią czekały. Hannah, Hannah! - słychać było krzyki.

Potykając się, ruszyła do przodu. Każdy postawiony krok utwierdzał ją w przekonaniu, że musi rozczarować Kore. Tego miejsca nie uda utrzymać się w tajemnicy.

Coś potężnego ją złapało i nie pozwalało odejść. Coś, co posiadało własną wolę. Istota z zamierzchłej przeszłości. Wciągała ją coraz głębiej w świat mitów i legend. Twarze opowiadały historie i szeptały o tajemnicach na końcu wąwozu. Hannah szła przez tajemniczy świat aż dotarła do miejsca, gdzie nauka nie miała żadnego znaczenia, a wszystko było legendą.

## 2

Sześć miesięcy później...

Od północnej strony zbliżał się tuman kurzu, wykręcając z piasku gigantycznego węża. Pokonywał kilometr za kilometrem. W letnim upale powietrze migotało z gorąca i wydawało się, że zbliża się żyjące, oddychające stworzenie.

- Hannah, chodź szybko! Nie uwierzysz - Abdu Kader, jej asystent, stał od kilku minut na krawędzi skały, przyciskając lornetkę do oczu.

- Co się dzieje? - Hannah próbowała związać gumką swoje czarne włosy. - Czy to ważne?

- Jeszcze jak! Chyba pojazdy militarne.

Hannah zerwała się. Złapała lornetkę - zawsze nosiła ją przy sobie wraz z okularami słonecznymi w kieszeni torby - i pospieszyła do Abdu. Po krótkiej penetracji terenu miała pojazdy w polu widzenia.

- To nie wojsko - stwierdziła. - To jest grupa, której przyjazd zapowiedzieli.

Hannah próbowała dokładnie przyjrzeć się pojazdom, lecz tumany piasku nie pozwalały na rozpoznanie szczegółów. Jednakże to, co ujrzała, wprawiło ją w zdumienie.

- Myślałam, że przyślą do nas małą ekipę filmową - powiedziała. - Myliłam się, jak widać. To hummery, nowiutkie!

Przypomniała sobie, jak przed dwoma dniami przelatywał ponad ich głowami ciężki transport w kierunku Dżanet, jedynej miejscowości, gdzie znajdowało się lotnisko. Dziwiły ją nawet te wielkie samoloty nad pustynią. Teraz było wszystko jasne.

Zakurzona trasa z Dżanet prowadziła do ich obozowiska. Na ponad stumetrowej górze wiał suchy, parzący skórę, wiatr. Niżej panował morderczy upał.

- Chyba utknęli - powiedziała Hannah, podchodząc do Abdu.

- Nie wzięli poważnie tablic ostrzegawczych i wjechali w grzędawisko piaskowe.

Hannah spojrzała w kierunku konwoju i przytaknęła. - Radziłam poczekać do jesieni. Nie chcieli słuchać. Oczekiwałam więcej profesjonalizmu ze strony National Geographic Society. Marnują miesiące na negocjacje w sprawie budżetu, a potem tak im się spieszy. Nawet nie uważali za stosowne poinformować nas, kto przewodzi ekipie. Mam nadzieję, że nie wysłali amatorów.

Mieszkająca długo na pustyni Hannah wiedziała, że wyprawa na Saharę w środku lata jest nieznośną mordęgą nawet dla ludzi z dużym doświadczeniem. Pomijając niemiłosierne temperatury, w tym czasie występują burze piaskowe. Gdy ktoś nieprzygotowany znajdzie się nagle na wolnym obszarze, jak owe pojazdy na dole, może skończyć się to dla niego śmiercią. Piasek gromadzi się wokół ofiary w ciągu kilku minut. Sama to przeżyła. Po godzinie samochody mogą stać się częścią pustyni.

Hannah zmarszczyła brwi. Tylko ktoś taki jak ona, mieszkający tutaj od wielu lat, mógł oszacować ryzyko, związane z nieobliczalnym wiatrem. Pasażerowie mają szczęście, że na razie wiatr jest stosunkowo spokojny. Naprawdę to wielka lekkomyślność.

- Może zejdę i pomogę? - zapytał Abdu.

Hannah pokręciła głową. - Nie. Niech sami sobie poradzą. Pierwsza próba. Gdy nie uda się im pokonać tak krótkiej drogi z Dżanet, to jak będzie w głębi pustyni?

- Uważasz, że poszukiwania będą kontynuowane?

- Założę się o butelkę pernodu. Pytanie, czy oni to wytrzymają.

Abdu zamrugał wesoło.

- Jesteś dzisiaj szczególnie łaskawa. W ogóle się nie cieszysz?

- Owszem. Nie mam jednak zamiaru niczego im ułatwić, rozumiesz? Bądź co bądź, latami wykonywałam mozolną robotę, pracując nad detalami. Niech też poznają uciążliwości, z którymi musiałam się borykać.

Abdu potrząsnął głową.

- Dziwny sposób myślenia. Zawsze myślałem, że chciałaś zwrócić ich uwagę, a teraz zamiast skakać ze szczęścia, kładziesz im kłody pod nogi.

Hannah westchnęła.

- Czasami mam wątpliwości, czy postąpiłam prawidłowo. Może wystarczyłby zwykły artykuł w *Archaeology Today*. Ekipa filmowa postawi wszystko na głowie, aby nakręcić godzinny program dla Discovery Channel. Puszczą go między przerwami na reklamę, rozumie się. Co będzie, gdy okaże się, że moje przypuszczenia są fałszywe? Stanę się pośmiewiskiem dla świata. Chyba to po prostu strach.

- Możliwe. Chociaż czuję, że to nie jest prawdziwy powód twojej irytacji. Może masz wyrzuty sumienia, bo nie dotrzymałaś obietnicy?

Hannah uniosła głowę. - Nie wiem, o czym mówisz.

- Akurat! Mówię o tym, że obiecałaś Kore nie wyjawiać tajemnicy o tym miejscu.

Zaśmiała się. Abdu znał ją lepiej, niż ona sama.

- Przyznaję, skłamałam. Uważam jednak, że podjęłam właściwą decyzję, podając informację do publicznej wiadomości. Nawet, gdy Kore będzie rozczarowany. Mam przeczucie, że chodzi o kulturę o doniosłym znaczeniu. Czasem trzeba przyjąć pewne priorytety.

Tym zamknęła temat.

Jej towarzysz przytaknął nikłym, typowym dla niego ruchem głowy i spojrzał na dół.

- Wygląda na to, że się uporali. Mogą jechać dalej. Może jednak skoczę im naprzeciw?

- Zostaniesz na miejscu! Przekazałam im dokładne dane GPS. Muszą sami nas odnaleźć - mrugnęła. - To następna próba - dodała.

Pozostawiając zdziwionego Abdu udała się w kierunku namiotów.

Oba ściśle przylegały do ściany pod występem skalnym. Mniejszy służył jako sypialnia, w większym przechowywano notatki i rysunki, komputer, satelitarne urządzenia nawigacyjne i inne wyposażenie techniczne, między innymi dyktafon i kamerę cyfrową, oddaną im użytku przez Instytut Frobeniusa. Namioty były kiedyś na stanie armii algierskiej i dawno nikt ich nie zajmował. Wszystkie urządzenia ulokowano porządnie w aluminiowych skrzyniach - tam miały dostateczną ochronę przed wszechobecnym piaskiem. Hannah wolała robić zapiski na papierze, a że i tak z zasady nie doceniała elektronicznych pomocników, w ogóle nie otwierała skrzyń. Z doświadczenia wiedziała, że to właśnie technika pierwsza wysiada przy wysokich temperaturach, a dochodzi do tego tym częściej, im bardziej skomplikowane są urządzenia.

Abdu nie miał własnego namiotu. Uwielbiał sypiać w starej, solidnej toyocie Lancruiser, należącej do Hannah. Barwa toyoty z koloru zielonego zmieniła się na wyblakły żółty. Sfatygowane fotele ze sztucznej skóry, obciążone tkaniną, wykonaną przez Tuaregów, były bardzo wygodne. Samochód stał się niemalże trzecim członkiem zespołu. Niejednokrotnie uratował im życie. Naturalnie nie można było go porównać z trzema błyszczącymi, chromowanymi olbrzymami, które w ślimaczym tempie kierowały się ku ich obozowisku. Hannah znała się na tym i wiedziała, że cena jednego wynosiła dobre osiemdziesiąt tysięcy dolarów. Za takie pieniądze oboje z Abdu mogliby żyć i prowadzić badania przez dwa lata.

Podczas gdy Hannah przeglądała notatki z ostatnich dni, Abdu przechadzał się tam i z powrotem. Widać było, że coś go gryzie.

- Co jest? - zapytała rozdrażniona.

- Nie chcę przeszkadzać - odparł, obserwując wpinanie luźnych kartek do segregatora.

Hannah westchnęła. Gdy uparty Abdu miał coś do powiedzenia, nie miało sensu przesuwać tego na potem. - Gadaj! - zażądała.

Abdu patrzył poważnie. Chwycił składane krzeselko i przysiadł się do niej.

- Chodzi o to, o czym poprzednio mówiliśmy. Mam wrażenie, że jesteś trochę rozczarowana.

- Rozczarowana? Nie widzę powodu, dlaczego miałabym być? Przecież wszystko przebiega znakomicie.

- Nie bierz mnie za durnia - powiedział kiwając się na krzeselku i ssąc źdźbło trawy - i nie próbuj mnie oszukiwać.

Uśmiechnęła się. - Jesteś okropny, wiesz o tym? Abdu wyszczerzył olśniewająco białe zęby w szerokim uśmiechu.

Opuściła ręce, grając rolę zrezygnowanej.

- Dobra. Jestem wściekła. Dlaczego? Zastanów się! Tyle lat już tutaj pracujemy. Stworzyliśmy podwalinę do prowadzenia badań, ale nikt nie przyjmował tego do wiadomości, poza kilkoma kolegami, czytającymi w fachowych czasopismach moje sprawozdania. A teraz przyjeżdżają, bowiem dokonaliśmy pachnącego sensacją odkrycia. Przede wszystkim obudziło się najbardziej uznawane i cenione na świecie towarzystwo geograficzne National Geographic Society.

- Chyba przesadzasz...

- Skądże. NGS finansuje setki projektów badawczych na całej kuli ziemskiej, posiada własny kanał telewizyjny, a ich magazyn jest na całym świecie najpopularniejszym pismem w tej dziedzinie. Wystarczyłby jeden albo dwa artykuły, a cały świat poznałby nasze nazwiska.

- Nie odpowiada ci to? Myślałem, że właśnie tego chcesz.

- Owszem, lecz czy nasza dotychczasowa praca nie zasłużyła na publikację? Pracowaliśmy na próżno?

- Aha - oczy Abdu zaświeciły nagle. - Przechodzisz do sedna sprawy. Przemawia twoja pycha. Nie chcesz, żeby inni zbierali laury za naszą pracę.

- Dokładnie tak! Jesteś zadowolony? - Hannah energicznym ruchem zamknęła segregator i odstawiła na miejsce za aluminiowymi skrzynkami. Potem zaczęła ścierać kurz na składanym stole.



Abdu zastanawiał się długo nad odpowiedzią, a gdy w końcu zaczął mówić, wypowiadał każde słowo z wielką rozważą.

- Znaleźisko jest istotnie zbyt wspaniałe, by utrzymywać je w tajemnicy lub zamieścić o nim jedynie krótką wzmiankę w *Archaeology Today*. Wiesz o tym i ty i ja - powiedział. - Nie ma jednak znaczenia, czy to my zdobędziemy sławę, czy ktoś inny. Dokładnie mówiąc, to Tuaregowie dokonali odkrycia. To jest ich ziemia, ich tajemnica i świętość. Pozwolili nam jedynie obejrzeć. Zdradziłaś ich i to właśnie ci doskwiera. Kiedyś będziesz musiała rozliczyć się z własnym sumieniem i odpowiedzieć przed Tuaregami - Abdu wstał i bez słowa oddalił się. Hannah wzięła głęboki oddech. Wiedziała, że miał rację.

Pół godziny później wozy ekspedycji pojawiły się na wysokim płaskowyżu.

- Komiczne pudła! - zauważył lapidarnie Abdu obserwując, jak posuwają się skrajem płaskowzgórza.

Hannah przypominały złośliwe chrząszcze, ponieważ miały wysoki rozstaw kół. Na drzwiach samochodów błyszczał wyraźny żółty napis: National Geographic Society.

- To nie auta, to prestiżowe obiekty - mruknęła Hannah. - Liczą na coś wielkiego. Inaczej nie wysyłałoby takich wozów.

Jej doświadczone oko poznało natychmiast zmiany w ich budowie. Były wyposażone w wyciągarki linowe, kafary, dodatkowe zamocowania, pomyślano też o możliwości zamontowania kabin do spania na dachu samochodu. Wszystko to sprawiało wrażenie, że nie zwracano uwagi na koszty i trud. Przez szybę można było dojrzeć napięte twarze członków ekspedycji. Pobyt w grzęzawisku piaskowym dał im się we znaki. Hannah poczuła lekkie wyrzuty sumienia.

Kierowcy prowadzili wozy w kierunku cienia pod skałą. Gdy otworzyły się drzwi, Hannah zrozumiała, dlaczego nie poinformowano jej o składzie zespołu. Obawiano się pewnie, że wycofa się na wieść, iż szefową ekspedycji jest kobieta. Opalone na brązowo nogi w butach koloru piaskowego nie należały do byle kogo, lecz do amerykańskiej dziennikarki - pani doktor Irene Clairmont. Hannah знаła jej twarz z gazet, materiałów dokumentacyjnych oraz z wiadomości telewizyjnych. Była chyba około czterdziestki, czyli mniej więcej w tym samym wieku, co Hannah. Też dziecko szalonych lat sześćdziesiątych - stwierdziła Hannah wesoło. Irene Clairmont zdobyła sławę dzięki licznym widowiskom. Była pierwszą kobietą, która nie skorzystała z maski tlenowej na Mont Evereście. Zdarzenie miało miejsce chyba w 1982 roku, jeśli Hannah pamięć nie myliła. Ekspedycje polarne były taką samą atrakcją, jak

kilkumiesięczny pobyt wśród ostatnich żyjących goryli górskich. Ponadto Irene od wielu lat uważano za numer jeden w dziedzinie dokumentacji na temat natury. Od lat pracowała w branży, będącej domeną mężczyzn. Hannah przyszło na myśl, że muszą przywiązywać ogromną wagę do jej odkrycia, skoro przysłali tu samą Irene Clairmont.

Sięgające do ramion blond włosy powiewały na wietrze, gdy z uśmiechem na twarzy zbliżała się do Hannah.

- Pani doktor Peters! Nareszcie mamy okazję poznać się! - jej głos brzmiał niżej niż w telewizji. - Nie potrafię wyrazić mojej radości.

Nastąpił ciepły uścisk dłoni.

- Przykro mi, że wpadliśmy tu jak bomba. Wyobrażam sobie, jakie okropne wrażenie pani odniosła. Na dodatek w tych strasznych pudłach! - mówiła, wskazując samochody - sponsorowane są przez American Motors General. Nie mogłam nic poradzić - wzruszyła ramionami. - Porozmawiajmy na inny temat. Mogę zwracać się do pani po imieniu?

- Oczywiście - odparła Hannah, zanim zastanowiła się, czy faktycznie tego chce. Otwarty sposób bycia Irene Clairmont działał pozytywnie. Była obdarzona charyzmą, to pewne. Zmarszczki wokół ust wskazywały wprawdzie na pewną bezwzględność, lecz jej zachowanie było na wskroś sympatyczne.

- Też bardzo się cieszę, Irene. Wasz samolot widzieliśmy już przed dwoma dniami. Były problemy w urzędach?

Kierowniczka wyprawy zaprzeczyła.

- Jak zwykle. Uciążliwe formalności meldunkowe, drogie zaświadczenia zezwalające na ekspedycję, pozwolenia na filmowanie oraz cała masa kłopotów z zaopatrzeniem. Na widok naszego ekwipunku zaczynają się targi. Formalności są jeszcze bardziej skomplikowane przez panującą praktycznie w kraju wojnę domową. Prezydent Bouteflika i generałowie, których stał się marionetką, podzielili wprawdzie już łupy między sobą, lecz nie mogą dojść do porozumienia, komu przypaść ma największy kawałek. Prawdę mówiąc na całym świecie toczy się podobna gra. Tak albo tak. Zmieńmy lepiej temat na przyjemniejszy - rozejrzała się. - Ty pewnie jesteś Abdu. *Lebes*? - podała Tuaregowi rękę z czarującym uśmiechem.

- *Lebes* - Abdu ze zdziwieniem podniósł brwi. - *Hamdoullah, Lebes*? - zapytał z uśmiechem, lecz Irene знаła odpowiedź: - *Lebes. Giddegid. Hamdoullah!*

Abdu położył rękę na piersiach i skłonił się.

- Czuję się zaszczycony twoją znajomością pozdrowienia w języku Tuaregów.

Hannah zauważyła iskielki w jego oczach i wiedziała, że urok Irene zrobił na nim wrażenie.

- Nie jestem pierwszy raz w Afryce Północnej. W 1989 roku kręciłam film na temat rytuałów ślubnych Wodaabe. Przy tej okazji udało mi się przyswoić kilka zwrotów w waszym języku. Przedstawię wam teraz członków zespołu.

Reszta ekspedycji, po odstawieniu samochodów w cień, szła w ich kierunku.

Wyłącznie męskie towarzystwo, stwierdziła Hannah z ironią. Dziennikarka sprawiała wprawdzie sympatyczne wrażenie, lecz najwidoczniej nie tolerowała u swojego boku kobiet.

Irene zapraszającym gestem przywołała grupę do siebie. Pierwszy podszedł chłopak krępej budowy z bujną brodą i papierosem w kąciku ust.

Irene poklepała go po plecach.

- Mogę przedstawić? Malcolm Neadry, urodzony Walijczyk. W zespole odpowiedzialny za zdjęcia. Widzieliście *Skrzydła Kondora*? W swoim czasie przyznano mu nagrodę Emmy za najlepszy przyrodniczy film dokumentalny. To była jego robota. Na szczęście udało się go przekonać, żeby z BBC przeszedł do nas.

Hannah nie mogła sobie przypomnieć czy widziała ten film, ale człowiek z lekką łysiną zrobił na niej przyjemne wrażenie. Miał pogodną twarz i na pewno lubił się śmiać. Irene przeszła dalej do krótko obciętego, wysokiego mężczyzny z pobłyskującymi okularami na czubku nosa.

- Albert Beck z Berlina. Troszczy się o dźwięk i to nie tylko w naszych filmach. Albert jest znakomitym technikiem w tej dziedzinie, a także utalentowanym saksofonistą. Od trzech lat u nas. Gregori Pattakos z Grecji - objęła ramieniem ciemnoskórego mężczyznę, którego spiczasta bródka podkreślała szczupłą twarz. - Nasz geofizyk. W programach przejmuje trudny obowiązek objaśnienia słuchaczom zagadnień geologicznych - mówiąc te słowa obdarzyła go spojrzeniem, w którym Hannah odkryła coś więcej poza zwykłą sympatią. Irene zwróciła się ku młodemu człowiekowi w stroju khaki. Wyglądał jakby urodził się ze śmiechem na ustach, a ogromną ruchliwością przypominał Hannah fretkę.

- Patrick Flannery z Irlandii, nasz wszechstronny talent techniczny. Mieszkają z Malcolmem prawie po sąsiedzku, oddzieleni jedynie wąskim pasem morza. Patrick w mgnieniu oka z kawałka drutu i igły buduje odbiornik satelitarny. Poza tym potrafi wypić więcej niż my wszyscy razem wzięci. Bardzo praktyczne, jeśli chce się zrobić duże wrażenie na obcej kulturze. Jest też z nami doktor Chris Carter z Waszyngtonu. Autorytet w dziedzinie klimatologii i znakomity fotograf. Będzie prowadził dokumentację naszej wyprawy i wyda album. Umowy już podpisane.

- Miło mi - uścisk dłoni Cartera wskazywał na twardego charakter ukryty za spokojnym sposobem bycia. - W imieniu naszej całej ekipy proponuję przejście na ty. Możecie się bronić, jak długo chcecie, ale ostrzegam: będziecie musieli porzucić sztywne formy - uśmiechnął się szeroko. Hannah spostrzegła bliznę na jego prawym policzku.

- Myślę, że bez problemu przyzwyczają się, Chris - była zadowolona, że udało jej się tym razem uniknąć żelaznego uścisku dłoni.

Irene rozłożyła ramiona. - To byłoby na tyle. Dobrane towarzystwo, nieprawdaz?

Hannah poczuła się nieswojo, gdy wszyscy nagle na nią spojrzeli. Chrząknęła.

- Robicie wrażenie, że zwiedziliście kawał świata. Z pewnością widzieliście rzeczy bardziej interesujące od tych tutaj.

Podsunęła do góry okulary i wskazała namioty.

- Rozgoście się! Potem zjemy kuskus według specjalnego przepisu Abdu. Proponuję herbatę, a później porozmawiamy o waszym zleceniu i planach. Ponadto nie mogę doczekać się wiadomości z cywilizowanego świata.

Irene uśmiechnęła się przepaszająco.

- Szczerze mówiąc, przez ostatnie dwa dni naszym głównym zajęciem było picie herbaty. Proszę, nie bierz nam za złe, ale wszyscy niecierpliwie czekamy aż pokażesz nam swoje znalezisko. Chyba mówię w imieniu wszystkich, że umieramy z ciekawości. Jak daleko jest do tego miejsca?

Było to pochlebstwem dla Hannah. Jej początkowa rezerwa ustępowała. Oni przejechali połowę kuli ziemskiej i przeżyli różne trudy związane z podróżą tylko po to, by zobaczyć jej wąwóz. Nie liczyli się ewentualni przyszli widzowie filmu, lecz obecna szóstka z błyszczącymi od podniecenia oczami - oni byli realni, oni byli tu wyłącznie z powodu jej odkrycia.

- Chętnie, skoro tego chcecie. To tylko kilkaset metrów. Gdy przed pięcioma miesiącami odkryłam te skały, przenieśliśmy bazę, żeby było blisko. Odtąd codziennie bywałam w wąwozie. To miejsce jest święte, przekonacie się sami. Chodźmy!

Hannah z Irene poszły przodem, reszta grupy podążała za nimi. Abdu, który widział wąwóz niejedną raz, pozostał w bazie i zajął się gotowaniem.

Słońce stało już nisko, gdy stanęli przed wejściem do parowu. Przesunęli się przez wąski przesmyk i podziwiali magiczne koło - tak Hannah nazwała to miejsce. Po kolei zbliżali się do środka okrągłego placu. Gdy ujrzeli cyprys, rozmowy zamilkły i zapanowała doniosła cisza. Hannah uśmiechnęła się. To miejsce sprawia wrażenie na każdym, niezależnie

od tego, ile już w życiu widział. Irene rozejrzała się. Skrawek nieba nad ich głowami lśnił w ich oczach.

- Cudownie! - westchnęła. - Po prostu cudownie! Cóż to za zakątek!

Malcolm Neadry dreptał wkoło drzewa i studni jak drapieżne zwierzę wokół swojej ofiary. Szperał w torbie na ramię, wyciągnął kamerę video i spojrzał w stronę wejścia.

- Wspaniale! Pasuje do wstępu jak ulał. Widzę już tę sekwencję. Przed pokazaniem drzewa zrobimy 35-ką ujęcia panoramiczne. Potem przejdziemy na półzbliżenie i ujmujemy ciebie, gdy przechodzisz przez ten wąski przesmyk. Irene, co o tym sądzisz?

- Dobrze. Pozwól jednak, że najpierw popatrzę w spokoju na ten widok.

- Tak, tak - Neadry nie przestał wprawdzie zajmować się obiektywem, lecz zamilkł, za co Hannah była mu wdzięczna. Chris Carter, klimatolog, oddalił się od grupy i przesuwając dłonie po powierzchni szlifowanych ścian skalnych. Hannah uśmiechnęła się. Bratnia dusza. Istnieją ludzie, którzy muszą dotknąć każdego przedmiotu, zanim uwierzą, że naprawdę istnieje. Pozostali członkowie ekipy stali obok Irene w milczeniu. Hannah wykorzystwała panującą ciszę. Chrząknęła, żeby zwrócić na siebie uwagę.

- Nie chciałabym psuć waszego zachwytu, lecz prosiłabym o wstrzymanie się z fotografowaniem. Jeszcze nie teraz, najpierw musimy omówić pewne sprawy.

Irene przekrzywiła głowę. - Co za sprawy?

- Chodzi o moje przyrzeczenie. Obiecałam, że to miejsce zostanie utrzymane w tajemnicy.

Wreszcie wyrzuciła to z siebie.

- Trzymane w tajemnicy? Co to znaczy? Nie możemy tu filmować? - Neadry podszedł do Hannah ze opuszczoną głową. - Nie mówisz tego poważnie. Nawet, jeśli tak jest, decyzja o pozwoleniu na filmowanie leży w gestii odpowiednich urzędów. A te możemy kupić - jego oczy pałały złością.

- Moment! Spokojnie! - Irene ustawiła się przed Hannah w pozycji obronnej. - Jestem pewna, że w tej sprawie jest jakieś wyjaśnienie, prawda?

Hannah skrzyżowała ręce na piersiach.

- Przykro mi, że psuję wasz nastrój, lecz wszystko to, co tutaj widzicie, a przede wszystkim to, co dopiero zobaczycie - to święte miejsca. Tuaregowie przychodzili tu przez tysiące lat, tutaj odbywały się spirytualne ceremonie. W tym rejonie nie było katedry ani meczetu, więc place modlitw wybierano w miejscach stworzonych przez naturę. Są one naładowane energią, odczujecie to. Pewien Tuareg pokazał mi tę dolinę pod warunkiem, że zachowam tajemnicę. Byłam jednak zdania, że to zbyt ważne i powinnam złożyć

sprawozdanie. To jest mój problem. Tuaregowie z pewnością nie mają nic przeciwko grupie prowadzących badania naukowców, lecz nakręcenie filmu i podanie do publicznej wiadomości dokładnego położenia doliny spowoduje najazd turystów. Możecie sobie wyobrazić, co to oznacza.

- Niesamowite! - Neadry potrząsnął głową. - Po co tu w ogóle jesteśmy? Pięć miesięcy przygotowań, niekończące się pertraktacje, 10 tysięcy kilometrów samolotem - a teraz słyszymy: proszę nie filmować!

- Znajdziemy z pewnością jakieś wyjście - Irene odgarnęła włosy. - Prawda, Hannah?

- Jest wyjście. Chciałabym was prosić o niepublikowane dokładnego położenia tego miejsca. Żadnych długości ani szerokości geograficznych. Można nawet świadomie podać nieprecyzyjne dane, aby skierować poszukujące sensacji tłumy na fałszywy trop. Pewnie, że możecie przekupić urzędy. Dla nich byłaby to nawet niezła gratka. Ale ja proszę was z całego serca - nie róbcie tego! Zrozumiecie moją prośbę, gdy zobaczycie wąwóz.

Irene oparła ręce na biodrach. - Uważam, że to dobry pomysł. Naturalnie musimy przeanalizować najpierw sytuację, lecz sądzę, że propozycję można zaakceptować, zgadzasz się ze mną, Malcolm?

Zapytany zamruczał coś niewyraźnie, lecz skinął głową. Reszta członków ekipy zgadzała się z Irene.

- W porządku, Hannah - kontynuowała Irene i klasnęła w dłonie. - To sobie już wyjaśniliśmy. Pokaż nam teraz swój skarb! Muszę przyznać, że jestem tak podniecona, że ledwo wytrzymuję.

Hannah uśmiechnęła się z ulgą.

- Dobrze. Zaspokoję waszą ciekawość. Idziemy!

### 3

Gdy gęsiego zbliżali się do wąwozu, Chris Carter poczuł na ciele zimno, jakby go owiał wiatr. Nikt nie odważył się odezwać słowem. Poruszali się, próbując nie czynić najmniejszego szmeru. Ciszę przerywało skrzypienie kamyków pod zelówkami. Nerwy Chrisa były napięte do granic wytrzymałości. Czuł, że oczekuje go coś szczególnego. Nie wiadomo dlaczego podobne przeczucie miał jego pracodawca Norman Stromberg, który wysłał go na tajemną misję. Szef miał w tych sprawach dobrego nosa. Swojej niezawodnej intuicji zawdzięczał, iż stał się jednym z najzamożniejszych i wpływowych ludzi świata. A do tego jednym z największych kolekcjonerów dzieł sztuki. Dokładnie z tym związane było obecne zlecenie - ze skarbami sztuki historycznego wymiaru. Chris był jednym z jego najsukuteczniejszych scouts, jak nazywa się w tej branży tropiące psy.

Idąc za Malcolmem, Irene i Hannah, Chris myślał o skomplikowanych powiązaniach w siatce, do której należał. Agenci Stromberga działali na całym globie. Byli tam, gdzie nadarzyła się okazja, by kupować dzieła sztuki. Stromberg stał się z czasem właścicielem jaskiń w południowej Francji, pałaców w Indiach, pogańskich świątyń w Japonii oraz okrętów, które zatonęły wraz ze skarbami. Jego apetyt na relikty niezwykłego pochodzenia był niezaspokojony, a konto bankowe nieprzebrane. Obecnie miał zamiar dołączyć do swoich zbiorów skarby regionu *Tassili N'Ajjer*.

Grupa przeszła przez wąski zakręt i dotarła zalanej słońcem kotliny. Chris natychmiast ocenił okiem znawcy, iż przedstawione dzieła są spektakularne: przedstawiały postaci z opaskami na biodrach i ozdobami z piór, uzbrojone w łuki i oszczepy, polujące na słonie, żyrafy i antylopy. W porównaniu ze zwierzyną sylwetki ludzkie były nieproporcjonalne - grube ramiona i nogi, korpusy wydłużone. Najbardziej rzucały się w oczy głowy. Wyglądały jak dziwaczne, kuliste twory z jednym okiem cyclopa pośrodku i wężowatymi naroślami po bokach.

Głowa Patricka Flannery obracała się na wszystkie strony jak u łasicy. - Nie do wiary! - szeptał. - Czegoś podobnego w życiu nie widziałem. Ile one mogą mieć lat?

- Nie czytałeś nadesłanych dossiers? - Albert Beck, specjalista od dźwięku, patrzył z naganą. - Oczywiście, że nie! Inaczej wiedziałbyś, że pochodzą z epoki okrągłych głów. Zatem mają przynajmniej 9 tysięcy lat! - Albert uśmiechał się subtelnie, popisując wiedzą. - Tym samym zaliczamy je do neolitu, końcowego okresu epoki kamienia, a najwcześniejszej fazy malowideł skalnych w Północnej Afryce. Hannah, popraw mnie, jeśli się nie zgadza.

- Jestem pod wrażeniem! - na twarzy Hannah pojawił się grymas uśmiechu. - Czy wszyscy z was posiadają tyle fachowej wiedzy, czy mam zrobić wykład?

Irene uśmiechnęła się z zakłopotaniem. - Chyba sprawiłabyś nam przyjemność, gdyż poza Albertem i Chrisem nikt tak naprawdę nie jest zorientowany. Dossiers tu albo tam - dodała z szelmowskim spojrzeniem w kierunku Alberta.

Hannah wyjęła z torby okulary - Dobrze. Sami tego chcieliście.

Wskazała na szczególnie wyraźne malowidło, przedstawiające figurę w locie.

- Zaczniemy od tego. Albert miał rację mówiąc, że obraz ma około dziewięciu tysięcy lat. Epoka nosi nazwę okrągłych głów. Z daleka głowy przypominają astronautów. Nic dziwnego, że Henri Lhote, znany badacz afrykański, nazwał figury bogami Marsa. Według najnowszych badań, twórcami figur był lud pochodzący z serca Afryki. Do dnia dzisiejszego nie wyjaśniono przyczyn raptownego zniknięcia ich kultury. Żadne z następnych plemion nie pozostawiło niczego, co byłoby związane z tamtą epoką. Na tym nie koniec. Możemy domniemywać, że celowo usunięto ślady, które mogłyby pomóc w dochodzeniu prawdy. Wydaje się, że zniknięcie ludu okrągłych głów z podręczników do historii było zamierzonym działaniem. Tajemnicza sprawa, nieprawdaż? Jedna z największych archeologicznych zagadek.

Chris czuł, jak rośnie w nim podejrzenie. Czy Hannah zna odpowiedź na to pytanie? Może odkryła coś, co sprawę wyjaśnia? Czy wiadomość dotarła do National Geographic Society? Jeśli tak, to ogromny wysiłek Hannah był uzasadniony.

Przeniósł wzrok na występ skalny. W oczy rzuciła się okazała, dwumetrowa antylopa, której białe ciało obwiedziono czerwonym konturem. Jej przednie kończyny były wzniesione, jakby galopowała nad skalną ścianą. Obok, też z detalami, przedstawiono stado muflonów. Prahisteryczny artysta wykonał malowidła z precyzją, wykorzystując naturalne formy skał. Pod sierścią uwidaczniał się ruch mięśni. Fascynujące.

- To, co tutaj widzicie, stanowi pierwsze z trzech znalezisk, które dokumentowałam i katalogowałam przez ostatnie sześć miesięcy - Hannah prowadziła prelekcję dalej, a jej słowa



odbijały się echem jak w katedrze. - Obrazy pochodzą z czasu, kiedy po raz pierwszy zaczęto używać farb. Ponad waszymi głowami widać klasyczne obrazy zwierząt, znane nam z niezliczonych albumów. Tam... - wskazała na przeciwległą ścianę - znajdują się wizerunki ludzi wspólnoty wiejskiej. Teraz na pewno zrozumiecie, dlaczego ten okres owiany jest tajemnicą.

Wąwóz wypełnił pomruk podniecenia. Przedstawione postaci były faktycznie niesamowite: szybujące, długie ludzkie ciała z głowami jak widma z filmów science-fiction, kobiety z kilkoma - jeden nad drugim - biustami, wypięte brzuchy, ciała w ruchu, pokryte ornamentami i tatuażem, anteny, hełmy, kolce, ubrania kosmonautów. Nie dziwota, że dawniej badacze wierzyli, iż ludzie czasów prahistorycznych wyglądali jak istoty z kosmosu. Dzisiaj twierdzi się zgodnie, że myśliwi - twórcy malowideł - w sposób szczególny pielęgnowali kult ciała i najwidoczniej lubili przedstawiać na obrazach własne fantazje. Chris, mimo wysiłku, nie odnalazł w malowidłach żadnej wskazówki na temat zagadkowego zniknięcia tej kultury.

- Obrazy są wspaniałe. Nie rozumiem jednak, skąd to podniecenie. Bądź co bądź podobne znaleziska odkryto koło Tan Zoumaitak i Tin Aboteka - powiedział do Hannah.

Hannah kiwnęła głową z uznaniem. - Zgadza się. Obrazy z epoki okrągłych głów występują na terenie całej Sahary. Jednakże nigdzie nie stwierdzono tak różnych stylów. Poszczególne fazy malarstwa ludzi pierwotnych są wyraźnie rozdzielone, a miejsca odkryć znacznie od siebie oddalone. Nie dotyczy to tego wąwozu - oczy Hannah świeciły. - Proszę za mną do drugiego zbioru.

Chris wyprzedził Irene i Malcolma, aby być koło Hannah. Za następnym zakrętem znaleźli się nagle w samym środku egzotycznej sztuki. Tym razem nie były to malowidła, lecz ryciny. Irene zaklaskała w ręce. - Bajeczne! Wprost nie do wiary! Jakie wspaniałe zwierzęta! Słonie, nosorożce, żyrafy! W życiu nie widziałam czegoś równie pięknego!

Chris nie odzywał się, ale całkowicie dzielił zachwyt Irene. Fachowym okiem przyglądał się siedmiometrowej żyrafie na przeciwległej ścianie skalnej. Kilku zamaskowanych myśliwych otoczyło zwierzę i rzucało w nie oszczepami. Obok stała słonica, chroniąca swoje potomstwo przed atakiem leoparda. Hannah nie ukrywając zadowolenia, że ryciny wzbudziły takie zdumienie, przerwała podniecone szeptem.

- Piękne, nieprawdaż? To, co widzicie, jest unikatem na obszarze całej Sahary. Miejsce łączące wszystkie style i kierunki sztuki, przy zachowaniu chronologii. W pierwszym odcinku wąwozu widzieliście malowidła, przedstawiające okrągłe głowy. Ryciny natomiast pochodzą z okresu polowań, są tym samym starsze. Z uwagi na często spotykane

wizerunki żyjących wówczas dzikich bawołów, nadano epoce nazwę bubalus. Stosowano technikę polegającą na ryciu twardym kamieniem w miękkiej skale i polerowaniu nacięć. Obrazy informują nas znakomicie o życiu przed dziesięcioma tysiącami lat. Podobnie jak na malowidłach z epoki okrągłych głów, po jednej stronie przedstawiono polowanie, natomiast po drugiej... - wskazała na postacie ponad ich głowami - życie na wsi.

Chris nie mógł stłumić szerokiego uśmiechu. Obrazy, łagodnie mówiąc, należały do gatunku pornograficznych. Twórcy nie mieli żadnych zahamowań: kobiety w wyzywających pozach oddawały się mężczyznom z wielkimi członkami, piękności wiejskie kochały się równocześnie z wieloma partnerami, myśliwi spółkowali ze słoniami, a między nimi znajdowały się dziwaczne kreatury, pół-zwierzęcia, pół-człowieka z potężnymi fallusami sięgającymi ziemi. Chris zauważył, że nawet Irene, którą uważał za dość odporną na drastyczność, zamilkła ze wstydu.

Tymczasem Hannah ze zdumiewającym spokojem przyjmowała sprośne uwagi Patricka i Gregori. - Oglądając coś takiego odnosi się wrażenie, iż cywilizacja ludzka w dziedzinie seksualnej nieco zubożała podczas ostatnich dziesięciu tysięcy lat. Teraz pytam poważnie:

- Jaka jest wasza interpretacja tych osobliwych kreatur z gigantycznymi narządami płciowymi?

Albert poprawił okulary. - To lud myśliwski, a wszystkie kultury związane z myślistwem miały bogaty świat bóstw. Czy nie jest logiczne stwierdzenie, że figury to właśnie bóstwa? Bóstwa zwierząt, które przybywają na ziemię, aby przespacić się z kobietami ze wsi. Ten motyw znany jest z mitologii greckiej.

- Dobrze, że wreszcie ktoś zauważył, że Grecy są potomkami bogów - wtrącił Gregori. Hannah podniosła głos, zagłuszając wybuch śmiechu.

- Dziękuję, Albert. Taka jest powszechna opinia na temat interpretacji tych figur. Lecz co sądzicie o tych postaciach? - wskazała na kreatury, które tylko pod warunkiem posiadania dużej fantazji można było uznać za ludzkie: brak im było rąk i nóg, natomiast głowa miała gigantyczne rozmiary i pokryta była węzowatymi zgrubieniami. Na ich czole błyszczało jedno oko. Jakie zwierzę, jakiego boga przedstawiają te stwory? Aby zapobiec ewentualnym pytaniom: też nie potrafię odpowiedzieć. Jest pewne, że widniejące na skałach wizerunki są starsze od przedstawień zwierząt i pochodzą z najwcześniejszego etapu ludzkiej twórczości. Badania wykazały, iż sztuka malowideł na skałach rozpoczęła się przed około jedenastoma tysiącami lat. Nie poprzedza jej etap wstępny, nie istnieją żadne ślady, by gdziekolwiek dokonywano prób lub pracowano nad materiałem i stylem, nie ma nic. Obrazy pojawiły się,

że tak powiem, z dnia na dzień. I od samego początku były perfekcyjne. Proporcje, oddany ruch, wszystko jest znakomite. Ich mistrzostwo ceniłby nawet Picasso.

Hannah przerwała na moment, by poruszyć problem, nad którym prawdopodobnie wszyscy się zastanawiali.

- Jak do tego doszło? Skąd ta nagła rewolucja w sztuce? - oparła ręce na biodrach. - Nie wiecie? Hm. Wobec tego wam powiem. Istnieją dwie możliwości. Pierwsza jest taka, że mamy do czynienia z artystycznym ludem wędrownym, przybyłym z południowych terenów. Nie są znane szczegóły, nic nie jest pewne, nie ma żadnych dokumentów. Możliwość druga...

- Hannah zawiesiła głos. - Pierwotni mieszkańcy stali się artystami nagle!

Reakcją na takie przypuszczenie były niedowierzające spojrzenia i wyraźne zakłopotane. Irene była pierwszą, która odważyła się odezwać:

- Boskie oświecenie? - w jej głosie słychać było niedowierzenie. - Przykro mi, ale według mnie to wiara w zabobony - przejechała palcem po wyłobieniu. - Skąd ta perfekcja? Sądzę, że bardziej wiarygodna jest historia o wędrującym ludzie.

- Nie musiało to być od razu boskie oświecenie... - broniła swej tezy Hannah. Często zdarza się, iż człowiek zmienia się pod wpływem jakiegoś silnego doznania i staje twórcą. Być może wydarzyło się coś, co odmieniło ludzi. Nie chciałabym jednak spekulować.

- Cóż to mogło być za przeżycie? - zastanawiał się Chris. - Może statek kosmiczny, który nagle zleciał z nieba?

- Może głowy meduz pomogą nam w znalezieniu odpowiedzi na to pytanie. Odkryliśmy je w każdej epoce - odparła Hannah.

- To są chyba maski - Chris przyglądał się uważnie figurom.

Powykręcane cielska wywoływały u niego niesmak.

- Te węzowate narośla to może pióra albo rogi. Na pewno produkt fantazji.

- Jesteś pewien? - wzrok Hannah zdradzał, że liczyła się z taką uwagą. - Dotychczas panowało przekonanie, że nie ma starszych okazów sztuki plastycznej od pochodzących z okresu bubalus. Chciałabym pokazać wam teraz coś, co postawi naukę na głowie. Takie obrazy są! I mamy je tutaj! Idziemy do zbioru numer trzy, położonego w części tylnej wąwozu.

„Zaraz stanie się” - myślał Chris - „zaraz wyjaśni się wielka tajemnica. Stromberg wiedział o niej i dlatego mnie tutaj przysłał”.

Wkroczyli w wąskie przejście. Światło było mętne, bo skały u góry prawie schodziły się ze sobą. Chris chciał sięgnąć po latarkę, którą zawsze nosił przy sobie, ale wkrótce oczy przyzwyczyły się do półmroku.

Skały nad ich głowami coraz bardziej przylegały do siebie i wysokiego wzrostu Albert musiał iść pochylony. Na szczęście przejście niebawem stało się szersze i wyższe. Ściany skalne rozstały się nagle, a to, co ukazało się przed nimi, było nieporównywalne z dotychczasowymi widokami. Grupa, zachowując całkowite milczenie, zebrała się wokół obiektu, który w zasadzie nie miał prawa tutaj być - był wykonany z czarnego, twardego bazaltu. Jaką krył tajemnicę? Prahistoryczni artyści byli niewątpliwie uzdolnionymi malarzami i rysownikami, lecz z pewnością nie byli rzeźbiarzami. A jednak przed nimi stała rzeźba, tak realna i plastyczna, że Chris zdobył się tylko na jedno pytanie.

- Czy jest prawdziwa?

- O, tak - odparła Hannah. - Wysłałam do zbadania próbki z wierzchniej warstwy kamienia do centrum badań jądrowych w Julich i Karlsruhe. Dokonano ich analizy na podstawie naturalnego radioaktywnego rozpadu izotopu ołowiu. Wyniki odbiegają od siebie tylko nieznacznie i można z dużym prawdopodobieństwem założyć, iż rzeźba powstała przed trzynastoma tysiącami lat i wykonana została dłutem. Zatem tysiąc lat przed powstaniem obrazów myśliwych oraz cztery tysiące przed okrągłymi głowami. W czasie, gdy cała Europa pokryta była grubą skorupą lodu i ludzie z Cro Magnon przemierzali w grubych futrach jej płaszczyznę, ścigając mamuty i nosorożce. A zatem figura jest najstarszym okazem sztuki na całej Saharze.

Chris zmarszczył czoło. Rzeźba była faktycznie zdumiewająca. Co to jest - owad, ośmiornica czy chimera? Z workowatego ciała wychodziło siedem wyrostków, które sterczały w powietrzu niby węże. Ich średnica wynosiła około 5 centymetrów, a długość prawie metr. Były wykute z kamienia po mistrzowsku; wydawało się, że są w ruchu. Na całej długości pokryte były jakby obręczami, a końce miały nacięcia. Tam, gdzie łączyły się z głową, albo z czymś nieokreślonym, znajdowały się zgrubienia. Z wyjątkiem oka, reszta przedstawiała ciało amorficzne. Nie widać było żadnych struktur, cząsteczek ani symetrii. Jedyne delikatny wzór siatki był dostrzegalny z bardzo bliska. W rzeczy samej oko zasługiwało na szczególną uwagę. Było inne niż u zwierząt. Powieki były umiejscowione prostopadle, a źrenice dzieliły się na trzy gwiazdziste części. Otoczone wieloma licznymi fałdami ze skóry robiło w sumie niesamowite wrażenie. Nasuwała się nieodparta myśl, że ta wstrętna i groźna bestia przed chwilą wypełzła ze skał.

Niezależnie od tego, kto ją wykonał, był to mistrz w swojej sztuce. Godnym uwagi był fakt, że wykuto ją z czarnego bazaltu, materiału, który nie występował w skalnych i piaskowych górach *Tassili N'Ajjer*. Chris cofnął się o krok. Inni członkowie grupy poszli w jego ślady.

Nikt nie chciał stać blisko rzeźby.

- Niesamowite, prawda? - Hannah skrzyżowała ręce. - Rzeźba jest źródłem; od niej wszystko się zaczęło. Jest najstarszym i według mnie najdoskonalszym obiektem sztuki na całej Saharze. Oglądane przez nas okazy z innych epok można uznać za regres w porównaniu z tą pracą. Odnosi się wrażenie, że artyści utracili zdolności tworzenia. Ta figura jest pełna energii i życia. Mimo erozji wierzchniej warstwy, jej witalność może być powodem bezsennych nocy.

Irene przytaknęła. - Mogę to sobie dobrze wyobrazić. Zrobiło mi się zimno, gdy przyglądałam się rzeźbie przez dłuższą chwilę. Sprawia wrażenie żywej. Czy wiesz, co ona przedstawia?

Hannah potrząsnęła przecząco głową. - Nie mam pojęcia. Może faktycznie jakieś bóstwo. Wiem tylko, że ówcześni ludzie ją czcili jak coś szczególnego. Kształt rzeźby odbił się jak echo w kolejnych kulturach. Jej wizerunek przedstawiali myśliwi, znaleźliśmy podobne formy w okresie okrągłych głów wołów, koni oraz wielbłądów. Ponieważ występują aż po czasy starożytne, dlatego pozwoliłam sobie tę tutaj ochrzcić imieniem Meduza.

Patrick Flannery przesunął palec po kamiennym cokole. - Nadzwyczajne. Kiedyś pracowałem przy produkcji filmu dokumentalnego na temat Egiptu. W Tebach widziałem podobną figurę. Wydaje mi się, że na jakimś obelisku.

- Nie trzeba szukać tak daleko - Chris wpadł w jego słowo. - Słyszeliście o Leptis Magna? To rzymskie miasto portowe, na wschód od Trypolisu, oddalone od nas około siedemset kilometrów. Miasto założyli Fenicjanie tysiąc lat przed Chrystusem. W czasie swojego największego rozkwitu należało do najbogatszych miast rejonu Morza Śródziemnego. Zgadnijcie, czemu zawdzięczało swoją sławę?

Irene wlepiała w niego wzrok. - Meduzom?

- Dokładnie. W roku 1921 uwolniono miasto od metrowej warstwy piasku, a w roku 1951 odbudowano. Praktycznie wszędzie znajdowano głowy meduz. Setki. Całe forum było nimi usiane.

Chris nie wspomniał, że ojciec Normana Stromberga był inicjatorem odbudowy.

- Meduza jest jedną z najstarszych form mitycznych - mówił. - Pierwotnie była symbolem wody. Później Grecy przyłączyli ją do swojego świata bogów i półbogów, jako jedną z gorgon, trzech sióstr, które wyglądały tak potwornie, że ich widok zamieniał ludzi w kamienie. Jedynie Meduza była śmiertelna i dlatego Perseusz odciął jej głowę.

Hannah uśmiechnęła się. - Tak, to nie były najlepsze czasy do chodzenia po świecie z głową potwora. Wspomniałeś o czymś, co może zaprowadzić nas dalej. Nie wiedziałam, że Meduza była symbolem wody.

- Ależ tak, naturalnie. Przykładem niech będzie wielka podziemna cysterna w Istambule. Ten prastary zbiornik wody strzegła olbrzymia głowa meduzy. W wielu kulturach czci się również węże jako symbol rzek.

- To naprawdę niezwykle. Spójrzcie, na cokole można odkryć jeszcze inne ciekawostki. Widzicie te subtelne linie? Myślę, że to są litery. Próbowałam już je odcyfrować, lecz proces zwietrzenia jest zbyt mocno zaawansowany. Wszystko, co dało się odczytać, było w tym miejscu - Hannah uklękła i wskazała grawerunek.

Stojący najbliżej Chris dostrzegł, że obrobiona była cała dolna powierzchnia. To, co początkowo uważał za naturalną strukturę skał, okazało się siatką wzorów i znaków, tak niewidocznych, że nie odkryłby ich, gdyby Hannah nie zwróciła na nie uwagi. Rozpoznał wyraźnie faliste linie i małe postacie ludzkie, które wyglądały jakby płynęły.

- Woda! - wyjął latarkę z kieszeni kamizelki. Ukląkł koło Hannah i oświetlił inskrypcję z boku. Ukazały się obrazy.

- Popatrzcie! - szeptała Irene. - Hieroglify!

- Nigdy w życiu! - chuda sylwetka Albert Becka nachyliła się nad Chrisem. - Dobrze znam się na egipskich znakach pisarskich. To tutaj, to coś innego. Być może poprzednik egipskiego pisma, tego nie neguję. Jest jednak bardzo odmienne. Hieroglify składają się z fonetycznych znaków, znaków oznaczających wyrazy oraz znaków objaśniających. Nie zauważam tutaj takiego podziału. Być może jest to pismo obrazkowe. Nie mogę jednak przeczytać.

Wstał. - Być może nie uda nam się nigdy zrozumieć, co tu jest napisane. Lecz kamień jest absolutną sensacją.

Chris zgodził się z nim we wszystkich punktach. Lecz jedno różniło go od Alberta. On potrafił odcyfrować niektóre znaki na kamieniu. Wprawiło go to w stan wielkiego podniecenia.

## 4

- Irene! Gdzie jesteś? Chcę zacząć wreszcie nagrywać, zaraz nie będzie światła! - głos Malcolma odbijał się echem od skalnych ścian i mieszał z warkotem ustawionej w odpowiedniej odległości prądnic. Szef produkcji kierował światłomierz w stronę skał.

- Patrick, przejdź trochę na lewo z tą niby krótkofalówką. Musimy to miejsce lepiej oświetlić. Irene, przestań się pacykować i rusz tyłek. Czas ucieka!

Irene pudrowała sobie właśnie nos.

- Dobrze już, dobrze. Nie rób w gacie z powodu paru minut. W ostateczności możemy jutro powtórzyć zdjęcia. Światło jest codziennie takie samo.

- Nie chodzi o światło, tylko o plan, musimy zmieścić się w czasie! Każdy zmarnowany dzień kosztuje dziesięć tysięcy dolarów. Jestem zobowiązany wobec pracodawcy nie przekraczać budżetu.

Irene obdarowała Patricka promiennym uśmiechem.

- Czy mój nos ma błyszczeć jak tłusta słonina? Spójrz na mnie i powiedz, co jest ważniejsze, twój przeklęty budżet czy mój wygląd?

- OK, OK, ale pospiesz się!

Hannah już od pół godziny przebywała na miejscu robienia zdjęć i z wielkim zaciekawieniem obserwowała prace przygotowawcze. Dwa dni minęły od dnia przybycia ekipy filmowej. Dzisiaj pierwszy raz będą filmować. Hannah jeszcze nigdy nie uczestniczyła w kręceniu filmu, dla niej wszystko było nowe i pasjonujące. Przed wschodem słońca Malcolm, Patrick i Albert ustawili kamerę, oświetlenie i urządzenie dźwiękowe w wybranym miejscu. Miały być kręcone sekwencje przy skałach okrągłych głów. Hannah z zainteresowaniem oglądała wyposażenie techniczne konieczne do nakręcenia jednego ujęcia. Patrick, w swoim rozciągniętym khaki, sprawdzał właśnie ponownie reflektory, a potem podreptał w jej kierunku.

- Zdenerwowana?

- Jeszcze jak! Nigdy jeszcze nie stałam przed kamerą. Na pewno będę wyglądała sztucznie.

- Przesadzasz. To dziecinnie proste. Trochę tremy nie zaszkodzi. Spójrz na Irene. Jest w branży od dziesięciu lat i ciągle ma zwyczaj wpadać na ostatnią minutę. To jest rodzaj tremy.

Hannah próbowała myśleć o czymś innym i zwróciła uwagę na technikę.

- Po co ten cały nakład pracy? Wydawało mi się, że dobra kamera wideo wystarczy, by nakręcić film dokumentalny.

Patrick poczęstował ją papierosem. Gdy odmówiła, wzruszył ramionami i sam zapalił.

- Powszechnie znana błędna opinia. Ludzie myślą, że potrzebna jest tylko dobra lokalizacja oraz kamera i gotowe. Przy takim przedsięwzięciu kamera na nic. Kręcimy materiał filmowy na 35-milimetrówce. Malcolm ręczy za swój stary Arriflex, kamerę odporną na pustynię. Po powrocie do domu pakujemy do chłodziarki nienaświetlone rolki - to taka sztuczka. Z tego można kopiować filmy na wideo i DVD, do oglądania w telewizji cyfrowej, a nawet w kinie. Widzisz to srebrne pudełko z boku kamery? Obraz będzie nagrywany przez dodatkowe wideo i powstaną *dailies* - ujęcia z określonego dnia. Gdy coś nie będzie w porządku, np. widoczny na obrazie wiszący mikrofon, nagranie możemy powtórzyć zaraz następnego dnia. A gdy wszystko zawiedzie, Malcolm ma małą kamerę cyfrową Canon, z którą nie rozstaje się nigdy. Myślę, że zabiera ją nawet do łóżka.

Irene nie przesadzała. Ten typ rzeczywiście był maniakiem. Jak można do tego stopnia podniecać się techniką, było dla Hannah zagadką, ale polubiła tego chłopaka na cienkich nogach. Nie był tak wyrobiony, jak reszta zespołu, lecz płonął wręcz z zachwytu i ciekawości. Obserwowała go kątem oka, a Patrick gadał jak najęty.

- Na takim planie, jak ten, trzeba być dobrze przygotowanym. Wiedziałaś o tym, że w słonecznym dniu potrzeba o wiele więcej reflektorów niż w pochmurnym? Słoneczne światło zaostrza kontrasty i trzeba czasem ustawić urządzenia odbłaskowe lub reflektory, żeby kontrasty były łagodniejsze. W przeciwnym wypadku miejsca zacienione byłyby czarne. Przypomnij sobie Lawrence'a z Arabii i wyobraź sobie, jak kręcono ten film. Po jednej stronie palące Słońce, po drugiej wielka ilość reflektorów. Dla aktora jest to bardziej uciążliwe od triathlonu. Odpowiednie ustawienie dźwięku jest też problemem. Usunięcie odgłosów echa w takim miejscu, to robota dla geniusza. Nagrany przez Alberta koncert w bazylice świętego Piotra brzmiałby tak samo, jak nagrywany w studio. Udaje się to pod warunkiem, że naprawdę chce się to zrobić. Gadam i gadam, a zapomniałem o ważnej rzeczy - spojrzal na



nią z zakłopotanym uśmiechem. - Chciałbym ci podziękować, że możemy tutaj być. To naprawdę szczególnie piękne miejsce.

Hannah uniosła ręce, zaprzeczając. - Powinieneś dziękować swojemu zleceniodawcy, National Geographic Society. Ja osobiście niewiele mam z tym wspólnego.

- To twoje odkrycie. Gdyby nie ty, nie byłoby nas tutaj. Ponadto mam dziwne przeczucie, że odkryjemy wiele innych rzeczy.

- Jak na to wpadłeś? - Hannah była zaskoczona, że nie jest jedyną, której intuicja podpowiada to samo.

- To ta naładowana atmosfera - Patrick zaciągnął się papierosem. - Jakaś tajemnica wisi nad doliną i mogę się założyć, że poszukiwania będą kontynuowane. Weźmy za przykład Chrisa. Wychodzi z wąwozu tylko na posiłki i spanie. Ostatnie dni spędził wyłącznie przy rzeźbie i inskrypcjach. Nie mówi dużo, ale myślę, że natknął się na coś ciekawego. O! Malcolm daje znaki. Irene jest na planie. Powinnaś też pójść.

Zachęcająco podniósł rękę do góry. - Powodzenia! Hannah poszła w kierunku wyznaczonego miejsca, gdzie czekała Irene.

- Nadszedł czas prawdy! Nawiasem mówiąc, fantastycznie wyglądasz. Chciałabym mieć taką złotą opaleniznę jak ty. Nie musiałabym się malować.

Hannah westchnęła. - A ja życzyłabym sobie posiadać twoją rutynę..

Podszedł Malcolm. Przed nosem trzymał światłomierz i pogryzał kanapkę.

- Znasz tekst? - wykrztusił z pełnymi ustami.

- Wczoraj wkuwałam cały dzień, ale jak każesz mi jeszcze dłużej czekać, z pewnością wszystko zapomnę.

- Zdenerwowana?

- Jeszcze jak! Czy możemy w końcu zacząć?

Malcolm uśmiechnął się złośliwie. Wrócił do kamery i wytarł zatłuszczone ręce o spodnie.

- Dobrze. Wszystko dla ciebie. Nie zapominaj - na luzie, odprężona, nie patrz w kamerę! Ciesz się! Gdy coś nie będzie w porządku, nakręcimy jeszcze raz! - podniósł rękę. - Uwaga! Dźwięk!

- Jest dźwięk! - zameldował Albert zza słuchawek. Malcolm kiwnął głową. - Kamera włączona, klaps! Patrick przytrzymał staromodny klaps blisko obiektywu i trzasnął.

- Duchy pustyni, część pierwsza. *Action!*

Nadszedł wieczór, a wraz z nim odgłosy nocy. Świerszcze zaczęły grać, a nad równiną słychać było żalosne pohukiwanie sowy. Hannah zapaliła lampę gazową, by w jej zimnym świetle uzupełnić kilka szkiców sprawozdania. Dotychczas skopiowała ołówkiem i akwarelą 80 ujęć skał. Rysunki można było nie tylko łatwiej katalogować niż fotografie, były one również idealne, by podkreślać cechy szczególne i ewentualnie uzupełniać zniszczone miejsca. Ponadto praca ta sprawiała po prostu przyjemność. Hannah próbowała nawet wykonać rysunki sposobami, jakimi je wówczas namalowano. Nie udała się próba wymieszania barwników. Po pierwsze, była to czynność bardzo pracochłonna, po drugie farby okazały się niewłaściwe do malowania na papierze.

Hannah wyćwiczoną ręką nakładała farbę na szkic oszczepu, wybierając kolor złoty z pudełka na akwarele. Po kwadransie rysunek był gotowy. W międzyczasie tak się ściemniło, że Hannah odłożyła pędzel i postanowiła dokończyć następnego dnia. Abdu podłożył do ognia. Płomienie rzucały dzikie cienie na pobliskie skały. Zbliżał się czas kolacji. Abdu nie pozwolił odebrać sobie przyjemności przygotowania uroczystego posiłku. Usta Hannah wypełniły się śliną pod wpływem zapachu ostrych przypraw. Albert grał na saksofonie *All Blues*, stary numer Milesa Davisa. Hannah nie słyszała go od wieków. Opadła na składane krzesło, przykręciła lampę gazową i przyglądała się krzątaniu Abdu koło ognia - położył właśnie na ruszt kurze mięso. Dzień był męczący i nerwowy. Święteczny posiłek był na jej cześć, aby uczcić pierwszy występ przed kamerą. To taka tradycja, wyjaśniono. Robiło jej się miękko w nogach na myśl, że miliony ludzi będą ją oglądać - między innymi byli koledzy z pracy i znajomi. Mogła jedynie żywić nadzieję, że dźwięk, muzyka i sposób prowadzenia kamery zatuszują jej skrępowanie. Jeśli nie - będzie kłapa.

Nagle poczuła ukłucie w sercu, pomyślała bowiem, jak zareaguje jej rodzina. Wyobraziła sobie ojca, matkę i Inge siedzących zgodnie w hamburskim mieszkaniu i dreszcz przebiegł jej po plecach. Co powie ojciec, gdy ją rozpozna? Wyobraziła sobie realny obraz ze szczegółami. Najpierw na ekranie pojawia się Irene Clairmont. Zaangażowana, równocześnie chłodna i profesjonalna. Kamera jest na nią skierowana, a ona opowiada historię doliny. Potem prezentowane są ujęcia skał. Dzięki dużej rozdzielczości widoczny jest każdy detal. Światło jest ustawione doskonale. Jak pod mikroskopem można rozpoznać każdą linię i grawerunek. Kamera obraca się. W dali widać siedzącą na stołeczku małą postać. Głos dochodzi spoza planu. Kamera przebiega po wąwozie i obraz staje się coraz wyraźniejszy: opodal siedzi kobieta i rysuje. Jest ubrana w krótkie szorty koloru khaki i miękką koszulę flanelową. Wpatruje się w skałę i przenosi na papier skaczącą antylopę. Kobieta podnosi głowę, ocenia rysunek. W tym momencie Friedrich Peters rozpoznaje swoją córkę.

Dostanie zawału serca? Podskoczy i wyłączy telewizor? Czy też demonstracyjnie, z zaciśniętymi ustami, wyjdzie z pokoju?

Najbardziej Hannah podobała się wersja, że cała trójka otworzy ze zdumienia usta i nie będzie w stanie ruszyć się z miejsca. A potem? Czy ojciec zmieni zdanie? Czy potrafi przyznać się do popełnionego błędu? Czy rodzina pojedna się pewnego dnia?

To były przyjemne myśli, lecz mało realne. Bardziej prawdopodobne było, że nie będą wcale oglądać tego filmu, nawet wówczas, gdy Hannah zawiadomi o terminie lub wyśle kasetę z nagraniem. Poza tym jeden program telewizyjny nie zdoła przecież zburzyć muru, który umacniał się przez tyle lat milczenia.

Hannah westchnęła i zaczęła porządkować rysunki. Nagle poczuła, że ktoś się zbliża. Spojrzała wokoło, lecz nie zauważyła nikogo. Po jej karku i plecach przeleciał jakby dreszczyk grozy. Znak, że zaraz wydarzy się coś szczególnego. Będąc dzieckiem uważała predyspozycje do przewidywania za dar. Tuaregowie traktowali jej przepowiednie ze szczególnym respektem. Ta zdolność była czymś niezwykłym. Czasem funkcjonowało, czasem nie. Czasem chodziło o wydarzenia ważne, czasem o błahostki. Najczęściej miała przecucie w momentach, gdy w ogóle nie była przygotowana. Tak jak w tej chwili. Uniosła głowę na tyle szybko, by zobaczyć wychodzącą właśnie z namiotu Irene. Szła w jej kierunku. Jej twarz była zaczerwieniona i malowało się na niej oburzenie.

- Mężczyźni! - prychnęła ze złością, wchodząc z czterema butelkami piwa pod pachą. Na jej twarzy zagościł szelmowski uśmiech. - Oni faktycznie znają tylko jeden temat!

Hannah uniosła brwi. - Kobiety?

- O czym ty myślisz? - Irene otworzyła dwie butelki i jedną podała Hannah. - To byłoby przynajmniej interesujące. Nie! Sport. Dokładniej mówiąc, piłka nożna. Czy można sobie wyobrazić coś bardziej nudnego? Huczy mi w głowie od tych wszystkich quarterbacks, receivers i runningbacks. Gregori znalazł jeden numer *Sport Illustrated*. Potem Patrick wpadł na świetny pomysł, by włączyć satelitę i wyszukać w eterze ostatnie wyniki i tabele. Martwię się o los rodzaju męskiego. Na zdrowie! - Stuknęły się butelkami. - Mogę? - wskazała na rozkładane krzeselko.

- Bardzo proszę. Miło mi - Hannah pozbierała rysunki, a Irene z ulgą rozsiadła się na krześle, opierając nogi o aluminiową skrzynkę.

- Jak wspaniale jest tutaj! Szczególnie o tej porze, gdy Słońce już zaszło, a kamienie pękają pod wpływem wieczornego chłodu. Czegoś podobnego nie ma nigdzie na Ziemi.

- O, tak! Nie mam takiego doświadczenia jak ty, lecz przyznaję ci rację. Przynajmniej w kwestii dotyczącej pustyni - Hannah uśmiechnęła się skromnie. - Jeśli chodzi o twoje uwagi

na temat mężczyzn, nie całkiem jestem przekonana. Na pewno są wyjątki. Na przykład Chris - jej oczy spoczywały na fachowcu od klimatologii, który z obojętną miną patrzył w ogień.

- Od trzydziestu minut tak siedzi. Wygląda, jakby spał.

- Ciekawy typ, prawda? Nie mówi dużo. Czas spędza wyłącznie na badaniu meduzy. Szczególnie zainteresowany jest inskrypcją na cokole. Poza tym jest jedynym facetem, na którym połamałam sobie zęby.

Hannah spojrzała na Irene z uniesionymi brwiami.

- Nie, żeby na serio próbowała. Taka gra. Znasz to. Krótkie spojrzenie, znaczący uśmiech, by po prostu wy badać, jak wyglądają szanse.

Hannah obracała zimną butelkę w dłoniach.

- Obawiam się, że nie mam tyle doświadczenia, co ty. Moje maniere w ostatnich latach nieco zgnuśniały. Tutaj żyje się dość samotnie.

- Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że nic nie ma między tobą a Abdu. On jest czarujący. Ponadto bardzo dobrze wygląda, jeśli komuś podoba się śniady typ.

Hannah pokręciła przecząco głową.

- Abdu jest szczęśliwym małżonkiem. Ma w Algierii miłą żonę i czworo dzieci. Widuje się z rodziną wprawdzie rzadko, lecz u Tuaregów to normalne. Wierz mi, tak jest lepiej. Wspólna praca to coś najgorszego dla związku. Prowadzi do kłótni.

Irene odchyliła się na krześle i obserwowała gwiazdy.

- Zgadza się. Żaden mój związek nie trwał długo. Dwa miesiące tu, trzy miesiące tam, a potem ginęliśmy sobie z oczu. To zawsze bolało. Dlatego nie wdaję się w nic poważnego. Ale całkiem bez seksu też bym nie mogła. Nie opowiadaj, że ty sobie radzisz w tych sprawach!

Hannah czuła, że rozmowa przybiera dla niej zbyt intymny obrót. Poza tym musiałyby przekonywać, że nic nie wydarzyło się w jej łóżku w ciągu ostatniego półrocza. Nic, odkąd była na pustyni. Ostatni raz była z mężczyzną, gdy pojechała na uniwersytet Goethego do Frankfurtu, krótko po odkryciu meduzy. Poleciała do kraju, aby przedłużyć w Instytucie Frobeniusa pozwolenie na prowadzenie badań i przy okazji spotkała dawnego kolegę ze studiów - Paula. Paul był wprawdzie nudziarzem, ale coś w sobie miał i budził w niej instynkty opiekuńcze. Ponadto był wytrwałym i cierpliwym kochankiem. Miał też czas, czego nie można było powiedzieć o innych dawnych przyjaciółach i kolegach. Paul był zawsze. Nie jeździł na urlopy i nigdy nie planował niczego, czego nie można było przesunąć na później. Z pewnością ta jego niezmiennność sprawiła, że odezwały się romantyczne uczucia. Jednak Paul nie był mężczyzną, którym można było się chwalić i w czasie tej rozmowy nazywać trofeum.

Nie był taki jak Simon, z którym zerwała przed czterema laty. Dokładniej mówiąc, to on z nią zerwał.

Mimo woli powędrowała myślami do przeszłości. Pierwszy raz od ponad miesiąca znowu pomyślała o Simonie Gerlingu. To rekord. Wcześniej nie było dnia, żeby nie łamałaby sobie głowy zastanawiając się, gdzie on właśnie przebywa i co robi. Simon był kimś, kogo nazywa się wielką miłością. Jedyńm, dla którego byłaby gotowa zrezygnować z kariery, by założyć rodzinę. Być może wyczuł to i odszedł właśnie z tego powodu. Niezależnie od przyczyn ich rozłąki, Hannah rzuciła wszystko i pojechała na pustynię do Theodora Monod, wybierając życie w samotności. Hannah przeraziła się nagle i wyrwała z rozmyślań, widząc oczekujące spojrzenie Irene.

- Może ubawisz się, lecz ostatnio byłam tak zajęta, że w ogóle o tym nie myślałam. Naprawdę wierzę, że można odzwyczaić się od seksu. Pewnie i tak nie zaliczam się do typu kobiet, które mężczyźni uważają za atrakcyjne.

- Bzdura! - odparła Irene. Trochę więcej wiary w siebie. Jesteś atrakcyjna, wierz mi. Zwróciłaś uwagę na Chrisa? Gdy spojrział na ciebie pierwszy raz, zauważyłam w jego wzroku zainteresowanie.

Hannah poczuła w żołądku przyjemne ciepło. Może to z powodu piwa, może komplementu, nie wiedziała. Ale było jej dobrze. Najpierw myślała, że to urojenie, lecz Irene też o tym wspomniała. Może rzeczywiście coś w tym jest. Uśmiechając się, podniosła butelkę i wypila łyk chłodnego piwa. Spojrzała w stronę ogniska, gdzie przed chwilą go widziała. Już go nie było.

Rozejrzała się dookoła i znalazła nieopodal jego sylwetkę. Patrzył w noc. O czym teraz myślał? Chris, jakby czując jej wzrok, odwrócił się i podszedł.

- O kurcze, zdaje się, że idzie do nas! Mam nadzieję, że nie słyszał, że o nim była mowa. Byłoby to dość nieprzyjemne - wyszeptwała Hannah.

- Nie szkodzi, jeśli nawet coś słyszał. To może tylko pomóc naszej sprawie - odpowiedziała Irene z drwiącym uśmiechem.

Hannah nie zrozumiała, co Irene miała na myśli. Nie miała jednak już czasu, żeby zastanowić się nad tym.

- Dobry wieczór, moje panie. Czy nie macie nic przeciwko temu, że do kolacji dotrzymam wam towarzystwa? - mówił, imitując doskonale Clarka Gable. Hannah spostrzegła, że zamrugał znacząco.

- *Au contraine, Monsieur*. Cieszymy się z pańskiego towarzystwa - odparła Irene tym samym tonem.

Chris chwycił krzeselko i usiadł na nim w dużym rozkroku, z ramionami na oparciu.

- *Myladys*, to dla mnie zaszczyt. Mógłbym zapytać, na jaki temat toczyła się właśnie rozmowa?

- Na pański, naturalnie - odparła Irene bez ceregieli.

- Rozumiem - Chris chrząknął. Hannah odniosła wrażenie, że był zaskoczony bezpośredniością Irene. Szybko jednak udało mu się opanować.

- Obawiam się, że na ten temat nie mogę wiele dorzucić. Może moje damy wolą prowadzić dalej rozmowę bez mojego udziału?

- W żadnym wypadku - odpowiedziała Irene. - Nie dowiemy się wówczas, jakie mamy szanse, by umówić się z panem na romantyczny wieczór przy świecach.

- Romantyczniejszy od tego? - wskazał na teren obozu. - Trudno sobie wyobrazić, że taki istnieje.

Mimo słabego oświetlenia Hannah zauważyła, że Chris zaczerwienił się lekko. Stwierdziła, że podoba jej się ta gra.

- Wydaje mi się, że próbuje pan się wykręcić, panie doktorze Carter - przejęła wątek. - Niech pan powie, istnieje jakaś osoba w pańskim życiu? Czy też miejsce u pana boku jest jeszcze wolne?

Irene przytaknęła z uznaniem. - Bardzo dobre pytanie, Hannah. Lepiej nie potrafiłabym sformułować. No! Panie Carter, karty na stół!

Chris wstał, chrząknął, założył ręce na plecach i pochylił głowę jak Clark Gable w *Przeminęło z wiatrem*.

- Moje panie, muszę was niestety poinformować, że moje serce jest zajęte. Jeśli coś w tej kwestii ulegnie zmianie, będziecie o tym powiadomione jako pierwsze. Wybaczcie moją prośbę, aby zaniechać nacisków na moją osobę, gdyż w przeciwnym razie będą zagrożone moje mocne zasady.

Irene zaśmiała się. - Kłamczuch! Dobrze już, dobrze. Wykręciłeś się honorowo. Nie wierzę wprawdzie w żadne twoje słowo, lecz chyba jesteśmy gotowe zaoszczędzić ci dalszych kłopotliwych pytań, nieprawdaż? - zwróciła się do Hannah.

- Jeśli o mnie chodzi, chętnie - odpowiedziała z uśmiechem Hannah.

Niemniej żałowała, że niczego więcej nie dowie się o nim. Pozostał tajemnicą, zamkniętą przed nią na siedem spustów. Chris przyjął to z ulgą.

- Myślę, że teraz jedna mi nie zaszkodzi - wskazał na butelki z piwem, stojące obok Hannah na podłodze. Jego oczy błyszczały w świetle lampy, kiedy zwrócił się do niej.

- Jakie to uczucie, być gwiazdą filmową?

Hannah doszła do wniosku, że odzwyczaiła się od picia piwa. Zbyt szybko uderzało jej do głowy, szybciej niż wino daktylowe.

- Jak na gazie - odpowiedziała lekko bełkotliwie i podała mu otwartą butelkę.

- Mówiąc serio, było okropnie. Nie mogę zrozumieć ludzi, którzy chętnie to robią. Mam uczucie, że jeszcze nigdy w życiu nie nagadałam tylu głupot.

- Och, to minie - wtrąciła Irene, nie oka spuszczać z Chrisa. - Początkowo to samo przeżywałam. Po sześciu miesiącach to normalka - jak opowiadanie bajek na dobranoc. Gdy jest zgrany zespół, jest jeszcze łatwiej. A ty, Chris, stałeś już przed kamerą?

Chris, który właśnie przełknął spory łyk piwa, zaprzeczył gwałtownie.

- Na miłość boską! Nie! Pisać - tak, fotografować - też, nawet umawiać się na wywiady z prasą, lecz nie przed włączoną kamerą! Czuję się tak, jakby ktoś przyłapał mnie z opuszczonymi spodniami. Rozumiem dobrze, jak czułaś się dzisiaj - zamrugał oczami w stronę Hannah. Hannah powoli zaczynała rozumieć, dlaczego Irene nazwała go na żartobliwie kłamczuchem. Jego oczy wyrażały więcej niż jedynie sympatię. Czy ma zamiar z nią flirtować, czy planuje coś innego? Irene chyba niczego nie zauważyła, myślami była zupełnie gdzie indziej. Na jej czole utworzyły się głębokie zmarszczki. Gdy znowu odezwała się, dźwięk jej głosu był całkiem odmienny. - Naprawdę nie stałeś nigdy przed kamerą? Nigdy nie udzielałeś wywiadu ani nie pracowałeś nad reportażem?

- Nie, nigdy. Dlaczego pytasz?

Hannah zauważyła, mimo lekkiego podchmienia piwem, że rozmowa przybiera inny obrót.

- Ach, tak tylko - powiedziała Irene nieco ostrzejszym tonem. - Mam wrażenie, że już kiedyś cię gdzieś widziałam.

Chris potrząsnął głową. - Wykluczone. Tak jak mnie tu widzicie, nigdy nie byłem w telewizji! Często brano mnie już za kogoś innego. Mam widocznie pospolitą twarz - dodał, uśmiechając się nieco złośliwie. Irene kiwnęła przytakująco głową, ale widać było, że odpowiedź jej nie zadowoliła. Między brwiami pozostała zmarszczka, zdradzająca sceptycyzm. Aby uratować nastrój, Hannah próbowała zmienić temat.

- Jak przebiegają badania nad rzeźbą? Nie widywaliśmy ciebie prawie wcale od trzech dni. Są postępy?

W tym momencie poczuła, że popełniła błąd. Lekki i beztroski styl prowadzonej dotąd rozmowy zniknął bez śladu. Chris pociągnął z butelki duży łyk, jakby chciał dodać sobie odwagi. Jego twarz zdradzała napięcie.

- Rzeźba. No cóż...

- Możemy poczekać.

- Cicho! - wtrąciła Iren. - Już w porządku. Chcę wiedzieć. Co udało ci się ustalić?  
Masz jakieś osiągnięcia przy odszyfrowaniu inskrypcji?

- Owszem. Jego uśmiech był zimny. - Wydaje mi się, że tutaj był początek. Musimy szukać jeszcze dalej.

- Co masz na myśli?

- Teraz nie mogę jeszcze tego wyjaśnić. Pokażę wam jutro rano, przy wschodzie Słońca. Będzie niespodzianka.



## 5

Było wczesne rano, gdy zziębnięta i zaspana grupa zebrała się wokół meduzy. Albert i Malcolm cierpieli niewątpliwie z powodu ogromnego kaca, zaś Irene i Gregori, nieśmiało, niemalże przypadkiem, dotykali swoich rąk. Hannah nie była zaskoczona. Szybko spostrzegła, że coś ich łączy. Prawdopodobnie wspólnie spędzili noc. Patrick przestępował z nogi na nogę i zacierał ręce dla rozgrzewki. Chris spoglądał tęsknie w niebo, oczekując w wąwozie pierwszych promieni słonecznych. Hannah wyczuwała nastrój napięcia, panujący w grupie. Nikt nie odzywał się słowem, z wyjątkiem kilku aluzji i zagadek. Muszą odejść z tego miejsca? Ale dlaczego? I dokąd?

Spojrzała w górę. Akurat słońce przesunęło się poza krawędź skały - wydawało się, że złocista woda zalewa wąwóz.

- Nadszedł moment! Uważajcie teraz! - Chris opuścił swoje miejsce obok rzeźby i przeszedł kilka metrów dalej, w stronę skalnej ściany na końcu wąwozu. Tam zatrzymał się. Położył dłoń na skale i uśmiechnął się zachęcająco do Hannah. Światło Słońca wędrowało w zadziwiającym tempie ku jego dłoni. Hannah wstrzymała oddech, chciała zrobić krok, by zbliżyć się, lecz on odgadł jej zamiary i dał znak, że ma pozostać na miejscu. Światło dotarło do jego dłoni i pełzło w górę jak żywe stworzenie. Hannah zastanawiała się właśnie, jak przyjemny i ciepły musi być dotyk promieni słonecznych, lecz wtem odkryła coś innego. Inni członkowie grupy zauważyli to również, gdyż nagle zapanował w grupie niepokój.

- Tu na ścianie widać symbole! - zawołała Irene. - Rozpoznaję punkty i linie!

- A tam jest ich jeszcze więcej! - krzyknęła Hannah i pośpieszyła do Chrisa, który uśmiechał się nieco zadowolony. Hannah położyła ręce na skale. Słońce oświetlało coraz to nowe miejsca, odsłaniając ogromne ilości dziwnych rysunków, składających się z punktów. Hannah głaskała ich powierzchnię i stwierdziła, że karbowane punkciki były niezmiernie delikatne. Przy normalnym oświetleniu zupełnie niewidoczne.

- Dlatego chciałem, abyście zjawili się tutaj tak wcześnie - powiedział Chris. - Rysunki uległy procesowi zwietrzenia i odkryłem je dopiero po dwóch dniach. Można je zobaczyć tylko wówczas, gdy Słońce pada tu całkowicie równo. - Podobnie jak światło latarki, którą świeciłem sobie trzy dni temu - dodał.

- Co to jest? - zapytał Malcolm siedzący w kucki, aby lepiej przyjrzeć się rysunkom.

- Znaki zodiaku i znaki gwiazd - objaśnił Chris. Siedzisz właśnie na wprost Oriona. Przed chwilą można było go zobaczyć nad przedstawionym tutaj astronomicznym horyzontem. Na prawo jest Aldebaran, a za nim znak zodiaku Byka. Nieco powyżej Baran i plejady. Na lewo bliźnięta z Kastorem i Polluksem, poniżej Mały Pies, potem Rak, Lew i tak dalej. Ściągnąłem z sieci aktualne karty i porównałem z przedstawionymi tutaj. Zgadza się co do joty. Oczywiście są małe odchylenia, lecz te można wytłumaczyć dryfowaniem gwiazd. Ta mapa ma w końcu kilka tysięcy lat.

Zapadła martwa cisza. Wyglądało na to, że każdy zastanawia się nad tym, co właśnie usłyszał. Objasnienia Chrisa były tak niesamowite, że żadnemu z obecnych nie było łatwo dodać do tego własną opinię. Hannah prawie słyszała kłębiące się w ich głowach myśli. Sama starała się zachować spokój. Jeśli zgadza się to, co twierdzi Chris, trzeba będzie od nowa opracować dużą część wczesnej historii. Już sama myśl o tym, że ludzie przed trzema tysiącami lat mieli dokładną wiedzę z zakresu astronomii, była tak absurdalna, że nikt nie mógł potraktować jej serio. Pierwsze astrologiczne obserwacje przypisywano dwom wysoko rozwiniętym kulturom: sumeryjskiej i związanej z tradycją megalityczną, których rozkwit miał miejsce trzy tysiące lat przed Chrystusem. Gdy europejskie społeczności budowały z kamienia obserwatoria w Stonehenge i Carnac, ludzie wczesnego Orientu dekorowali pismem klinowym mapę nieba. Zachowały się pojedyncze egzemplarze tego rodzaju ozdób na płytach grobowych, które przypominają nieco gwiazdozbiór. Nie można jednakże nazwać tego systematyczną obserwacją nieba.

To tutaj stanowi coś zupełnie innego. Przedstawia dokładną i kompletną mapę nieba w nocy, a powstało w dalekiej przeszłości.

- Te rysunki są sensacyjne - Hannah przerwała milczenie. - Jakie jest ich znaczenie? Na temat Stonehenge wiemy, że chodziło o obserwatorium, w którym można było uzgodnić pory roku oraz zaciemnienie Słońca. Precyzyjne ustawienie poszczególnych bloków na pozycjach wschodu i zachodu Słońca w dniach słonecznych oraz skierowanych na Księżyc, pozwalały na stwierdzenie wartości odchyżeń. Lecz tutaj...

- Nie. Tutaj mamy do czynienia z czymś całkowicie innym - odezwał się Chris. - Przypuszczam, że to jest rodzaj wskazówki. Muszę przyznać, że bardzo skomplikowanej. W

określonej porze roku rzeźba wskazuje swoim cieniem jeden z przedstawionych znaków gwiazdozbioru na ścianie. Gdy spojrzy się przez wizjer na ten znak o oznaczonej godzinie w nocy, otrzyma się informację, gdzie leży szukane miejsce. Dokonując pomiaru dwóch różnych miejsc, zyska się dokładne określenie położenia punktu. Dość skomplikowane, prawda? - uśmiechnął się wyczekująco do grupy. - Należy zatem wyjść z założenia, iż istnieje więcej tego rodzaju kolumn. Za pomocą zwykłej triangulacji ówcześni ludzie byli w stanie wyznaczyć dokładnie położenie szukanego miejsca. My nie wiemy, gdzie znajdują się inne kolumny oraz nie znamy daty ani godziny, w których należy dokonywać odczytu, dlatego ta droga jest dla nas zamknięta. Pomijając fakt, że pozycja Słońca na przestrzeni minionych trzech tysięcy lat zmieniła się do tego stopnia, że nasz wynik i tak nie byłby dokładny. Chodzi jednak z pewnością o miejsce o wielkim spirytualnym znaczeniu, w przeciwnym razie nie poświęcono by mu tyle pracy.

Irene spojrzała na niego sceptycznie.

- Jak wpadłeś na tę zwariowaną teorię? Dla mnie rysunki przedstawiają zwykłe znaki zodiaku.

- Zapominasz o inskrypcji na kolumnie. Nie mogłem odczytać wszystkiego, lecz dostatecznie dużo, by odkryć, czemu miała konstrukcja służyć.

- Co takiego? Udało ci się odcyfrować napisy? - Albert poprawił okulary. - Jak?

Chris cofnął się do cokołu, na którym stała meduza.

- Spójrzcie tutaj. Uwaga Irene, że może chodzi o hieroglify, była zasadniczą wskazówką. Pierwotnie zakładano w analizie pisma staroegipskiego, że to rodzaj pisma obrazkowego. Dostatecznie długo trwało, zanim odkryto, iż symbole są w rzeczywistości literami, bądź - mówiąc dokładniej - znakami fonetycznymi. Biorąc ową teorię za punkt wyjściowy, zrobiłem po prostu na odwrót, i popatrzcie: gdy symbole połączy się ponownie, interpretując je jako pismo obrazkowe, inskrypcja nabiera sensu. Nie możemy zapominać, że mamy do czynienia z ludem, obdarzonym wielkim talentem artystycznym. Co jest najbardziej zbliżone do pisma obrazkowego?

- Nowy język? - Irene nabrała głęboko powietrza. To sensacja! Musimy koniecznie umieścić to w filmie!

- Magik z zamierzchłych czasów - Malcolm gwizdnął przez zęby. - Wszystko to odkryłeś zupełnie sam? Wyrazy uznania! Zawsze sądziłem, że jesteś klimatologiem.

Hannah uważała, że odzywka kamerzysty nie była na miejscu, lecz i jej nie opuszczało dziwne uczucie, że Chris ukrywa coś przed nimi. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że on wie wiele więcej niż się do tego przyznaje.

Chris wzruszył ramionami. - To wcale nie było takie trudne. Musicie wiedzieć, że lingwistyka jest moim hobby. Tutaj mamy do czynienia z językiem prymitywnym. Znajdując pierwsze elementy układanki, ułożenie następnych nie sprawia trudności.

Irene spojrzała na niego unosząc brwi. - To wszystko jest niezmiernie interesujące, lecz ja ciągle nie rozumiem, jak ma nam pomóc w dalszej pracy. W jaki sposób mamy rozumieć twoją tajemniczą wskazówkę, że wkrótce musimy się stąd wynosić?

- Dochodzimy do ciekawego etapu. - Chris przycupnął obok kamienia. Jego oczy sypały iskry, gdy prosił zebranych, aby jeszcze raz przyjrzeni się inskrypcji na cokole.

- Zrobiłem kamerą cyfrową zdjęcia napisów przy różnym oświetleniu. Wszystkie razem dały niezłej jakości obraz symboli obrazkowych. Dane przesłałem satelitą do mojego przyjaciela na University of Houston, który dokonał ich cyfrowego przetworzenia. Wszelkie nierówności, zadrapania, ślady erozji i podobne usterki zostały usunięte. Oto wynik.

Położył przed nimi na piasku trzy wydruki. Pokazywały różne ujęcia cokołu. Były tak dokładne, że nawet w czasie ich tworzenia nie mogły być wyraźniejsze. Symbole obrazkowe sprawiały wrażenie wyrytych na płycie metalowej. Widoczny był każdy szczegół.

Zdaniem Hannah wydruki były bardzo precyzyjne i drobiazgowe. Przypomniała sobie dyskusję w wąwozie i nabrała przekonania, że ludzie z tego okresu byli nie tylko znakomitymi artystami. Oni musieli przeżyć w tym miejscu coś niezwykłego, co ich na zawsze odmieniło.

Mimo to nadal nie pojmowała, w jakim stopniu okrycie ma być pomocne w dalszych poczynaniach. Wspomniała o tym głośno, a inni poparli ją podnieconym szeptem.

Chris potrząsnął niechętnie głową. - Cierpliwości! Dojdę do tego. Więc to, co dotychczas przetłumaczyłem, brzmi następująco: *...błogosławione stworzenie, które darujesz nam wodę, jesteśmy zobowiązani do wiecznej wdzięczności.* Potem nie mogłem odczytać, a dalej jest tak: *...ośniewające objawienie nieba, twój pocałunek nawadnia glebę, i tak dalej, i tak dalej.* A tutaj znowu: *...spoczywaj w ciemności gór, gdzie relikwia z czarnego szkła jest miejscem wiecznego spoczynku.*

- Kwiecisty styl - zauważył Albert. - Nie rozumiem ani słowa.

- Też początkowo nie rozumiałem - oparł Chris. - Potem uświadomiłem sobie, że to nie jest napisane pismem obrazkowym. Spójrz na ten znak. Wygląda jak antylopa, lecz nie jest symbolem antylopy. Albo ta palma. Przedstawiona została z taką precyzją, że łatwo ją znaleźć w przewodniku botanicznym pod nazwą *Hyphaene thebaica*. Rozpoznawalny jest każdy szczegół. Albo często powtarzające się symbole gór. Moim zdaniem to nie jest symbol gór, lecz dokładnie przedstawiona sylwetka góry. Przyjmując to jako kryterium, dociekałem

dalej. Kształty nie zmieniły się prawie wcale, bo tutaj od wieków nie ma erozji. Zakładając, że szukane góry nie są daleko, oznaczyłem teren. Mój przyjaciel w Houston ponownie wrzucił do komputera dwa znane parametry: kształt i rejon, korzystając z programu geomorfologicznego oraz danych ściągniętych z zasilanego przez satelitę wysokościomierza laserowego. Po krótkim czasie program wypluł wynik. Ten właśnie - rozłożył mapę Sahary.

Hannah zmarszczyła czoło. - Adrar Tamgak? Leży w górach Air.

- Zgadza się. Góry ciemności leżą pięćset kilometrów na południe od miejsca, w którym jesteśmy. Są pochodzenia wulkanicznego. Ich podłoże jest z bazaltu i magmy, co z kolei łączy się z relikwią i naszą meduzą, gdyż bazalt jest jak wiadomo...

- Czarny - dokończyła zdanie Irene. Złapała się za głowę. Mam w głowie groch z kapustą. Ta historia jest tak fantastyczna, że nie może być prawdziwa.

Malcolm, którego też ogarnęła łowiecka gorączka, stuknął palcem w mapę.

- Leży w Nigerii. Ludzie, macie pojęcie, jakie czekają nas biurokratyczne formalności? Prawdopodobnie musimy pojechać najpierw do Agades, aby zdobyć zaświadczenia zezwalające na ekspedycję. Pod warunkiem, że NGS przyzna nam środki - zaśmiał się. - Nikt nam nie uwierzy w tę historię. Chyba sam w nią nie wierzę. Nie, to iluzja. Moim zdaniem powinniśmy zrobić swoją robotę i jazda do domu!

Hannah kątem oka obserwowała Irene.

- Też tak myślisz? Jesteś w końcu kierownikiem ekspedycji. Twoje słowo się liczy w NGS.

Irene oparła ręce na biodrach i potrząsnęła głową. - Nie wiem. Przyznaję, że tutaj, w *Tassili N'Ajjer* jest dostateczna ilość materiału, aby przygotować niezwykle reportaż. Możemy kręcić parę dni tutaj, potem pojechać do innych znanych nam miejsc ze znaleziskami i tam robić dalsze ujęcia. Na pewno wystarczy na czterdziestopięciominutowy program. Albo...? Wszyscy spoglądali na nią w napięciu.

- Albo poprosimy o przyznanie środków i załatwimy pozwolenia na ekspedycję do Nigerii - uśmiechnęła się szeroko. - Wiem, że będzie to niełatwa wyprawa. Kraj znajduje się w stanie podobnym do wojny domowej. Rebelianci - Tuaregowie zwalczają afrykańskie reżimy, a wśród ludności cywilnej panuje straszna bieda. Serio mówiąc, nie zniosłabym jednak, gdyby ktoś sprzątnął nam sprzed nosa ten temat. Jeżeli nie macie nic przeciwko temu, biegnę do telefonu, aby porozmawiać z Waszyngtonem. Byłabym zaskoczona, gdyby National Geographic zrezygnował ze smacznego kąska, jakim jest ta historia. Jak uważacie, powinniśmy spróbować?

Wszyscy przytaknęli, ukrywając podniecenie. Nie można było jednak nie zauważyć radości na twarzach i blasku w ich oczach. Miało się wrażenie, że grupę opanowała gorączka złota.

Nawet Hannah, która zdawała sobie sprawę, jakie ryzyko pociąga za sobą taka ekspedycja, nie mogła pohamować entuzjazmu. Byli na tropie tajemnicy. Chodziło o odkrycie o doniosłym znaczeniu. Rozwiązanie zagadki. Zawsze to było jej marzeniem.

- A więc, kochani przyjaciele - powiedziała - zacznijmy od razu przygotowania. Będzie dużo roboty, gdy Irene odniesie sukces.

Grupa udała się w drogę powrotną do obozowiska. Słysząc było strzępy pojedynczych rozmów. Albert wygwizdywał melodię własnej kompozycji.

Hannah czekała jeszcze na Chrisa, który pakował do plecaka wydruki i mapę. Tylko u niego nie widać było oznak radości.

- Coś nie tak? - zapytała Hannah.

- Ależ skąd. Wszystko OK. Chciałem zrobić tylko kilka ostatnich zdjęć. Kto wie, czy zobaczymy znowu to miejsce.

- To brzmi ponuro. Oczywiście, że tu wrócimy. Wierz mi, ta historia zrobi z nas sławnych ludzi. Mnie - bo odkryłam to miejsce, ciebie - bo rozwiązałeś zagadkę meduzy.

- Rozwiązałem? - zaśmiał się sucho. Uważam, że do rozwiązania daleka droga. Nawet nie zadrapaliśmy powierzchni. Jest coś, o czym jeszcze nie opowiedziałem.

- Co takiego?

- Na ścianie są gwiazdy, o których nie mógł wiedzieć lud meduzy.

- Proszę? - Hannah poczuła nieokreślony strach.

- Nie można ich dojrzeć normalnym okiem. Odkryto je niedawno nowoczesnym radioteleskopem.

- Niemożliwe - wyszeptała Hannah. - Jesteś pewien?

Chris kiwnął głową. - Na sto procent. Kilkanaście razy puszczałem program astrologiczny. Nie ma żadnych wątpliwości. Szczerze mówiąc, gęziej skórki dostaję na samą myśl o tym, co oczekuje nas w Air.

Hannah obrzuciła spojrzeniem przejmującą grozą kamienną rzeźbę i przytaknęła. Czowała, że on ma rację.

## 6

Dwa tygodnie później...

Znikąd jakoby zjawili się za wałem gładkich bloków granitowych. Akacje oazy Iferouane migotały w świetle popołudniowego Słońca. Pojazd za pojazdem wypełzał z pustynnego skwaru, pozostawiając za sobą tumany gorącego kurzu. Nareszcie udało się. Cel podróży był w zasięgu.

Hannah wspominała niechętnie minione dni. Podróż była niekończącą się męczarnią. Od *Tassili N'Ajjer* jechali południową trasą w kierunku Assamakki, jedyne przejścia granicznego pomiędzy Algierią i Nigerią. Stąd udali się dalej na południe do Arlit, byłego centrum wydobywania uranu i rudy. Marzenie o bogactwie, które onegdaj opanowało tę miejscowość, tak szybko obróciło się w gruzy, jak odpadła farba z budynku prefektury, gdzie musieli załatwić pozwolenie na dalszą drogę do Agades. Hannah i reszta zespołu otrzymali tu nauczkę, z której wyciągnęli wnioski. W Nigerii nic nie funkcjonowało bez zezwolenia i odpowiednich papierów. Niewielkie zboczenie z wyznaczonej trasy, nawet po to, żeby opróżnić pęcherz, groziło surową karą. Chyba, że można było zaprezentować zapisane maczkiem i opatrzone wieloma pieczętkami pozwolenia. Hannah nie spotkała się dotąd z tak kłopotliwym i drobiazgowym sposobem postępowania i nie mogła powiedzieć, że była nim zachwycona.

Nareszcie dotarli do Agades, największego miasta w północnej Nigerii, siedziby centralnej prefektury północnego departamentu. Przodem jechali Hannah i Abdu, gdyż najlepiej poruszali się na niebezpiecznej zwirowej drodze. Zmatowiała żółta toyota sprawiała wrażenie małej i niewidocznej obok ciemnoniebieskich hummerów, gdy kolumna, jadąca drogą okrężną i przez to nadkładająca prawie tysiąc kilometrów, wlekła się pasmem górskim Air w kierunku południowym. Toyota, w porównaniu z topornymi samochodami, okazała podczas jazdy swoją wyższość. Dzięki małej wadze była mniej podatna na zatonięcie w

piaskowej wannie, a i swoim wyglądem nie budziła sensacji. Na widok hummerów nadbiegły tłumy gapiów, gdy przed pięcioma dniami wjechali do Agades. Przez 24 godziny na dobę trzeba było trzymać straż, by samochody przypadkiem nie zmieniły właściciela. Gdy nareszcie otrzymali wymagane zaświadczenia, jak również ciężarówkę obładowaną prowiantem i uzbrojoną eskortę, Hannah była szczęśliwa, że wyjechali na otwartą pustynię. Odzwyczaiła się od hałasu i ruchu dużych miast. Co w Agades było właściwie duże? W *kasbah*, tradycyjnej części targowej, domy koloru gliny stały stłoczone na małej powierzchni, a nad nimi sterczała dziwaczna, stożkowa, wieża meczetu. Miasto, otoczone setkami palm daktylowych, przypominało wyspę, nieustannie nękaną burzami piaskowymi.

Zamyślona Hannah spojrzała w tylne lusterko. Ciężarówka, nowy członek kolumny, chwiała się i ginęła w tumanach kurzu, lecz mimo swoich wymiarów i ciężaru, trzymała się dzielnie.

W Agades zostali poinformowani, że jazda bez uzbrojonej eskorty do Air graniczyłaby z samobójstwem.

Od dziesięciu lat okolica znajdowała się pod kontrolą uznających wyłącznie prawo pięści tuareskich rebeliantów, którzy walczyli przeciw militarnym reżimom Nigerii. W Agades powiedziano im wyraźnie: nie będzie pozwoleń bez eskorty.

Hannah liczyła się z tym, lecz Irene była oburzona, gdy została wymieniona suma za prowiant i ochronę. Sześćdziesięcioletni, świetnie wyglądający gubernator Ben Jamar bardzo interesował się, dlaczego ekipa, pod kierownictwem sławnej Irene Clairmont, przyjechała akurat do Air. Hannah i Abdu wyjaśniali, nie wymieniając właściwego celu misji. Rokowania trwały dwa dni, zanim Jamar, któremu żądania dwóch kobiet wydawały się naruszeniem jego zasad, zgodził się na prawie połowę uprzednio wymaganej sumy. Spór załagodzony został niespodziewanie szybko, gdy Irene zaproponowała pozowanie w jego towarzystwie do zdjęcia, które miało ukazać się w planowanym wydaniu albumu. Próżność była piętą achillesową gubernatora.

Dobicie targu uwieńczone zostało toastem ostrej daktylowej wódki. Na koniec pstryknięto obiecane zdjęcie i z tej okazji dalej wznoszono toasty. Następnie poprowadzono grupę do obiecanej ciężarówki. Hannah zrobiło się niedobrze, gdy ujrzała, co w tym kraju rozumie się pod pojęciem mała eskorta. Czternastu wojowników, uzbrojonych po zęby w kałasznikowy, granaty oraz ciężką broń maszynową, siedziało wygodnie między puszkami i workami. Grupą dowodził Mano Issa, krępej budowy Tuareg z plemienia Kel-Air, sprawujący jednocześnie funkcję doradcy ekspedycji. Pod względem wyglądu Mano Issa był niespecjalnie udanym przedstawicielem Tuaregów, ale wiedział, jak zrekompensować swój



niski wzrost. Cieszył się autorytetem i głębokim szacunkiem podwładnych. Jego ludzie, pochodzący z wyżyn Air, byli mu bezwarunkowo oddani. Chociaż Hannah bardzo życzyła sobie, by przedsięwzięcie obyło się bez obecności wojska, przekonała się, że tak jest lepiej, gdy napotkali pierwszy uzbrojony patrol. Air nie można było porównać do *Tassili N'Ajjer*. To była całkiem inna okolica i panowało tu inne prawo.

Burza piaskowa szalała w oazie Iferouane. Akacje przypominały trzęsące się upiory.

- Bogu dzięki, jesteśmy u celu - westchnęła z ulgą Hannah, usiłując otrząsnąć się po męczącej podróży. Przepocona bawełniana koszula kleiła się do ciała. Osiem godzin spędzonych w morderczym upale to więcej niż mogła znieść. Przez ciemne szyby hummera nie mogła dostrzec, jak czuła się reszta członków ekspedycji, lecz przypuszczała, że też cierpieli wskutek nieznośnego gorąca. Zwłaszcza, że kilka kilometrów za Agades trzeba było wyłączyć klimatyzację, żeby nie przegrzać silników.

Tylko Mano Issa i jego Tuaregowie wydawali się być w dobrej kondycji. Śmiali się i dowcipkowali, a tumany kurzu gwizdały im koło uszu. Oni urodzili się tutaj i byli przyzwyczajeni do warunków klimatycznych. Takiej kondycji nie mogli mieć ludzie przebywający na tych terenach zaledwie od kilku lat.

Prowadząc terenowy wehikuł w cień gliniastych budynków, Hannah wspominała nauczyciela i mentora Theodora Monod, który kiedyś powiedział, że będąc Europejczykiem nie zrozumie się pustyni i nie będzie się jej tak kochać, jak Tuaregowie. Nawet wówczas, gdy spędzi się tutaj całe życie. Słowa te pochodziły z ust człowieka, który kochał i szanował pustynię bardziej od wszystkich badaczy, których Hannah napotkała.

- Hannah? - Abdu pochylił się ku niej. - Wszystko w porządku?

- Tak, wybacz - wymamrotała. - Zamyśliłam się. To przez ten okropny upał. Doprowadza mnie do szału.

Abdu skinął głową i wskazał na coś we mgle. - Zatrzymaj się, ktoś na nas kiwa. Zaraz wracam - Abdu otworzył drzwi i ruszył w stronę mężczyzny na drodze.

Do samochodu wdarły się natychmiast tumany kurzu, osadzającego się na siedzeniach i oparciach. Hannah przechyliła się w stronę drzwi pasażera i zamknęła je. Obserwowała, jak Mano Issa wyskakuje z ciężarówki i śpieszy ku stojącemu na drodze. Gestykulowano gwałtownie, a obcy mężczyzna często pokazywał kierunek na zachód. W końcu Abdu wrócił do samochodu.

- To strażnik z położonego w pobliżu fortu. Chce, abyśmy jechali za nim.

- Powiedział, o co chodzi?

Abdu przytaknął. - Tak, chce przedstawić nas swojemu komendantowi i skontrolować papiery.

- Wiadomo, papiery. Jak mogłam o tym zapomnieć? Mam nadzieję, że nie będzie kłopotu. Najchętniej położyłabym się i zasnęła na miejscu.

Obcy i Mano Issa szli przodem, a konwój posuwał się powoli za nimi w stronę fortu. Wieżyczka obserwacyjna sterczała jak ciało obce ponad akacyjnym dachem. Biały, bez śladów uszkodzenia beton świadczył, że niedawno przeprowadzono jego renowację i wprowadzono ulepszenia. Hannah zmarszczyła czoło. Jakże często w tym kraju odnosi się wrażenie, że organizacje wojskowe dysponują nieograniczonym funduszem, podczas gdy naród żyje w coraz większej biedzie. Przewodnik pomachał do strażnika na murze. Po krótkim czasie rozsunała się ciężka metalowa brama, a strażnik nakazał odstawić auta i udać się za nim.

- No to chodźmy - parsknęła ze złością Hannah, otwierając schowek i sięgając po plik papierów. - Audyencja u jego wysokości. Idziesz?

Inne wozy zaparkowały obok samochodu terenowego i wypłuły ze swego wnętrza zmęczonych i zgrzanych ludzi. Hannah zauważyła, że nawet Irene, którą uważała za odporną na pustynne uciążliwości, sprawiała wrażenie znużonej. Ekipa przeklinała i rozciągała zbolale członki. Podszedł Chris i zakłopotany wytarł zakurzony nos. - Co teraz? Będziemy mogli zostać?

- Okaze się - odpowiedziała Hannah. - Nic nie wiem o tutejszym komendancie. Myślę jednak, że byłoby nierozsądne kazać mu zbyt długo na nas czekać. Kto idzie ze mną?

Większość podniosła rękę.

- Chyba lepiej, żeby ktoś został w roli strażnika. W każdym razie na miejscu będzie uzbrojona eskorta. Nie chcę, aby ci stąd złapali się za łby z naszą obstawą. Myślę, że wystarczy, jak pójdzie z nami Mano Issa. Poza tym proponuję, aby poszła Irene, Chris, Malcolm i Abdu. Zgadzacie się?

Po zaakceptowaniu propozycji, wybrana grupa wkroczyła na wewnętrzny dziedziniec fortu. Kilku żołnierzy spoglądało podejrzliwie na wchodzących. Nie wyglądali na Tuaregów; chyba byli to Afrykańczycy.

Człowiek, który ich wprowadził, wskazał jeden z bocznych budynków. Z blaszanego dachu bił żar. Zapukał i otworzył drzwi. Hannah zebrала całą swoją odwagę i weszła z opuszczoną głową.

Natychmiast rzucił jej się w oczy okazały wentylator na suficie, mieszający czarne od dymu powietrze. Pod nim siedział mały, łysy, białoskóry człowiek i palił papierosa. Mundur leżał na nim jak druga skóra. Nad wyrazistym nosem świeciły żwawe oczy.

- O, zapowiedziana przez Agades ekspedycja! *Bonjour, Mesdames et Messieurs*. Wybaczcie, że nie wyszedłem was powitać. Zatrzymała mnie praca.

Hannah zastanawiała się właśnie, jakież niecierpiące zwłoki sprawy trzeba załatwiać w tej dziurze, gdy on zerwał się, zgasił papierosa i podał jej rękę.

- Francois Phillippe Durand, dowódca Północnych Legionów w Nigerii. Jestem byłym oficerem Legii Cudzoziemskiej. Wspominam o tym na wypadek, jeśli dziwi was moją białą twarz. Pułkownik Durand, jeżeli zachcecie zwracać się do mnie po wojskowemu - mówił, dotykając swego epoletu. - Cieszę się, że mam okazję was poznać i chciałbym serdecznie was powitać w oazie Iferouane.

Hannah była zaskoczona. Nigdy w życiu nie pomyślałaby, że w formie spotka człowieka, posiadającego tak wykwintne maniery. Pospieszyła z przedstawianiem członków zespołu. Pułkownik pozdrawiał każdego z osobna uściśnięciem dłoni. Następnie wziął papiery i zagłębił się w ich studiowanie z pieczołowitością, graniczącą z pedanterią. Hannah miała czas, aby rozejrzeć się po pokoju. Poza atlasami i powieściami o tematyce wojennej, ze zdziwieniem odkryła na półce z książkami dzieła literatury światowej: *Stary człowiek i morze*, *Zbrodnia i kara*, *Sto lat samotności*, *Targowisko próżności*, W poszukiwaniu straconego czasu, jak również wiele razy czytany egzemplarz Arnauda *Lohn der Angst*. Była pod wrażeniem. Jak to możliwe, aby tak odczytany człowiek mieszkał na pustkowiu Air?

Upłynęła wieczność. Wreszcie Durand podniósł głowę i uśmiechnął się z zadowoleniem.

- *Bon*. Papiery są w porządku.

Posortował kopie, wpiął do starego segregatora i oddał resztę papierów.

- Uważajcie, aby nie zginęły. Bardzo możliwe, że w Tamgak zażąda ich jakiś patrol. Od kilku lat okolica jest bardzo niebezpieczna. Zjednoczyły się klany Tuaregów, tworząc mocną jednostkę pod dowództwem Ibrahima Hassada. Przysparzają nam masę kłopotów. Postawili sobie za cel utworzenie własnego państwa. Absurdalny pomysł, który zdusimy w zarodku - pułkownik zrobił ręką ruch, jakby chciał zabić muchę. - Pozwólcie, że zapytam, cóż szczególnego znajduje się w tej części świata, że National Geographic Society przysłała tu ekspedycję?

Hannah czuła, że tego człowieka nie zdoła tak łatwo spławić jak gubernatora w Agades. Dlatego zdecydowała się na grę w otwarte karty.

- Przyjeżdżamy właśnie z *Tassili N'Ajjer*, nie wspominając nadłożonych tysiąca kilometrów drogi okrężnej.

Pułkownik uśmiechnął się. - Przypuszczam, że ma pani na myśli objazd przez Arlit i Agades. Od tyłu, przez pierś, prosto w oczy - jak to się to mówi. Tak to u nas funkcjonuje, choć możliwe, że wydaje się zbyt drobiazgowo. Europejskie ułatwienia nie są pożądane. Aparat administracji chce czegoś dokonać, a przede wszystkim przyjmować łapówki. Ale proszę, niech pani mówi dalej.

- Przed około sześcioma miesiącami odkryłam niezwykle rysunki na skałach, które rzucają nowe światło na historię rozwoju ludzkości. National Geographic Society uznało rysunki na tyle interesujące, że przysłało ekspedycję. Planowany jest film o moich odkryciach. W czasie kręcenia natknęliśmy się na ślady prowadzące tutaj. Z pańskim pozwoleniem chcemy pójść ich tropem.

Durand zmarszczył czoło. - Ślady? Nie chciałbym psuć wam dobrego humoru, ale w tych górach nie ma żadnych śladów. Tu nie ma niczego szczególnego, żadnej sensacji. Mieszkam w tym kraju od ponad piętnastu lat i znam Air jak przysłowiową własną kieszeń. Szczególnie Adrar Tamgak. Możecie mi wierzyć, że w ciągu tych piętnastu lat miałem dość czasu na poznanie przydzielonego mi terenu. Znalazłem różne ciekawostki geologiczne i stare okazy skalne. Już przed wieloma laty sporządzono dokumentację na ich temat. Nie dorównują one okazom z *Tassili N'Ajjer*, jeśli państwo pozwolą na wyrażenie opinii przez skromnego laika - jego serdeczny ton stał w sprzeczności z ostrym spojrzeniem, jakim ich obrzucił. Jakby chciał ostrzec Hannah przed kłamstwem.

Hannah uznała, że najlepiej będzie, gdy opowie całą prawdę. Przecież sami dokładnie nie wiedzą, czy faktycznie uda się coś znaleźć. Ponadto z doświadczenia wiedziała, że w tej części świata należy mieć po swojej stronie oddziały wojskowe, w przeciwnym wypadku wszystko może skończyć się tragicznie. Z torby na ramieniu wyjęła dużego formatu wydruk.

- Widział pan już coś takiego? - Hannah słyszała, jak zdenerwowana Irene wciąga głęboko powietrze.

Pułkownik obszedł stół i pochylił się nad zdjęciami, rozłożonymi na świeżo lakierowanym blacie. Zacisnął usta i skoncentrowany oglądał zdjęcie meduzy.

- Niezwykle ujęcie - mówił cicho, z wielką rozważą. - To jest rodzaj meduzy, nieprawdaż? A tutaj widać na cokole inskrypcje, przypominające trochę hieroglify. Ale to nie są hieroglify.

Hannah uniosła wysoko brwi. Ten człowiek był godnym uznania obserwatorem.

Jego palec ślizgał się po papierze. - Czegoś takiego u nas nie ma. Mogę wam dać słowo. Nie ma rzeźb ani rycin, ani malowideł. Tego rodzaju dziwaczne wytwory zostałyby już przed laty wciągnięte do kartoteki. Zdumiewające, że dopiero teraz je odkryto. Sądziłem, że teren *Tassili N'Ajjer* jest dobrze przebadany.

- W zasadzie to prawda - powiedziała Hannah, chowając zdjęcie do torby. - Lecz ciągle znajduje się miejsca, o których wiedzą tylko Tuaregowie.

- Tak, to lud bardzo zamknięty. Nie jest łatwo odkryć ich tajemnice. - Durand przeszedł na drugą stronę stołu. - To nasuwa mi ważną myśl. Wstęp do fortu jest zabroniony dla waszych uzbrojonych Tuaregów, na pewno to rozumiecie. Natomiast członkowie ekipy mogą zająć w jej murach skromne kwatery. Nawet chciałbym je wam gorąco polecić, jeżeli nie chcecie narażać się na ryzyko kradzieży.

Irene uśmiechnęła się czarująco. - Bardzo dziękujemy za wspaniałomyślną propozycję, lecz uważam, że dla nas wszystkich będzie najwygodniej, gdy poszukamy sobie jakiegoś lokum we wsi. Nie chcemy być dla pana ciężarem. Czy macie tutaj jakiś hotel, pensjonat lub coś podobnego?

- Obawiam się, że przecenia pani nasze możliwości. Mamy wprawdzie na skraju rowów nawadniających dwie opuszczone chałupy do dyspozycji przyjezdnych. Ich urządzenie jest proste i jest tam brudno. Jeśli jednak takie jest wasze życzenie, każę je przygotować. Ponadto chciałbym oddać do państwa dyspozycji dwóch służących. Czy jednak nie zechcielibyście zastanowić się na tym raz jeszcze? Tutaj mamy nawet telewizję.

Irene potrząsnęła głową. - Dziękuję, ale nie. Doceniamy pana wspaniałomyślność, lecz te dwie chałupy, to dokładnie to, czego nam potrzeba.

Jego oczy spoczęły na niej przez dłuższą chwilę, potem uderzył się po udach i wstał.

- *D'accord*, nie chciałbym państwa dłużej zatrzymywać. Życzę szczęścia w waszych poszukiwaniach. Bardzo się ucieszę, gdy będziecie mnie na bieżąco informować, jak sprawy się mają.

Pułkownik otworzył drzwi i wypuścił ich w popołudniowy upał.

Po pożegnaniu jeszcze raz odwrócił się w ich stronę. Jego oczy pałały dziwnym blaskiem.

- Omal nie zapomniałem. Jeżeli w trakcie waszej ekspedycji uda wam się coś znaleźć, nawet małego i niepozornego, nie próbujcie tego przede mną ukryć. Wszystkie dzieła sztuki są własnością państwa Nigerii i nie wolno wywozić ich poza granice kraju. Proszę, aby w tym względzie nie zapomnieć o moich słowach. *Au revoir*.

## 7

Chris przebudził się ze snu pełnego mgieł i cieni. Bębny i śpiewy Tuaregów, przy których dźwięku wczoraj zasypiał, brzmiały ciągle w jego uszach. Stękając, podniósł się i rozejrzał. Malcolm, Albert i Patrick pogrążeni byli jeszcze we śnie. Gregori już wstał i ze śpiewem na ustach wieszał na haku nad ogniskiem duży dzban kawy. Panie, w chacie obok, chyba jeszcze spały, w każdym razie nie paliło się światło.

Ranek zapowiadał swoje nadejście wąskim pasmem światła na horyzoncie. Chris zmobilizował się i wyskoczył z niewygodnej pryczy. Dziś był wielki dzień. Dziś dojadą wreszcie do Tamgak. Może powinien teraz szybko przesłać wiadomość do Normana Stromberga, korzystając z tego, że inni jeszcze śpią? Postanowił tego nie robić. Dopiero przed dwoma dniami wysłał satelitą maila i omal nie przyłapał go ten lis - Patrick. Stromberg był niezmiernie rozdrażniony, gdyż długo nie otrzymywał żadnej informacji o rozwoju spraw dotyczących meduzy. Wykazał jednakże zrozumienie po relacji Chrisa o trudnościach podczas długiej podróży. Ze zwięzłych odpowiedzi Stromberga była chciwość. Chris nie potrafił wytłumaczyć swego przeczucia, że jego zleceniodawca nie przyznawał się do wszystkich posiadanych informacji dotyczących powierzonego Chrisowi zadania. Coś bardzo znaczącego oczekiwało ich pod koniec podróży. Stromberg nie mógł wprost doczekać się, aby złapać to coś w swoje ręce.

Chris naciągnął wyświechtane spodnie i narzucił pulower. Na dworze panował o tej porze dotkliwy chłód.

- Dzień dobry, Gregori. Dostanę trochę kawy? Zupełnie zapomniałem, że takie zimnisko panuje nocą. Omal nie zamarzły mi jaja.

Grek zaśmiał się. - Siadaj i pij - podał Chrisowi blaszany, dymiący kubek - mocna i czarna. Mam nadzieję, że taką lubisz. Skończyły się cukier i mleko w proszku.

- Doskonale. - Chris przytknął kubek do ust i skrzywił się z bólu. - Do diabła! Zamiast wymyślać nową broń powinni wykryć materiał, który nie parzy ust.

- Już to zrobili - odparł z uśmiechem Gregori. - Nazywa się porcelana. Niestety, dla ekspedycji całkiem nieprzydatna. Ponadto parzący metal ma tę zaletę, że człowiek szybciej się budzi.

- To prawda, ale ja czasem nie chcę być szybko obudzonym - Chris ostrożnie popijał z kubka. Lubił ten suchy humor Greka.

Gregori również nalał sobie kawy.

- Szkoda, że nie zabraliśmy prawdziwego kucharza. Kunszt Abdu jest godzien szacunku, ale jedzenie podchodzi mi już do gardła. Dzień zaczyna się i kończy tym samym plackiem z mąki, wypełnionym jakimś ostrym sosem. Albo ta wieczna papka z grysiku. Zgaga mnie piecze, zanim to powącham - potrząsnął głową. - Przed laty byłem na ekspedycji. Chodziło o tajemnicze zniknięcie Indianina Anasasi. Oni mieli wspaniałego kucharza! Wydaje mi się, że Włocha. Człowiek nie zdaje sobie sprawy, jak żarcie podnosi morale grupy.

Chris zgodził się. - Jedzenie jest faktycznie związane z przyzwyczajeniami. Ale cierpliwości. Może trzeba poczekać, aż system trawienia przestawi się na obcy wikt. Mnie, podczas półrocznego pobytu w Tybecie, żywili wyłącznie ryżem. Zdumiony jestem, że organizm człowieka jest tak mało wymagającą maszyną. - Łyknął kawę i rozejrzał się. Zaczynały budzić się wielbłądy wynajęte do podróży w góry. Wydawały dźwięki, jakby cierpiały na niestrawność.

Gregori pokiwał głową.

- Dziwne bydłeta - te wielbłądy. Są bardzo wrażliwe. One chyba czują, że zaraz wyruszamy.

- Dromadery.

- Proszę?

- To są dromadery. - Chris odstawił kubek. - Wielbłądy to pojęcie nadrzędne, rodzina, mówiąc inaczej. Nasze mają tylko jeden garb i nazywają się dromadery. Są najlepsze na podróże po pustyni. Prawdziwe maszyny, o dużej zdolności do przetrwania. Od tysięcy lat. W niektórych plemionach Tuaregów panuje zwyczaj upuszczenia krwi żywemu zwierzęciu, by przygotować z niej posiłek. To może uratować życie całej karawanie.

Gregori pogładził swoją bródkę. - Wydaje się, że sporo wiesz o życiu na pustyni. Mieszkałeś tutaj przez dłuższy czas?

- Tak jak Hannah? Nie. Byłem miesiąc w Tunezji i Etiopii. To było dawno. Większość informacji po prostu wyczytałem. Na samą myśl o tym, że miałbym mieszkać tutaj kilka lat, chodzą mi ciarki po plecach.

- Co o niej myślisz?

- O pustyni?

- Nie, o Hannah, oczywiście.

Chris zauważył, że jest bardzo zmęczony i łatwo mógłby się zdradzić. Musi być ostrożny.

- Uważam, że jest miła. Ma poczucie humoru, jest inteligentna, a bez okularów wygląda niezwykle ładnie.

- Właściwie chciałbym wiedzieć, co o niej myślisz jako o naukowcu. A ty zaczynasz od tego... - Gregori uśmiechnął się szelmowsko - jest coś między wami?

- Jak między tobą i Irene?

Gregori drgnął. - Nie wiedziałem, że to tak widoczne. Zresztą, wszystko jedno.

- Wybacz, Gregori. Nie chciałem tak prosto z mostu. Irene jest bardzo atrakcyjną kobietą. Rozumiem ciebie. Hannah jest dla mnie zagadką. Nie potrafię jej rozszyfrować. Ma w sobie wiele tajemnic - taka fascynująca mieszanka. Bardzo introwersyjna. Gdy żyje się samotnie tak długo, jest zrozumiałe, że człowiek staje się zamknięty w sobie. Czy interesuje mnie jako kobieta? Nie. To nieodpowiedni czas i nieodpowiednie miejsce. Ponadto na pewno by nie wyszło - mamrotał do filizanki.

Gregori zaśmiał się, ale jego śmiech był smutny. - Wiem, o czym mówisz. Mam taki sam problem. Irene jest piękną kobietą, ale jest trudna. Chce zawsze postawić na swoim. Jednego dnia jest czuła i grzeczna, a następnego traktuje mnie jak dywanik obok łóżka. Próbowałem już wszystkiego, aby przywiązać ją do siebie. Nic nie pomogło.

- Może to właśnie to, czego nie powinieneś robić. Nie wiem, czy dobrze ją oceniam, ale sądzę, że Irene nie znosi zobowiązań.

- Prawdopodobnie masz rację. Problem stanowi to, że ja nie potrafię sobie z tym poradzić. - Wzruszył ramionami. Mimo, że jak na Greka miał niezwykle jasną skórę, jego ruchy zdradzały południowca.

- Potrzebuję u swojego boku kogoś, na kim mógłbym polegać. Kogoś, kto mi ufa i mnie kocha - jego spojrzenie powędrowało w kierunku horyzontu, gdzie pojawiała się zorza poranna.

- Wszystko się sypie. Radzę ci, zastanów się dwa razy, zanim coś zaczniesz z kobietą, którą całkowicie pochłania nauka. Nie zwlekaj długo, Hannah i dla mnie może być



niebezpieczna. - Zaśmiał się z całego serca i zostawił Chrisa w niepewności, czy ta uwaga była żartem, czy myślał poważnie.

W tym momencie w domu obok zapaliło się światło i sylwetka Irene ukazała się w drzwiach wejściowych. Wyszła na zewnątrz, ziewnęła szeroko i z rolką papieru toaletowego znikła w ciemnościach.

Chris z uśmiechem wskazał Irene. - Mam nadzieję, że nie słyszała naszej rozmowy. Kobiety mają dobry słuch.

- Bez obawy. Nie przy tych hałaśliwych wielbłądach. To, o czym mówiliśmy, pozostanie między nami, zgoda?

Godzinę później byli w drodze. Chris prowadził karawanę złożoną z sześciu dromaderów. Za nimi stromą drogą z trudem brnęła ciężarówka. Wartościowe wozy, jak również dużą część zapasów, pozostawiono w forcie. Malcolm nalegał, aby zabrać ekwipunek filmowy. Po pierwsze dlatego, że był człowiekiem ogromnie nieufnym, po drugie, by mieć możliwość kręcenia nowych ujęć, gdy nadarzy się ku temu dobra okazja.

- Na to trzeba być zawsze przygotowanym - twierdził.

Okolica drastycznie zmieniła swój wygląd. Wyjechali z żyznej doliny Iferuane i przebijali się we wschodnim kierunku do Adrar Tamgak. Góra należała do typu wylewnych, powstałych ze skrzepniętej magmy.

Chris przypomniał sobie, że widział kiedyś fotografie satelitarne, na których góry przedstawione były jak nakładające się na siebie koła, podobne do odcisku palca. Na całej kuli ziemskiej taka struktura geologiczna występowała tylko w tym miejscu.

Widok okolicy z grzbietu dromadera był bez porównania bardziej fascynujący niż z przestrzeni kosmicznej. Piramidy z różowych, granitowych kul wyrastały po lewej i prawej stronie drogi. Ich wysokość ulegała zwiększeniu, jakby jakiś olbrzym poukładał kule jedną na drugiej. Trzaski kamieni, wywołane częstymi wahaniami temperatury, potęgowały przejmujące wrażenie. Wały ze skał głębinowych, jakby polakierowane na czarno, lśniły metalicznie w świetle poranka i przypominały tajemniczy obelisk.

W cieniu tych dziwacznych kształtów w milczeniu posuwali się coraz głębiej w góry. Celem podróży był kanion o kształcie sierpa, przecinający góry z zachodu na wschód.

Chris był przekonany, że na obelisku były przedstawione takie kształty.

Dolina stała się nieprzejezdna dla ciężarówki. Postanowili doprowadzić uzbrojoną eskortę w pobliże badanego terenu, zabierając całe wyposażenie karawany oraz część prowiantu. Tam urządzą bazę, z której będą wychodzić na wyprawy rozpoznawcze.

Chris spojrział na zegarek. Było prawie wpół do dziewiątej, a już teraz upał dawał się niechętnie we znaki. Nie było wiatru, a niebo przybrało nieoczekiwaną barwę - wyglądało złowieszczo jak zielonkawa szklana kula.

Wołanie Irene wyrwało go z ponurych rozmyślań.

- Nie można iść dalej! Jakaś blokada na drodze!

Podjechali jeszcze kawałek, żeby ocenić przeszkodę. Okazało się, że przejście jest zatarasowane masywnymi odłamkami skał. Każdy z nich ważył kilka ton. Nie wiadomo było czy ktoś celowo wysadził skały, aby zablokować drogę, czy osunęły się pod wpływem sił natury.

- Wdrapię się z moimi ludźmi na to zbocze - powiedział Mano Issa łamaną francuszczyzną. - Dla pewności, by sprawdzić, czy nie ma zasadzki.

- W porządku - poparła pomysł Irene. - A my zastanowimy się, co dalej.

Tuaregowie poszli, a pozostali członkowie zespołu zsiadli z dromaderów. Patrick oglądał zbocze z markotną miną.

- Po co pchamy się tam z ciężarówką? Jeśli mnie zapytacie, to wam powiem, że to jest absolutnie niemożliwe. Wielbłądy sobie poradzą, ale ciężarówka... A może jest jeszcze inna droga?

Chris zaprzeczył. - Dziś rano dokładnie przejrzałem mapę. To jedyny dojazd do celu. Stąd jest pięć kilometrów do kanionu. Z interpretacji zdjęć satelitarnych wynika, że ciężarówką nie dojedziemy daleko. Proponuję przeładowanie najpotrzebniejszych rzeczy na wielbłądy. Dalej pójdziemy pieszo.

Irene pokiwała potakująco głową. - Też tak uważam. W każdym razie musimy spróbować pokonać przeszkodę, zanim pomyślimy o innym rozwiązaniu. Myślę, że mamy szansę, gdy poprowadzimy zwierzęta prawym stokiem. Zgoda?

Szybciej, niż się spodziewano, grupa wywiadowcza wróciła. Ludzie wyglądali na zmęczonych, lecz zadowolonych.

- Wszystko w porządku - powiedział Mano Issa. - Dokładnie sprawdziliśmy. Druga strona jest bezpieczna.

Malcolm zaklaskał w dłonie. - Do roboty! Musimy przeładować cały bagaż!

Pospiesznie zabrali się do przekładania najważniejszego sprzętu z ciężarówki na dromadery. Szczególnie trudno było z aparaturą satelitarną. Trzeba było zbudować specjalne

tragi, by przy przenoszeniu chronić urządzenie przed wstrząsami. Wszyscy jednogłośnie wyrazili zgodę na tę dodatkową pracę, żeby przez następne dni nie stracić kontaktu ze światem.

Dwie godziny później było gotowe. Tuaregowie energicznie pomagali przy ładowaniu bagażu na dromadery, które ryczały niemiłosiernie, rozłoszczone dodatkowym ciężarem. Nie tylko one narzekały na swój los.

- Cholerne gorąco! - pomstował Malcolm, wycierając rękawem spocone czoło. - Z każdą godziną bardziej przeklinam dzień, w którym zapadła decyzja o wyprawie w lecie.

- Przestań użalać się ciągle nad sobą - w Irene obudził się kierownik grupy - nic nam nie pomoże narzekanie. Jeśli chcesz, żeby ktoś sprzątnął nam temat sprzed nosa, proszę bardzo! Jeśli jest inaczej, oszczędź nam biadolenia!

Malcolm parsknął, ale milczał. Nieznoszący klótni Chris przyspieszył kroku i znalazł się koło Hannah, która jako pierwsza próbowała przeprowadzić swojego wielbłąda przez strome zbocze.

- Nieprzyjemności na tyłach?

- Ach, znowu Malcolm - odparł Chris. - Dzisiaj nie podoba mu się to, a jutro tamto. Notoryczny zrzęda. Myślę, że jest po prostu za stary na takie wyprawy.

- A ty? Są już oznaki słabości?

Chris zagrał rolę oburzonego. - Wiesz, ile mam lat? Do emerytury jeszcze sporo czasu. Poza tym muszę zarobić dużo pieniędzy, zanim przeniosę się w stan spoczynku. A to zlecenie śmierdzi forszą.

- Chodzi ci tylko o pieniądze! Ulżyło mi. Sądziłam, że masz dalej sięgające zamiary - Hannah zaśmiała się filuternie i pociągnęła za uzdę dromadera. Do zobaczenia po drugiej stronie!

Chris przez moment zaniemówił. Dalej sięgające zamiary? Czy zauważyła, że czasem spoglądał na nią ukradkiem? Wyglądało na to, że obserwowała go bardziej, niż było mu to na rękę. To, co powiedziała, zabrzmiało prawie jak wyzwanie. Poczul miłe ciepło w duszy, lecz natychmiast przywołał się do porządku i nakazał spokój. Nie miało żadnego sensu rozmyślanie o aferze miłosnej. Szczególnie, że inni czekali kiedy wreszcie ruszy. Złapał linę i podążył za Hannah.

Prowadzenie dromadera było o wiele trudniejsze, niż wydawało się na początku. Jego zwierzę, około siedmioletni samiec nazywany Boucha, parsknął gniewnie pryskając pianą z pyska. Najwidoczniej nie było po jego myśli przechodzenie przez niebezpieczny teren. Im bardziej Chris ciągnął, on tym mocniej parsknął i piany było coraz więcej. Gdy duża kropla

wylądowała na piersiach Chrisa i skapnęła na spodnie, Chris rozłościł się. Z gniewem szarpnął liną. Dromader grzebał przednimi kopytami, lecz nie ruszył się nawet o centymetr.

- No, naprzód, nie mamy czasu! - krzyczał Chris. Obszedł zwierzę i uderzył je silnie w bok. Boucha machnął łbem i trafił go ze złością w klatkę piersiową.

Gdy zamroczenie minęło, Chris siedział w tumanie kurzu. Bolały go piersi i kark, jakby ktoś połamał mu wszystkie kręgi. Pozbierał się. Dość tego dobrego. Teraz wielbłąd dostanie nauczki - ma to jak w banku. Gdy ruszył na Boucha z podniesioną głową, podszedł Abdu.

- Spokojnie, a przede wszystkim bez przemocy! Zwierzę zapamięta to do końca życia i ugryzie cię przy najbliższej okazji. Wiesz, jak prowadzi się dromadera?

Chris potrząsnął przecząco głową. - Nie mam pojęcia. Jakieś magiczne słowo?

- Coś w tym rodzaju. Uważaj! Weź do ręki sznur i dwa razy cmoknij.

- To wszystko?

- Spróbuj.

Chris spojrział na Boucha karcącym wzrokiem, potem chwycił linę i cmoknął. Wielbłąd uniósł głowę, prychnął i - o dziwo, powoli ruszył. Chrisowi wydawało się, że zauważył w jego oczach pogardę. Zignorował napad złości i starał się nie podchodzić zbyt blisko.

Przejście przez strome zbocze nie było łatwe. Dromader osuwał się kilka razy i ślizgał po podłożu. Chris miał się na baczności i udało im cało znaleźć się po drugiej stronie. Hannah siedziała już w cieniu skały i obserwowała go.

- Długo trwało. Były kłopoty?

- Tak, mieliśmy z Boucha problemy na starcie. Ale pogadaliśmy sobie jak mężczyzna z mężczyzną i teraz jesteśmy przyjaciółmi. Prawda, Boucha?

Dromader zaryczał, a jego głos odbił się echem o skały.

Po krótkim czasie pojawiła się reszta grupy. Eskorta Tuaregów bawiła się doskonale, obserwując niezręczność ludzi z północy w obchodzeniu się z dromaderami. Szczególnie nieporozumienie między Chrisem i Boucha stało się przedmiotem żartów. Jak pantomimiści odgrywali zdarzenie i raz po raz rozlegały się głośnie wybuchy śmiechu. Nastrój w grupie znacznie poprawił się.

Irene rzuciła krótkie spojrzenie na mapę. Potem podniosła głowę i wpatrywała się w żółty pył.

- Chris miał rację. Wejście do kanionu jest z przodu. Widać wysokie wierzchołki, otaczające je z obu stron. Za nim ciągnie się długi wąwóz w kształcie półksiężyca. Mam

nadzieję, że zaprowadzi nas do celu. Chodźcie, podejźmy jeszcze kawałek, zanim dopadnie nas największy upał.

Dwie godziny później odnaleźli wejście do kanionu i urządzili obozowisko. Chris i Hannah doszli do krawędzi skały, którą wybrali sobie podczas pierwszej wyprawy rozpoznawczej. Innym upał bardzo doskwierał i nie mieli ochoty na wysiłek fizyczny.

Hannah i Chris postanowili pójść dalej we dwoje.

Po karkołomnej wspinaczce stanęli na półce skalnej. Na dole był obóz. Delikatna bryza wiała od północy i chłodziła ich rozgrzane ciała.

Chris wytarł pot z czoła.

- Fantastyczny widok - powiedział dysząc. - Szkoda, że na dole zostawiłem kamerę. Mam nadzieję, że nie spotkamy niczego interesującego. W przeciwnym razie muszę jutro powtórzyć wspinaczkę.

- Nie wydaje mi się, abyśmy jutro jeszcze tu byli - odpowiedziała Hannah. - Jeżeli zgadzają się twoje obliczenia, musimy przejść dwadzieścia kilometrów, by dotrzeć do miejsca zaznaczonego na obelisku. Wyruszyłabym tam chętnie już dzisiaj.

- Sprawiasz wrażenie, jakby bardzo ci się śpieszyło.

- Zwykle nie, ale tym razem czuję, że czeka na nas jakaś tajemnica. Wyobraź sobie, że odkryjemy faktycznie coś ważnego! Jak ty to robisz, że jesteś taki opanowany?

- Po pierwsze, nie możemy nastawiać się, że naprawdę coś odkryjemy. Szanse są minimalne. Po drugie - zająknął się - po drugie uważam, że szkoda byłoby, gdyby nasza podróż skończyła się tak szybko.

Spojrzał na nią przelotnie. Czy zrozumiała aluzję? Prawdopodobnie tak. Przynajmniej uśmiechnęła się, lecz nie podjęła wątku. Spojrzał w dół rozpoznał kilku Tuaregów z grupy.

Wykorzystywali czas na sprawdzenie, czy w kanionie nie ukrywają się rebelianci. Było raczej nieprawdopodobne, że kogoś znajdą. Zgodnie z informacją Duranda, działalność rebeliantów koncentrowała się na większych trasach dojazdowych. Kontrolowanie okolicy, w której nie można było zdobyć wartościowych przedmiotów, było dość bezsensowne. Mimo to należało być ostrożnym. Wzrok Chrisa wędrował po pokrytej szczelinami górzyściej okolicy, błyszczącej prawie nierealnie w popołudniowym upale. Na górze panowała absolutna cisza. Nie słychać było żadnych odgłosów wydawanych przez owady, szelestu liści, nawet najcichszego śpiewu ptaka. Wydawało się, że stanął czas.

Nagle jakiś dźwięk dotarł do ich uszu. Szum, którego najmniej oczekiwali, mianowicie płynącej wody.

Hannah odwróciła się również. Pluskanie dochodziło ze szpary tuż obok nich. Chris przyłożył ucho do skały i kiwnął głową. Nie było wątpliwości - dochodziło z tamtej strony. Podniósł wzrok, sprawdzając możliwość wdrapania się po skale. Palcami wyczuł rysy i szpary, wystarczające do wspinaczki.

- Próbujemy?

Hannah przytaknęła.

Zaczęli wspinać się po silnie skorodowanym kamieniu. Chris stwierdził natychmiast, że Hannah jest zręczną alpinistką. Była dużo szybsza od niego. Po kawałku, metr po metrze, wdrapali się na wysokość, gdzie na krawędzi ściany mogli przystanąć. Zziębnięci i spoceni trwali w tej pozycji, dając wypoczynek zmęczonym mięśniom.

Po kilku minutach Chris ruszył się, podał rękę Hannah i pomógł jej przekroczyć wysoki głaz. Razem spoglądali na cudo, rozpościerające się przed nimi. Patrzyli na długą nieckę skalną, wypełnioną ciemnozieloną wodą.

Chris przeniósł wzrok na Hannah i wydawało mu się, że ona myśli o tym samym. Hannah bez zbędnych słów ściągnęła przez głowę lnianą koszulę. W sekundzie stała nago i skoczyła zgrabnie na główkę. Prychając i śmiejąc się wołała:

- Chodź! Woda jest wspaniała!

Chris zawahał się przez moment, lecz zaraz zerwał z siebie odzienie i podążył za Hannah w mokrą ochłodę. Wprawdzie nie tak śmiało jak ona, lecz wolniej, zanurzając najpierw stopy. Ostatecznie nie chciał ryzykować zawału serca.

- Tchórz! - doleciało z drugiej strony zbiornika. Hannah płynęła ku niemu jak ryba i zafundowała mu prysznic.

- Czekaj. Zaraz ci oddam! - Chris wciągnął głęboko powietrze i skoczył w zimne fale. Chciał zanurkować pod Hannah i ją zaskoczyć. Energicznie, etapami, schodził w głębinę. Woda była klarowna i widział dno. Zbiornik miał chyba więcej niż osiem metrów głębokości. Część dna pokryta była dziwacznymi rzeźbami, przypominającymi poziome schody. Chris dotarł jeszcze głębiej i poczuł w uszach zwięższający się ucisk. Nad sobą ujrzał rozgarniające wodę szczupłe nogi Hannah. Przed nim wznosił się przeciwległy brzeg. Gdy kierował się ku niemu, odkrył na skalistym gruncie niezwykłą rzeźbę. Wydawała się dziwnie znajoma. Załamujące się promienie słoneczne padały na grawerunek i nadawały jej wygląd żywej istoty. Narośle na głowie wyglądało jak ruchome - jakby chciało go pochwycić, natomiast jedno oko spoglądało surowo zza trzech fałd. Szybko, jak potrafił, wypłynął znowu na

powierzchnię. U góry zamknął oczy przed oślepiającym światłem. Zadyszany, łapał powietrze. Po kilku sekundach odzyskał głos.

- Meduza - wyjąkał. Pod naszymi stopami!

## 8

Noc była bezksiężycowa i gwiazdzista. Niedawno minęła trzecia godzina. Wszyscy głęboko spali, poza Chrisem, który czuł się tak rozbudzony, że wstał i przez satelitę uzyskał połączenie wideo.

- Widział pan naprawdę dokładnie? - twarz Normana Stromberga przysunęła się bliżej obiektywu internetowej kamery webcam. Jeszcze bliżej, dotykał jej już spłaszczonym nosem.

- Tak jest, sir. Jej średnica wynosi około metra. Oczywiście, że w wodzie sprawiała wrażenie większej, ale szczegóły nie dopuszczają żadnych wątpliwości, że pochodzi ona z tego samego okresu, co rzeźba w *Tassili*. Nareszcie mamy znowu ślad!

- Doskonale. Bardzo chciałbym to zobaczyć na własne oczy - Stromberg odchylił się do tyłu, odsłaniając widok wyłożonego mahoniową boazerią gabinetu. Chris spostrzegł, że kamera stoi na ciężkim stole, który dominował w pokoju.

Raz jedyny miał okazję przekroczyć progi tego świętego przybytku swojego pracodawcy, a pamięta wszystko tak dokładnie, jakby zdarzyło się wczoraj. Po prawej stronie wejścia stoi waza z epoki Ming wysokości człowieka. Na lewo wisi kamienna tablica z Asyrii, przedstawiająca króla Aszurbanipala na koniu w czasie polowania na lwy. Na regałach po obu stronach w szeregu stoją złote kielichy z Persepolis obok malowanych dzbanów z pałacu króla Minosa. Gdy obeszło się dokoła złota, 4700-letnią harfę, która między innymi przedstawiała wizerunek króla Gilgamesza w czasie walki z dwoma bykami, dochodziło się do stołu, na którym stała kamera. Duplikaty niewielkiej ilości dzieł sztuki, które Stromberg przechowywał w swojej pracowni, wystawiały liczne muzea oraz setki innych miejsc na świecie, gdzie rygorystycznie przestrzegano przepisów bezpieczeństwa. Na oprawionej w złoto mapie świata, umieszczonej z tyłu olbrzymiego fotela ze skóry, oznaczono każde miejsce imperium.



Bogactwem Stromberga były złoża ropy na Alasce oraz flota tankowców. Zaliczał się do najbogatszych ludzi na świecie. Wydawało się, że wykorzystywał swój majątek jedynie do otwierania dróg, prowadzących do nowych archeologicznych znalezisk. Gdy ktoś zada mu pytanie, jakie to uczucie być multimiliarderem, naraża się na niebezpieczeństwo wyrzucenia za drzwi. Pokazując mu zaś kamyczek z mozaiki lub starą zużytą monetę, można zobaczyć blask w jego oczach. Wówczas może się zdarzyć, że delikwent zostaje wciągnięty w kilkugodzinną rozmowę na temat historii świata.

Chris spotkał go w 1996 roku na konferencji w sprawie zmian klimatycznych w Kyoto, gdzie miał odczyt na temat gwałtownego topnienia antarktycznego pierścienia szelfu lodowego. Jego gruntowna wiedza w dziedzinie zmian klimatycznych w okresie ostatnich stu tysięcy lat sprawiła ogromne wrażenie na miliarderze. Po prelekcji zaprosił go do drogiej restauracji, gdzie zapominając o świecie, spędzili wiele godzin na rozmowie i wymianie doświadczeń. Oczy Stromberga świeciły, gdy Chris opowiadał o swojej miłości do archeologii. Wtedy Stromberg przedstawił mu ofertę nie do odrzucenia.

- Kiedy dojdziemy do strefy, która jest naszym celem? - głos Stromberga wyrwał Chrisa ze wspomnień.

- Przypuszczam, że dzisiaj, sir. Pod warunkiem, że nie wydarzy się nic szczególnego.

- Bardzo dobrze. Życzę sobie maksimum ostrożności i powściągliwości w tej decydującej fazie. Niech pan kontaktuje się ze mną tylko w przypadkach koniecznych, bądź gdy traficie na coś znaczącego. Dla pana bezpieczeństwa nie podaję żadnych dokładnych informacji. Czuję, że jesteśmy już bardzo blisko.

Chris nie miał pojęcia, na czym opierają się przypuszczenia Stromberga, miał jednak świadomość, że człowiek ów obdarzony jest siódmym zmysłem. Lepiej było brać poważnie jego przeczucia. - W porządku, sir. Teraz wyłączam się, zanim ktoś usłyszy naszą rozmowę. Lepiej nie ryzykować.

Twarz Stromberga przesunęła się znowu bliżej kamery.

- Jeszcze jedno, Carter. Zostałem poinformowany, że konkurencyjne przedsiębiorstwo, z którym już dawniej miałem wiele kłopotów, dowiedziało się w jakiś sposób o sprawie. Nie znam szczegółów, lecz jest możliwe, a nawet prawdopodobne, że i oni wysłali agenta.

Chris poczuł gęsią skórę na plecach. Depcze nam po piętach wroga grupa?

- Jeszcze gorzej, Carter. Dużo gorzej. Mam podstawy, aby przypuszczać, że chodzi o kreta.

- Proszę?

- Carter, jeżeli jestem dobrze poinformowany, w waszej grupie znajduje się szpieg.

Światło wczesnego ranka przesuwano się po skalistym krajobrazie, gdy Chris obudził się z ciężkiego snu. Wszyscy byli już na nogach, zajęci pilnie rozbiórką obozu. Odkrycie następnej meduzy podziało na członków zespołu jak zastrzyk energetyczny. Czy była zwiastunem nowych odkryć? Grupa była podniecona i pałała żądzą czynu.

Chris ziewnął i wyskoczył ze śpiwora. Był zaniepokojony nocną rozmową, czuł się zmęczony i wykończony. Mechanicznie naciągnął ubranie, zwinął śpiwór i podszedł do ognia. Dyskretnie rozejrzał się dokoła. Ciągle nie mógł uwierzyć, że ktoś z grupy pracuje dla konkurencji. To wyobrażenie było po prostu absurdalne. Irene, Malcolm, Albert, Gregori i Patrick pracowali wspólnie od wielu lat, praca ich zespoliła. Każdy znał każdego, dlatego ingerencja z zewnątrz była trudna, ba, nawet niemożliwa. Dokładnie mówiąc, to on był jedynym obcym ciałem w grupie. Miał jednak świadomość, że Stromberg nie rzuciłby ostrzeżeń na próżno.

Ta cała sprawa zaczynała go przerastać. Teraz już nie wystarczy nie dać się rozpoznać, teraz musi jeszcze zdemaskować przeciwnika. I po co to wszystko? Stromberg nie napomknął ani słowem, czego właściwie szukają. „Jestem w poważnych opałach” - myślał.

- Wyspany? - obok niepostrzeżenie usiadła Hannah.

Nalała sobie kawy z dzbanka.

W tym momencie przyszedł mu do głowy pomysł, aby jej o wszystkim opowiedzieć. Zwierzyć się ze zlecenia i fałszywej gry, ostrzec ją przed rzekomym szpiegiem. Lecz myśl o tym, jakie pociągnęłoby to za sobą konsekwencje, odsunęła go od tych zamiarów.

- Źle spałem, to wszystko - bąknął.

- Też spałbym źle, gdybym przez pół nocy łaził po okolicy - głos dochodził od Malcolma, który kilka metrów dalej ładował rzeczy na dromadera. W jego spojrzeniu była nieufność. Inni chyba także domyślali się, że coś nie gra. Chris przeklinał w duchu to nagłe zainteresowanie jego osobą, lecz udawał, że nie wie, o co chodzi.

- Mam czasem problemy z zasypianiem. I co z tego? Żeby was nie budzić, odszedłem kilka metrów od obozu. Przeszkadza to komuś? - Chris wyczuł agresję we własnym głosie.

To przez to cholerne zmęczenie. Malcolm nie dał wyprowadzić się z równowagi i zaśmiał zimno.

- Zapominasz, że między nami są czujni towarzysze - wskazał na uzbrojonych Tuaregów, którzy wyżej urządzili punkt obserwacyjny, tam, gdzie wiał przyjemny wietrzyk. - Mano Issa przed chwilą zameldował, że manipulowałeś przy dekodерze. Mam nadzieję, że nie chciałeś wygadać żadnej tajemnicy. Oboje z Irene kierujemy ekspedycją. Jeśli ktoś ma podjąć decyzję o informacjach podawanych na zewnątrz, to tymi osobami jesteśmy my. Zrozumiano?

Chris poczuł na sobie wzrok obecnych. Nie było to przyjemne. Te spojrzenia i pełna oczekiwania cisza sprawiły, że raptownie oprzytomniał.

- Włączyłem system, to wszystko. Wiecie przecież, że najlepiej to robić, gdy nie jest gorąco. A że i tak nie spałem, pomyślałem sobie, że mogę sprawdzić, czy urządzenie jest sprawne i nie zostało uszkodzone w czasie marszu. Mogę was uspokoić, wszystko jest w porządku. A teraz chcę w spokoju wypić kawę.

Wszyscy znowu zajęli się swoją robotą. Wydawało się, że uwierzono mu. Oprócz Malcolma, który nadal wyglądał na niezadowolonego.

- Ty nic nie masz tam do szukania. Nie życzę sobie, aby ktoś, bez uprzedniego zezwolenia, tam majstrował. Kapujesz?

Chris skinął głową i podniósł rękę, lecz nie powiedział słowa.

- OK - wchodziła się Irene. - Sprawa załatwiona. Nie musimy już na ten temat dyskutować. Prawda, Malcolm?

Neadry był ciągle zły. Szorstkimi ruchami zapinał swoją kamizelkę. - Dojdę do tego, co tam faktycznie robiłeś!

- Malcolm!

- Tak, tak. Zrozumiałem - sarknął i poszedł w kierunku obładowanego wielbłąda.

- Matko, ten ma humory! - Hannah wypila resztę z filiżanki i podniosła się. - Może naprawdę popsuć nastrój.

- On ma rację - łagodził Chris. - To moja wina. Faktycznie nie mam nic do szukania przy urządzeniach. Moje zdenerwowanie wynika ze źle przespanej nocy. Nigdy już to się nie powtórzy.

Nie powiedział nic więcej, tylko zasznurował plecak i poniósł go w stronę Bouchy, który wesoło pozdrowił swojego przewodnika. Lecz Chris nie był jeszcze w nastroju, by okazywać z tego powodu radość. Po głowie chodził mu Neadry. Postanowił przy najbliższej okazji lepiej mu się przyjrzeć. Być może właśnie on jest tym kimś, przed którym ostrzegał go Stromberg.

Po trzech godzinach mieli za sobą spory kawał drogi. Chris zauważył, że znowu zmienił się krajobraz. Skały Adrar Tamgak pięły się wysoko jak zamczyska skalne zbudowane ręką tytanów. Potężne i ponure. Odległość między ścianami kanionu zmniejszała się. Wyciągnął mapę i próbował zlokalizować miejsce, w którym się znajdowali.

Występująca w tym rejonie zastygła magma ma średnicę ponad sześćdziesięciu kilometrów. Dokładnie mówiąc, kanion stanowił część tego pierścienia. Był zewnętrzną krawędzią drugiego, jeszcze potężniejszego wylewu, który w zamierzchłych czasach zastygł

na powierzchni Ziemi. Wąwóz w kształcie łuku wznosił się stopniowo w kierunku wschodnim, osiągając wysokość 1400 metrów.

- Uważaj! Pozostań w kolumnie! - krzyknęła wesoło Hannah, kiwając ręką. Podniósł wzrok i dopiero teraz zauważył, że inni go wyprzedzili. Szybko schował mapę i przyspieszył, by nadrobić stratę.

Widać było coraz więcej palm, które wprawdzie dawały cień, lecz ich twarde owoce nie był smaczny. Tuaregowie żywili się nim tylko w wypadku braku innego pożywienia i wielkiego głodu. Chris również o tym gdzieś czytał. Droga stawała się coraz trudniejsza. Wielbłądy poczęły skarżyć się na kamienistą drogę, wydając głębokie, chrapliwe odgłosy. Ich łapy w kształcie talerza były przystosowane do podłoża piaszczystego, a nie do okolicy, pokrytej kulkami granitowymi. Ich skargi odbijały się echem o skały.

Chris wpatrywał się w czarne ściany, które wyrastały w kierunku nieba po obu stronach. Podobnie czuł się pewnie Odyseusz, gdy czyhały na niego Scylla i Charybda. Chris niemalże oczekiwał, że ujrzy głowę mitycznego olbrzyma. Poczul ciarki na plecach i odwrócił się w inną stronę.

Hannah, maszerująca teraz na czele pochodu, uniosła rękę.

- Spójrz do przodu! - zawołała, wskazując na palmę, w której koronie zaplątany był jakiś dziwny kłąb roślin. Z tyłu rosła sękata akcja, na której widniała podobna osobliwość. - Wodowskazy - dodała. - Rośliny, który zaplątały się tam podczas ostatniej powodzi.

Chrisowi zabrakło powietrza z wrażenia. Resztki roślin wisiały na wysokości pięciu metrów! Było jasne, co to oznacza. W porze deszczowej, jesienią i wiosną, przechodzą tędy najwidoczniej ogromne burze, niosące masy wody, zalewające jak potop wysuszone wnętrze wąwozu. W ciągu minut tworzą się fale, porywają ze sobą żwir i pnie drzew, torując sobie drogę w dół. To straszne znaleźć się w środku takiego żywiołu. Chris czytał relacje ocalonych, opisujących nieszczęście zapowiadane przez wibracje ziemi i nagłe porywy wiatru. Kto nie ucieknie i nie znajdzie prędko bezpiecznego miejsca, tego zmiażdżą i zmiotą fale. Mówi się, że na pustyni traci życie więcej ludzi wskutek utonięcia niż ginie z pragnienia. Na widok znaków pokazujących, gdzie sięgała woda, Chris uwierzył we wszystkie słyszane historie.

- W porządku? Dalej! - wołała Hannah. Dromadery posuwały się i na moment ucichły ich żalosne jęki. Chris wyczuwał napięcie w grupie. Pomijając kilka przypadkowych słów, od wielu godzin panowało całkowite milczenie. Nawet Tuaregowie nie odzywali się słowem. Pobyt w środku prahistorycznego piekła robił wrażenie na każdym. Chris postanowił przerwać ciszę. Przyspieszył kroku, próbując dogonić geologa.

- Gregori, poczekaj!

Z pochrzającym opierającym się Boucha trwało jakiś czas, nim do niego dołączył.

- Te góry przejmują grozą - rzucił zadyszany. - Wiem, że geologowi nie wypada tak mówić, czy jednak nie odczuwasz tego podobnie?

Oczy Greka zabłyśły.

- Wprost przeciwnie. To miejsce, którego nie zobaczysz nigdy więcej w twoim życiu. Może nie zdajesz sobie z tego sprawy, lecz jesteśmy w punkcie, które jest pępkiem świata.

- Pępkiem świata? Nie rozumiem.

- Mówi ci coś Pangea? - Gregori zadał pytanie czysto retorycznie, gdyż zaraz sam udzielił odpowiedzi: - To nazwa super-kontynentu, z którego w ciągu milionów lat powstały dzisiejsze kontynenty: Azja, Europa, Północna i Południowa Ameryka, Australia, Antarktyda i Afryka. Wszystkie one były kiedyś częściami jednego zwartego lądu.

Chris pokiwał głową. - Słyszałem o tym. Potem nastąpiła epejroforeza, czyli niekontrolowane rozsuwanie się kontynentów.

- Wcale nie niekontrolowane. Dryf kontynentalny postępował według dokładnego wzoru. Jego wewnętrzny „silnik” odkryto dopiero przed paroma laty. Faktem jest, że wszystkie kontynenty oddaliły się od Afryki. Afryka jest centrum, pępkiem, sercem starego superkontynentu. Pod olbrzymim wiekiem, które było czymś w rodzaju izolowanej płyty piankowej, powstała olbrzymia konwekcja ciepła z głębi Ziemi.

- Co takiego?

Gregori uśmiechnął się. - Konwekcją ciepła. Przed laty dokonaliśmy podobnej symulacji w misce z ciepłą wodą i krążkiem styropianu. Po niedługim czasie w spokojnej wodzie powstał w samym środku krążka prąd, naciskający w górę. Obieg ciepłej wody rozpoczął się samoistnie. Woda napierała w górę, w dół, oraz na boki. Tam, gdzie nacierała od dołu, krążek ustąpił i rozsunął się na boki. Podobnej sile podlegała Pangea. Siła była wystarczająca, by ziemia superkontynentu rozstała się i przesunęła na wszystkie strony. Kiedyś, za dwieście milionów lat, części ponownie zejdą się i powstanie nowy superkontynent.

Chris słuchał zafascynowany. - A Afryka?

- Kontynent afrykański w ciągu tego całego czasu prawie nie ruszał się. Troszkę przesunął się ku północy i pęka na wschodzie, w Rift Valley, lecz centrum ówczesnego przesuwania się masy ziemskiej było dokładnie tutaj. Pod naszymi stopami. Był to potężny hot spot. Wskutek lekkiego przesunięcia się kontynentu na północ, centrum to znajduje się około tysiąc kilometrów na południe, w wulkanicznym parku narodowym Wirunga. W

każdym razie pęcherz magmy, po którym właśnie idziemy, jest świadkiem z tego właśnie czasu... Magma w ciągu milionów lat została uwolniona wskutek erozji i denudacji.

- To jest faktycznie pępek ziemi...

- I to nie tylko ze względów geologicznych - powiedział Gregori. - Jak wiesz, Afryka jest kolebką ludzkości, kolebką naszej całej cywilizacji. To jest jednak temat, w którym nie jestem szczególnie dobry.

Wyraźnie roztargniony Chris kiwnął głową. Przyszła mu do głowy pewna myśl. Zadawał sobie pytanie czy istotnie był to odrębny temat, czy też wszystko pozostaje w pewnej formie od siebie zależne. Być może istnieje jakiś związek, który przeoczyli. Być może właśnie w tym momencie natrafili na coś, co wyjaśni nierozwiązane elementy zagadki. Czuł, że coś wisi w powietrzu. Poruszali się po śladach prastarej tajemnicy.

A jego pracodawca, Norman Stromberg, wie o tym.

## 9

Hannah, wzdychając, spoczęła w cieniu akacji. Kolejno podchodzili inni i z jękiem siadali obok niej.

- Chyba udało się - sapnęła. Spojrzała na mapę i przytaknęła. - Tak! Zobaczcie! Tu jest ten skalny obiekt, który podają twoje obliczenia, Chris. Tam jest niewielka, boczna niecka, a tutaj, po naszej stronie, charakterystyczny zębaty łańcuch górski. *Voila!* Jesteśmy!

Patrick padł obok niej i wyciągnął swoje cztery kończyny. - O kurczę, myślałem, że ta droga nie ma końca. O mało nie zasypała mnie hałda kamieni.

Irene pochyliła się i masowała łydki. - Bolą mnie mięśnie, o których dotychczas nie wiedziałam, że w ogóle istnieją. Tutaj - nacisnęła na miejsce powyżej kostki - czy ktoś wie, jak nazywa się ten mięsień i czemu służy?

- Może mnie ktoś obudzić za godzinę? - wzdychał Albert. - Jestem tak wykończony, że chyba zaraz zemdleję - runął na piasek obok Patricka.

- Patrzcie, dla naszych przyjaciół Tuaregów wędrowka była niedzielnym spacerkiem. Dowcipkują sobie - zaśmiał się Chris.

Hannah opuściła mapę i spojrzała w kierunku eskorty.

- To nie do pojęcia. Mieszkam tutaj już tak długo, a ciągle jest dla mnie zagadką, jak oni wytrzymują te mordercze temperatury. Jak wy to robicie? - zwróciła się do swojego asystenta.

Abdu wzruszył ramionami. - Nie rozumiem, co wam jest. Nawet nie ma czterdziestu stopni w cieniu. Przyjemna temperatura powietrza.

Hannah wyszczerzyła zęby i rzuciła w niego kamyczkiem. - Myślę, że Tuaregowie mają inny metabolizm.

- I mieli tysiące lat, aby się przystosować - wzdychała Irene - jeżeli o mnie chodzi, oddałbym majątek za chłodną kąpiel. Zimna, perlista, góraska woda! Coś w rodzaju tego

bajorka, w którym wy pływaliście - koło jej ust pojawił się psotny grymas, gdy spojrzała na Chrisa i Hannah. - Myślę, że coś takiego byłoby bardzo zadowalające.

Oni sobie gawędzili, a Tuaregowie prowadzili wielbłądy w cień palm. Zwierzęta położyły się natychmiast. Powoli ustawały ich żalosne skargi i zaczęły znowu z rozkoszą przeżuwać.

Wiał lekki wietrzyk, rozdmuchując drobny piasek po ziemi. Hannah podała kolegom mapę. Niektórzy spoglądali z zainteresowaniem i porównywali z okolicą, inni rzucili pobieżnie okiem i zmęczeni kładli się. Malcolm połał sobie głowę wodą z manierki. Potem podał butelkę Irene i rozejrzał się.

- Oto ziemia obiecana. Co dalej?

- Uważam, że rozsądnie będzie, gdy tutaj urządzimy bazę - odezwał się Abdu, posiadający spośród wszystkich obecnych największe doświadczenie z obozami na pustyni.

- Ponieważ nie wiemy dokładnie, czego szukamy i gdzie to znajdziemy, może zdarzyć się, że pozostaniemy tutaj kilka dni, a może tygodni. Stała baza jest najlepszym rozwiązaniem. Stąd możemy startować na wyprawy rozpoznawcze. Uzbrojeni Tuaregowie powinni obszukać okolice i sprawdzić, czy nie ma rebeliantów. Gdy okaże się, że teren jest bezpieczny, można za pomocą dromaderów utworzyć łańcuch zaopatrzenia. Myślę, że raz na tydzień będzie nam potrzebna świeża woda. Chyba, że znajdziemy ją na miejscu.

- Brzmi mądrze - Malcolm wytarł ostatnie krople wody z twarzy - zaczynamy poszukiwanie odpowiedniego miejsca na obóz. Musi być osłonięte, zacienione i płaskie. Albert, zabierz Mano Issa i w drogę!

- Muszę koniecznie? Właśnie sobie słodko przysnąłem. Dlaczego właśnie ja?

- Bo właśnie ciebie teraz potrzebuję. Nie jesteśmy tutaj dla przyjemności. No, wstawaj! - zaklaskał w dłonie. Chudy mężczyzna poruszył się i w milczeniu, wolnym krokiem, ruszył do Tuaregów, którzy właśnie zabierali się za przyrządzenie herbaty w cieniu akacji. Hannah obserwowała krótką rozmowę. Po chwili Mano Issa podniósł się i poszedł za Albertem. Malcolm ujął się pod boki. Chyba postanowił grać rolę szefa, a Irene była zbyt zmęczona, by protestować.

- Jeżeli nie macie nic przeciwko temu, przydzielę jeszcze kilka innych zadań. Patrick, Gregori, Chris! Rozpakujecie urządzenie satelitarne. Myślę, że miejsce na tamtym występie skalnym będzie wystarczająco dobre dla naszych potrzeb. Zwróćcie uwagę na wysokość, inaczej możemy nie uzyskać odbioru, bo zasięg jest ograniczony. W wypadku problemów zapytajcie Chrisa, on ma już doświadczenie w obsłudze - rzucił klimatologowi jadowite spojrzenie. Przy okazji możecie wywołać najnowsze dane GPS. Starajcie się namierzyć



przynajmniej trzy satelity nawigacyjne. Chcę wiedzieć z dokładnością jednego metra, gdzie jestem. Irene, Hannah i Abdu! Wy pomożecie przy rozładowywaniu wielbłądów. Może będziemy mieć szczęście i zrobimy jeszcze dzisiaj kilka ładnych zdjęć - skończył i poczłapał do wielbłądów.

- Ważniak! - żalił się Patrick. - Mógłby chociaż przez pół godziny zostawić nas w spokoju. Mamy harować w porze najgorszego upału - splunął na ziemię.

- On ma rację - Hannah wstała. Była zaskoczona, że ma takie samo zdanie jak Malcolm.

- Za około cztery godziny zapadnie zmrok. Musimy się spieszyć, żeby wszystko mieć gotowe nim nastanie ciemność!

Irene strzepała kurz ze spodni. - No dobra. Obiecuję wam dwie butelki *Chateau Poujeaux* z dobrego rocznika, by uroczycie zakończyć ten dzień. Przywiozłam na specjalne okazje. Zgoda?

Noc przywitani ze śpiewem i śmiechem. Wspaniałe jedzenie oraz obiecane wino dokonały cudu. Nawet Malcolm, który był podenerwowany do ostatniej minuty, teraz stał na chwiejnych nogach i opowiadał swoje najlepsze kawały. Każdy słyszał je przynajmniej trzy razy, lecz sposób jego opowiadania był tak wspaniały, że Hannah, osłabiona ostatnim etapem podróży i alkoholem, spadła z krzesła ze śmiechu. Następnie nastąpiła część muzyczna w wykonaniu Irene, Patricka i Alberta, którzy postanowili zaprezentować klasyczne utwory Gershwina. Skutek był godny uwagi, choć niekonieczne w pozytywnym znaczeniu. Dla uspokojenia nerwów zebranych, Albert zagrał kilka wariacji z *Cantaloupe Island* Hancocka - wspierany dzielnie przez Patricka, który wybijał takt na garnkach i pniu drzewa. Chris zadziwiał wszystkich sztuczkami, między innymi wyczarowując jajka z za uszu Hannah i Irene. Gdy Abdu odkrył, że jaja pochodzą ze skrzynki na zapasy, zaczął poszukiwania we wszystkich namiotach. Nawet Tuaregowie, którzy mieli za sobą ciężki dzień, przyszli i śmiali się na całe gardło. Nastrój osiągnął kulminacyjny punkt, gdy wszyscy nalegali, aby i Hannah dała jakiś popis. Początkowo broniła się, lecz w końcu zgodziła, gdy obiecano jej kolejny kieliszek wina. Zapowiedziała prezentację swoich zdolności hipnotycznych, pod warunkiem, że znajdzie się ochotnik. Malcolm, który wszystkich innych uważał za idealne ofiary, bronił się rękoma i nogami.

- Zostawcie mnie w spokoju z tym głupim pomysłem! Potem będę biegał na czterech, szczekał i służył jak pies. Dziękuję, nie ze mną takie numery. Nie mogę sobie, jako kierownik grupy, pozwolić na utratę autorytetu.

Tuaregowie również nie chcieli być ochotnikami. Ich reakcja wskazywała na to, że ogarnia ich strach nawet na myśl o takim eksperymencie. Biegali niespokojnie tam i z powrotem, a nawet zapowiedzieli, że po prostu uciekną. Hannah nie miała zamiaru ich kompromitować, żeby więc skrócić targi wskazała po prostu na Patricka.

- Tutaj siedzi ochotnik - zawołała. - Dziękuję za zgłoszenie!

Zirytowany Patrick oglądał się za siebie.

- Ale ja przecież... - nie dokończył, gdyż nie pozwolił mu aplauz zebranych.

- Brawo, chłopcze, to się nazywa odwaga! - wołał Chris. - Szkoda, że sam jestem zbyt pijany, by stać na nogach, inaczej bym się zgłosił.

Patryk z krzywym uśmiechem wyszedł do przodu i uklonił się niezdarnie. Najprawdopodobniej też za dużo wypił. „Tym lepiej” - pomyślała Hannah- „to ułatwi pokaz.”

- Sami chcieliście. Nie umiem opowiadać dowcipów ani śpiewać, lecz pokażę wam dzisiaj siłę sugestii - powiedziała. Przestańcie gadać, zgaście papierosy, wyprostujcie plecy, patrzcie skoncentrowani na mnie i medium. Najmniejsze odwrócenie uwagi może popsuć eksperyment, a w najgorszym przypadku może stanowić niebezpieczeństwo dla medium. Rozległ się pomruk oczekiwania.

- Mówisz poważnie? - nos Patricka był biały.

- Skąd, to żart - szepnęła i mrugnęła do niego wesoło.

- Teraz proszę wszystkich zebranych o absolutną uwagę. Patrick usiądź tutaj przede mną. I patrz mi prosto w oczy.

Hannah urodziła się z talentem do hipnotyzowania. Już jako dziecko, bez specjalnego wysiłku, robiła wrażenie na swoich rówieśnikach. Później, w czasie studiów, występowała przed studencką bracją i dorabiała w ten sposób trochę pieniędzy. Hipnoza była dla niej dzieciinną zabawą, gdy spełnione były pewne warunki. Dzisiejszego wieczoru były one idealne.

Zajęła miejsce obok lampy gazowej, tak, by wąski promień światła padał na jej oczy. Reszta twarzy znajdowała się w cieniu. Zdjęła z szyi beryl, który nosiła na skórzanym paseczku. Uniosła go. Światło odbiło się na krawędziach kamienia i wyczarowało błyszczące punkciki na twarzach widowni. Hannah zdawała sobie sprawę, że sceneria ta sprawi wrażenie nawet na tych, którzy nie wierzą w magię.

Wypowiadając pierwsze słowa, nadała swemu głosowi głębokie i tajemnicze brzmienie. Kryształ powoli wykonywał ruchy wahadłowe.

- Patricku Flannery, wprowadzę cię w pięciu fazach w stan odprężenia, w którym będziesz słyszeć tylko mój głos. Dźwięk mego głosu zaprowadzi cię głęboko do twojej

podświadomości i tylko mój głos sprowadzi cię z powrotem. Dlatego chciałabym, abyś skoncentrował się wyłącznie na moim głosie i kryształach.

Etap pierwszy. Twoje ciało jest ciepłe i ciężkie. Czujesz, jak ciepło rozchodzi się po twoim ciele i sięga koniuszków palców. Jesteś w stanie całkowitego rozluźnienia, ale twój umysł jest przytomny i chłonny.

Etap drugi. Ciepło unosi się od karku i rozlewa jak ciepła woda za oczami. Czujesz, jak ramiona stają się bezwładne i stopniowo opadają. Powieki stają się coraz cięższe i powoli zamykają się - Hannah zauważyła, że wśród Tuaregów wzrósł niepokój, gdy Patrick faktycznie zamknął oczy. Była zadowolona. Albo Patrick grał doskonale swoją rolę, albo był podatnym medium. - Etap trzeci. Jesteś w stanie absolutnego spokoju. Czujesz, jak unosi cię ciepło. Jesteś lekki jak piórko, potrafisz latać.

Etap czwarty. Wszystko widzisz i potrafisz przypomnieć sobie zdarzenia z twojego życia z najdrobniejszymi szczegółami. Powiedz, jak się nazywałeś i podaj miejsce twego urodzenia.

Usta Patricka poruszyły się. Głos słyhać było najpierw cicho, a potem coraz wyraźniej. Wydawało się, że pochodzi z bardzo daleka.

- Nazywam się Patrick Jonatan Flannery Urodziłem się w Baltingglass, u stóp pasma górskiego Wicklow.

- Opowiedz, jak wyglądał twój pierwszy dzień w szkole.

- Rodzice zaprowadzili mnie do Gladstone Elementary School. Miałem na sobie szkolny mundur, moje buty lśniły jak lustro, bo wyczyściłem je na wysoki połysk. Moja nauczycielka, pani Druian, czekała już na mnie. Miała czarne włosy upięte w kok, a na nosie okulary w wąskiej, srebrnej oprawce.

Hannah odetchnęła głęboko. Udało się. Teraz nastąpi wyjątkowo interesująca część seansu.

- Patrick, dziękuję ci. Byłeś bardzo dobry. Jesteś całkowicie rozluźniony i gotowy, aby udać się jeszcze głębiej w obszar twojej podświadomości. Dochodzimy do ostatniej, decydującej fazy podróży.

Etap piąty. Twój duch jest wolny i może unosić się, dokąd chce. Możesz przemieszczać się w czasie. Przypominasz sobie rzeczy, które zdarzyły się przed wiekami oraz wiesz, co zdarzy się w przyszłości. Opowiedz, jak twój ojciec prosił matkę o rękę.

Po krótkiej chwili Patrick zaczął mówić. Wyglądało, jakby potrzebował czasu na nową orientację.

- Widzę dokładnie - głos Patricka brzmiał jasno i wyraźnie. - Donal, mój ojciec, idzie z dziadkiem w górę ulicy w Tullow. Byli na targu bydła, gdzie udało im się sprzedać z dobrym zyskiem trzy owce i cztery indyczki. W nagrodę ojciec otrzymał cztery funty szterlingi, z którymi miał prawo zrobić, co chce. Czekał na ten dzień długo. Za pieniądze kupił tort kremowy u Maceya i bukiet fiołków u madame Claire. Z zakupami pobiegł do domu rodziny O'Brians, w którym mieszkała Claire, moja matka. Widzę matkę pielęgnającą chwasty w ogrodzie. Na wietrze powiewa jej białoniebieska sukienka w kratę. Zauważyła Donalą, jak schodził z pagórka. Stała jak wryta, ponieważ domyślała się, jakie są jego zamiary. Donal nie doszedł jeszcze do furtki, gdy nagle potknął się i rozłożył jak długi. Bukiet zatoczył w powietrzu łuk i wylądował na murku. Tort cudem został uratowany. Donalowi udało się nie wypuścić go z rąk, mimo że rozerwał sobie rękaw kurtki i zadrapał do krwi łokieć. Claire była przerażona. Zaciągnęła go do domu, aby opatrzyć rany, a przede wszystkim odpowiadała na wszystkie pytania „tak”, nawet, gdy poprosił ją o rękę.

Patrick opowiedział tę historię z obojętną miną. Wszyscy inni tłumili śmiech. Nawet Hannah musiała zmusić się, by utrzymać powagę.

- Bardzo dobrze, Patrick. Teraz chciałabym, abyś poszedł jeszcze dalej. W daleką drogę, w okres, kiedy nie było jeszcze twoich rodziców na świecie.

Zawahał się, lecz zaraz podniósł głowę, jakby coś usłyszał. Na jego twarzy pojawił się uśmiech.

- Słyszę muzykę - szeptał - chyba to jakieś święto. Wszyscy biegają i radują się. Nie rozumiem ich. Mówią w języku podobnym do gaelickiego. Ludzie mają na sobie ubrania z dziwnie grubego materiału, gdzieniegdzie obszyte skórą. Zarówno kobiety jak i mężczyźni mają długie włosy, zaplecione w warkocze, podtrzymywane ozdobnymi kłami. Biegnę na środek wioski, skąd dochodzą dźwięki muzyki. Tej wioski nigdy nie widziałem. Niskie, przysadziste domy pokryte są trzcina. W oknach widać pomalowane doniczki i kielichy. Widzę kuźnię. W młynie mielą zboże. Czuję zapach pieczonego mięsa i chleba. Teraz widzę, skąd dochodzi muzyka. Na środku placu zbudowany jest ołtarz, pokryty owocami z pól. A tam błyszczy symbol Słońca na drewnianym słupie. Muzykanci grają nieznaną pieśń na harfach i kobzach. Przed nimi zgrabnie poruszają się dziewczyny, trzymające w rękach snopki pszenicy. Wyglądają, jakby fruwały - Patrick uśmiechał się szeroko.

Hannah trudno było kierować hipnozą, gdyż nagle zapanował niepokój na widowni. Padały słowa: Celtowie, święto sobótki, dożynki. Nawet Malcolm, nastawiony sceptycznie, był teraz pod wrażeniem. Hannah zatrzymała wahadełko i zwróciła się do publiczności. - Czy

ktoś ma jakieś pytanie, które mam mu zadać? Jeżeli nie, to chciałabym, aby powoli wyszedł ze stanu hipnozy.

- Czy on widzi przyszłość? - zapytała Irene.

- Bardzo możliwe. Jest bardzo dobrym medium. Mam go zapytać?

Pomruk widowni był pełen entuzjazmu. - Tak! Niech nam powie, co tutaj znajdziemy!

- Pewnie diamenty króla Salomona - odezwał się z ironią Albert - albo zatopioną Atlantyde.

Malcolm wstał i podszedł bliżej. - Tak, niech przepowie nam przyszłość.

Hannah wyczuwała podniecenie, jakie zapanowało w grupie.

- W porządku. Spróbuję. Proszę o pozostanie na miejscach! Patrick, do tej pory było bardzo dobrze. Teraz chciałabym, abyś wyruszył w podróż do przyszłości. Zostaw wszystko za sobą, wszystko, co znasz, i udaj się w czasy, w których nie było żadnego z nas. Powiedz, co nam przyniesie przyszłość.

Minęły pełne napięcia i bezdechu sekundy. Nic nie nastąpiło. Wydawało się, że Patrick nie usłyszał ich życzenia. Hannah przygotowywała się już, aby zakończyć demonstrację, gdy Patrick nagle poruszył się. Podniósł rękę i w zwolnionym tempie malował w powietrzu figury - punkty, linie faliste i zakrętaszy.

- Co on robi?

- To był symbol wody, widziałem wyraźnie - szepnął Chris, lecz Hannah nakazała mu milczenie. Wszyscy obecni zdawali się pojmować, że to już nie są żarty. Ręka Patricka wznosiła się coraz wyżej i zaczęła szybko pokazywać w kolejności określone odcinki usianego gwiazdami nieba, oznaczając je symbolami. Nagle, całkiem niespodziewanie, rozległ się jego głos. Był zniekształcony i brzmiał jak syczenie.

- *Anethot, Imlaran, Farass*. Oko nieba. Po wieczne czasy spoczywa w sercu czarnych gór. Nikt nie ma prawa zakłócić jego spokoju!

Słowa brzmiały złowieszczo. Hannah z trudnością próbowała się skoncentrować. Abdu spoglądał na nią wytrzeszczonymi oczami, jakby chciał powiedzieć: skończ z tym!

Hannah przytaknęła i rzekła: bardzo dobrze, Patrick. Myślę, że czas wracać. Chcę, abyś na mój sygnał wyszedł ze stanu hipnozy. Trzy, dwa, jeden...

Lecz Patrick jakby nie słyszał. Tunel - mrucał - tam jest tunel, bardzo wąski, jego ściany pokryte są znakami i symbolami. Nie mogę dokładnie rozpoznać. Dziwne światło wychodzi ze skały i sprawia, że wyglądają jak żywe. Jak żywe, oddychające istoty. Dalej, bardziej z tyłu, otwiera się wejście do jaskini. Och, to ona... - wstał powoli i wyciągnął ramiona.

- Ona jest potężna. Ja... jest tak ciemno, prawie nic nie widzę. Czy to jezioro? Tak, to jezioro, podziemne jezioro. A na nim... Nie. Oko. Chyba na mnie czeka, muszę wracać.

Patrick zataczał się.

Wystraszona Hannah poczuła na czole krople potu.

- Patrick, chcę, abyś natomiast przestał. Na mój znak przyjdiesz z powrotem!  
Natychmiast!

- Oko, odejź ode mnie! Zostaw mnie w spokoju... ja... - chwiejąc się, podszedł do Hannah. Oczy miał szeroko otwarte.

Teraz i Irene wpadła w panikę. - Boże, Hannah, skończ wreszcie! Nie widzisz, że coś jest nie w porządku.

Chciała stanąć między nimi, lecz Hannah kazała jej odejść.

- Zostań na miejscu - syknęła. - Nie wiem, co się dzieje, ale on nie poddaje się już mojej woli.

- Musisz coś zrobić! Sprowadź go z powrotem!

- Cały czas próbuję, ale nie mogę do niego dotrzeć. Całkowicie oddalił się od czasu jak wypowiedział te dziwne nazwy.

Chwyliła Patricka za ramiona i potrząsnęła. - Spójrz na mnie, Patrick! Wróć! Rozkazuję ci!

Sięgnęła po beryl.

- Liczę od pięciu do jednego i wtedy obudzisz się! Pięć!

- Zostaw mnie, nie pójdę z tobą!

- Cztery!

- Boże, nie zostawiaj mnie samego!

- Patrz na mnie, Patrick. Trzy!

- To jest meduza... ona nie chce, abym odszedł, o Boże!

Z zamglonych oczu Patricka tryskały łzy.

- Dwa!

- Nnnn... Nnnn!

Skurcze wstrząsały szczupłym ciałem technika.

- Jeden! Chcę, abyś wrócił! - krzyczała Hannah. - Przestań, Patrick! Wróć do nas!

Uderzyła go w twarz. Reakcja była zdumiewająca. Przerazenie Patricka minęło w jednej chwili i ustąpiło miejsca wściekłej, morderczej złości. Zanim Hannah zdążyła cokolwiek zrobić, jego ręce zacisnęły się na jej szyi.

Zobaczyła wszystkie gwiazdy w oczach.

Oczy poczęły łzawić, a ucisk zwiększał się. Przez czerwoną mgłę widziała, jak wszyscy rzucili się na Patricka i przerażeni usiłowali oderwać jego ręce, które zacisnęły się jak imadło. Takiej przewagi nie wytrzymał nawet opętany Patrick. Uwolnił uścisk i Hannah osunęła się na ziemię. Oddychając z trudem, siedziała na piasku i powoli wracała jej świadomość.

Patrick odwrócił się ku swoim nowym przeciwnikom. Lecz zamiast ich zaatakować, na co na początku zanosilo się, przykrył oczy rękami i krzyknął rozdzierająco. Potem upadł na ziemię i leżał jak rażony piorunem.

## 10

Pułkownik Durand przeglądał swoje odznaczenia. Był to pewien rytuał - robił to zawsze przed podjęciem ważnych decyzji.

Na ścianie, z tyłu pokoju, wisiały dwie pozbawione ozdób ramy, które mogły mylić, co do ich wartościowej zawartości. W jednej wisiało świadectwo ukończenia Ecole Speciale Militaire de Saint-Cyr, Akademii Militarnej położonej na zachód od Paryża, do której Durand uczęszczał w latach 1970-73 i zakończył ją z odznaczeniem. W tych latach był dumą rodziny. Przede wszystkim ojciec robił wszystko, aby umożliwić mu karierę wojskową. Akademia mieściła się w klasycznej budowli i położona była w otoczeniu wspaniałych parków. Tam Durand uczył się, jak być oficerem. Dewizą uczelni było motto Napoleona: *ucz się, aby zwyciężyć*. Od czasu, gdy Durand po raz pierwszy postawił nogę na kamiennym progu szkoły, zasada ta wywierała wpływ na jego życie. Trzy lata spychano go w błoto, wyciągano i pucowano. W końcu instruktorzy byli z niego zadowoleni. Francois Philippe Durand był wzorowym uczniem. Przepowiadano mu szybką karierę i panowało przekonanie, że w ciągu kilku lat będzie należał do sztabu dowództwa Republiki.

Jednakże minęło zaledwie kilka dni od mianowania go oficerem, kiedy poczuł pragnienie zdobywania doświadczeń w praktyce i planował wstąpienie do *Legion Etrangere* - francuskiej Legii Cudzoziemskiej. Konsternacja była ogromna. Mówiono, że zaprzepaszcza swoje szanse. Dlaczego zrezygnował z drogi kariery i wybrał tę inną, dla wielu było całkowicie niezrozumiałe. On uważał, że podjął właściwą decyzję. Dowodzenie zza biurka nie było w jego stylu i wierzył, że w ten sposób zdobędzie życiowe doświadczenie.

Mimo sprzeciwów z każdej strony, mimo dobrych rad nauczycieli, mimo pogroźek i przekleństw ojca, Francois Philippe upierał się przy swoim postanowieniu. Po kilku tygodniach napisał podanie do kwatery głównej Legii Cudzoziemskiej w Aubagne, w pobliżu



Marsylii. Stąd udało mu się w krótkim czasie wstąpić do 2. regimentu skoczków spadochronowych, elitarnej grupy Legii, która brała udział w operacjach na całym świecie.

Wzrok Duranda padł na drugi dyplom, zwykłą kartkę papieru, na której można było przeczytać, że major Durand, po uwieńczonej sukcesem pięcioletniej służbie, przedłuża ją o dalsze pięć lat w sztabie dowodzenia 2. regimentu skoczków spadochronowych w Calvi, na Korsyce.

Wyprężył ramiona, rzucając okiem na krótko i zwięźle sformułowaną umowę. Niewielu mężczyzn na kuli ziemskiej potrafi ocenić znaczenie tego kawałka papieru dla wówczas 29-letniego oficera. Był potwierdzeniem, że obrana droga okazała się słuszną, pomimo, że wszyscy mu ją odradzali. Krew i pot zamiast odznaczeń i parad. Ciężka praca, a co najważniejsze - respekt. Otaczała go aura, którą wszyscy wyraźnie odczuwali, gdy opuszczał swoje biuro i szedł przez koszarowe podwórze. Mówiły o tym spojrzenia innych oraz szeptane słowa. Mówiły o tym wyprostowane sylwetki i pełne uznania skinienia. Drobnostki, które znaczyły dla niego wszystko.

Drogo za to zapłacił. Zwichnięty podczas akcji w Tanger staw barkowy nadał mu dokuczał, a podwójne złamanie biodra było przyczyną, że jego lewa noga była o dwa centymetry krótsza. Ostatecznie ze względu na stan zdrowia oddał dowództwo i szukał spokojniejszego zajęcia. Oferta rządu nigeryjskiego, by zaprowadził spokój na południu kraju, była mu bardzo na rękę.

Dzisiaj obchodził czterdzieste ósme urodziny. Dobra okazja, aby podsumować dotychczasowe życie. Nie, nie mógł sobie niczego zarzucić. Być może jego decyzje były dla niektórych dziwne, dla niego jednak były konsekwentne i prawidłowe. Tak samo postąpiłby raz jeszcze. Północny region kraju stał się bezpieczny dzięki jego kwalifikacjom przywódczym. Nic nie działo się bez jego wiedzy. Nic nie umknęło jego kontroli. Przynajmniej do dzisiaj...

Odwrócił się od swoich odznaczeń i podszedł do biurka. Bolały go dziś ramiona, jakby ktoś wbijał palące igły. Pewnie na zmianę pogody. Z trudem usiadł i spojrzał na faks, który otrzymał niespełna pół godziny temu. Przebiegł wzrokiem linijki i potrząsał głową. Nie podobało mu się to, co czytał, bardzo nie podobało. Wszystko zaczęło się od tej ekspedycji. Fakt, że ci zwariowani Amerykanie uważali, że w tej części świata znajdują coś bardzo ważnego i wartościowego, dziwiło go niezmiernie, ale mógł to ostatecznie zrozumieć. Nie szukali w końcu ani złota, ani kamieni szlachetnych, jedynie prostych rycin na kamieniach. Gdyby znaleźli rzeczywiście coś wartościowego, dowiedziałby się o tym i osiągnął swoje korzyści. Poważne zmartwienie stanowiły dla niego oddziały policji, przydzielone ekspedycji

przez gubernatora Bena Jamara. Dobrzy ludzie, szczególnie ten Mano Issa. Nieobliczalny, grubo ciosany uparciuch, ale bardzo dobry żołnierz. Przez niego mogą być problemy. Nie, zdecydowanie nie przypadło mu do gustu, że na jego terytorium hasało tak dużo obcego wojska. To doprowadzało do destabilizacji sytuacji. A teraz ten faks.

Raz po raz czytał rządki liter, jakby nie mógł uwierzyć w ich treść. Pismo nie pochodziło od rządu ani z kwatery głównej. Nie było też skierowane do niego jako do naczelnego dowódcy. Napisał je stary towarzysz, major Naumann. Człowiek, z którym razem służył w Calvi. Pismo zaadresował do jego rąk.

Naumann był jednym z najlepszych oficerów, jakich znał. Łączyło go z nim więcej niż zwykłe koleżeństwo. Po wyjeździe Duranda kontakty zerwały się.

Z listu wynikało, że i Naumann w międzyczasie odszedł z Legii. Pracował jako doradca techniczny dla niemieckiej firmy zbrojeniowej w Japonii. Ciekawa kariera. Durand dowiedziałby się chętnie czegoś więcej na ten temat. Dziwiły go informacje o amerykańskiej ekspedycji, o której donosił Naumann. Wyglądało na to, że jest dobrze zorientowany. Koszty, czas trwania, znał nawet cel misji. Durand zaklął. Faktycznie był naiwny wierząc, że grupa szuka jedynie malowideł na skałach. Powinien już wtedy posłuchać swojego przecucia i zdobyć dodatkowe informacje. Ciarki przeszły mu po plecach, gdy przeczytał, co było właściwym celem wyprawy. Nie do uwierzenia, że coś tak drogiego znajduje się w tej okolicy. Japończycy, dla których pracował Naumann, a przede wszystkim wielkie konsorcjum, robili wszystko, aby w ich ręce dostało się znalezisko. Przemycili do ekspedycji swojego agenta, który pracuje dla nich już od wielu lat. Obecnie, gdy grupa była bliska celu, Japończyków przestał zadawałać ten jedyny atut i nie chcieli tylko na nim polegać. Teraz chcieli mieć pewność, że wszystko pójdzie po ich myśli.

Durand pokiwał głową. To, czego Naumann żądał od niego, było niesłychane. Nie chodziło tylko o wymienioną astronomiczną sumę, lecz o fakt, iż był jego dobrym przyjacielem, zwracającym się do niego z prośbą o pomoc. To powstrzymało go przed niekontrolowanym wybuchem gniewu. „Raz w Legii, na zawsze w Legii” - mówiło się. Nie ma o czym dyskutować.

Pułkownik Durand wciągnął głęboko powietrze, potem wstał i spalił faks.

# 11

Minęły trzy dni od zakrapianego wieczoru z dramatycznym punktem kulminacyjnym. Dla Hannah były one straszne. Grupa systematycznie przeszukiwała cały teren i zaglądała do różnych zakamarków w nadziei znalezienia śladów meduzy. Od północy na południe, od wschodu na zachód. Każdy kamień został przewrócony. Wyniki poszukiwań były negatywne. Tutaj nie było meduz. Tutaj nie było nawet normalnych malowideł na skałach. Ten rejon był wymarły, jak to się mówi w żargonie paleoantropologów. Pułkownik Durand miał rację mówiąc, że gdyby tutaj było coś interesującego, zostałyby już dawno odkryte.

Patrick obudził się następnego ranka po hipnozie i nic nie pamiętał. Na szczęście seans nie zaszkodził jego psychice, był w dobrej kondycji. Mimo to, strach tamtego wieczoru pozostał.

Członkowie ekspedycji widzieli we wszystkim zły omen, szczególnie Malcolm Neadry, który obarczał Hannah odpowiedzialnością za fatalne skutki jej hipnozy. Mimo zapewnień Hannah, iż nie potrafi wytłumaczyć, co zdarzyło się tamtego wieczoru, Malcolm nie dał się przekonać. Według niego to ona była winna. Teraz, po trzech dniach daremnych poszukiwań, dawał jej do zrozumienia, że zawiodła również jako naukowiec. Obradowali z Irene na osobności, zastanawiając się, czy nie byłoby lepiej powrócić do bajorka wśród skał i tam prowadzić dalsze poszukiwania. Jedyne dzięki perswazji pozostałych członków grupy udało się namówić ich do pozostania. W panującej niemiłej atmosferze Hannah postanowiła, że najlepiej będzie wycofać się na jakiś czas z pola odstrzału, szczególnie, że na zdjęciu satelitarnym odkryła obiecująco wyglądający obszar. Odrzuciła prośbę Chrisa, który chciał jej towarzyszyć; nie chciała dawać pożywki plotkom, których dość było w obozie. Nie chciała również zabrać Abdu, gdyż czuła, że w jego oczach zachowała się jak idiotka.

Pot lał się strumieniami po jej plecach, gdy, nie robiąc przerw, wspinała się po czarnej skale. Każdy kolejny uchwyt kaleczył jej ręce. Nie miała jednak zamiaru poddać się i

zrezygnować. Wyznaczony teren znajdował się po stronie północno-zachodniej i był oddalony w linii prostej trzy kilometry od obozu. Gdy i to miejsce okaże się chybione niedługo wszyscy i tak znajdą się w drodze powrotnej. Jej celem był wąski wąwóz, do którego dojście było bardzo trudne. Nie miało to jednak znaczenia, wprost przeciwnie. Hannah była przyzwyczajona do samotnych wspinaczek, a atmosfera w obozie była nie do wytrzymania, więc chętnie odeszła stamtąd na pewien czas.

Miała za sobą mniej więcej połowę drogi, gdy nagle usłyszała na dole odgłos drapania o skałę. Spojrzała i zobaczyła Chrisa, który zrozpaczony usiłował dotrzymać jej kroku. Zauważył, że Hannah go dostrzegła i zdobył się na pełen bólu uśmiech.

- Poczekaj! - zawołał.

Hannah wywróciła oczy.

- Zaraz dojdę do ciebie - sapał. Jak na złość następny jego ruch okazał się pechowy. Utrzymał się z trudnością. - Cholera, ale ślisko! Jak tobie udało się tam wejść?

Hannah przez chwilę pomyślała czy ma go zostawić wiszącego. Zdecydowała się pomóc, ponieważ niebezpieczeństwo wypadku dla niewyćwiczonych we wspinaczce było zbyt wysokie. Była zła, bo przecież mówiła wyraźnie, że chce iść sama.

- Zostań na miejscu. Już schodzę!

Pomału zsuwała się po linie uważając, by korzystać ze starych zaczepów. Wspinaczka to przede wszystkim robota dla głowy. Każdy chwyt, każdy krok i każde poruszenie się na linie musi być dokładnie przemyślane i zaplanowane. Kto się spieszy, ten robi błędy. Upłynęło kilka minut, zanim dotarła do Chrisa. Ze strachu był biały jak kreda. Hannah uśmiechnęła się do niego, dodając otuchy.

- Złap mnie! Przeciągnę cię na tę stronę, rozumiałeś? Przytaknął i chwycił jej wyciągniętą rękę. Hannah policzyła

do trzech, on zebrał się na odwagę i przeskoczył przez wąski występ. Garść żwiru oderwała się od ściany i potoczyła w przepaść. Hannah przyciskała uratowanego do siebie, nie mogąc złapać tchu. Twarz Chrisa była zalana potem, drżał na całym ciele, ale zdobył się na uśmiech.

Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, Hannah poczuła potrzebę, by go pocałować. Zasmakować potu na jego wargach. Wielki Boże, stracą przez to równowagę i kiedyś odnajdą ich martwych u stóp rafy, w serdecznym uścisku, z uśmiechem na ustach.

- Nie patrz tak na mnie - prosił Chris. - Wiem, że nie miałem za tobą iść, ale po prostu musiałem. Z twojej strony było lekkomyślne wychodzić samotnie z bazy.

- Tak chciałam.

- Ale gdyby ci się coś przytrafiło, nie odnaleźlibyśmy ciebie nigdy w tych górach.

- Byłoby to takie straszne?

- Proszę cię, nie mów takich rzeczy

- Malcolm jest chyba innego zdania - odparła.

- Malcolm jest ignorantem. Kto przywiązuje wagę do jego opinii? Czekał na okazję, aby ci dogryźć. Trzeba przyznać, że twoje przedstawienie było dramatyczne, ale w końcu nic się nie stało. Moim zdaniem, Patrick stracił po prostu nerwy. Jak wielu spośród nas - dodał.

Hannah udawała, że zgadza się z tą opinią, chociaż była innego zdania. Wydarzenie z Patrickiem nie miało nic wspólnego z nadszarpniętymi nerwami. Czowała, że jego reakcja była spowodowana zupełnie czymś innym.

- Chyba masz rację. Mimo to uważam, że zasłużyłam na przerwę. Gdyby każdy wykonywał swoją pracę, zamiast zajmować się duperelami, kłótnia nie miałaby w ogóle miejsca. Jesteś gotowy? Schodzimy?

Chris spojrział w czeluść i potrząsnął energicznie głową. Hannah westchnęła. - Wobec tego musimy postarać się dostać do góry. Masz dostatecznie dużo siły?

Chris przygryzł dolną wargę.

- Chyba tak. Ale sam nie dam rady.

- W porządku. - Hannah spojrzała w górę. - Pójdę przed tobą. Ty za mną w odległości dwóch metrów. Korzystaj z tych samych zagłębień na ręce i stopy, idź dokładnie po moich śladach. Będę udzielała ci wskazówek na bieżąco, zrozumiano?

- Yes, sir!

Pokiwała głową i rozpoczęła się wspinaczka.

Dwie godziny później byli po drugiej stronie wału, siedzieli w cieniu ciemnych, chłodnych skał. Zejście było łatwiejsze, niż na to wskazywała mapa. Na dole było dużo porostów i krzewów, którym udało się wyrosnąć w niszach i między bruzdami w skałach. Wysoko, na wyglądającym spośród skał niebie, pojawiły się chmury. Poza wszechobecnym piaskiem oraz nieprzerwanym odgłosem trzasków kamieni, nie dochodził żaden dźwięk.

- Czego my właściwie szukamy? - zapytał Chris - Wody.

- Wody? Po co? Mamy pełne manierki.

- Nie chodzi o wodę do picia - rzuciła mu pełne wyrzutu spojrzenie. - Zastanów się. Rzeźba w *Tassili N'Ajjer* znajdowała się w półkolu, na samym końcu tunelu, który przed wieloma laty wypełniała woda. W każdym razie wskazują na to wyźłobienia, które znalazłam w głębszych warstwach piasku. Drugie odkrycie - to miejsce, w którym kąpaliśmy się. Z jakiego powodu utrzymuje się w nim jeszcze woda? Prawdopodobnie z uwagi na małą

powierzchnię oraz samą lokalizację, dzięki czemu proces parowania jest mniejszy. Meduza jest dobrze ukryta w głębi, dlatego dotychczas nikt jej nie znalazł. Przypomniałam sobie rozmowę przy obelisku o tym, że meduza była symbolem wody w wielu kulturach. Zastanawiałam się, co mogło mieć znaczenie dla ludzi w zamierzchłych czasach, iż stworzyli tak skomplikowany system oznakowania tych miejsc? System oparty na wiedzy astronomicznej i geometrii powstał w tak rozwiniętej kulturze, że trudno nam w to uwierzyć.

- Żyła wodna!

- Możliwe. A może i nie. W tamtych czasach wody było pod dostatkiem. Był inny klimat. W ciągu pięciu tysięcy lat, między epoką lodowcową i początkiem okresu suszy, padały ulewne deszcze. Wszędzie pełno było strumieni, bajorek i jezior. Jezioro Czad oddalone było od tego miejsca zaledwie o kilkaset kilometrów. Było kiedyś jednym z największych jezior śródlądowych. Wierzano, że tu znajdują się źródła Nilu. Przypomnij sobie obrazy na skałach przedstawiające pływaków. Pochodzą z tego okresu. Nie, woda nie była w tym czasie problemem.

- Więc co? - Chris spojrział bezradnie.

- Było to chyba życzenie, aby i przyszłe pokolenia miały jej pod dostatkiem na uprawę pól i hodowlę bydła. Musisz zrozumieć, że Sahara również w epoce lodowcowej była narażona na ekstremalną suszę. Ludzie zdawali sobie sprawę, że okres suszy może powrócić. Jeśli prawidłowo zinterpretowałam obrazy na obeliskach, to oni chcieli zgromadzić zapas wody dla przyszłych pokoleń, by Sahara była rajem po wsze czasy.

- Myślisz o jeziorze?

Potrząsnęła głową. - Mało prawdopodobne, gdyż jeziora były. Otwarte jeziora nie są trwałym rozwiązaniem. Nie, chodziło chyba o coś innego. Możliwe, że o podziemny zbiornik.

- spojrzęła zamyślona na ziemię.

Chris wzruszył ramionami. - Wszystko jedno, co to było; projekt nie udał się.

- Faktycznie tak było. Interesujące jest, dlaczego ludzie byli wówczas przekonani, że plan się powiedzie. Ta tajemnica nie daje mi spokoju, mam przeczucie, że tutaj znajdziemy jej wyjaśnienie.

Chris miał wątpliwości. - Czy ta teoria opiera się na faktach, czy na zwykłych spekulacjach?

Hannah uśmiechnęła się z zakłopotaniem. - Wiem, jak to brzmi. Każdemu człowiekowi analizującemu problem naukowo włosy jeżą się na głowie, gdy coś takiego słyszy. Potrafię zrozumieć twoje nastawienie do tej sprawy - mówiła wzdychając - sama tak myślałam do czasu odkrycia drugiej meduzy. Elementy układanki zaczęły nagle pasować do

siebie. Jedno wynikało z drugiego. To był proces, którym nie mogłam kierować ani go zakończyć - tak jak w klockach domino wywraca się od razu cały rząd. A teraz nie mam nic poza zwariowaną teorią. Możesz sobie wyobrazić, że dla naukowca to nie jest przyjemne.

- Owszem. To okropne, nikt nie chce uwierzyć dopóki nie przedstawiś nieodpartych dowodów. Możliwe, że nigdy ich nie zdobędziesz. Pociesz się, ja oddaję mój głos na ciebie.

- To znaczy, że jesteś tak samo zwariowany jak ja. Oboje jesteśmy outsiderami.

Pogładziła jego bliznę. - Skąd ją właściwie masz? Chris nabrał głęboko powietrza. - Naprawdę chcesz wiedzieć? To historia, która złamie ci serce.

Hannah przekrzywiła zalotnie głowę.

- Dobrze. Miałem szesnaście lat, gdy zakochałem się na śmierć i życie. Najgorsze było to, że ona miała o dwa lata starszego brata, wstrętnego typu, mówię ci. Cała szkoła bała się go. Szedłem z nią ramię w ramię do domu, gdy nagle on wyskoczył z buszu z dwoma innymi zabijakami. Typy spod ciemnej gwiazdy. Jeden z nich wyciągnął nóż i...

Hannah spojrzała na niego z naganą. - Chris, z jakiego to filmu?

Chris osłupiał. - Opowiadam prawdę, no, może niecałą, ale dotychczas dobrze przyjmowano tę historię.

- Nie chcę, abyś opowiadał mi bajeczki.

- Prawda jest nudna.

- Ocenę sama.

Chris odetchnął głęboko. - Dali mi zastrzyk przeciwko ospie i upadłem. Tak po prostu. Walnąłem głową o szafę z lekarstwami. Buch! Jak przyszedłem do siebie, rana była zaszyta, trzydzieści szwów! Głowę miałem zabandażowaną. Przez tydzień wyglądałem jak mumia. Możesz sobie wyobrazić, jak to podziało na moją młodzieńczą psychikę?

Hannah zaprzeczyła. - Nie, ale muszę przyznać, że bardziej podoba mi się ta wersja. Bo jest prawdziwa.

Chris powoli przysunął swoją twarz do twarzy Hannah. Wzdrygnęła się. - Nie, nie chcę.

Chwycił ją za ramiona. - A może dla odmiany ty opowiedziałabyś prawdę!

Spojrzała mu butnie w oczy. - Prawdą jest, że nic z tego nie będzie, a przysporzy nam tylko kłopotów. W tym momencie najmniej są mi potrzebne. Zadowolony? To teraz zostaw mnie.

- Nie.

- Mówię przecież, że masz dać mi spokój! - Hannah próbowała uwolnić się z jego objęć, ale on był silniejszy. Prawie brutalnie przyciągnął ją do siebie i pocałował. Początkowo

broniła się i chciała go ugryźć, lecz na nim nie sprawiało to wrażenia. Jej obrona stopniowo słabła. Wargi Chrisa były miękkie i aksamitne. Podciągnął do góry jej bluzkę i gładził piersi.

- Ciągle jeszcze mam przestać? - szeptał do ucha.

Zamiast odpowiedzieć, Hannah zaczęła rozpinąć mu spodnie. Powoli, bez pośpiechu, rozebrali się i ostrożnie zaczęli poznawać swoje ciała. W ciasnym uścisku opadli na ziemię u podnóża potężnej ściany skalnej. Nikt ich tutaj nie mógł znaleźć ani usłyszeć. Byli sami ze swoim pożądaniem.

Gdy Hannah otworzyła oczy, wydawało jej się, że pustynię nagle wypełniło życie. Czowała, jak delikatny wietrzyk porusza liśćmi młodej palmy. Trawa szeleściła u jej stóp, cykały owady, w dali rozlegał się głos jastrzębia. Wszędzie odkrywała życie, dźwięki i światło. Było tak samo, jak tamtego dnia przed wieloma laty, gdy po raz pierwszy postawiła stopę na pustyni.

Wolno usiadła i rozejrzała się. Musiała przysnąć. Nic dziwnego, że po tylu miesiącach wstrzemięźliwego życia, namiętność wybuchła jak wulkan. Nie było śladu Chrisa. Prawdopodobnie badał okolicę, gdy ona marzyła o cudownych rzeczach. Nie chciała go wołać. Uleciałby czar tego miejsca, a Hannah czuła się ciągle jeszcze jak we śnie.

Z uśmiechem zebrała swoje rzeczy i ubrała się. Plecak leżał kilka metrów dalej za wyschniętym krzewem. Podniosła go i podążyła po śladach Chrisa, które pozostawił na miękkim piasku.

Słońce przesunęło się o spory kawałek. Z niechęcią wyszła z chłodnego cienia na dobrze oświetloną drogę. Pierwszy rzut oka potwierdził przypuszczenie, które przyszło jej na myśl już podczas oglądania zdjęć satelitarnych. To koryto wyschniętego strumienia, w którym chyba jeszcze niedawno płynęła woda. Dolne części skały miały wyraźnie ciemniejsze zabarwienie, w niektórych miejscach widać było resztki mchu. Czy to możliwe, że znajdzie w tym miejscu dowód swojej teorii?

Przystanęła i nabrała głęboko powietrza. Nie, koniec z tym! Musi przestać upierać się przy urojeniu, w przeciwnym razie grozi jej zawodowa dyskwalifikacja. W każdej naukowej rozprawie podlegały sprawdzeniu nie tylko wyniki, lecz i metody analizy. Gdy faktycznie coś odnajdzie, świat fachowców przeczyta z zainteresowaniem jej relację. Wyniki mają być rezultatem logicznych, konsekwentnych badań, a nie być podyktowane nadprzyrodzonym natchnieniem. „Droga jest tak samo ważna jak cel” - mówił profesor Monod na temat starej mądrości zen. I miał rację. A zatem koniec z fantazjowaniem.



Koryto skręcało ostro, a gdy Hannah minęła zakręt, zauważyła Chrisa. Kucał przy otworze skalnym i wpatrzony był w jego wnętrze.

- Tutaj siedzisz! Zaczęłam się już martwić. - Hannah dotknęła jego ramienia i pocałowała w kark. Odwrócił się. Hannah od razu zorientowała się, że coś znalazł.

- Nie chciałem ci przeszkadzać- powiedział. - Tak słodko i beztrosko spałaś.

- Tego od dawna było mi brak. Szkoda, że minęło. A ty? Wygląda na to, że coś odkryłeś.

- Nie wiem dokładnie. Musiałbym się jednak bardzo mylić, gdyby on nie okazał się naszym małym sprzymierzeńcem.

Wskazał masywny blok skalny, który jak zwornik sterczał nad otworem. Hannah podeszła bliżej. Faktycznie, to forma z kamienia. Prawie nie można było jej dostrzec, tak mocno to miejsce zniszczyła erozja. Lecz stopniowo odkrywała znany kontur.

- Masz cholernie dobry wzrok, wiesz o tym? - zauważyła z uznaniem. - Nie wiem, czy ja bym ją rozpoznała. Ale to ona, bez żadnych wątpliwości - westchnęła.

- Co robimy?

- Naturalnie wchodzimy do środka. Masz latarkę?



## 12

Chris musiał położyć się, aby przez ciasne przejście przedostać do wnętrza. Posuwał się do przodu, wkładając stopy we wgłębienia skały i tak przemieszczał centymetr po centymetrze. Kamienie drapały jego ciało i zahaczały ubranie, jakby chciały go zatrzymać. Do tego przejście prowadziło w górę, co utrudniało wdrapywanie.

- Widzisz już coś? - głos Hannah dobiegał z daleka.

- Nie - wydyszał. Jest za wąsko. Muszę wejść głębiej, aby cokolwiek dojrzeć.

Zacisnął zęby i przesunął się o kawałek. Nagle usłyszał trzask i ze szczeliny nad nim ciurkiem posypał się piasek. „Zginę, jak zawali się jeden ze skalnych bloków” - pomyślał. Nikt nie zdoła go uratować. Na szczęście nie cierpiał na klaustrofobię. Znał ludzi, zatwardziałyh naukowców, którzy bez wahania weszliby w otchłań ognistego wulkanu, lecz w tej sytuacji umarliby ze strachu.

Chris przebijał się dalej. Nie było dla stóp podparcia, więc podciągał się ramionami. Był to wyczerpujący sposób poruszania. Przez głowę przeleciała mu nieprzyjemna myśl. Gdy przejście okaże się ślepe, będzie miał problem. Wątpił, czy starczy mu sił w ramionach na powrót. Utknie jak korek w butelce.

Zatrzymał się, aby odetchnąć. Powietrze cuchnęło stęchlizną. Ciekawe - pomyślał. To oznacza, że gdzieś w tych skałach jest żyła wodna. Hannah miała rację. Dalej, naprzód! Tylko nie poddawać się. Musi za wszelką cenę dotrzeć do końca tunelu, zanim opadnie z sił.

Pełznąć w ciemnościach, dopuszczał do siebie jedyną myśl - o Hannah. Była taka delikatna, gdy pozostawił ją śpiącą. Krucha i szczęśliwa. Chyba widział na jej twarzy lekki uśmiech, na pewno śniła o czymś przyjemnym. Ciągle czuł jej ręce i pocałunki. Zbliżenie z nią było jak rausz. Cudowne i zarazem tragiczne.

Robił sobie wyrzuty, że posunął się za daleko. Dlaczego nie potrafił się oprzeć? Dlaczego musiał przespać się z nią i sprawę jeszcze bardziej skomplikować?

Zagryzł wargi. Kiedyś będzie musiał sprawić jej przykrość.

Promień światła latarki padł na dużą, czarną przeszkodę, leżącą tuż przed nim. Psiakrew, a więc tunel jest ślepy. Podpełzł jeszcze kawałek i zauważył, że ciemność ustępuje w świetle latarki. Wypełniła go nadzieja. Nic nie stało na drodze, to był po prostu koniec tunelu. Dalej widoczne było duże pomieszczenie. Chris poczuł przypływ energii i przesunął się dalej. Otarł pot z oczu i parł do przodu jak oszalały. Udało się. Z westchnieniem ulgi wysunął się z wąskiego przejścia.

Światło latarki padło na niezwykle wnętrze pustej komory. Jej wysokość wynosiła około pięciu metrów, a średnica piętnaście. Strumień światła ukazywał nowe, zdumiewające szczegóły. W oczy rzucały się nieskazitelnie gładkie ściany. Nie było żadnych nierówności, żadnych fug ani krawędzi - absolutnie czysta, goła, gładka skała. Na jej powierzchni nie było śladów użycia jakichkolwiek narzędzi. Dziwne, takiej komory nie mogły przecież stworzyć siły natury. Niewątpliwie było to mistrzowskie dzieło sztuki budowlanej. Z pewnością powstało w owym okresie spowitym mgłą, o którym nie wykładano na historii. Chris przesunął palcami po powierzchni. Jakiej siły użyto, by w masywnej skale z monolitu wykuć taką jaskinię! Niewiarygodne, po prostu niemożliwe.

Rozejrzał się dookoła. Nie było wejścia ani wyjścia - tylko tunel, przez który przeszedł. Zatem podczas budowy gruz usuwano tym przejściem.

- Chris? - jakiś głos wyrwał go z zamyślenia. Skierował światło na otwór. Z mroku wynurzała się pokryta kurzem Hannah. Światło oślepiło ją, odwróciła głowę i zakryła oczy ręką. Sapiąc, próbowała wydostać się z dziury.

- Przepraszam, nie słyszałem twojego nadejścia - powiedział Chris, pomagając jej wyjść.

- Dlaczego poszłaś za mną? - pytał z naganą. - Przez tę wąską sztolnię, bez światła. Szaleństwo!

- Nie odpowiadałeś na moje wołania. Myślałam, że masz kłopoty i po prostu poczołgałam się za tobą.

Wyjęła okulary z kieszeni kamizelki, założyła na nos i rozejrzała się. Przez kilka minut nie powiedziała ani słowa. Z uwagą oglądała tajemnicze dzieło mistrzów zamierzonych czasów. Podeszła do przeciwległej ściany i palcami badała powierzchnię kamienia. „Jak niewidoma” - pomyślał Chris. Musi dotknąć, by wejść w kontakt z przedmiotem. Gdy podszedł bliżej, zauważył, że wodzi palcami po rowkach w kamieniu. Wyżłobienia były tak delikatne, że nie spostrzegł ich na pierwszy rzut oka. Wstrzymał

oddech. Palce Hannah dokonały niezwykłego odkrycia - komora wypełniona była rycinami od podłogi po sufit.

- Musimy zawiadomić grupę - powiedziała Hannah. - Natychmiast!

Kilka godzin później członkowie wyprawy stali przed wąskim przejściem, prowadzącym do serca prastarej tajemnicy. Hannah i Chris sprowadzili ich inną drogą, nie aż tak niebezpieczną, lecz równie uciążliwą jak ich pierwsza wspinaczka. Wszyscy byli spoceni i mieli zaczerwienione twarze. Przyszli również Mano Issa i jego dwóch ludzi. Ich zadaniem była obserwacja wąwozu z góry. Reszta eskorty pilnowała bazy.

- Mam nadzieję, że opłaci się nam ten morderczy wysiłek - jęczał Malcolm, sprawdzając coś przy cyfrowej kamerze wideo. - Przerwa w kręceniu to strata dwóch dni. Wszystko było perfekcyjnie przygotowane - kamera, oświetlenie i dźwięk. A tu nagle przerywamy i idziemy! Niech to szlag trafi. Nie dotarło do was, że zmienia się pogoda? Poczekamy długo na takie samo światło! - sapał jak stary parowóz.

Chris udawał, że nie słyszy. Wiedział, że nie było nic interesującego do filmowania, a inne rzeczy można było nagrać później.

Zaczął rozdawać latarki z bateriami niklowo-kadmowymi, których zaletą była możliwość ładowania prądnicą.

- Są niestety tylko cztery - mówił. - Proponuję, abyśmy podzielili się na cztery dwuosobowe grupy. Irene, pójdiesz z Malcolmem, Gregori z Abdu, Albert z Patrickiem, ja z Hannah. Wszystko macie? - spojrzał na twarze kolegów. - Dobrze, chciałbym was jeszcze prosić o zachowanie ostrożności. Przejście jest nadzwyczaj wąskie. Utrzymujcie dostateczną odległość od idącego przodem. A przede wszystkim nie wpadajcie w panikę. Jeśli ktoś cierpi na klaustrofobię, niech lepiej zostanie. Proszę o poważne potraktowanie moich uwag. Spojrzał bacznie na zebranych.

- Nikt? OK. Idziemy! My z Hannah jako pierwsi, reszta w krótkich odstępach. Z zachęcającym uśmiechem zniknął w ciemnościach.

Tym razem droga wydawała się Chrisowi o wiele krótsza. Nie odczuwał nawet ciasnoty. Szybko dotarł do komory. Hannah szła tuż za nim.

- Mam nadzieję, że inni podzielą nasz entuzjazm - powiedziała cicho, wylaząc z tunelu - inaczej oberwiemy.

- Spokojnie. Wszystko będzie dobrze.

Nie czekali długo. Przez otwór przeciskała się kolejno cała szóstka. Zabrudzeni i dyszący, z szeroko rozwartymi i wystraszonymi oczami, stali we wnętrzu jaskini. Patrick strzepywał piasek z włosów.

- Wielki Boże, nie przesadziłeś ani trochę, Chris. Ten tunel to piekło. Ciarki przechodzą mnie na myśl, że muszę jeszcze raz tam wejść.

- Dlaczego czołgałeś się tak szybko? - mówił rozżalonym głosem Albert, czyszcząc okulary. - Mogłeś na mnie poczekać. Musiałem pełznąć w ciemnicy. W drodze powrotnej ja wezmę latarkę.

- Cicho! - syknęła Irene. - Rozejrzyjcie się lepiej!

Głosy stopniowo milkły. Nawet Malcolm, który zawsze miał powód do narzekania, rozglądał się w milczeniu. Chris poczuł, że Hannah ściska jego rękę.

W krypcie nastąpiła cisza jak makiem zasiał.

Przez kilka minut nikt nie odważył się jej zakłócić. Chris uważał to za dobry znak. Był dowodem, że decyzja o sprowadzeniu tu całego zespołu była słuszna. Chrisowi zdawało się, że słyszy myśli kłębiące się w głowach obecnych.

- Spójrzcie - Patrick przerwał milczenie - symbole wody na tamtej ścianie wyglądają tak samo jak w *Tassili N'Ajjer*.

- Zgadza się - potwierdziła Irene. - Symbole wody i gwiazd. Wskazała inne miejsce. - Tu jednak wyglądają całkiem inaczej.

Hannah chrząknęła. - Podczas pierwszego rozeznania ustaliliśmy z Chrisem, że komora składa się z czterech części. Tutaj przeważają symbole wody, tam ognia, dalej Ziemi, a po przeciwnej stronie powietrza. Te cztery motywy. Już w *Tassili N'Ajjer* Chris podejrzewał, że gdzieś znajdują się trzy inne słupy, których dotychczas nie znaleziono. Być może na nich przedstawione są pozostałe motywy.

Albert Beck obchodził malowidła jak kot zdechłą mysz. - Czy komuś przychodzi do głowy wyjaśnienie sensu tych rysunków? Można zapłacić nimi całą książkę, lecz nie wydaje mi się, że miały spełniać funkcję dekoracyjną. Zbyt duży nakład pracy.

Hannah czuła, że pytanie było skierowane do niej.

- Też nie wiem - odpowiedziała, wzruszając ramionami - te obrazy opowiadają jakąś historię, której nie rozumiem. Coś zleciało z nieba, a tutaj spadło - pokazała przedmiot o nierównomiernym kształcie. Wiał silny wiatr. Może to było trzęsienie ziemi - jej palce gładziły obraz w miejscach, gdzie widoczne były rysy - a wystraszeni ludzie biegali we wszystkich kierunkach. Potem nadeszła woda. Zbierała się, tworząc jeziora i rzeki. Dla

ludzkości rozpoczęła się era pokoju i dobrobytu. Zobaczcie, tu widać duże stada zwierząt, a tam zagrody.

Irene przyglądała się krytycznie obrazom. - Dlaczego przywiązywano tak wielką wagę do gwiazd? Zajmują prawie połowę powierzchni. Uważam za nieprawdopodobną teorię, iż służyły one wyłącznie do określenia położenia. Za tym kryje się coś więcej.

Chris przytaknął. - Mam takie samo wrażenie. Lokalizacja była pewnie tylko częściowo istotna. Istnieje coś, o czym dotychczas opowiedziałem tylko Hannah. Z tego prostego powodu, że sam nie potrafiłem sobie tego wyjaśnić. Znalazłem mianowicie system gwiazd, który jest wyraźnie widoczny na wszystkich czterech rysunkach. To ten - wskazał na niepozorną plamę, otoczoną pierścieniem. Nawet przy użyciu lornetki o najwyższej ostrości, gwiazd tych nie można dojrzeć z Ziemi. Ten gwiazdozbiór odkryto w roku 1956 przy pomocy radioteleskopu. Sprawdziłem dokładnie. Porównanie z aktualną mapą nieba wykazało, iż pozycje gwiazd nakreślone przez ludzi pierwotnych są absolutnie prawidłowe - Chris czekał w napięciu na reakcję obecnych, gdy nagle od strony wejścia dobiegło stłumione sapanie.

Na otwór tunelu padło światło latarek. Ukazał się Mano Issa z wykrzywioną z wysiłku twarzą. Abdu podbiegł i pomógł mu wstać. Dowódca ochrony sprawiał wrażenie niespokojnego. Był zbyt zdenerwowany, aby mówić po francusku, zwracał się więc do Abdu w szorstko brzmiącym języku tamaszek. Z gestykulacji wynikało, że coś się dzieje na zewnątrz. Nikt poza Hannah nie pojmował, o co chodzi. Jej wyraz twarzy zdradzał, że wydarzyło się coś strasznego.

- Co się stało? - wtrąciła się Irene. - O czym on mówi?

- Zauważył dym - odpowiedział przerażony Abdu. - W okolicy, gdzie jest nasza baza.

- Tak. I jeszcze coś. Słysząc było strzały z broni maszynowej - dodała Hannah.

Wszyscy zamarli ze zgrozy. To mogło oznaczać tylko jedno - rebelianci odkryli obóz.

- Musimy wracać - zdecydował Malcolm. - Tam są nasze wszystkie urządzenia warte miliony. Musimy ratować, co się da.

Irene odwróciła się gwałtownie. - Myślisz tylko o urządzeniach! A nasze życie? Jeśli tam walczą, powrót byłby lekkomyślnością. Tuaregowie są zobowiązani do obrony bazy, a nie my.

- Mimo wszystko powinniśmy pójść z powrotem - wtrąciła Hannah. - Musimy ocenić sytuację w obozie. Tutaj może nam się wydawać, że jest gorzej niż w rzeczywistości. Może są ranni i potrzebują pomocy. Nie wiemy. Ja jestem w każdym razie za natychmiastowym powrotem.

Aprobujący pomruk wypełnił jaskinię. Większość obecnych była zgodna. Po krótkim wahaniu i Irene przystała na propozycję.

- Dobrze. Boże, dopomóż!

Było gorzej niż przypuszczali. Już z daleka Chris zauważył gęsty i czarny dym. Płonący olej. Pewny znak, że pali się generator Diesla. Ciemne kłęby mieszały się z kurzem, wzmaganym przez północno-wschodni wiatr. Nad doliną unosił się smród palących się urządzeń elektronicznych. Resztki materiałów i folii fruwały w powietrzu. Jakby nie dość było tego nieszczęścia, nadciągające ze wschodu ciemne burzowe chmury zapowiadały niezłą ulewę. Obraz grozy. Chris poczuł dreszcz na plecach na widok zwłok pomiędzy poprzewracanymi skrzyniami i strzępami namiotów. Mano Issa machał rękę, pokazując na prawo i lewo. Te gesty zrozumieli wszyscy. Pojedynczo lub grupkami chowali się za bloki skalne, aby nie wpaść w zasadzkę. W pobliżu mogli ukrywać się snajperzy. Mano znalazł dogodną pozycję i przez lornetkę obserwował dolinę. Był poruszony i smutny, gdy zszedł na dół. Chris zaniepokoił się, gdyż Mano uważany był za zatwardziałego wojownika.

- Nie żyją - powiedział Tuareg łamaną francuszczyzną - wszyscy zginęli!

Dwóch jego ludzi przyjęło wieść z zaciętym wyrazem twarzy. Na rozkaz Mano naładowali i odbezpieczyli broń. Mano polecił Chrisowi i reszcie grupy, aby poszli za nimi, gdy usłyszą gwizd. Jeśli padną strzały, mają zostać za skałami.

- Umiecie się z tym obchodzić? - zapytał, trzymając w ręku dwa karabiny szybkostrzelne.

Tylko Gregori przytaknął.

- Masz!

Chris mimo woli też wyciągnął rękę. - Daj mi ten drugi. Jak to funkcjonuje?

Gregori objaśnił mu w kilku słowach. Chris skinął głową. Patrzył, jak ludzie Mano Issa rozbiegają się.

- Psiakrew, postąpiliśmy lekkomyślnie. Teraz mamy bigos.

- Mówiłam, że należało pozostać na miejscu - wtrąciła Irene. - Chociaż nie rozumiem, przecież Tuaregowie obszukali okolice i uznali je za bezpieczne.

- Widocznie niespecjalnie się przyłożyli - prychnął ze złością Albert. - Poza tym nie doceniliśmy rebeliantów.

- Ani ostrzeżeń pułkownika Duranda - dodała Hannah - chciałabym, aby był teraz z nami.



- Ale go nie ma! - głos Malcolma brzmiał histerycznie. - Nic nam nie da gadanie o tym, co by było, gdyby. On siedzi sobie wygodnie w bezpiecznym forcie sto kilometrów od nas i czyta *Zbrodnię i karę*, popijając pernod.

Patrick drapał się po brodzie.

- Powinniśmy posłać jednego z wojowników po pomoc. Trzeba przejść tylko mały odcinek do ciężarówki. Dalej można jechać. Najpóźniej za osiem godzin pomoc byłaby na miejscu.

Zamiast odpowiedzi zabrzmiał przeciągły gwizd.

- To sygnał. Chodźmy! - Chris zeskoczył ze skały.

Broń miał w pogotowiu. Inni ruszyli za nim, ostrożnie rozglądając się po otaczających górach.

Baza przedstawiała obraz spustoszenia. Mano Issa stał obok zwłok sześciu mężczyzn, ułożonych w rzędzie. Otuleni w swoje czarne peleryny wyglądali jak posłańcy z krainy śmierci. Chris zagryzł wargi. Nigdy nie widział z bliska ciał zabitych w walce. Widok nie miał nic wspólnego z bohaterstwem. Jednemu żołnierzowi brak było kawałka prawej ręki, drugi nie miał połowy twarzy. We włosach widać było smugi lepkiej krwi. Wstrząsająco wyglądały zwłoki wojownika, któremu bez miłosierdzia poderżnięto gardło. Pięć następnych trupów leżało trochę dalej, obok odbiornika satelitarnego. Albert Beck, który miał najwrażliwszy żołądek, zwymiotował.

Pozostali stali przejęci nad ciałami.

- Spili się! - parsknął Mano Issa, pokazując puste butelki po winie, stojące w skrzynce obok zwłok. - Przekłęci idioci! Pozwolili się podejść! - z odrazą splunął na ziemię.

Chris odwrócił się. Nie znał tych ludzi, ale uważał, że zasłużyli na traktowanie z respektem, chociaż nie dopełnili swoich obowiązków. Ten kraj stawał mu się coraz bardziej obcy. Gregori przeżegnał się, inni stali apatycznie, nie wiedząc, co powiedzieć.

Łzy płynęły po pokrytej sadzą twarzy Hannah. Chris ujął jej rękę i lekko uściskał. To był koniec ekspedycji. Koniec. Kłapa. Odszedł kilka kroków, aby zebrać myśli. Może powinien zrobić spis inwentarza pozostałych rzeczy?

Czarne płatki sadzy osiadały powoli na kilku urządzeniach, których nie ukradziono i nie zniszczono. Namioty były rozprute, część śpiworów oblano benzyną i podpalono. W którymś z namiotów znalazł podarte rysunki Hannah. Luźne kartki cudem ocalały od ognia.

Idąca za nim Hannah, w milczeniu, niemal mechanicznie, podnosiła akwarele i notatki, nad którymi pracowała od miesiący. Nie było śladu po wartościowych przedmiotach, otrzymanych od Instytutu Frobeniusa. Podobnie sprawa przedstawiała się z resztą

wyposażenia technicznego. System nawigacyjny GPS, części kamery, laptopy - wszystko zostało zrabowane. Nie było wielbłądów. Nie wiadomo, czy je zabrano, czy same uciekły w popłochu. Chris ujrzał przerażonego Malcolma biegnącego po obozie w poszukiwaniu puszek z gotowymi filmami. Mógłby mu powiedzieć, że odnalazł chłodziarki, że włamano się do nich i filmy spalono. Wstrzymał się jednak. Nie wiedział, jak Malcolm zareaguje na wiadomość o takiej stracie. Uznał, że lepiej nie być w pobliżu, gdy odkryje prawdę. Najdotkliwszą stratą było urządzenie satelitarne. Jedyna szansa poinformowania świata o wydarzeniu została utracona.

- Jesteśmy u kresu. Uszliśmy wprawdzie z życiem, ale jaką mamy szansę na bezpieczny powrót do fortu? - narzekał Albert, ścierając sadzę z okularów. - Powiem wam: ta szansa jest równa zeru. Rebelianci nas wypatrują. Ukryci za tymi skałami, czekają na moment, gdy podejdziemy bliżej.

- Zostawili nam przynajmniej część prowiantu - Abdu stał pod palmą, gdzie zakopał niektóre skrzynki z zapasami. Nie wiadomo, czy z braku czasu, czy z niedbalstwa, część skrzynek pozostała nienaruszona. Abdu otworzył je i sprawdzał zawartość.

- Jest wszystko: konserwy, suszone owoce, chleb, mleko w proszku, nawet piwo - zaśmiał się głucho.

- Wspaniale - powiedział Malcolm. - Możemy przynajmniej upić się w tej beznadziejnej sytuacji. Błysk światła w tunelu!

- Oszczędź sobie tych cynicznych komentarzy! - ucięła Irene - musimy opracować plan.

- Plan? Pierwszorządnie! Na pewno masz już gotowy.

Oczy Irene zapalały złością. - Od ciebie nie można niczego oczekiwać! Ja mam przynajmniej kilka propozycji! Czy ktoś jest zainteresowany?

Wszyscy, z wyjątkiem Malcolma, przytaknęli.

- Dobrze. Jedną z możliwości jest próba dojścia do ciężarówki i dalsza ucieczka. Zgadza się jednak z Albertem, że byłoby to zbyt ryzykowne. Pozostał pomysł Patricka, aby posłać kogoś po pomoc. Lecz co będziemy robić w tym czasie? Czekać tutaj?

- W żadnym przypadku - wmieszał się Mano Issa, który niepostrzeżenie przyłączył się do obrad. Krótko, topornym językiem, przedstawił swoje stanowisko.

- Z resztą moich ludzi powrócę do fortu i sprowadzę pomoc. Wy najkrótszą drogą idźcie do jaskini i tam czekajcie w ukryciu. Tu nie możecie pozostać. Jest bardzo prawdopodobne, że rebelianci wrócą.

- Co takiego? Mamy zaszyć się w tej mysiej dziurze i czekać, aż nas znajdą? - Malcolm prawie wychodził z siebie. - A co będzie, jak wam się nie uda? Gdy nie przedostaniecie się? Wówczas grozi nam żalosna śmierć z pragnienia - pnił się i krzychał coraz głośniejsze. - Beze mnie! Wymyśl coś innego. W końcu to przez ciebie i twoich pijanych ludzi znaleźliśmy się w takiej sytuacji!

Oczy Mano Issa zaiskrzyły się. Naprężył mięśnie, lecz był na tyle zdyscyplinowany, aby zaniechać rękoczynów. Odpowiedział gniewnie:

- Moi ludzie są wprawdzie winni, lecz zginęli dla sprawy, z którą nie mieli nic wspólnego! Oni zdawali sobie sprawę z ryzyka, wiążącego się z przyjściem tutaj. Osobiście jestem odpowiedzialny za wasze bezpieczeństwo, bo tego wymaga ode mnie mój honor. Lecz wobec odmowy posłuchania mojej rady, odpowiedzialność ta natychmiast się kończy. Pozostawiam was własnemu losowi i wracam z moimi ludźmi do Agades!

Irene, która chyba jako jedyna miała wpływ na Malcolma, dotknęła jego ramienia.

- Myślę, że to dobry pomysł. Umówmy się, że jeżeli w ciągu siedemdziesięciu dwóch godzin nie będzie od was żadnej wiadomości, opuścimy jaskinię i będziemy próbować przedzierać się sami.

Mano skrzyżował ręce na piersiach na znak zgody. Chris, który nie otrząsnął się jeszcze po tragedii, zaczynał powoli rozsądnie myśleć.

- Musimy zabrać ze sobą tyle prowiantu, ile zdołamy unieść. Natychmiast wyruszamy w drogę. Mam nieprzyjemne uczucie, że ktoś nas obserwuje.

- Ja również - dodała Hannah. Mówiła szeptem. - Chcę jak najprędzej stąd odejść, zanim zdarzy się następne nieszczęście.

W mgnieniu oka spakowano plecaki. Zabrano wszystko, co wydawało się konieczne do przeżycia następnych dni. Znaleźli dwa kochery, sporo konserw, suszone owoce, muesli, figi i chleb. Najważniejsza była woda. Patrick i Chris załadowali sobie na plecy dwudziestolitrowe kanistry, inni napełnili wodą wszystkie posiadane manierki i przywiesili je do plecaków. Zapakowali wszystkie odnalezione latarki i baterie, jak również trzy lampy gazowe wraz z butlami. Zaskoczeni stwierdzili, że rebelianci nie zauważyli trzech radiotelefonów, ukrytych pod lampami. Sprawdzone i okazało się, że mają naładowane baterie. Chris złapał jeden z nich. - Szybko, spróbujmy, czy uda nam się z kimś połączyć! Włączył i trzymał aparat przy uchu. - Halo, halo! Czy ktoś mnie słyszy?

Wszyscy skupili się wokół niego i słuchali w napięciu. Poza szumem nic nie było słychać. Chris próbował jeszcze kilkakrotnie, lecz z tym samym wynikiem. - Do diabła. Nikt nas nie słyszy!

- W każdym razie warto było spróbować. Kto wie, może przydadzą się nam walkie-talkie. Zapakuj!

Po pół godzinie wszyscy byli obładowani i gotowi do wymarszu. Bez słów pożegnali się z Mano Issa. Każdy miał świadomość, że w jego w rękach jest ich życie. Gdy nie uda mu się przedrzeć do fortu, są na straconej pozycji.

Przywódca Tuaregów spojrzał w pokryte czarnymi chmurami niebo. Powaga była z jego twarzy.

- Burza - powiedział posępnie - być może z tego powodu rebelianci jeszcze tu nie wrócili. Musicie się spieszyć. Burze o tej porze roku są groźne - jeszcze raz spojrzał w niebo - a ta będzie szczególnie niebezpieczna.

## 13

Zbliżali się do jaskini, która miała udzielić im schronienia na następne dni. Hannah oddychała ciężko - dzisiaj po raz trzeci pokonywała tę drogę. Doszli do zejścia przed wąwozem, gdy nagle usłyszeli złowieszcze wycie, jakby tysiąc rogów bojowych nawoływało do walki. Zatrzymali się, nasłuchując. Chris opuścił na ziemię kanister z wodą.

- Wielki Boże, co to ma znaczyć?

Na twarzy Hannah malował się strach. Zapowiedziana burza. Oddech śmierci, o którym opowiada legenda Tuaregów - odparła - wiatr wydobywa się z jaskiń i wąwozów.

- Przeżyłaś już coś podobnego? - Irene poprawiła paski plecaka.

Hannah potwierdziła. - Tak, ale nie było aż tak głośno. Upiorny odgłos. Przygotujcie się na najgorsze! - wyjęła z torby i założyła okulary, chroniące przed piaskiem.

Reszta poszła za jej przykładem. Wkrótce grupa przypominała kosmonautów.

- Upiorny dźwięk. Jestem za tym, abyśmy pospiezyli się - Irene próbowała przekrzyczeć coraz głośniejsze wycie.

Hannah w duchu przyznawała jej rację. Ona nie bała się wprawdzie wycia, lecz zdawała sobie po prostu sprawę, co oznacza burza o tej porze roku. Była świadkiem, jak z samochodów w ciągu kilku minut zdrapywany był lakier, jak matowiały szyby w oknach, widziała porywane przez wichurę namioty oraz wydmy tworzące góry w miejscach, gdzie poprzednio była równina. Pamiętała pustynię zamieniającą się w żywe, huczące morze piasku. Kto nie przebywał na Saharze, ten nie ma pojęcia, jakie szkody może spowodować taki żywioł.

Byli już około 300 metrów przed wąwozem, gdy pojawiły się pierwsze poddmuchy. Najpierw uwalniał się wierzchni kurz, potem zaczynał ruszać się piasek z głębszych warstw.

- Boże, spójrzcie - jęknął Patrick - piasek zaczyna płynąć. Wygląda, jakby zamienił się w wodę.

Hannah wiedziała, że zaraz rozpocznie się piekło.

- Złapcie się natychmiast za ręce! - zawołała.

Zaraz potem podmuch wiatru runął na dolinę, prawie odrywając jej stopy od ziemi. Na całym ciele czuła palące ukłucia jak od tysięcy igieł jednocześnie. Nic nie widziała. Przykryła twarz rękami i usiłowała choć częściowo znaleźć oparcie w niszy skalnej. Wibrujące, grzmiące piekło z piachu i pyłu nacierało bez miłosierdzia. Żółta zasłona przyciemniła niebo. Każdy krok był cierpieniem. W końcu udało się jej znaleźć schronienie za skałą. Opuściła ręce, którymi chroniła twarz i zdjęła oblepione piaskiem okulary. To, co ujrziała, było przerażające. Jeszcze przed chwilą lśniące w promieniach popołudniowego Słońca ściany skalne, przedstawiały teraz obraz zagłady. Widok, jakiego dotychczas nie oglądała.

Nagle dotarły do niej wołania o pomoc. W sekundzie oczyściła okulary i nałożyła z powrotem. Rzuciła się znowu w środek koszmaru. Najpierw zobaczyła Malcolma. Siedział plecami do wiatru, z odwróconą od sypiącego piasku głową, trzymał Irene. Irene, Chris i Abdu utworzyli z rąk łańcuch. Nie było Alberta i Gregori.

- Gdzie oni są? - wykrztusiła Hannah.

Malcolm wskazał ręką kierunek, skąd nadchodziło wycie wiatru. Hannah kiwnęła głową.

- Idźcie w lewo - krzyknęła - tam jest miejsce, w którym możecie się ukryć. Przyjdę tam. Teraz spróbuję ich odnaleźć!

Malcolm wyczerpał wszystkie siły i ciągnął całą grupę do umówionego miejsca spotkania. W tym czasie Hannah szukała zaginionych.

Po chwili natknęła się na postać skuloną na czworakach. To był Albert. Przerazony rozkopywał rękami piasek.

- Gdzie Gregori? - zawołała Hannah.

- Nie wiem - odpowiedział - stał tam, a potem wiatr uniósł go jak kartkę papieru i porwał w powietrze.

Hannah padła na kolana obok Alberta i ryła gorączkowo w piachu. Jeżeli Gregori został faktycznie przysypany, pozostało im mniej niż trzy minuty, aby go znaleźć. W przeciwnym razie zadusi się.

Oczy łzawiły jej pod okularami, bo pył i tak się pod nie przedostawał. Hannah mozolnie odsuwała rękami piach, a za chwilę szukała w innym miejscu. Nic. Tylko kamienie i piasek. Pracowała zawzięcie dalej i nagle natknęła się na górę, pod którą musiało leżeć coś dużego. Hannah wysłała gorącą modlitwę ku niebu, aby nie okazało się, że to głaz. Zaczęła znowu ryc jak opętana. Raptem natrafiła na rękę, zaciskającą broń. Gregori!

- Tutaj, Albert! Mam go!

Po krótkim czasie uwolnili z piasku bezwładne ciało. - Musimy go zanieść na zawietrzną stronę!

Specjalista od dźwięku ciągnął i szarpał, ale miękkie podłoże odsuwało się spod jego stóp.

- Boże, jak ciężko!

- Musimy go stąd wynieść, inaczej umrze. Weź się w garść! - Hannah była u kresu sił, lecz nie poddawała się. Sytuacja przypominała sen, gdy człowiek chce uciekać, a nie może ruszyć z miejsca. Ciągnęli i ciągnęli, lecz nie posunęli się nawet o milimetr. Długo trwało, nim udało się zaciągnąć Gregori do miejsca, gdzie inni cisnęli się do siebie przerażeni.

Irene spojrzała ze zgrozą. - Co z nim? On nie jest... - słowa utknęły jej w gardle.

Hannah pochyliła się i przyłożyła ucho do piersi Gregori. Hałas utrudniał słuchanie. Podniosła po chwili głowę. - Jest nieprzytomny, ale żyje. Musimy zanieść go do jaskini. Malcolm, Abdu, Patrick - złapcie go za ramiona. Spieszcie się!

Hannah wstała i wyszła z zacisznego miejsca. Wszyscy stosowali się do jej poleceń, gdyż była jedyną, która zachowała zimną krew.

Przedzierali się krok za krokiem, metr za metrem. Nad ich głowami szalała burza: błyskawice, pioruny, grzmoty. Hannah wydawało się, że zbliżają się do piekła w Boskiej Komedii Dantego.

Upłynęła wieczność, zanim wreszcie dotarli do kamienia z wizerunkiem meduzy. Otwór, przez który niedawno przeszli, teraz był zasypany piachem. Bez zwłoki przystąpili do odgarniania. Burza wzmagiała się, jakby nie chciała zrezygnować z łupu. Zaczęło padać. Najpierw spadały duże krople, potem deszcz był coraz gwałtowniejszy, aż z nieba poleciały prawdziwe strumienie.

- Prędej! Prędej! Bo wszyscy zginiemy! - krzyczał Chris, który mimo ciężaru kanistra energicznie zgarniał piach. Hannah nie czuła ramion. Wreszcie dokopali się do wejścia. Uwolnili je błyskawicznie i już chcieli zacząć przeciskać się, gdy Malcolm zawołał:

- Poczekajcie! A co będzie, jak zasypało przejście? W jaki sposób wyjdziemy z powrotem?

Hannah podzielała jego zastrzeżenie.

- Masz rację. Nie mamy jednak wyboru. Gdy natychmiast nie uciekniemy, utopimy się. Zaraz tu będą fale wody. Pamiętasz resztki roślinności na drzewach, wskazujące poziom wody? Błagam was - pospieszcie się! Jeśli faktycznie coś jest w przejściu, to na pewno tylko piasek. Ten możemy odgarnąć. Szybko do środka!

Spojrzeni po sobie pobladli i wsuwali się po kolei do wąskiego wejścia. Albert i Patrick pchali i ciągnęli nieprzytomnego Gregori przez ciasny tunel. Tymczasem deszcz lał się strumieniami i nie nadążał wsiąkać w ziemię. Utworzyła się rzeka, która najpierw wolno, a potem coraz szybciej wpadała do doliny. Posuwali się dalej. Poziom wody stale wzrastał. Fale porywały kępy traw, gałęzie oraz pniaki drzew.

- Zaleje nas! - krzyczał Malcolm, który jako ostatni wczołgiwał się do tunelu.

- Nie - odparła Hannah. - Tunel prowadzi w górę. Tak wysoko woda nie podejdzie.

Malcolm skinął głową i pogrążył w ciemnościach. Hannah jeszcze raz obejrzała się i weszła za nim.

Wystraszeni, otumanieni i przemoczeni po kwadransie siedzieli obok siebie. Lampa gazowa bladym światłem oświetlała wnętrze krypty. Hannah patrzyła na przerażone i zmęczone twarze przyjaciół. Chris wypluwał piasek. Albert próbował doczyścić okulary, lecz piasek zeszlifował szkła i stały się matowe. Malcolm narzekał, że zgubił kapelusz, a Patrick wysypywał z butów piasek i kamienie. We wszystkich wstąpiła nadzieja, gdy Gregori odzyskał przytomność. Podgryzał teraz czekoladę, aby poprawić krążenie. Skinął w kierunku Hannah i Alberta.

- Dziękuję, uratowaliście mi życie - powiedział. - Gdyby nie wy, leżałbym teraz na zewnątrz, przykryty piachem i błotem.

Hannah poczuła, że robi się czerwona.

- Przecież to oczywiste. Każdy by tak zrobił. Jesteśmy w końcu w jednej drużynie.

Z jednej strony było jej głupio, że Gregori jest tak bardzo wdzięczny, a drugiej była szczęśliwa. Uratowała komuś życie. Ilu ludzi może tak o sobie powiedzieć?

Gregori nadal zajadał się czekoladą, lecz ciągle patrzył na Hannah. Poczuła się speszona i wstała.

- Doszliśmy już trochę do siebie. Musimy pomyśleć o przyszłości naszej ekspedycji - nabrała głęboko powietrza. Mam nadzieję, że Mano ze swoimi ludźmi szczęśliwie dotarli do ciężarówki i sprowadzą pomoc. Burza zaskoczyła z pewnością i ich, ale to są doświadczeni żołnierze. Może nawet dzięki pogodzie nie zauważyli ich rebelianci. Co do nas - czas oczekiwania musimy wypełnić jakimś zajęciem.

Irene przyglądała włosy. - O czym konkretnie myślisz?



- Kto nie ma ochoty na spanie, ten mógłby na przykład spróbować odcyfrować inskrypcje. Jest ich tutaj dostatecznie dużo. Myślę, że dobrze nam zrobi, gdy odwrócimy swoją uwagę, zajmując się czymś innym.

- Co będzie, gdy Mano nie dojdzie? - Hannah zaskoczyło, że to Irene zapytała. Zwykle takie wątpliwości wygłaszał Malcolm. - Co będzie, gdy zaskoczyła ich burza, albo ich uwięzili, albo zginęli? Tak jak tamci...

- Boże nie dopuść! Musimy odczekać umówione siedemdziesiąt dwie godziny, a potem spróbujemy się przedrzeć. Wiem, że oczekiwanie wyda nam się długie jak wieczność, lecz nie możemy rezygnować - odpowiedziała Hannah.

- Nie rezygnować, ha! - Malcolm wyglądał, że za chwilę straci panowanie. - Nie rezygnować! Od twojego cynizmu zrobiło mi się niedobrze. To przez ciebie znaleźliśmy się w takiej sytuacji, przez ciebie i twoją zwariowaną meduzę.

Irene oparła ręce na biodrach. - Malcolm, natychmiast przestań! Wszyscy wyraziliśmy zgodę na udział w wyprawie. Zapomniałeś już?

- Nieprawda! Ja chciałem zostać w *Tassili N'Ajjer*. To wam zachciało się przygód! Nie zrzucaj na mnie odpowiedzialności! - Malcolm rozkręcił się na dobre. - Przypomnijcie sobie hipnozę. Od tego czasu mamy same niepowodzenia. Czego dotknie się nasza szacowna koleżanka, kończy się katastrofą!

- Dość tego! - Chris zerwał się na równe nogi - nie mam zamiaru wysłuchiwać dłuższych bzdur!

- Patrzcie, patrzcie. Pan kochanek przybywa z odsieczą. - Malcolm wstał również i zbliżał się z groźną miną.

- Co? Chcesz zamknąć mi usta? Zawsze mówiłem to, co myślę, nie owijając w bawełnę.

- Może właśnie naszedł czas, żeby kogoś nauczyć rozumu!

- Natychmiast przestańcie - syknęła Hannah i stanęła między nimi. Jeszcze byli rozwścieczeni, ale pomału się uspakajali.

- Dostyc tego! - Hannah nabrała głęboko powietrza. - Wszyscy jesteśmy zdenerwowani, a fakt, że jesteśmy tutaj uwięzieni, nie ułatwia sytuacji. Musimy zachować spokój i trzymać razem, tylko to daje gwarancję na przeżycie. Przyznaję ci rację, Malcolm. Hipnoza była ogromnym błędem. Chociaż do dziś nie rozumiem, co się wtedy stało, czuję się odpowiedzialna. Masz moje słowo, że uczynię wszystko, aby nas stąd wydostać. Nie wiem, czy ma to znaczenie, lecz chciałabym zapytać Patricka, czy przypomina sobie coś z tamtej nocy. Może mógłbyś nam podpowiedzieć, czy mamy do czynienia z siłą wyższą?

Patrick pokręcił głową. - Niczego nie pamiętam, przykro mi.

- Mówiłeś coś o oku, o oświetlonym tunelu i podziemnym jeziorze. Czułeś się osaczony, chciałeś uciekać, ale coś nie pozwalało ci odejść.

- Faktycznie mówiłem coś podobnego? Nic nie mogę sobie przypomnieć. Można zwariować.

Hannah westchnęła z rezygnacją.

- Nie wiem, czy to ważne, ale od tamtego czasu miewam ten sam sen - mówił dalej Patrick.

Wszystkie oczy zwróciły się ku niemu.

- Może zabrzmiało to dziwnie, ale mam wrażenie, że widziałem już to pomieszczenie. Widzę przy zasypianiu tunel, podobny do tego, z którego właśnie wyszliśmy, tylko o wiele dłuższy. W tamtym nie jest tak ciemno, coś go oświetla. A potem wchodzę do takiej jaskini, jak ta. Znaki u góry obracają się i świecą, a na podłodze jasno lśni kwadrat.

Irene uniosła brwi. - I...?

- Nic. To wszystko. Może nie powinien wcale o tym wspominać.

Malcolm prychnął pogardliwie. Pomruczał coś o dziwactwach, obrócił się na bok i zasnął.

Patrick posmutniał. - Przykro mi - szepnął.

- Już dobrze. Może okaże się, że to jednak ważne - Hannah uśmiechnęła się - nigdy nie wiadomo, jakie informacje są przydatne. W tym momencie potrzebujemy każdej pomocnej wskazówki. A teraz chyba najlepiej będzie, gdy wszyscy spróbujemy zasnąć.

Kolejno szli za jej radą. Każdy szukał dla siebie miejsca, które wydawało się wygodne, by rozłożyć śpiwór. Albert i Irene przygotowali sobie poduszki ze skafandrów, a reszta ułożyła głowy na gołych kamieniach. Hannah przykręciła lampę do minimum i położyła się obok Abdu.

- Jak się czujesz? - spytała szeptem.

Abdu uśmiechnął się. - Właśnie myślałem o mojej rodzinie. Dzisiaj jest drugiego sierpnia, urodziny mojej małej córeczki.

- Ile ma lat?

- Pięć. Wygląda tak samo jak jej matka. Ten sam promienny uśmiech, takie same czarne jak kruk włosy - przełknął ślinę - bardzo mi ich brak.

- Tak mi przykro - szeptała Hannah - nie powinnam była wciągać cię w tę historię. Powinnam odesłać cię do rodziny.

Abdu odpowiedział z uśmiechem. - Mogłaś próbować, ale nic by to nie dało. Jestem ci potrzebny i nic na świecie nie zdołaloby powstrzymać mnie przed tą przygodą. Jeżeli nie masz nic przeciwko, pospałbym teraz trochę. Jestem zmęczony jak pies.

Odwrócił się i za kilka sekund pogrążony był we śnie.

Hannah była zadowolona. Ze wszystkich obecnych Abdu był jedynym, który zachował zimną krew. Miał rację. Nie wiedziała, jak poradziłaby sobie bez niego.

Rozejrzała się. Nawet Chris oddychał głęboko i równomiernie. Chętnie przytuliłaby się do niego, lecz nie chciała narażać grupy na dodatkowe emocje. Wzdychając, położyła głowę na plecaku i zamknęła oczy.

Gdy obudziła się, pomieszczenie było puste. Była sama. Ogarnął ją strach. Co się stało z grupą, poszli bez niej, nic jej nie powiedzieli? Jak długo spała? Chciała spojrzeć na zegarek, ale nie miała go już na ręku. Pewnie zgubiła w czasie burzy.

Hannah weszła do wąskiego przejścia, aby zobaczyć, czy tam zebrała się grupa i czeka na nią. Przepelniła ją nadzieja. Z pewnością tak jest, chociaż nie było fair z ich strony napędzić jej takiego stracha. Powie im, co o tym myśli.

Czołgając się, zauważyła zdziwiona, że na piaszczystym podłożu nie ma żadnych śladów. Piasek był nienaruszony i gładki jak w dniu stworzenia. Jeszcze coś było bardzo dziwne. Wszystko doskonale widziała bez latarki. Ściany szybu świeciły jakby od wewnątrz. Hannah chciała właśnie przyjrzeć się dokładnie fenomenowi, gdy jej ręce natrafiły na masywną ścianę. Przejście było zatarasowane. Duże odłamki skał, piasek i żwir uniemożliwiały posuwanie się do przodu. Ogarnęło ją przerażenie. Traciła oddech na myśl, że zostanie tutaj pogrzebana żywcem. Jak mogli zostawić ją samą? Przede wszystkim Chris, któremu tak zaufała. Łzy płynęły po jej policzkach. Postanowiła czołgać się z powrotem. Wydawało się, że upłynęła wieczność. Nareszcie dotarła do krypty. Rozejrzała się. I tutaj nie było żadnych śladów. Nikt poza nią nie przekroczył progów tego pomieszczenia. Złożyła ręce z trwogą. Czy zabłądziła? Szła jak lunatyczka i doszła do innej krypty? Wejście było tylko jedno. Gdy starała się rozwiązać tę zagadkę, nagle zabłyszczały obrazy na przezroczystych ścianach. Podeszła bliżej do jednego z malowideł i wyciągnęła ręce. Obraz mienił się od wewnątrz bladym, zielonym światłem. To nie był zimny blask żarówki. Sprawiał wrażenie żywego organizmu - tak jak świecą robaczki świętojańskie.

Gdy jej palce dotknęły ściany, poczuła falę ciepła. Ciepła i nadziei.

W tym momencie ściemniło się, a podłoga zaiskrzyła. Wyraźnie widać było kwadratowe błyszczące pole. Maleńkie pyłki kurzu, latające w powietrzu, zaczęły mienić się i tańczyć. Kwadrat błyszczał i przyciągał do siebie Hannah. Im bliżej podchodziła, tym wyraźniej widziała, że to nie była zwykła świecąca się plama. To była brama prowadząca w obcy świat. A może w inny wymiar czasu i przestrzeni? Siła przyciągania była łagodna, lecz tym nieustępliwsza, im bliżej Hannah stała. Wtem Hannah przestała się opierać, nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Przez moment szybowała ponad otworem, a potem tajemnicze blaski wciągnęły ją w głębinę.

# 14

Chris ułożył głowę na twardym gruncie i zamknął oczy. Powoli przestawały docierać do prowadzone rozmowy, zamieniając się w jednostajny szum. Sen jednak nie nadchodził. Chris zastanawiał się, kogo Stromberg miał na myśli, wspominając agenta. Kim była osoba prowadząca podwójną grę? A może Stromberg mylił się. Chociaż było to nieprawdopodobne - na tyle w końcu znał swego szefa. Gdyby funkcjonował odbiornik satelitarny, Chris mógłby dostarczyć mu nowych informacji. Przekłęci rebelianci! Teraz w tej całej sprawie został zupełnie sam.

Niespodzianie dotarł do jego uszów jakiś alarmujący dźwięk. Zmęczenie natychmiast minęło. Zerwał się na równe nogi i usiłował rozpoznać coś w ciemnościach. Grupa spała głębokim snem... oprócz Hannah!

Rozejrzał się dokoła. Światło latarki migało w wąskim korytarzu. Usłyszał w mroku ciężkie westchnienie. Skoczył w kierunku otworu tunelu. Pochylił się, żeby zajrzeć i zamarł. Z tunelu wyczołgiwała się Hannah z takim wyrazem twarzy, że przeszedł go dreszcz. Krew z rany na jej głowie spływała po lewym policzku. Jej spojrzenie było dzikie, jakby straciła orientację. - Zatarasowane - powtarzała chaotycznie. - Przejście jest zablokowane. Dlaczego zostawili mnie samą?

Chris chwycił ją za ramiona.

- Hannah, jestem tutaj! Nie jesteś sama! Wszyscy tu jesteśmy!

Lecz ona go nie słuchała, patrzyła przez niego na wskroś jak przez szybę. Oczy miała skierowane na środek pomieszczenia. Chris potrząsał swoją koleżanką, jakby chciał ją ocucić. Wysiłki były daremne. Hannah była duchem gdzie indziej; nie potrafił do niej dotrzeć. Tymczasem obudzili się inni i zrozumieli, że stało się coś złego. Irene i Abdu pospieszyli natychmiast z pomocą.

- Co się dzieje? - Irene patrzyła z troską.

- Nie wiem. Była w tunelu. Mówiła jakieś brednie, że zostawiliśmy ją samą i że tunel jest zatarasowany. Hannah, spójrz na mnie! Jesteśmy tutaj! - znowu nią potrząsał, lecz ze strony Hannah nie było żadnej reakcji. Abdu objął ją ramieniem i delikatnie ścierał krew z jej twarzy.

Ciepłym głosem, w obcym języku, coś perswadował. Chris nie rozumiał, o czym mowa, lecz jego słowa odniosły skutek. Hannah jakby odprężyła się, chociaż jej świadomość nie powróciła. Oczy miała nadal skierowane na jakiś punkt na podłodze jaskini.

- Tam jest światło - Chris usłyszał jej szept. - Światło, jakie jasne, jakie jasne! Coś śpiewa. To śpiew gwiazd.

Chris spojrzał zmieszany na innych. Zachowanie Hannah wywołało wspomnienie owej nocy, kiedy w podobnym stanie znajdował się Patrick. Czy jej umysł jest pod działaniem hipnozy? Nie wiedział. Nie miał też pojęcia, jak wyprowadzić ją z tego stanu.

Abdu sprawiał wrażenie skamieniałego. Puścił Hannah i przyglądał się jej ruchom. Malcolm i Albert odskoczyli na bok, jakby nie chcieli zarazić się zakaźną chorobą. Hannah na kolanach zaczęła mechanicznie kopać w ziemi. Podłoże było miękkie i po krótkiej chwili wykopała już spory dół.

- Co ona robi? - pytała Irene.

- Nie wiem - odparł Chris. - Zostawmy ją w spokoju i poczekajmy, aż sama dojdzie do siebie.

Ktoś zakaszłał w tunelu. Wszyscy odwrócili się i ujrzeli czołgającego się Patricka.

- Może Hannah jest w stanie zamroczenia, ale jedno jest gorzką prawdą. Byłem właśnie w tunelu i sprawdziłem. Wyjście z tunelu jest zasypane.

- O czym ty mówisz!- poderwała się Irene.

- Dokładnie zasypane. Muł, gruby żwir, kawałki skał - to wszystko leży już w połowie drogi. Aby wydostać się stąd, potrzebny jest nam buldożer, albo ładunek wybuchowy. Nie mamy ani jednego, ani drugiego - dodał z rezygnacją.

- Psiakrew. Hannah była taka pewna, że do tunelu wpadnie najwyżej trochę piasku - głos Alberta załamywał się - jak wydostaniemy się na światło dzienne? Koniec z nami...

- Tylko spokojnie - łagodziała Irene. Było jednak pewne, że sama nie wierzy w to, co mówi. Chris, któremu też było nieswojo, powiedział zdecydowanym tonem.

- Pomogę Hannah. Może mi się uda.

Wiedział, że brzmi to beznadziejnie. Z drugiej strony lamenty też nie pomogą. Przyklęknął koło Hannah i pomagał rozgrzebywać piach na boki.

Hannah miała zacięty wyraz twarzy. Gdzieś była duchem i coś działo się w jej głowie, ale co - nie mógł sobie wyobrazić. Ona o czymś wiedziała - tego był pewien. Obserwował ją ukradkiem. Ta kobieta coś w sobie miała, co przyciągało go z magiczną siłą. Było w niej wewnętrzne światło - inaczej nie potrafił tego określić.

- Co to?

Zatopiony w rozmyślaniach Chris przestraszył się na dźwięk głosu Malcolma, który stał tuż za nim. Spojrzał obok i zamarł. Hannah dotarła do twardego podłoża. Najwidoczniej była to masywna skała o gładkiej i symetrycznej powierzchni. Nie mogła być dziełem natury.

Krótko potem natknęli się na dwa kamienne pierścienie. Hannah uniosła głowę. Wydawało się, że wróciła jej świadomość.

- Jest! - szepnęła - to droga, której szukałam.

Rozejrzała się. Jej oczy rozszerzyły się ze zdumienia. - Wy? Przyszliście z powrotem? Myślałam, że uciekliście.

Chris objął ją ramieniem i przytulił, nie zważając na to, co inni pomyślą. Był po prostu szczęśliwy. - Cały czas byliśmy, to ciebie nie było. Co się z tobą działo?

Potrząsnęła głową, zagryzła wargi. Wreszcie wykrztusiła: obudziłam się. Was nie było. Próbowałam pójść za wami przez tunel, ale był zatarasowany. To było okropne. - Łzy potoczyły się po jej twarzy. - Byłam taka samotna. Potem zobaczyłam światło. Wyglądało na to, że pochodzi z wnętrza tego pomieszczenia. Było tak jasno, światło przyciągało mnie magicznie. Początkowo broniłam się, lecz to nie miało żadnego sensu. Czułam, że wciąga mnie w głębinę, a potem obudziłam się.

- Niesamowite! To jest mój sen - powiedział Patrick. - Dokładnie to śni mi się każdej nocy. Jak to możliwe?

- Nie podchodźcie do tego z taką histerią! - Malcolm podniósł głos. - To można bardzo łatwo wytłumaczyć. Opowiadałeś nam przecież przed paroma godzinami o twoich snach. Hannah przejęła je w swoich urojeniach. Sorry, Hannah, nie czuj się urażona, ale proszę was oboje, przestańcie nam zawracać głowę tymi głupstwami. Nasze położenie jest wystarczająco niepokojące. Proponuję zapomnieć o dziwach i zająć się faktami.

Malcolm zagłuszył podniesionym głosem protesty Patricka.

- Po pierwsze - wyjście jest zatarasowane. Nie możemy go odblokować od naszej strony. To oznacza konieczność czekania na pomoc. Może nie być łatwo, gdyż mamy ograniczone zapasy, szczególnie wody. Po drugie - w krypcie jest parę rzeczy, które należałoby wyjaśnić. Faktem jest, że pod naszymi nogami mamy kamienną płytę, prowadzącą prawdopodobnie do innych pomieszczeń. Pomiędzy problem, w jaki sposób Hannah na to

wpadła. Możliwe, że coś zakopano pod płytą, możliwe nawet, że stamtąd prowadzi droga na zewnątrz. Dowiemy się, gdy to sprawdzimy. Po trzecie - możemy biernie czekać, aż ktoś dokopie się do nas albo wziąć sprawę w swoje ręce.

Oparł ręce na biodrach. - Co powiecie?

Oczy Gregori zabłyśły. - Ta kamienna płyta jest fascynująca. Chciałbym w każdym razie wiedzieć, co pod nią jest.

Inni również poparli propozycję. Wszyscy mieli przeczucie, że są blisko rozwiązania zagadki meduzy. Chris z aprobatą zerknął na Malcolma, wyrażając uznanie.

- Nie wiedziałem, że potrafisz przemawiać tak płomiennie, gratuluję.

Malcolm zaśmiał się niskim barytonem. - To jest mój szczególny talent. W nagrodę za moje mądre słowa sfilmuję wasze wysiłki kamerą cyfrową. Ostatecznie trzeba czymś wypełnić poniesione straty w filmowym materiale. A zatem, do roboty, panie profesorze!

Godzinę później płyta była całkowicie odsłonięta. Miała wymiary trzy na trzy metry. Uwięzieni przypatrywali jej się dokładnie i stwierdzili, że powierzchnia płyty jest pokryta delikatnymi liniami. Pierścienie nie zostały dorobione później, lecz zostały wykute z tego samego bloku skalnego. Godne podziwu były plastyczne i rzemieślnicze zdolności wykonawców. Im bardziej cała ósemka, składająca się z naukowców, techników i dziennikarzy, zagłębiała się w jej badanie, tym większe tajemnice otwierały się przed nimi.

Zadowoleni ze swojej pracy, dali sobie chwilę wytchnienia.

- Jak ją podważyć? - zastanawiał się Albert, a na jego czole pojawiły się perliste kropelki potu. - Płyta waży przynajmniej tonę.

- Nie ma o tym mowy - stwierdził Malcolm. Zakończył właśnie filmowanie i włożył kamerę do torby na ramię. - Podczas kręcenia filmu w Machu Picchu widziałem, jak próbowano wyważyć drzwi o podobnej wadze i rozmiarach. Bez buldożera nie było żadnych szans. Drzwi ważyły trzy tony. Ta płyta tutaj ma podobny ciężar. Nie uda nam się, zresztą nie mamy nawet liny.

- Mamy! - zaproponowała Hannah. - Zdejmijcie z siebie ubrania, spodnie, koszule, kurtki i powiążcie je ze sobą. Powinno wystarczyć.

Irene pokręciła głową. - Nie damy rady mimo to podnieść płyty. Trzy tony to stanowczo za dużo. Oznaczałoby to, że każde z nas musiałoby poruszyć 400 kilogramów.

- Wydaje mi się, że to jednak możliwe - Hannah klęczała obok płyty i zdmuchiwała kurz z rowków - przyjrzyjcie się dokładnie. Zawiasy nie są umieszczone na końcu, jak to



zwykle bywa, lecz mniej więcej w środku. To oznacza, że płyta kręci się prawdopodobnie wokół osi. Nadzwyczaj mądra zasada. Musimy pokonać jedynie opór, spowodowany kurzem, brudem i piaskiem, a sporo tego nazbierało się w ciągu wielu tysięcy lat.

- Warto spróbować - Chris bez ceregieli zdjął i podał Hannah spodnie i koszulę. Irene spoglądała na niego zdziwiona, uśmiechnęła się i również rozebrała. Po chwili urosła kupka ubrań, wystarczająca, aby wypleść z niej dwie jednakowej długości liny. Ich końce umocowano na pierścieniach. Liny naprężono. Malcolm wyglądał w spodenkach jak owłosiony neandertalczyk. Złapał pierwszą linę i ciągnął. Wszyscy pomagali z wyjątkiem Gregori, który był zbyt osłabiony, aby zdobyć się na fizyczny wysiłek.

- W porządku. Liczę do trzech. Wtedy pełną parą! - wołała Hannah - raz, dwa, trzy!

Chris czuł, jak materiał wpija się w jego skórę, gdy wyczerpał wszystkie siły dla wprawienia płyty w ruch. Ubrania wierzchnie powinny być nie do zdarcia, lecz czy wytrzymają istotnie?

Przez kilka minut rozlegało się równobrzmiące stękanie. W końcu wysiłek wynagrodzony został znajomym dźwiękiem. Słyszeli, jak skrzypi piasek między ogromnymi kamieniami.

- Dalej! Jeszcze raz! - krzyczał Gregori. Podbiegł do Irene i również chwycił linę.

- Posunęło się o kawałek! Jeszcze raz, wszyscy razem, z całej siły!

Pot sływał po plecach Chrisa, mdlały mu ramiona. Nagle szarpnęło liną. Podłoga drgnęła i ciężka brama otworzyła się z łoskotem. Tak jak przewidziała Hannah, połowa płyty zapadła się pod ich nogami, a druga podniosła w pionie. Mechanizm umożliwił ustawienie płyty bez specjalnego wysiłku w ostatecznej pozycji. Usłyszeli klapnięcie, gdy trzpień przesunął się w osi, dotarł do wgłębienia, zabezpieczając płytę w pionowym położeniu. Chris przyglądał się konstrukcji ze spokojem. Kamień trzeszczał, ale utrzymywał ciężar. Konstrukcja miała trzy tysiące lat, lecz funkcjonowała bez zastrzeżeń.

Od schodów znajdujących się pod płytą doleciało zbutwiałe powietrze. Pachniało starzyzną. Na uczestników ekspedycji takie powietrze podziało jak świeża bryza. W mgnieniu oka odplątali swoje ubrania i założyli na siebie. Potem nadszedł wielki moment - moment, o którym marzy każdy archeolog przez całe życie. Zaraz zejść na dół, tam, gdzie przez wieki nie stanęła ludzka noga. Czuli się podobnie, lądując na obcej planecie.

- Stańcie razem! - wołał Malcolm, ustawiając kamerę na aluminiowym statywie - to historyczna chwila, musimy ją utrwalić dla przyszłych pokoleń. Tak, Abdu, ty też musisz być na zdjęciu. Pierwszy rząd! Proszę uklęknąć! Zostawcie dla mnie wolne miejsce. Tak, jeszcze bardziej się ścieśnić! Bardzo dobrze!

Samowyzwalacz zabłysnął i Malcolm biegiem zajął miejsce obok Gregori. Ręce położyli sobie wzajemnie na ramionach i uśmiechali się do obiektywu. Było trochę śmiechu i klepania po plecach, potem wszyscy z oczekującymi minami patrzyli w kamerę. Na kilka chwil w zapomnienie poszły kłótnie, zazdrość i nieżyczliwość. Zdawało się, że stanął czas. Graniczyło z cudem, że mimo tych wszystkich trudności dotarli tak daleko. Po uciążliwych i strasznych przeżyciach odnaleźli wreszcie to, czego szukali. Ich cel był w zasięgu ręki.

Chris odniósł wrażenie, że to jest jeden z tych rzadkich momentów, w którym panowała absolutna jedność. Kto mógł jednak przewidzieć, czy taka chwila powtórzy się raz jeszcze?

# 15

Pułkownik Francois Philippe Durand rozglądał się posępnie dookoła. Spustoszona baza naukowców przedstawiała miejsce śmierci i ruiny - dwóch rzeczy, których nie znoślił. To, czego nie spalili i nie ukradli rebelianci, padło łupem burzy. Drążki namiotowe, a na nich resztki powiewającego materiału, sterczały w powietrzu jak kości palców u rąk. Porozrzucone naczynia leżały w nieładzie obok mat do spania i połamanych łóżek polowych. Z aluminiowych skrzyń, w połowie opróżnionych, wyglądały kurtki i spodnie. Nie pozostał kamień na kamieniu. Obóz wyglądał jak po potopie zesłanym przez Boga, ku przestrodze świata.

Z drugiej strony burza była niespodziewanym szczęściem. Zmazała wszystkie ślady, a to umożliwi mu wymyślenie wiarygodnej historii w sprawozdaniu do dowództwa sztabu w Agades.

Spojrzał za siebie. Przed nim stał, na szeroko rozstawionych nogach, Ibrahim Hassad z plemienia Kel-Air, przywódca zrzeszenia rebeliantów na północy. Cienka, ciemnoniebieska peleryna powiewała na wietrze i cicho pobrzękiwały metalowe płytki umocowane na skórzanym pasku, zawieszonym na jego szyi. Pułkownik Durand zauważył, że za Hassadem, ponad górami, pojawiają się nowe groźne chmury. To, co zaledwie przed paroma godzinami nawiedziło tę okolicę, było tylko zwiastunem prawdziwego kataklizmu - mówiło mu przecucie.

U jego stóp leżały trupy trzech zamordowanych Tuaregów, usiłujących wrócić do fortu. Z przodu Mano Issa, którego krępa budowa ciała odróżniała wyraźnie od innych członków eskorty. Jego turban został podarty w strzępy przez salwę z karabinu maszynowego i skąpo okrywał coś, co kiedyś było głową. Inni byli podobnie zmasakrowani. Nie mogli już odpowiedzieć na żadne pytanie. Wargi Duranda utworzyły wąską kreskę, gdy przechodził

obok rzędu pomordowanych. On był żołnierzem, a nie zabójcą. Chciał więźniów, a zastał wojowników, którzy wlepiali w niego martwe oczy.

- Dlaczego?

- Bronili się, pułkownik - mówił niskim i ochryłym głosem przywódca rebeliantów.

- Gdy położenie stało się beznadziejne, dwóch ostatnich zastrzeliło się samych - wskazał na dwóch wojowników, którzy leżeli u jego stóp. - Trzech moich ludzi też zginęło, czterech jest rannych.

- To mnie nie interesuje - warknął Durand - chcę wiedzieć, gdzie są naukowcy. Nie mogli rozplątać się w powietrzu. - Wyrężył się i spojrzał Hassadowi prosto w oczy.

Związek rebeliantów istniał już od wielu lat i okazał się korzystny dla obu stron. Zbuntowani Tuaregowie mieli prawo od czasu do czasu napadać na załadowany konwój, aby poprawić stan swoich zapasów i nadal marzyć o własnym państwie. Natomiast Durand miał dobre poczucie, że broni stabilizacji. Nic nie działo się bez jego wiedzy. Gdy kogoś napadnięto, to tylko za jego akceptacją. To rozwiązanie nie było naturalnie w pełni zadowalające, lecz trzeba było czasami zdecydować się na ofiary, aby utrzymać rebeliantów w dobrym nastroju. Aby mieć nad nimi kontrolę. Skoro nie możesz zwyciężyć wroga, zrób z niego swojego sprzymierzeńca, to była zasada, której nauczył się w Legii i która okazała się już wielokrotnie bezcenna.

- Co stało się z tymi ludźmi? Hassad wzruszył ramionami.

- Musieli opuścić obóz, gdy przed burzą wywoziliśmy odbiornik satelitarny i inne techniczne urządzenia w bezpieczne miejsce. Po naszym powrocie już ich nie było.

- Skąd wiesz, że w ogóle tutaj byli?

Zamiast odpowiedzi, przywódca rebeliantów zaprowadził go do gaju palmowego. Tam leżały, do połowy zakopane w piasku, otwarte aluminiowe skrzynki.

- Prowiant - powiedział Hassad. - Chcieliśmy zabrać później te skrzynki, ale były już opróżnione.

Pułkownik Durand skinął głową. - Rozumiem. Podczas napadu byli w obozie jedynie pijani strażnicy. Z jakiegoś powodu nie było ani jednego naukowca. Wszyscy wyszli, pewnie chcieli coś zobaczyć. Być może faktycznie udało się im coś znaleźć - gładził gładko ogoloną brodę, chodził tam i z powrotem jak detektyw, zastanawiający się nad rekonstrukcją wydarzeń.

- Usłyszeli strzały i zobaczyli dym. Zaczekali aż pójdziecie i potem wrócili. Zabrali prowiant, ustalili miejsce spotkania i wysłali swoich Tuaregów, aby sprowadzili pomoc. To

może oznaczać... - obrócił się w kierunku gór - ...że oni ukryli się gdzieś tam i czekają na mnie.

Na twarzy Duranda pojawił się skąpy uśmiech - załóżcie mundury moich ludzi i w drogę, szukajcie ich! Gdy znajdziecie, przywieźcie ich do mnie. Żywych! Może się zdarzyć, że będą mieli przy sobie coś, co przedstawia dużą wartość. Obojętnie, co to jest, chcę to mieć! Zrozumiano?

Ibrahim Hassad skinął głowę i wycofał się. Durand był głęboko zamyślony. Naukowcy coś znaleźli, czuł to całym sercem. Jeśli jest to przedmiot, o którym wspominał Naumann w swoim liście, może się zdarzyć, że i Hassad będzie tym zainteresowany. W takim przypadku konfrontacja byłaby nieunikniona. Cóż, nikt nie jest niezastąpiony.

Hannah patrzyła w otwór u swoich stóp. Przypominał ziejącą paszczę. Prastare schody prowadziły w głąb. Błady płomień lampy gazowej odsłonił nieskończoną ilość stopni, które prowadziły w bezdenną otchłań. Z dołu nie dochodził żaden dźwięk. Hannah ogarnęło równocześnie uczucie ulgi i niepokoju. Ulgi, ponieważ miała nadzieję, że otwór nie kryje jakiegoś grobowca, lub czegoś podobnego, niepokoju, gdyż nie mogła zapomnieć o swoim śnie. Teraz też czuła, że przyciągają ją ciemności pod nogami.

Bywają osobliwe sny. Niekiedy porywają ludzi w całkiem nieznanym świecie, czasem są odbiciem realnego życia. Wszystkie sny mają jednak jeden wspólny mianownik. Pokazują obrazy z własnej podświadomości. Im dłużej myśli się o nich, tym więcej zbiera się pytań. Miała przeczucie, że tam, gdzieś na dole, znajdzie odpowiedź.

- Jak wygląda stan naszych baterii? - zapytała Irene.

Patrick sprawdził i z niezadowoleniem pokręcił głową - niezbyt dobrze. Trzy akumulatory mają jeszcze połowę mocy, ostatni jest mniej rozładowany. Wydaje mi się, że wystarczą na maksymalnie cztery godziny.

- Psiakrew. A lampy gazowe?

- Lepiej. Mamy cztery dodatkowe wkłady, mogą palić się po trzy godziny każda.

Irene skinęła głową. - Niezbyt długo, wzięwszy pod uwagę, że może muszą nam wystarczyć na kilka dni. Proponuję ustawić je na minimum. Naturalnie chcemy też coś widzieć, kiedy będziemy na dole. Dlatego myślę, że najlepiej będzie, gdy będziemy eksploatować jedną lub najwyżej dwie. Powinno wystarczyć. Musimy trzymać się razem i zwracać sobie wzajemnie uwagę na możliwe przeszkody.

Gregori chrząknął nieśmiało. - Nie byłoby dobrze, gdyby ktoś został na górze na wypadek, gdyby nadeszła pomoc?

- Dobry pomysł - odparła Irene. - Istnieje tylko jeden problem - nasz strażnik musi zrezygnować ze światła, gdyż nie możemy sobie pozwolić na marnotrawstwo energii. Ponadto nie mogę sobie wyobrazić, że ktoś dobrowolnie chce tutaj pozostać, podczas gdy reszta zespołu idzie zmierzyć się z nowym wyzwaniem. A może ty weźmiesz tę fuchę?

Znowu pojawił się w głosie Irene zaczepny ton. Hannah wyczuła, że od czasu burzy tych dwoje jest coraz bardziej rozdrażnionych.

- A więc nie chcesz trzymać straży? - kontynuowała Irene. - Od razu tak pomyślałam. Zatem jesteśmy zgodni. Pozostaniemy razem. Nie zapomnijcie o radiotelefonach i broni. Kto wie, co czeka na nas na dole.

- Myślicie, że będą przydatne urządzenia do łączności? Wydaje mi się, że skały i kamienie uniemożliwią odbiór - powiedziała Hannah w nadziei, że nie okaże się technicznym przygłupem.

- W przypadku zwykłych radiotelefonów istotnie tak jest - potwierdził Patrick. Lecz nasze urządzenia pracują na szczególnie długich falach. Poza tym ich sprawność jest pięć razy wyższa.

- Prawdopodobnie wyrosną nam guzy w uszach, zanim żywi stąd wyjdziemy - przerwał Malcolm.

Irene rozdała lampy i znikła w głębinie. Za nią poszedł Malcolm, potem Patrick, Abdu i Chris. Następnie Hannah, ostatni, ze spuszczoną głową, Gregori.

Schodzili na dół jak niema procesja. W ciszy wydawało się, że słyszeć krople wody kapiące na skały. Cisza otulała ich, otaczała i sprawiała, że dostawali dreszczy. Z każdym krokiem było coraz zimniej. Dziwne uczucie po tych wszystkich tygodniach nieznośnego upału i suszy. Hannah czuła, że dostaje gęziej skórki pod wpływem zimna. Organizm musiał przypomnieć sobie jak to jest, gdy powietrze jest chłodniejsze niż własna krew.

Ciche skrzypienie kamieni pod zelówkami przebrzmiewało, nie powodując echa, a światło lamp rzucało dziwaczne cienie na grubo ciosane ściany. Po około stu metrach natrafili na pierwsze wskazówki. Na prawo i lewo otwierały się kamienne nisze, z których wyglądały dwie twarze meduz bez wyrazu. Wyglądały bardzo podobnie do rzeźby w *Tassili*. Hannah wyszła do przodu i dotknęła figur. Niespodzianie cofnęła rękę. Stwierdziła, że wykonane są z takiego samego materiału jak rzeźby w *Tassili N'Ajjer*. Z czarnego, ciężkiego bazaltu.

Gregori podniósł z ziemi mały kamień i zastukał nim w wężowate narośle. Rozległ się dźwięk dzwonu.

- Tonalit - wyjaśnił zaskoczonym członkom wyprawy.

- Należy do skał bazaltowych, jest odmianą o szczególnej twardości. Używa się go do rzeźb, wydających dźwięki - uderzył w następne narośle. Ton był jeszcze wyższy.

- Już w *Tassili N'Ajjer* podejrzewałem, że w ten sposób uzyskiwano dźwięki. Teraz jestem pewien. Posłuchajcie! - wystukał kilka dźwięków, które brzmiały w niekończącej się głębinie. Dźwięczały jak archaiczne dzwoneczki, których tony rozchodziły się daleko, daleko.

- Dlaczego nam wówczas tego nie zaprezentowałeś? - zapytała Irene z wyrzutem - mielibyśmy fantastyczny zapis na filmie.

- Po pierwsze warunki akustyczne nie były tak dobre, jak tutaj - bronił się geofizyk - a po drugie, wpadłem na to dopiero wówczas, gdy spakowaliśmy urządzenia. Malcolm oberwałby mi uszy, gdybym wyskoczył jeszcze z tą historią.

- Mimo wszystko, to jest ważne odkrycie - zauważyła Hannah.

Dłuższe ramiona meduzy wytwarzają chyba długie dźwięki. Na pewno świadomie zbudowano je w ten sposób, aby mogły tworzyć melodie. Być może natknęliśmy się na przedmiot jakiejś ceremonii, a może środek komunikacji. Znakomicie! - Hannah zauważyła pełen wdzięczności uśmiech Gregori.

Dalsze badania nie przyniosły rezultatu. Nie występowały żadne znaki, żadne inskrypcje, nie znaleźli nic szczególnego. Oczy kamiennych istot spoglądały bez wyrazu na ludzi.

Grupa ruszyła dalej, a Hannah zaczęła łamać sobie głowę, jaką funkcję spełniały te dwie strażniczki. Miały odstraszać czy też stanowiły dekorację? To ostatnie chyba nie wchodziło w rachubę. Elementy dekoracyjne spełniają swoje zadanie, jeśli jest ich dużo. Taka sama zasada obowiązywała w każdej epoce: w kościołach, na grobach i w pogańskich świątyniach miarodajna była ich liczba. Tutaj były tylko dwie i nic nie wskazywało na to, że jest ich więcej. A zatem odstraszenie? W podświadomości czuła, że to również nie jest prawdziwy powód, dla którego tutaj stały. To miejsce było równie tajemnicze, jak dobrze zabezpieczone, a więc żadne hieny cmentarne ani złodzieje nie wystraszyliby się na widok dwóch śmiesznych rzeźb. Na pewno nie, gdyby już zaszli tak daleko. Chodzi z pewnością o coś innego. A to coś ma związek z dźwiękiem.

Im dłużej zastanawiała się, tym bardziej gmatwały się jej myśli. W którymś momencie przestała dumać, koncentrując się na otoczeniu.

Posunęli się w dół o około 500 stopni, a ciągle nie było widać końca schodów. Ogarnęło ją nieprzyjemne uczucie. To nie był normalny grobowiec. Nawet piramid z

niezwykłymi labiryntami nie można było porównać do tego wnętrza. Poczwała nagle zimno. Miała niejasne uczucie, że znajdują się w olbrzymim pomieszczeniu.

- Zatrzymajcie się!

Jej słowa odbiły się w ciemnej otchłani. Po kilku sekundach wydarzyło się coś, co zamroziło im w żyłach krew. Po dłuższej chwili powróciło echo. Echo jej własnego głosu.

Grupa stanęła jak wryta. Irene, idąca na czele pochodu, nastawiła lampę na najwyższą moc. Nikt nie był przygotowany na widok, który odsłoniło światło. Znajdowali się na ogromnej, ciemnej i pustej powierzchni. Jaskinia, albo lepiej powiedziawszy jama, była tak olbrzymia, iż nie można było oszacować jej prawdziwych wymiarów. Najwidoczniej nawet nie zauważyli, że wyszli z wąskiego przejścia i znaleźli się w miejscu, od którego schody wiodły dalej spiralnie. Poręczy po bokach oczywiście nie było. Nie do pomyślenia, co mogłoby się wydarzyć, gdyby nadal trzymali się prawej strony. Albert Beck, biały jak duch, odskoczył i przytulił się do ściany.

- Na Boga, gdzie my jesteśmy? Czy to jest ludzkie dzieło?

- Pewnie nie - szepnął Gregori podnieconym głosem. - Mogło powstać przez zachodzące procesy pod ziemią. Prawdopodobnie znajdujemy się w środku pęcherza gazowego, geody. W pustej przestrzeni masy skalnej, utworzonej wskutek krystalizacji lawy. Podobne jaskinie, ale mniejsze, znajdują się w wielu miejscach na świecie. Nigdy nie odkryto tak ogromnej jak ta. To kolos.

- To koszmar - jęknął Albert. - Pod żadnym pozorem nie pójdę dalej.

- Co to ma znowu znaczyć? - Irene spojrzała pytająco - nie możemy przecież teraz zawrócić. Nie wcześniej, zanim dowiemy się, co jest na dole.

- Nie mogę. - Albert złapał się za serce. - Jeśli chcecie koniecznie wiedzieć, to mam lęk wysokości. Dotychczas nie sprawiało mi to kłopotów, lecz ostatecznie nie należy do obowiązków technika dźwięku wspinaczka na wieże i spoglądanie w czeluść. To tutaj... - wskazał czarny mrok - to dla mnie za wiele.

- Cholera, Al, weź się w garść! - Patrick próbował uspokoić swojego wieloletniego przyjaciela - razem damy sobie radę. Jestem przy tobie. Będę cię prowadził, jeśli chcesz.

Nieśmiały uśmiech pojawił się na twarzy Alberta, na tak krótko, że zniknął, zanim go inni dostrzegli. - Dojdzie do tego, że we dwóch będziemy spacerować za rączkę. Boże wielki, pomóż. Ale ja idę przy ścianie!

Malcolm poklepał go po plecach. - Nie mam nic przeciwko. Będę szedł blisko ciebie. Ta jaskinia jest godna podziwu, lecz mam dziwne uczucie, że czeka nas więcej niespodzianek.



Krok po kroku, z zachowaniem szczególnej ostrożności, grupa posuwała się gęsiego wzdłuż ściany. Pierwsza Hannah, zaraz za nią Chris. Jego bliskość działała na Hannah kojąco. Czuła jego dotyk, szukał czasem po omacku jej ręki. Galeria, wykuta w zamierzchłych czasach w skale, miała szerokość około jednego metra. Była zatem dostatecznie szeroka, by bezpiecznie po niej iść, lecz tak wąska, że Hannah miała ciągle świadomość znajdującej się po prawej stronie przepaści. Szli przez dziesięć minut, gdy nagle Chris dotknął jej pleców.

- Poczekaj! Mam przywidzenia? Co to jest?

Hannah odwróciła się i w tym momencie zauważyła, że Chris bynajmniej nie cierpiał na halucynacje.

- Ta skała się świeci - szepnęła.

Światło dochodziło z różnych miejsc. Wyglądało tak, jakby pod wierzchnią warstwą kamienia znajdowało się światło fluorescencyjne.

- Zgaście lampy!

Irene i Patrick przykręcili lampy gazowe. Wokół zapanowała ciemność. Błyskawicznie ustały rozmowy. Słyszać było jedynie przerażony szept Alberta. - Zwariowaliście? Nie możecie gasić światła na tym wąskim przejściu!

- Psst! - syknęła Irene. - Spójrzcie!

Po kilku minutach oczy przyzwyczyły się do mroku. Potem zostali wynagrodzeni spektaklem, jakiego niewielu ludzi miało okazję zobaczyć.

- Wygląda jak płynne światło! - powiedziała szeptem Irene.

- Fluorescencyjne bakterie - wyjaśniła Hannah. Wyraziła się zbyt zwyczajnie, mówiąc o fenomenie, którego piękna nie można było opisać słowami. Jarzyło się wszędzie. Każdy kamień, każda skała. Światło posiadało organiczne właściwości - cechy, których brak modnemu oświetleniu sztucznemu. To światło żyło. Kołysało się i falowało, jakby podmuch wiatru gładził zboże na polu. Hannah przycisnęła palcem świecący punkt. Blask znikł na moment, lecz za chwilę pojawił się znowu.

- Wspaniałe - szeptała z zachwytem - przypomina świecące pałeczki, których już kiedyś używaliśmy.

- Działają na podobnej zasadzie - Hannah usłyszała głos Malcolma - chemiczna luminescencja.

- Przestańcie bawić się w wykłady, spójrzcie lepiej na to - powiedział Albert, który przezwyciężył strach przed wysokością i stał pochylony na krawędzi, wpatrując się w głębinę.

Hannah oderwała wzrok od światełek i spojrzała we wskazanym kierunku. Musiała mocno trzymać się Chrisa, tak potężne wrażenie sprawił widok.

Na dole otworzyło się morze światła. Płynęło jak kaskada po ścianach i zbierało się w mgle, gdzieś głęboko pod nimi. Przyglądając się zjawisku, Hannah odniosła wrażenie, że już raz to widziała. We śnie. Świeące ściany, brama światła, głęboka czeluść.

Tymczasem ich wzrok na tyle przyzwyczał się już do tajemniczych warunków świetlnych, że byli w stanie iść dalej bez lamp.

- Mam wrażenie, że im niżej, tym jaśniej - powiedział cicho Albert.

- Ja też mam takie uczucie - dodał Patrick. - I to w podobnym stosunku do zmieniającej się wilgotności powietrza. Czy zauważyliście, że im niżej jesteśmy mgła jest coraz większa? Jeśli się nie mylę, słyszę dochodzący z dołu plusk.

## 16

Chris czuł, jak ogarnia go gorączka badawcza. Nie miało już żadnego znaczenia zlecenie Stromberga. Nie było też ważne czy, kiedy i kto go uratuje. Całym sercem pragnął wyjaśnić tajemnicę i dowiedzieć się, co jest na dole. W międzyczasie nabrał przekonania, że wybrano go do odkrycia legendarnego skarbu Salomona albo Atlantydy.

Inni chyba czuli się podobnie. Grupa, gnana ciekawością i spragniona wiedzy, zbiegała po schodach. Patrick nie mylił się. Wilgotność powietrza gwałtownie rosła. Z każdym krokiem robiło się coraz bardziej parno. Opary zbierały się wyżej i zasłaniały przestrzeń na dole. Irene znowu zapaliła lampę. Chris podniósł głowę. Czuć było zapach zbutwiałych roślin, a plusk był coraz głośniejszy. Mgła gęstniała. Przyczyna tego stanu była niezrozumiała nawet dla Chrisa - doświadczonego klimatologa. Nie mógł wyjaśnić, w jaki sposób w zamkniętym pomieszczeniu powstał tak specyficzny mikroklimat. U góry sucho, a w dolnych warstwach tropikalna mgła - biorąc pod uwagę normalne warunki meteorologiczne, zjawisko to nie miało naukowego uzasadnienia. Zbadanie fenomenu musi poczekać. Najpierw muszą dowiedzieć się, co jest ukryte na dole.

Chris był jednym z pierwszych, którzy dotarli do końca schodów. Razem z Gregori, który po wypadku doszedł już całkowicie do siebie, czekali na nadejście innych. Widoczność wynosiła mniej niż dwadzieścia metrów. Plusk wody był wyraźniejszy, wykluczał już kryjący się za mgłą strumień lub bajorko. Chyba znajdował się tam większy akwen, może jezioro. Możliwe, że woda była nawet zdatna do picia.

Nadeszli inni. Chris z ulgą stwierdził, że nikogo nie brakuje. Przy tak słabej widoczności łatwo można było zabłądzić. Nie mogą teraz postępować lekkomyślnie, muszą koniecznie trzymać się razem.

- Wielki Boże, nie czuję nóg! - lamentował Malcolm. - Przy dwutysięcznym stopniu przestałem liczyć. Okropna jest świadomość, że musimy wejść znowu pod górę.

Narzekania Malcolma były jego drugim nałogiem. Chris mógłby założyć się o stówę, że nawet teraz z nich nie zrezygnuje. Z drugiej strony tak przyzwyczał się do żalonych biadoleń Malcolma, że na pewno byłoby mu ich brak, gdyby nagle ustały.

- Wszyscy są? W porządku. Możemy iść dalej. Irene! - wskazał na lampę - lepiej zgaś. Z dołu dochodzi światło naturalne. Powinno wystarczyć. Musimy oszczędzać gaz, a ponadto lampy oślepiają.

Irene, po krótkim zastanowieniu, wyłączyła lampę. Otoczył ich półmrok. Chris miał całkowitą rację. Światło na dole wystarczało zupełnie. Znajdowali się jakby w środku ogromnego zegara z lśniąca tarczą. Chris i Gregori szli na czele i prowadzili w stronę, gdzie ich zdaniem znajdowało się centrum jamy. Podłoże było dziwnie płaskie, jakby sztucznie zniwelowane. Bujnie rozrosła się w półmroku roślinność. Chyba były to skrzypy i widłaki, dwa gatunki pierwotnej roślinności. Pod spodem rosła trawa, kołysząca się w świetle bakterii. Tu i ówdzie sterczały odłamki bazaltu, które ostrożnie wymijali. Było wprawdzie na tyle jasno, by widzieć, lecz należało iść bardzo uważnie, by uchronić się przed potknięciem i nabiciem sobie guza.

Nie przeszli jeszcze pięćdziesięciu metrów, gdy znaleźli się na krawędzi zagłębienia, otoczonego kamieniami o różnych kształtach i wielkości. Na brzegu chlupotała zielona, mętna zupa. Chris pochylił się i nabrał trochę w dłoń.

- Woda - stwierdził, powąchawszy. Nie zastanawiając się, wypił. - Na pewno woda - wziął następny łyk. Była chłodna i świeża. Dobrodziejstwo po tygodniach picia ciepłej, stęchłej wody z manierek. Prawie nie mógł przypomnieć sobie smaku świeżej wody.

- Zwariowałeś! - krzyknęła Hannah, spiesząc do niego - to bardzo lekkomyślne.

- Ryzyko jest wpisane w mój zawód - odpowiedział z uśmiechem. - Najpierw dziwił mnie kolor wody. Wyglądała zawiesiście w świetle fluoryzujących bakterii, które rozwinęły się na dnie jeziora. Woda jest w porządku. Zobaczcie! - oświetlił latarką ciecz w dłoni i każdy mógł przekonać się, że jest bezbarwna. Wyglądało na to, że sceptycyzm minął i wkrótce wszyscy przyklękli i delektowali się zimną wodą.

- Problem numer jeden został rozwiązany - stwierdził Malcolm. - Nasze zapasy żywności i woda wystarczą nam bez problemu na tydzień. Prawie nie potrzebujemy światła, możemy więc zabrać się ze spokojem za badanie jaskini. No, jak tam? Idziemy dalej?

Był podniecony jak dziecko. Chris stwierdził, że Malcolm w takim wydaniu był bardzo sympatyczny.

- Zgoda! - powiedziała Hannah - ale proszę w przyszłości o większą ostrożność. Chris, nie patrz tak na mnie! Nawet, jeżeli zaoszczędziłeś nam wiele czasu, było idiotyzmem z

twojej strony od razu zabierać się do picia. Powinniśmy ją najpierw przetestować. Nie podejmujcie żadnego niepotrzebnego ryzyka. Na dole nie znajdziemy lekarza, to gwarantowane.

Grupa przystąpiła do rozpoznawania terenu. Przeszła wkoło jeziora, idąc w kierunku przeciwnym do wskazówek zegara. Brzeg zarośnięty był gęstymi paprociami i trzcina. Na liściach osiedliły się duże kolonie bakterii. Im dalej szli, tym bardziej było widoczne, że wał, po którym posuwali się, został zbudowany. Tworzył idealne koło.

Po krótkim czasie natrafili na następny dowód ludzkiej pracy. Był to mostek, prowadzący od brzegu do środka jeziora, niewidocznego z powodu mgły. Mostek zdobiona nawierzchnia z płaskich, grubo obrobionych płyt bazaltu. Po obu stronach znajdowały się dwie rzeźby meduzy, spoczywające na kanciastych postumentach. Chris milczał, lecz czuł, że byli prawie u celu. W centrum rozwiniętej przed tysiącami lat kultury. Zgodnym krokiem wkroczyli na mostek. Chris pomyślał, że kiedyś mogli tędy przechodzić tylko wybrańcy. Mieli świadomość, że wstępują na drogę do miejsca świętego, jedyne w historii ludzkości.

Z każdym krokiem coraz bardziej ciążyła im niepewność. Stwierdzili, że jezioro było o wiele większe niż początkowo przypuszczali. Szli ciasno jeden obok drugiego. Po chwili z mgły wyłonił się kształt wyspy. Zarośnięta tropikalną roślinnością wydawała się rajem sprzed potopu. Całość uwieńczył ogromny czarny sześcian.

Chris osłupiał. Sześcian przypominał swoją formą Al-kabę w Mekce, budowlę bez okien, obwieszoną czarnym materiałem, w której spoczywał święty kamień Hadjar al-Aswad. Jednak im bardziej zbliżał się do tego monstrum, tym więcej odkrywał różnic niż podobieństw do muzułmańskiej świątyni. Podszedł jeszcze bliżej. Godny uwagi był materiał, z którego wykonano budowlę, mianowicie z surowca, występującego wyłącznie na terenach wulkanicznych. Ze szkliwa, a mówiąc dokładnie, z obsydianu, krzemionki pochodzenia wulkanicznego o szczególnej twardości. Blok był ociosany, wypolerowany i miał olbrzymie rozmiary. Jeszcze coś było dziwne. Mimo, że wszystkie płaszczyzny stały pod kątem prostym, sześcian robił optyczne wrażenie, że u góry jest szerszy. W zagadkowy sposób kłoc nie chciał podporządkować się regułom perspektywy. Nieoczekiwanie doszli do jakiegoś wejścia. A więc to była prawdziwa budowla. Pomijając rząd okrągłych otworów, wywierconych na ścianie bocznej, z których nieprzerwanie lał się strumień wody, budowla była pozbawiona okien. Mimo najlepszych chęci nie można było wyobrazić sobie, jaką pełniła funkcję.

Chris obszedł sześcian dookoła, dotknął palcami jego szklistej powierzchni i... przeraził się.

Nie może być! Zabrał rękę z powrotem, odczekał kilka sekund i spróbował ponownie. Tak - nie ulegało wątpliwości. Wyraźnie słyszał głosy. Początkowo sądził, że to jego przewrażliwione zmysły robią mu kawały, lecz im dłużej dotykał kloca, tym głosy były wyraźniejsze. Osobliwe, bezcielesne, jakby powstały w jego głowie, były jednak tak realne, że był ich absolutnie pewien. Tak pewien, jak potrafił odróżnić realność od fotografii. Mimo, że nie był w stanie dokładnie powtórzyć, co usłyszał, czuł, że słowa były życzliwe i przyjazne. Tak jak matka uspakajająco przemawia do dziecka, powtarzając tylko trzy słowa. Chrisa ogarnęło uczucie błęgiego szczęścia.

Z uśmiechem na twarzy spojrzał na swoich kolegów.

- Chodźcie szybko, nie uwierzycie!

Członkowie wyprawy podeszli bliżej i wyciągnęli ręce. Chris obserwował z satysfakcją zachwyty na ich twarzach. Chyba wszyscy słyszeli wypowiedziane wyrazy. Najwyraźniej było widać to u Hannah - poruszała ustami równocześnie z brzmieniem słów, które wszyscy już zrozumieli: *Anethot, Imlaran, Farass. Anethot, Imlaran, Farass.*

Chris usiłował skoncentrować się i zebrać myśli, ale głosy nie pozwalały się opuścić. Gwałtownie oderwał rękę. Szmery cichły i umilkły całkowicie. Podeszedł do brzegu jeziora i skropił twarz. Momentalnie powróciła zdolność myślenia. Otarł mokrą twarz i odwrócił się ku towarzyszom. Widok był upiorny. Wydawało się, że wszyscy są pod działaniem obcych głosów. Stali jak urzeczeni, wpatrzni w kamienie.

- Hej, obudźcie się! - zawołał i zaklaskał. - Weźcie się w garść! Hannah, Malcolm, Irene, wróćcie na ziemię!

Jego słowa podziały. Jeden po drugim odrywali ręce od czarnej ściany i zmieszani rozglądali się wokół siebie.

- O rety! Co to było? - Patrick w chwilach szczególnych mówił z wyraźniejszym irlandzkim akcentem.

- Też chciałbym to wiedzieć - powiedział Albert. - Te dziwne nazwy już kiedyś słyszałem.

- Owszem. Wszyscy je słyszeliśmy. Z ust Patricka w czasie hipnozy.

- Masz rację - wyszeptał Malcolm i wyglądał przy tym, jakby zobaczył zjawę.

- Masz cholerną rację. To było wtedy, jak zaczął opowiadać o oku i o tym, że nie chce go puścić. Ludzie, ja naprawdę nie wierzę w przesady, ale pomału dostaję gęsiej skórki. Co to wszystko znaczy?

Chris, który nie chciał przyznać się, że i on poczuł grozę, gładził podbródek.

- Wydaje mi się, że to był rodzaj powitania albo zaproszenia. My powinniśmy zbadać, co kryją te głosy. Powinniśmy wejść do środka i to wyjaśnić. Jako że wszyscy słyszeliśmy głosy, przypuszczalnie zaproszono na spotkanie każdego z nas. Czy ktoś jest przeciwny, że pójdę jako pierwszy? - rozejrzał się, uśmiechając. Nikt nie zgłosił sprzeciwu. - Niczego innego nie oczekiwałem. A więc chodźcie za mną.

Odetchnął głęboko i wszedł do niesamowitej budowli.

## 17

Pułkownik Durand siedział pochylony nad aluminiowym stołem i studiował mapę topograficzną. Hassad i rebelianci wrócili do bazy, natomiast jego ludzie urządzili prowizoryczne centrum dowodzenia, skąd koordynowano akcją poszukiwania zaginionych. Teren obozowiska zniwelowano i uprzątnięto ślady po bitwie. Teraz wznosiły się tutaj trzy odporne na wicher kopulaste namioty produkcji szwedzkiej, z których największy był do jego dyspozycji. Cienkie płachty łopotały, ale wytrzymały bez trudu napór północnego wiatru.

Durandowi nie sprawiało problemu zamieszkiwanie w namiocie. Spędził w nim prawie połowę swojego życia i lubił to uczucie: miał schronienie i jednocześnie dużo świeżego powietrza. Mniej podobał mu się fakt, że dotychczas niczego nie dowiedzieli się o miejscu pobytu naukowców. Robił się nerwowy na myśl, że mógłby być w tej chwili przez nich obserwowany. Nie miał wyrzutów sumienia, lecz sam wolał trzymać rękę na pulsie i decydować o wszystkim. Uważał, że nie ma nic gorszego od utraty kontroli nad sytuacją. Być może było błędem zwrócenie się do Hassada o pomoc tak wcześnie. Powinien był przewidzieć, że przywódca rebeliantów zareaguje natychmiast z prędkością jadawitej zmił; to leżało w jego naturze. Być może powinien poczekać na niezbite dowody, że wartościowe znalezisko znajduje się w rękach grupy. Lecz co miał innego do roboty? Czekanie w forcie na pewne informacje? Duże było prawdopodobieństwo, że mogło być za późno. Członkowie wyprawy nie byli głupcami. Gdyby zaczęli coś podejrzewać, potrafiliby z pewnością zniknąć z pola widzenia wraz ze znaleziskiem. W tej rozległej okolicy łatwo było znaleźć kryjówkę trudną do wykrycia. Nie, on musiał wierzyć, że to oni go potrzebują. Ich niewiedza o jego podwójnej grze była atutem.

Może zaszyli się gdzieś i czekają na ratunek, zamiast prowadzić dalsze poszukiwania - wtedy będzie miał pecha, ale przecucie mówiło mu, że tak nie jest. Ci ludzie mają za sobą



uciążliwą podróż, dokonali już tylu spektakularnych odkryć i z pewnością tak szybko nie rezygnują. Oni znaleźli coś na tyle ważnego, że uciekli wszyscy razem, aby ten przedmiot zachować.

Obok leżał segregator z ważnymi aktami. Helikopter przywiózł cenną przesyłkę z Johannesburga wraz z listem od Naumanna, zawierającym najważniejsze informacje o ekspedycji. Durand nie wiedział wprawdzie dokładnie, o jaki przedmiot chodzi, lecz jego wiadomości były wystarczające, aby mógł wyrobić sobie zdanie na ten temat. Wymiary poszukiwanego obiektu były mniejsze niż początkowo zakładał. Jeżeli informacje Naumanna były prawidłowe, znalezisko nie było większe od piłki futbolowej. Tak małą rzecz można bez trudu wywieźć z kraju.

Zawartość segregatora była niezmiernie interesująca. Kartki w okładkach z przezroczystej folii zawierały dokładne informacje o członkach ekspedycji: życiorysy, pracodawcy, stan majątkowy, profil psychologiczny.

Naumann zadał sobie wiele trudu. Dane zawierały intymne szczegóły o stosunkach towarzyskich, chorobach, sposobach leczenia i godzinach terapii. Nie do pojęcia, co można było tutaj wyczytać.

Nigdy nie przypuszczałby, że Irene Clairmont ma do spłacenia kredyt ponad dziewięćdziesięciu tysięcy dolarów, a prócz tego od dwóch lat toczy się jej pełne brudów postępowanie rozwodowe. Ta kobieta sprawia przecież wrażenie, że działa z rozmysłem i osiąga sukcesy. Patrick Flannery był również zadłużony. Najprawdopodobniej długi karciane, znaczna sumka. Pobory asystenta technicznego nie wystarczały najwidoczniej na spłatę kredytu.

Durand pokiwał głową. Nic nie było takie, jak na pozór wyglądało. Za gładką fasadą ludzi sukcesu chował się najczęściej kiepskiej jakości murek. Wystarczyło zadrapać, a już tynk opadał dużymi kawałkami. Durand miał dobre oko i zauważył, że Malcolm Neadry miał problemy alkoholowe. Rozszerzone pory, worki pod oczami, rzadkie włosy - następstw nie dało się ukryć. Wyglądało na to, że wyszedł z nałogu. W każdym razie z akt wynikało, że od czterech lat był czysty. Bez powodzenia natomiast skończyły różne sposoby leczenia jego chronicznej impotencji. Nie można było wyczytać, czy była ona skutkiem alkoholizmu, czy jakiejś choroby psychicznej.

Informacje na temat Hannah Peters i jej asystenta Abdu były skąpe. Peters była średnio uzdolnioną studentką. Wiele lat spędziła z Theodorem Monod, wielkim badaczem Sahary. Ponadto były podobno jakieś niesnaski w jej rodzinie. Relacje bez znaczenia. Tych dwoje odgrywało chyba drugorzędną rolę w tej zwariowanej grze.

Durand przerzucał strony. Jego wzrok zatrzymał się na nazwisku Chris Carter, albo - ściśle mówiąc - John Evans. Tak brzmiało jego prawdziwe nazwisko. Sprytni fałszerze i hakerzy podarowali mu całkiem nową tożsamość. Durand przypomniał sobie tego cichego mężczyznę o bystrym spojrzeniu. Bardzo dobrze wyglądał. Pracował jako agent dla Normana Stromberga, pomagając mu w gromadzeniu skarbów kultury. Promowany klimatolog, najwyżej oceniany na uniwersytecie Yale, nigdy nie był żonaty. Czy uda mu się uniknąć zdemaskowania w tak zmienionej sytuacji? Prawdopodobnie tak. Jego profil psychologiczny pozwala na takie przypuszczenie. Czy Stromberg zdażył przekazać mu informację o człowieku Naumanna w grupie? Miał nadzieję, że nie. Skomplikowałyby to sytuację.

Durand bębnił palcami po metalowym blacie stołu. Nie miała sensu spekulacja bez dalszych informacji. Miał nadzieję, że człowiekowi Naumanna uda się nawiązać z nim kontakt, zanim grupa wywiezie tajemniczy przedmiot z kraju. Liczył przynajmniej na wiadomość o miejscu aktualnego pobytu grupy. Z drugiej strony Durand nie chciał czekać tak długo. Musi działać natychmiast. Spojrzał na zdjęcie agenta, po czym zamknął segregator i włożył do skrzynki.

Powrócił z powrotem do mapy. Jeden centymetr odpowiadał 250 metrom w naturze - stosunkowo duża skala. Nie udało mu się w tej okolicy zdobyć lepszej mapy. Tę opracowywał osobiście, uczestnicząc w pomiarach okolic Air. Spostrzegł, że zdjęcia satelitarne, według których sporządzano mapę, nie pokazywały wielu szczegółów, na przykład licznych przejść i jaskiń w górach. Jednakże nawet rebelianci nie znali tu każdej kryjówki.

Patrole od wielu godzin usiłowały znaleźć schronienie członków ekspedycji. Dotychczas bez powodzenia. Pułkownik policzył, ile czasu mieli naukowcy na ucieczkę przed burzą. Następnie, zakładając średnie tempo marszu, ustalił promień obszaru, który mogli pokonać. Wziął cyrkiel, nastawił odległość i narysował koło. Nawet doświadczonemu alpinistom nie udałoby się dojść dalej. Pokiwał głową z zadowoleniem i chwycił radiotelefon. Wcześniej ustalił zbyt duży promień poszukiwania. Obecnie wszyscy, którzy byli poza na nowo wyznaczonym terenie, mieli wrócić i skoncentrować się na mniejszym obszarze. Spodziewał się, że poszukiwania będą znacznie skuteczniejsze.

Chris dotkliwie odczuwał otaczającą go ciemność. Jego palce ścisnęły metalową rękojeść karabinu. Kto myślał, że krypta i leżące pod nią przejście są miejscami panującego tu nieustannie mroku, przekonał się, że jest inaczej. Istniały różne, nieokreślone w stopniach

ciemności. Odczuwało się je subiektywnie. Chris miał wrażenie, że czerń otacza jego serce i zaczyna dusić. Na zlecenie Stromberga odwiedzał już różne grobowce, ale ten tutaj był ponad jego siły. Nigdzie we wszechświecie nie ma miejsca tak pozbawionego światła jak to, w którym obecnie przebywał. Uczucie ciasnoty i strach przed pogrzebaniem żywcem wywoływały ataki paniki.

- Światło - wyszeptał. Odbiło się echo jego głosu. Irene, która za nim weszła do krypty, włączyła lampę gazową. Aczkolwiek promienie lampy nie były w stanie jasno oświetlić pomieszczenia, uczucie uścisku w klatce piersiowej minęło. Chris patrzył z nabożną czcią. Jego zdumienie było niezmierne. Blask tańczył na ścianie i odbijał się stokrotnie na powierzchniach z obsydianu.

- Spójrzcie na to! - jego słowa, mimo że wypowiedziane z takim zachwytem, brzmiały prostacko i niezbornie wobec tysiącletniej piękności świątyni. Chris odnosił wrażenie, że jest w miejscu zakazanym.

Ze środka sześciometrowej hali spozierały na przybyłych tajemnicze oczy trzech meduz. Środkowa różniła się znacznie od bocznych. Była nie tylko większa i bardziej imponująca, ją również - jako jedyną - otaczały kamienne postaci ludzi, którzy prosząco wyciągali ku niej ręce. Meduza dobrodusznie roztaczała nad nimi swoje węzowate ramiona.

W porównaniu z meduzami, ludzkie figury sprawiały wrażenie niedoskonałych i bezbronych. Tak samo jak na wizerunkach w *Tassili N'Ajjer*, ich ciała były nieproporcjonalne i dość osobliwe. Ze skrzyżowanymi nad głowami rękami i szeroko otwartymi ustami klęczeli wokół obiektu i oddawali mu cześć. Głowy meduz, nie licząc ramion, miały średnicę około metra i były tej samej wielkości, co dotychczas oglądane. Lecz to, co znajdowało się na dole, różniło się znacznie od znanych rzeźb. Te meduzy posiadały ciała.

Widok był zadziwiający, chociaż Chris zauważył go dopiero, gdy jeszcze raz na nie spojrział. Ohydne głowy królowały nad obfitymi kształtami kobiecymi. Każda z meduz posiadała trzy biusty, jeden nad drugim. Ramiona pokrywały znaki i ornamenty. Napisy były również na masywnych udach, na których spoczywały przysadziste cielska.

- *Anethot, Imlaran, Farass!*

Głos Hannah zabrzmiał jasno i wyraźnie w kamiennej hali. Chris wzdrygnął się, gdy tak niespodziewanie usłyszał te słowa.

- Co? Co ty powiedziałaś?

- Trójca bogiń. Dlaczego przyszło mi to do głowy dopiero teraz? - Hannah mówiła do siebie, teraz nagle przerwała, zauważywszy, że inni przyglądają jej się z zatroskanymi minami.

- Przepraszam. Przeżyłam nagle olśnienie. Bogini w trzech postaciach jest motywem, który dotychczas znaleziono tylko w jednym miejscu w Turcji. Nie było wiadomo, skąd pochodzi. Do dzisiaj. Nie chcę niczego uprzedzać, lecz wydaje mi się, że natrafiliśmy na gorący ślad. Jeżeli moje przypuszczenie jest słuszne, odkryliśmy istotną część układanki archeologicznej.

- Jak to rozumiesz?

- Wolałabym nie mówić. Jeszcze nie teraz. Najpierw muszę zdobyć inne dowody.

Chris przytaknął. Chciałby dowiedzieć się więcej, lecz rozumiał niepewność Hannah. Ona była przede wszystkim naukowcem i nie chciała opierać się na przypuszczeniach. Skoncentrował znowu swoją uwagę na meduzach. Posągi zbudowane były wyłącznie z obsydianu, materiału, który sprawiał, że prezentowały się niezwykle żywotnie. Powierzchnia ich ciał wyglądała jak wilgotna, lśniąca skóra. Chris zadawał sobie ponownie pytanie, jak to możliwe, że ludzie obrabiali tego rodzaju twardego materiału przed trzema tysiącami lat. Do tego tak plastycznie. Przyglądając się dziełu z bardzo bliska, można było sądzić, iż stosowano palniki do cięcia. Wyobrażenie całkowicie absurdalne, które natychmiast odrzucił. W środkowej figurze odkrył detale, odróżniający ją od dwóch pozostałych. Oko.

Oko posiadało właściwość patrzenia bezpośrednio na niego. Wytworzono je z obcego surowca i wpasowano w głowę z obsydianu. Poza około centymetrowym okrągłym otworem w przedniej części, resztę otaczało szkliwo wulkaniczne. Cała uwaga Chrisa skupiła się na tej szarej, nieforemnej kuli. Czy to jest eksponat, którego szukają? Świątynia, jaskinia, krypta, nawet malowidła w *Tassili N'Ajjer* - wszystko to miało na celu chronić oko? Czy było ono jądrem, centrum wysoko rozwiniętej kultury z wczesnohistorycznej epoki ludzkości - czasu, w którym pojęcie cywilizacja nie było znane na reszcie kuli ziemskiej? Chris nie potrafił wyjaśnić, co zainspirowało go do takich myśli. Czuł jednak, że to więcej niż zwykła spekulacja.

Ale cóż niezwykłego miałby mieć w sobie ten podobny do ołowiu minerał? Nie był kunsztownie wykonany, mimo to sprawiał wrażenie wartościowego. Właściwie był wstrętą szarą grudą, niepasującą wcale do wspaniałości w świątyni obsydianu. Być może właśnie owa sprzeczność decydowała o jego wartości. Kamienne schody prowadziły bezpośrednio do oka. Stopnie błyszczały czernią w zimnym świetle płomienia.

Z czią, w milczeniu, członkowie grupy wspinali się po schodach. Minęli modlące się rzeźby i znaleźli się tuż obok meduzy. W zupełnej ciszy przypatrywali się oku, ukrytemu w trzech obwisłych fałdach i świecącemu jak obca gwiazda. Materiał, z którego je zbudowano, był faktycznie dziwny. W gładkiej masie można było dostrzec gruboziarniste cząstki. Połysk powierzchni zdawał się wynikać z wysokiego nawilżenia. Irene, która również zwróciła uwagę na ten fenomen, uniosła lampę i oświetliła wspaniały wizerunek. Okazało się, że wilgotność nie była pozorem, lecz rzeczywistością. Łzy spływały po obu stronach powieki i zbierały się w dwóch kanałach.

- Patrzcie, ona płacze - szepnęła Irene i zbliżyła się do oka. Stojący bezpośrednio za nią Malcolm filmował każdy jej ruch. Nawet, jeśli był nieczułym typem, to jego profesjonalność podpowiedziała mu, że ten moment był godny utrwalenia. Może powstanie nowy film, inny, niż planowano. Chris zauważył, że łzy płynęły mocniej przy jaskrawym świetle, a może przywidziało mu się to po prostu. Tutaj, na dole, zmysły potrafiły płatać figle. Przyglądał się zjawisku. Łzawiące oko stało się centrum zainteresowania, usuwało w cień wszystko inne. Nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, Chris podniósł rękę i dotknął ten osobliwy kamień.

- Nie! - usłyszał wołanie Hannah, ale było za późno. Jego palce gładziły chłodny, wilgotny materiał, wyczuwały guzowate miejsca. Kamień zdawał się wibrować. Jak silny transformator, przez który przepływa prąd o napięciu setek volt. Drgania torowały sobie drogę przez kamień i ramię Chrisa, trafiając do jego ciała. On nie mógł się opanować. Łaskotanie i ciche brzęczenie wyczarowały uśmiech na jego twarzy.

- Wielki Boże, jakież to wspaniałe - szeptał. - Mam wrażenie, że kamień przemawia do mnie! On chce mi coś powiedzieć. Też musicie spróbować! Czekajcie, coś się zmieniło. - Wszyscy obserwowali Chrisa ze sceptycyzmem i zaciekawieniem, a on nadal skoncentrowany był na kamieniu. Nagle usłyszał, że coś dzwoni mu w uszach. Dzwony słyhać było z oddali, pięć uderzeń wydających dźwięki o różnej wysokości. Sekwencja tonów powtórzyła się po krótkiej przerwie. Była to cudowna, krótka melodia. Małeńkie iskiereczki poczęły tańczyć przed jego oczami. Uformowały się w jakiś wzór na jego siatkówce - mógłby przysiąc, że już go kiedyś widział. Światelka dzieliły się, kręciły i mnożyły blask deszczu iskier, który od wieczornego ogniska unosił się ku niebu. Iskiereczki zataczały koła, kołysały się, wkrótce wypełniły całe pole widzenia. Fajerwerki budzące duszę. Gdy jednej z iskier udało się dotrzeć blisko jego pola widzenia, Chris rozpoznał obraz z własnej przeszłości. Fragment wspomnień, które wydawało się, że już dawno poszły w zapomnienie.

Zobaczył siebie i Paulinę - dziewczynkę, w której był śmiertelnie zakochany - jadących razem na rowerze do szkoły. Widział, jak przez nieuwagę najechał na kamień i siedzi z pokrwawionym kolanem na poboczu, natomiast Paulina ze śmiechem odjeżdża. Jej blond włosy powiewają na wietrze. Zostawiła go płaczącego na drodze. Wtedy zrozumiał, że ona nigdy poważnie się nim nie interesowała. Iskierka tanecznie odskoczyła od tego obrazu i wmieszała się w tłum swoich koleżanek.

Chris odciągnął rękę i zamknął oczy. Łzy spływały mu po policzkach, kapały na podłogę, mieszając się ze łzami meduzy. Poczł, że czyjeś ręce kładą się na jego ramionach i delikatnie odsuwają od cudownego kamienia. Później otoczyła go czarna otchłań.

Gdy obudził się, zobaczył Hannah. Pochylona nad nim, ścierała pot z jego czoła. W jej oczach widać było troskę i niedowierzenie.

- Pić - to było wszystko, co zdołał wykrztusić. Język przykleił mu się do podniebienia, a w ustach miał tak sucho, jakby od tygodni nie wypił kropli wody. Hannah przystawiła mu manierkę do ust. Chłodna woda była dobrodziejstwem. Natychmiast poczuł w sobie energię i chciał wstać.

Zdziwiony stwierdził, że zniesiono go ze schodów i ułożono na pościeli z kurtek i koszul. W miękkim świetle zielonych wodorostów zobaczył współtowarzyszy siedzących kołem wokół niego. Wszyscy chyba czekali na jego wyjaśnienie.

- Ale się narobiło - powiedział z ociąganiem - nie wiem, jak zacząć. To wszystko stało się tak szybko. Muszę najpierw uporządkować myśli. Przypominam sobie, że dotykałem oka. Ono wysłało do mnie iskierki i mogłem sobie nagle przypomnieć rzeczy, które dawno temu poszły w niepamięć.

Opisał w szczegółach zdarzenie z Pauliną, chociaż było to dla niego bolesne wspomnienie.

- Kamień podarował mi część mojej przeszłości. Przeżycie było wspaniale i jednocześnie okropne - mruzczał.

Gdy spostrzegł, że inni patrzą na niego w milczeniu, ogarnęło go dziwne uczucie.

- To była chwilowa słabość. Nie musicie martwić się o mnie. Czuję się znowu znakomicie - mówił dalej.

Siedem par oczu bacznie śledziło go, jakby był egzotycznym okazem. Chris poczuł mrowienie w okolicach kręgosłupa.

- Czy coś nie jest w porządku?

Nadal milczenie.

- Co się stało?

Twarz Hannah była zmieniona. Pomiędzy brwiami pojawiła się pionowa zmarszczka. Wąskie linie wkoło zaciśniętych ust sprawiały, że wyglądała kilka lat starszej.

- Opowiadałeś dużo, dotykając kamienia - powiedziała, zrzucając z siebie jego słowa, jakby były trucizną. - Nawet bardzo dużo! - dodała.

- Nic sobie nie przypominam. Co mówiłem? - zrodziło się w nim posępne przecucie.

- Wymieniłeś kilka nazwisk - dopowiedziała kwaśno Irene. - Nazwy miejscowości oraz zdarzenia. Resztę mogliśmy sobie do-śpiewać.

Chris czuł, że zaciska się sieć strachu i nieufności. Zdradził się? Jeśli tak, musi jak najszybciej odwrócić kota ogonem.

- Nie pojmuję, czego chcecie. Możliwe, że w czasie zamroczenia coś tam naopowiadałem. Obojętne, co to było. To były tylko słowa. Rzeczywistość jest tutaj. Tamto nie ma żadnego znaczenia wobec naszego odkrycia. Ten kamień, albo czort wie, co to jest, oddziałuje na ludzką psychikę. Dotąd czegoś takiego nie odkryto na kuli ziemskiej. Wyobrażacie sobie, jakie spotka nas uznanie - uśmiechnął się w nadziei, że jego słowa odniosą zamierzony skutek. Jednak rzut oka na twarze siedzących przekonał go, że się mylił.

- Wielki Boże, nie rozumiecie, że przytrafiło mi się coś podobnego jak Patrickowi w czasie hipnozy? To nie był przypadek. To miejsce i ten kamień wywierają wpływ na nasze myśli i uczucia, kierują nimi. Możliwe, że kryją jeszcze coś więcej. Przypomnijcie sobie głosy. Nie wierzę, że nie zastanawiacie się nad tym.

Hannah odwróciła twarz, jakby bała się, że spotkają się ich oczy. Inni natomiast patrzyli na niego z gniewem.

Naturalnie Malcolm Neadry był tym, który zadał pytanie, którego Chris obawiał się najbardziej.

- Co masz wspólnego z Normanem Strombergiem?

Stało się. Chris czuł, że traci grunt pod nogami. Uświadomił sobie, że nie ma sensu dalej udawać. Gra była skończona.

# 18

Hannah siedziała struchlęta na ziemi obok Chrisa i słuchała jego wyznania. Opowiadał całą historię od początku, nie próbując się usprawiedliwiać ani wykręcać. O tym, jak Stromberg przyjął go do pracy i jak z Johna Evansa stał się Chrisem Carterem. Opisał, ile trudu i pieniędzy kosztowało wprowadzenie go do NGS, ile podjęto starań, aby został członkiem tej wyprawy. Naturalnie, że to on wymyślił album, aby nie ściągać na siebie uwagi. Naturalnie, że pisał sprawozdania i udzielał wywiadów. Potem Chris zniknąłby, zmienił otoczenie i nikt nie byłby w stanie dojść, jak Stromberg zdobył konieczne informacje, by swój majątek powiększyć o znalezisko. Figura z *Tassili N'Ajjer* wystarczyłaby wprawdzie, aby koszty się zwróciły, ale z możliwością, że wyprawa może zakończyć się tego rodzaju sensacyjnym odkryciem, nie liczył się nawet Stromberg. Jeśli o tym wiedział, to ukrywał ten fakt bardzo sprytnie.

Chris mówił otwarcie i sprawiał wrażenie, że jego słowa płyną z głębi duszy, a to wszystko już od dawna bardzo mu ciążyło. Gdy skończył, na jego twarzy pojawiła się ulga.

Dla Hannah natomiast każde jego słowo było jak pchnięcie nożem. Była wyczerpana i zbyt słaba, aby płakać, zbyt zmęczona, aby krzyczeć, chociaż miała na to ochotę. Z uczuć pozostała w niej jedynie rezygnacja.

- Hannah - szeptał Chris - tak mi przykro. Nie chciałem, aby tak się stało.

- Oszczędź sobie obłudy - syknęła. - Wykorzystałeś mnie tak samo jak innych. Uważasz mnie za głupią? Jak możesz ode mnie wymagać, że uwierzę w choć jedno twoje słowo? Przykro ci? Ha! Pocieszam się, że twój Norman Stromberg będzie musiał kupić sobie innego agenta, bo ty zmarniejesz tutaj razem z nami!

- Tego nie mam w planach - odparł Chris, unosząc brodę. Jego twarz nie była już łagodna, lecz przybrała twardy wyraz. - Szkoda, że tak to oceniasz. Może pewnego dnia zmienisz zdanie. Ten sam cel przyświeca nam wszystkim, stoimy tylko na różnych pozycjach.



Ja w każdym razie nie mam zamiaru łatwo się poddawać - powiedział - zastanówcie się! Stoimy u progu nowego odkrycia. Mamy żywność, nawet światło i wodę. Mamy w sobie energię, by kontynuować badania i szukać wyjścia na zewnątrz, nawet, gdy będziemy zmuszeni torować sobie drogę karabinem. Co wy na to? - zwrócił się do innych.

- Oto odpowiedź na twoje pytanie: oddaj broń! - przed Chrisem stanął w rozkroku krępy Malcolm i wyciągał niecierpliwie rękę.

Chris poluźnił pas i oddał dobrowolnie pistolet. Malcolm wyrwał mu go z ręki, sprawdził magazynek i skinął zadowolony.

- Wygląda na to, że jest w porządku.

Potem z szybkością, o którą nikt by go nie posądzał, uderzył klimatologa kolbą w głowę. Chris osunął się, a wystraszona Hannah skoczyła na równe nogi.

- Co ty zrobiłeś? - wrzasnęła.

Malcolm nie odpowiedział. Wskazał na Chrisa. - Przeszukajcie go! - rozkazał Irene i Patrickowi, siedzącym najbliżej bezwładnego ciała. Jego rozkazujący głos nie dopuszczał sprzeciwu. Oboje zaczęli przeszukiwać wszystkie kieszenie, lecz znaleźli tylko notatki, długopis, paczkę gumy do żucia i składane narzędzia Leathermana. W wewnętrznej, specjalnie doszytej kieszeni, był skórzany woreczek, a w nim dowód osobisty, karta kredytowa i wiza. Wszystkie dokumenty wystawione były na nazwisko Chris Carter. W woreczku były również pieniądze. To wszystko. Nie było niczego, co potwierdzałoby lub zaprzeczałoby jego historii. Jeżeli faktycznie pracował dla Stromberga, pozory były zachowane idealnie.

- Zdejmijcie mu buty! - na czole Malcolma pojawiły się kropelki potu. Hannah zastanawiała się, czy Malcolm faktycznie uważa, że znajdzie coś w butach, a tymczasem Irene z Patrickiem odplątywali supły w sznurowadłach.

Malcolm nie był zainteresowany butami. Wyciągnął z nich sznurowadła i rzucił Irene pod nogi.

- Zwiąż mu ręce na plecach!

Pozbierał kilka dużych kamieni, wepchnął je do butów i obciążone rzucił na środek jeziora.

- A co to ma znowu znaczyć? - wybuchnęła Irene, po wykonaniu jego poleceń.

Przestała nad sobą panować i Hannah zauważyła ze zdziwieniem, jak mało pozostało z jej chłodnego sposobu bycia. Ruchy Irene były teraz nerwowe i chaotyczne.

- To proste - odpowiedział Malcom - nie mamy możliwości, by go uwięzić, a musimy mieć na oku, więc najlepiej, jak będzie bosy. Ciężko mu będzie uciekać. Ale mimo to musi być pilnowany. Tak jest bezpieczniej.

Irene uporała się wreszcie ze związaniem rąk Chrisa.

- Wiecie, ja miałam od początku wrażenie, że go znam - mówiła. - Tego wieczoru, gdy siedziałyśmy z Hannah i on przyszedł dotrzymać nam towarzystwa, byłam szczególnie tego pewna. Twierdził, że nigdy nie stał przed kamerą, a ja mogłam przysiąc, że kłamie. Długo trwało, nim przypomniałam sobie, gdzie go widziałam. Pamiętacie odkrycie dwu tysięcy glinianych wojowników w Chinach? Nadawane na całym świecie sprawozdanie było sensacją. Pamiętam wszystko tak dokładnie, bo prawo do nadawania tego ekskluzywnego programu dostało BBC, a nie my. Wszystko jedno. W każdym razie Norman Stromberg, który finansował znalezisko, nie przepuścił żadnej okazji prezentowania się przed kamerą w charakterze wielkiego protektora sztuki. Towarzyszył mu młody, milczący, blade chłopak, który sprawiał wrażenie, że wolałby być niezauważalny. W pewnej chwili Stromberga ktoś odciągnął na bok, a wówczas okazało się, że to dzięki staraniom tego chłopaka Chiny zezwoliły na dokumentowanie wykopaliska zachodnim archeologom. Miał on wtedy jeszcze brązowe włosy i szczupłą twarz. Dlatego nie od razu go rozpoznałam.

Malcom kiwnął głową.

- Też nie miałem do niego zaufania. Manipulował przy nadajniku satelitarnym. Oczywiście potem wszystko sprawdziłem, ale on był przebiegły i wymazał zapis połączenia. Nie mogłem odtworzyć przeprowadzonej przez niego rozmowy. Sprytny typ. Wodził nas za nos.

- Mimo wszystko nie powinieneś używać siły - wtrąciła Irene, a Hannah przyznała jej w duchu rację. - Nie robił wrażenia, że chce się bronić.

- Ty tego nie rozumiesz. To była sprawa między nami. Sprawa, która od dawna czekała na załatwienie. Zresztą nabiłem mu tylko guza.

Malcom jeszcze nie skończył, gdy Chris otworzył czy. Pojękując, podniósł się. Zirytowany rozglądał się, trzymając za głowę.

Dopiero po chwili zauważył, że nie ma butów. Pokiwał głową i uśmiechnął się. Sprawiał wrażenie, że oczekiwał czegoś w tym rodzaju.

- Twój pomysł? - zwrócił się do Malcolma. - Dobry plan. Szkoda, że nie pomyślałeś, że pokrwawię sobie stopy na ostrych kamieniach.

- Szczerze mówiąc, gównu mnie to obchodzi. Poruszaj się ostrożnie, w skradaniu się jesteś mistrzem. Masz skarpety, a gdy to nie pomoże, owiń sobie nogi w szmaty.

- Pięknie pomyślane. - Chris splunął na ziemię. - A jakie są postanowienia na przyszłość, szefie? - w jego słowach czuć było sarkazm.

- Nadal trzymamy się planu. Rozpoznajemy teren i szukamy drugiego wyjścia. Proponuję, abyś nam pomagał i wybił sobie z głowy ewentualne plany ucieczki.

- Nie miałem zamiaru uciekać. Bo i dokąd? - westchnął Chris.

Uderzenie w głowę doskwierało mu bardziej niż okazywał. Był błady i robił wrażenie, że ma nudności. Hannah odczuwała litość, chociaż gardziła nim za zdradę. Nie mogła przecież zmienić swoich uczuć z godziny na godzinę. Szczerze mówiąc, sama nie wiedziała, co powinna czuć. W jej głowie panował absolutny chaos. W takich sytuacjach koncentrowała się na innych zadaniach. Po rozłące z Simonem pracowała do upadłego i później okazało się, że była to bardzo mądra decyzja. Teraz też tak robi. Mimo zmęczenia wstała i otrzepała kurz ze spodni.

- OK. Proponuję, abyśmy natychmiast rozpoczęli. Podzielmy się na dwie grupy. Jedna zbada świątynię, a druga pójdzie do jaskini i będzie szukać drugiego wyjścia. Zgłaszam się na ochotnika do grupy drugiej. Potrzebny mi jest ruch. Poza tym, gdy obchodziłam jezioro, zwróciłam uwagę na ciemne wgłębienia. Chciałbym przyjrzeć się im dokładniej. Może będziemy mieć szczęście i okaże się, że to przejścia albo tunel.

Hannah powiedziała połowę prawdy. W pobliżu świątyni czuła się po prostu nieswojo. Paliła ją wprawdzie ciekawość zbadania osobliwej meduzy, lecz czuła też instynktowną niechęć do przebywania w jej pobliżu. Obok meduzy słyszała nakładające się na siebie głosy, jak to czasem bywa podczas audycji radiowej, gdy odbiór jest zakłócony.

- Z powodu mojej ograniczonej możliwości poruszania, zostanę chętnie na miejscu - odezwał się Chris z cynicznym uśmiechem - chociaż ze związanymi rękami nie będę chyba zbyt pomocny.

- Mam lepszy pomysł - odparł Albert, który od dłuższego czasu trzymał się na uboczu. Jego twarz ukryta za okularami w złotej oprawce, była blada i Hannah spostrzegła, że oczy Alberta błyszczały jak w gorączce.

- Jeśli nie macie nic przeciwko, pójdę z powrotem. Spróbuję przedostać się przez zasypane przejście albo przynajmniej posłucham, czy nadchodzi pomoc. Szczerze mówiąc, nie mogę tu dłużej wytrzymać. Zejście było potworne, a tu... - złapał się za gardło - brak mi po prostu powietrza. To jest ponad moje siły.

Hannah spojrzała na niego ze współczuciem. Albert, w porównaniu z innymi, nie mógł sobie poradzić w tej sytuacji. Jak bardzo się zmienił! Z sympatycznego saksofonisty stał się kłębkim nerwów, a jego głos wskazywał na zbliżający się atak hysterii.

Albert oddychał ciężko. - Jak dacie mi telefon i karabin, to wezmę ze sobą Cartera, będę na niego uważać. Pomoże mi przy odkopywaniu. Co o tym myślicie?

Irene rozejrzała się po obecnych. - Uważam, że to dobry pomysł. Zaoszczędzi nam sporo kłopotów z tym typkiem. Z sześciu pozostałych osób możemy utworzyć dwa trzyosobowe zespoły. Co ty na to, Malcolm?

Kamerzysta spojrzał dookoła. Chyba był niezadowolony, że to nie on był autorem pomysłu. Po chwili wyraził zgodę.

- W porządku. Weź broń i trochę prowiantu. Przede wszystkim wodę. Próbuj się łączyć, jak będą problemy.

- Tobie radzę zachowywać się spokojnie. Jak przyjdą ci do głowy jakieś głupstwa, policzymy się! - zwrócił się do Chrisa.

Hannah przyglądała się, jak Albert pakuje w dwie torby żywność i butelki z wodą. Jedną z nich powiesił Chrisowi na szyi. Na ramię zarzucił broń, sprawdził radiotelefon, skinął głową na pożegnanie i odmaszerowali.

- W naszym futrze złapaliśmy prawdziwą wesz - zażartował Malcolm, podając Hannah dwa radiotelefony. - Dobrze, że tak wcześnie udało się nam go zdemaskować. Nie do wiary, że zaczęłaś z nim romansować! Kobiety bywają ślepe - potrząsnął głową.

- Zostaw go w spokoju i ciesz się zwycięstwem - oburzony Gregori energicznie pakował prowiant. - Pokonałeś go. Musisz dalej na niego wygadywać, a z niej się podśmiewywać? Lepiej się poczuje z dala od ciebie, idę z nią - wskazał Hannah.

- Ja również - dodał Abdu, sprawdzając umocowanie noża na pasku spodni.

- Znakomicie. Chyba nie będzie trudności w utworzeniu dwóch zespołów. Co zamierzasz, Patrick?

Hannah dojrzała w twarzy Patricka nieprzyjemną zachłanność.

- Zostanę tutaj - oświadczył. Od tej świątyni nie odciągnie mnie nawet dziesięć koni. Chcę koniecznie być przy tym, jak poznamy jej tajemnicę. - Oczy Patricka iskrzyły jak u drapieżnika, który wypatruje zdobyczy.

Nie po raz pierwszy Hannah zastanawiała się czy zmiany, jakie zauważyła u swoich kolegów, mają coś wspólnego ze świątynią, czy są natury osobistej.

Patrick wydawał jej się zawsze sympatyczny. Miał taki naiwny, nieskomplikowany sposób bycia. Teraz nabrał niepokojących cech. Podobnie Malcom. Był wprawdzie już

wcześniej ordynarny i impulsywny, ale tylko na pokaz. W każdym razie do dzisiaj. Znęcanie się nad Chrisem odsłoniło jego ciemne strony. Minione wydarzenia pozostawiły ślad nawet na Irene. Gdy poznały się, była serdeczna i otwarta, na ustach miała zawsze dowcipny komentarz i uśmiech - cechy, które Hannah u niej lubiła. Obecnie nic z tego prawie nie zostało. Stała się milcząca. Pogłębiły się zmarszczki na jej twarzy, a spojrzenie stało się ostre jak igła. Wydawało się, że postarzała się przez te tygodnie o całe lata.

Hannah wahała się. Potem pomyślała, że powinna dokonać oceny z większego dystansu.

- W porządku - powiedziała, odbierając z rąk Abdu napełnioną prowiantem torbę.

- Ruszamy. Proponuję, abyśmy nawiązywali łączność w regularnych odstępach czasu, na przykład co godzinę. Gdy zdarzy się coś niezwykłego, wtedy częściej. To samo dotyczy i was.

Spojrzała na kompas, zapięła paski torby i jeszcze raz zwróciła się do Irene, Malcolma i Patricka.

- Idziemy na wschód. Najpierw zbadamy wgłębienia w ścianach. Gdy nic nie znajdziemy, posuwamy się dalej zgodnie z ruchem zegara. Trzymajcie kciuki.

## 19

Po ponad dwóch godzinach Hannah, Abdu i Gregori pozwolili sobie na pierwszą przerwę. Potwierdziło się spostrzeżenie Hannah. Ciemne zagłębienia, które zauważyła okrążając jezioro, okazały się faktycznie przejściami, prowadzącymi prawdopodobnie do Adrar Tamgak. Najwidoczniej istniało wzdłuż pasma górskiego więcej kompleksów jaskiniowych. Jeżeli szczęście będzie im sprzyjać, jedna z dróg wyprowadzi ich na świat. Hannah z nadzieją wypiła łyk z manierki, rozglądając się dookoła. Byli w miejscu, gdzie dominowały dwa kolory, czarny i szary w różnych odcieniach. W jej sercu było jeszcze ciemniej. Jak mogła tak lekkomyślnie szastać swoimi uczuciami? Naiwnie uwierzyła, że tym razem znalazła szczęście i miłość. A miała od początku niedobre przeczucie. Dlaczego mu zaufała! Przecież czuła od początku, że Chris zainteresowany jest bardziej jej pracą niż osobą.

- Wszystko w porządku? - łagodny głos Gregori wyrwał ją z rozmyślań. - Mogę coś dla ciebie zrobić?

Hannah uśmiechnęła się. W uśmiechu było widać zmęczenie.

- Znaczyłoby dla mnie wiele, gdybym wiedziała, że mam poza Abdu jeszcze jednego przyjaciela.

- Masz go - ujął jej ręce i delikatnie uściskał.

- Dziękuję. Miło usłyszeć coś takiego od czasu do czasu - odpowiedziała, zabierając ostrożnie dłonie. - Myślę, że powinniśmy się znowu zgłosić. Termin upłynął. Abdu, czy mógłbyś podać mi radiotelefon?

Tuareg sięgnął do torby i podał jej walkie-talkie. Po włączeniu, przycisnęła klawisz nadawania.

- Grupa pierwsza do grupy drugiej, słyszycie mnie? Nie było odpowiedzi.

- Grupa pierwsza do grupy drugiej - zgłóście się! - jej głos odbijał się echem w głębokim tunelu. Dwie następne próby przyniosły ten sam rezultat.

- Cholera, chyba nie słyszą. Zastanawiam się, czy wydajność tych urządzeń jest faktycznie wystarczająca, by przenikać skały. Bądź co bądź to setki metrów masywnego kamienia.

W tym momencie usłyszała głos. Był słaby i zniekształcony.

- Tu Malcom. Jesteś, Hannah? Odbiór.

Odetchnęła z ulgą. - Halo, jestem. Dobrze, że cię słyszę. Chciałam krótko złożyć pierwszy meldunek. - No to...

- Idziemy od godziny na wschód. Nasze przejście powstało chyba w naturalny sposób, chociaż w różnych miejscach natrafiliśmy na namalowane znaki. Nie jestem pewna, czy znajdziemy drugie wyjście, ale szukamy dalej. Zgłosimy się, gdy coś znajdziemy. Co u was? Odbiór.

Głos Malcolma zaniknął na moment, a potem słyszeć go było znowu, choć w słuchawce szumiało.

- Zrobiliśmy niesamowicie odkrycie. Substancja, wchodząca w skład oka, wywołuje halucynacje. Sam wypróbowałem. Niezwykłe rzeczy. Teraz Irene z Patrickiem badają ją bliżej. Mam pytanie do Gregori. Odbiór.

Hannah podała radiotelefon geologowi. Znowu słyszeć było jedynie szum.

- Gregori. Odbiór.

- ...teraz słyszę cię lepiej. Połączenie jest fatalne... Patrick później spróbuje zwiększyć moc telefonów. ... To oko... Zbadaliśmy je. Składa się z wypełnionej wodą, porowatej substancji, a w środku są jakby zapieczone ziarna... ostro reaguje na światło. Ustawiliśmy lampę gazową. Oko produkuje nieprzerwanie wodę... prawdziwy strumyk... płynie schodami w dół do jeziora. Nigdy czegoś podobnego nie widziałem. Co to może być? Meteoryt? Odbiór.

- Tutaj Gregori. Tak, to możliwe. W każdym razie jest to reakcja fotochemiczna. Materiał nabywa pod wpływem światła właściwości higroskopijnych, pochłania wilgoć i następnie ją wydala. Więcej nie mogę powiedzieć, potrzebne są dokładne badania. Jedno jest pewne - to faktycznie niepowtarzalne - głos Gregori zdradzał, że z trudem panował nad podnieceniem.

- Taką substancję można wyprodukować w laboratorium. W naturze dotychczas nie występowała, ponieważ ulega szybkiemu rozpadowi. Postępujcie ostrożnie, przede wszystkim chronicie ją od światła. Odbiór.

- Zrozumiałem... idę teraz z powrotem do świątyni. Zamelduję się, jak będzie coś ciekawego. Odbiór.

Gregori wyłączył telefon i podał Abdu.

- Co jest? - Hannah spojrzała ciekawie. - Muszę przyznać, że zrozumiałam tylko połowę z tego, co powiedziałeś.

Gregori uśmiechnął się ciepło. - Chodźmy dalej. Objaśnię ci.

Zarzucili torby i poszli.

W ciągu następnych trzydziestu minut Hannah dowiedziała się wszystkiego na temat meteorytów, tektytów i ich wielkich krewnych, asteroidów. Gregori był kopalnią wiedzy i bardzo pragnął podzielić się nią z Hannah.

- Wszystkie okruchy skał, spadające z kosmosu na Ziemię, mają swój początek w Układzie Słonecznym. Istnieją nawet kruszywa wyrzucane podczas wybuchu wulkanu tak wysoko, iż przenikają do jonosfery i spadają na Ziemię w postaci meteorytów. Bezwzględna większość pochodzi z orbity asteroidów. To bryły skalne, które krążą między orbitami Marsa i Jowisza. Ciężar planetoidów wynosi ponad tysiąc ton. Wskutek częstych zderzeń pojedyncze odłamki opuszczają orbitę i dostają się w obszar przyciągania ziemskiego. Większość z nich jest małych rozmiarów i wypala się w atmosferze. Od czasu do czasu większe kawałki docierają do Ziemi.

Gregori zrobił krótką przerwę. Uśmiechnął się zachęcająco do Abdu i mówił dalej.

- Dzisiaj liczny sztab naukowców pracuje nad odczytaniem informacji, zawartych w meteorytach. Odkrycie meteorytu z Marsa na Antarktydzie doprowadziło do tego, że prezydent Clinton w swoim wystąpieniu podczas kongresu w 1996 roku poparł badania na Marsie, których celem miało być poszukiwanie śladów życia. Innym przykładem jest meteoryt z Murchinson, który spadł w 1969 roku na Australię. Wykryto w nim aminokwasy, będące podstawą życia. Jednakże w przeciwieństwie do aminokwasów występujących na Ziemi, których struktura jest zgodna z ruchem wskazówek zegara, cząsteczki tamtych tworzyły łańcuch. Zatem nie były ziemskiego pochodzenia. Takie i inne znaleziska spowodowały zmianę stanowiska w świecie nauki. Stanowiły podstawę do przyjęcia teorii, iż podstawowe komórki życia nie musiały koniecznie powstać na kuli ziemskiej. Równie dobrze mogły spaść z kosmosu i dać początek życia na Ziemi.

- Dziwne.

- Pasjonujące, prawda? Jeśli istotnie tak jest, jesteśmy dziećmi gwiazd! - Hannah zauważyła błysk w oczach Gregori.

- Ten meteoryt z Murchinson nazwano zresztą węglistym chondrytem - Gregori powrócił do wykładu. - Jeżeli Malcolm prawidłowo opisał oko meduzy, może chodzi faktycznie o meteoryt tego rodzaju. Istnieje jednakże i inna możliwość.



Zrobił retoryczną przerwę i gdy mówił dalej jego głos zamienił się w szept, odbijający się od ścian wąwozu.

- Wiesz, co jest dziwne? Z astronomicznego punktu widzenia wszystkie dotychczas znalezione meteoryty pochodzą z naszego bliskiego otoczenia. Z Księżyca, Marsa i pasa asteroidów. Istnieje jednakże grupa ciał niebieskich, która ukrywa jeszcze większą tajemnicę.

Hannah zmarszczyła czoło. - Mówisz o kometach?

- Chcesz posłuchać?

- Oczywiście. Jak zacząłeś, to opowiedz do końca.

- Więc... jeśli chodzi o komety, to nie jest pewne, skąd one właściwie pochodzą. Rozpowszechniona jest opinia, że pochodzą z olbrzymiego roju kosmicznych odłamków, krążących wokół Słońca w odległości pięćdziesięciu tysięcy jednostek astronomicznych, co oznacza 0,75 roku świetlnego. Tak zwany obłok Oorta jest pozostałością fazy powstawania Układu Słonecznego. Co sto tysięcy lat, kiedy jakaś gwiazda przechodzi w pobliżu obłoku, dzięki sile grawitacji przyciąga odłamki, które mogą się połączyć i krążyć w Układzie Słonecznym na zewnątrz obłoku. Gdy zbliżają się do Słońca tworzą charakterystyczny dla nich warkocz.

Hannah skinęła głową. - A co to ma wspólnego z naszą meduzą?

- Zaraz powiem. Najpierw musisz wiedzieć, że komety to związek lodu, pyłu gazów i odłamków skalnych. Nazwano je brudnymi śnieżkami i ta nazwa do nich pasuje. Są tak miękkie, że wiele komet rozpada się już wówczas, gdy przechodzą obok Słońca, dlatego jeszcze żadna w całości nie spadła na Ziemię. Są rozrywane w następstwie eksplozji, którą przyrównać można do bomby atomowej o mocy 12 megaton. Na przykład 30 czerwca 1908 roku miała miejsce na Syberii tzw. katastrofa tunguska. Mimo że przy takim wybuchu z komety prawie nic nie pozostaje, może zdarzyć się, że trwałe składniki opadną na Ziemię. W ten sposób uwolnione kamienie nie wykazują uszkodzeń, gdyż wysoka temperatura podczas wejścia do atmosfery chroni je, tworząc otulinę z lodu.

- I co?

- Kamień z obłoku Oorta ma tyle lat i pochodzi z tak odległego obszaru, iż w jego skład mogą wchodzić substancje, których nie poznaliśmy w Układzie Słonecznym.

Hannah spojrzała na niego, nic nie rozumiejąc. Pomału jednak zaczęła pojmować, dokąd zmierza. - Chcesz przez to powiedzieć, że...?

- Tak jest. Istnieją teorie, że obłok Oorta jest w stanie zbierać jak gąbka materię, krążącą bez celu we wszechświecie. Materia pochodzi z najgłębiej położonych obszarów

galaktyki. Są to elementy, minerały i absolutnie nieznanne nam substancje. Razem z kometą mogą dotrzeć bez uszczerbku na Ziemię.

Hannah przystanęła i spojrzała sceptycznie na Gregori.

- Czy próbujesz powiedzieć, że meduza... Nie, nie mogę w to uwierzyć. To nieprawdopodobne. Musi być inne wyjaśnienie.

- Możliwe, ale możliwe też, że takiego nie ma. W każdym razie faktem jest, że obojętnie, co by to było, posiada niezwykle właściwości. Cechy niespotykane u żadnej innej substancji, znalezionej dotychczas na Ziemi i we wszechświecie. Muszę przyznać, że najchętniej pobiegłbym z powrotem, aby zbadać kamień.

Zamyśleni, maszerowali dalej. Hannah dostała sporą dawkę informacji i zaczęła martwić się poważnie. - Jeśli masz rację z twoją zwariowaną teorią, to być może wszyscy jesteśmy w niebezpieczeństwie.

Spojrzał na nią przenikliwie. - Jak to rozumiesz?

- Zastanów się. Może ten kamień jest radioaktywny lub inne jego właściwości są niebezpieczne dla życia?

Gregori po chwili zastanowienia potrząsnął głową.

- Jest to wprawdzie możliwe, ale mało prawdopodobne. Po jego odnalezieniu znajdował się długi czas w rękach ludzi pierwotnych. Oni z pewnością nie zbudowaliby ołtarza, gdyby przyniósł ze sobą śmierć i nieszczęście. Jednakże nie można wykluczyć przewlekłych zakażeń.

Gregori westchnął. - Wszystko to domniemania. Nie mamy możliwości sprawdzenia kamienia pod względem jego radioaktywności. Basta. Naszą jedyną szansą jest jak najszybciej wydostać się stąd, zorganizować nowy zespół i poddać meduzę nowoczesnym badaniom.

Hannah chciała właśnie odpowiedzieć, gdy nagle coś zauważyła. Zatrzymała się, zdziwiona. Przejście kończyło się w jaskini. Weszli do komory, która kształtem i wyglądem przypominała do złudzenia poprzednią kryptę. Jej powierzchnia była mniejsza, ale tu także była rzeźba meduzy, a ściany zdobiły takie same ornamenty. Wspaniałe, nowe odkrycie. Hannah w głębi serca była zadowolona, że może trochę odpocząć. Gregori czuł się podobnie, również i on był zmęczony. Jednakże o spaniu nie było mowy.

- Przeszukajcie ściany, może znajdziemy drugie wyjście. Szybko!

- Dobrze - zgodził się Gregori. - Rozpocznę w tamtym miejscu, wygląda obiecująco.

Po pół godzinie Hannah siedziała na podwiniętych nogach i nerwowo bawiła się ołówkiem. Przeszukali całą jaskinię i nic nie znaleźli. W każdym razie nic wskazującego na otwór wyjściowy. Ściany były zbudowane z masywnej skały. Żadnych nisz, zagłębień ani przejść. Można było oszaleć. Hannah była przekonana, że są uwięzieni i nigdy nie ujrzą światła dziennego. Gregori i Abdu nie przejmowali się tym tak bardzo, obaj skupili się nad odczytywaniem dziwnych symboli. Hannah była już bliska płaczu, gdy usłyszała gorączkowe wołanie Gregori.

- Hannah, chodź szybko! Znaleźliśmy coś. Musisz koniecznie zobaczyć.

Odłożyła notatki na bok i powlokła się do Abdu i Gregori, siedzących w kucki koło ściany. Gdy podeszła, Gregori uśmiechnął się do niej, jakby chciał powiedzieć: miałem rację.

- Wyjście? - zapytała z nadzieją.

- Nie, niestety nie, ale Abdu znalazł te znaki. Co o nich myślisz? - mrugnął łobuzersko do Tuarega.

Hannah założyła okulary i obejrzała malowidła. Przedstawiały figury z oszczepami, przemierzające równinę. Były doskonałe pod względem formy i elegancji. Nie znalazła przedstawień zwierząt ani wsi, natomiast jedno ciało niebieskie.

Zaparło jej dech. Ciało niebieskie miało warkocz.

- To przecież niemożliwe - wyszeptała.

- Nie mówiłem? - Gregori promieniował - a teraz spójrz tutaj.

Hannah powiodła wzrokiem we wskazanym kierunku, bardziej na prawo.

Na ziemi, jak gruda gliny, leżał nieforemny obiekt, otoczony figurami ludzkimi. Niektórzy wyciągali ręce i dotykali go, a inni odwracali się. Następna scena przedstawiała cztery kobiety wynoszące grudę. Było interesujące, że postacie kobiet były większe od pozostałych. Hannah dla pewności przyjrzała się jeszcze raz tej scenie.

- To jest niesamowite - zwróciła się do geologa, nie podnosząc wzroku. Te kobiety o wiele przerastają innych. Jak to rozumieć?

- Może jako symbol. Prawdopodobnie chodzi o wielkość duchową, a nie cielesną - odpowiedział Gregori.

Hannah szczypała dolną wargę. - Mądrość - szepnęła - możliwe. To oznacza, że ludzie pierwotni mieli wizje po zetknięciu się z kamieniem, wizje pobudzające zdolność głębszego myślenia i poznawania samego siebie. Co powiedział Chris? Kamień opowiadał mu dawno zapomniane historie, zdarzenia, egzystujące już tylko w podświadomości. Ciekawe, czy kamień działa w takim samym stopniu na wszystkich ludzi?

Hannah stała urzeczona, wpatrując się w przedstawione na skałach historie.

- Zobacz - powiedziała. - Istnieje jeszcze jeden szczegół, odróżniający te kobiety od innych ludzi. Nad ich głowami widać aureole, które znamy z wizerunków świętych. Jednoznaczny symbol ich duchowej przewagi.

„Oświecone” - jak je w duchu nazwała Hannah - w następnej sekwencji trzymały w rękach dziwne przedmioty. - Co one robią? - zapytała, ale nikt nie potrafił wyjaśnić.

Osobliwe urządzenia, które niosły, przypominały piły i frezarki, a przedmioty w kształcie gruszki były chyba źródłami energii, bowiem poprzez kable łączyły się z innymi aparatami. Jeden z nich rzucał się szczególnie w oczy. Służył chyba do obróbki ciężkich materiałów.

- Co to może być? - zastanawiała się Hannah.

Gregori pogłodził palcem ścianę.

- Wygląda na laser albo lampę łukową. Oba służą do wytwarzania wysokich temperatur.

- Na tyle wysokich, by ciąć obsydian?

Geolog nie odpowiedział, lecz jego oczy mówiły wyraźnie: tak.

Hannah spojrzała ponownie na „oświecone”. W następnej scenie po raz pierwszy pojawił się symbol głowy meduzy. Kobiety w aureolach usiłowały chyba wyciąć meduzę z ogromnego bloku skalnego, używając lampy łukowej.

Głowa stała się motywem, powtarzającym się w następnych scenach. Na jej tle woda spadała z nieba, tworzyły się jeziora, powstawały pola i lasy. Wznoszono świątynie i wszystko wskazywało na panujący dobrobyt. Jakby ziarno z nieba pobudziło rozkwit na ziemi.

W następnych scenach nastąpiła radykalna zmiana.

Hannah poczuła na plecach gęsią skórę.

- Co to? Zwłoki i ranni?

- Oni walczą- mrucał Gregori.

Hannah z fascynacją przyglądała się obrazkowym historiom na ścianach. Kilka figur prowadziło ostrą walkę. Początkowo wydawało się komiczne, jak małe ludziki wywijają w powietrzu oszczepami, lecz wnikliwa i dłuższa analiza obrazów wskazywała wyraźnie, że działo się coś potwornego.

Nagle usłyszała głos Abdu.

- Szybko, podejdźcie tutaj. Znalazłem coś!

Głos Abdu zaalarmował Hannah i zmusił do natychmiastowej reakcji, bowiem dosłyszała w nim coś, czego nie знаła, chociaż od lat pracowali razem, mianowicie strach.

Po chwili zobaczyła szczegóły na wskazanym obrazie i na jej czole pojawiły się kropelki potu. Ramiona, nogi, głowy, poćwiartowane ciała i krew, wszędzie krew. Masakra, nie, gorzej niż masakra, ludobójstwo. Było to unicestwienie wszystkiego co żyje, bez miłosierdzia, pokazane z detalami. Mimo, że grawerunki były bardzo delikatne, obrazy posiadały przejmującą intensywność. Człowiek walczył przeciw człowiekowi, zwierzę ze zwierzęciem, plemię z plemieniem, a przeżyły tylko te cztery „oświecone”. Pochylone, z meduzą na ramionach, uciekały w góry. I tam, gdzie nie dochodziło światło i nie mógł ich znaleźć żaden człowiek, wybudowały dla swojego bóstwa świątynię. Świątynię na kamiennej wyspie w środku ciemnego jeziora.

Hannah poczuła skurcze w żołądku, gdy rozpoznała to miejsce. - Boże, co my tutaj znaleźliśmy?

## 20

Chris Carter był u kresu sił, gdy z Albertem dotarli do ostatniego odcinka wzniesienia. Jego strażnik był bezwzględny i popędzał go bez miłosierdzia.

Chris nie mógł przestać myśleć, że sam był winien katastrofie. Dlaczego dotykał tego kamienia? Dlaczego nie trzymał języka za zębami? Jaką radość musiało sprawić przeciwnikowi, gdy zrobiono z niego głupca w obecności wszystkich! Strach pomyśleć, co będzie, gdy z pustymi rękami wróci do Stromberga. Był załatwiony, na zawsze. Stromberg natychmiast wyrzuci go z pracy. Gdy zaś wyjdzie na jaw jego udział w ciemnych interesach tego zachłannego zbieracza dzieł sztuki, to nie znajdzie posady nawet jako synoptyk w podrzędnej stacji meteorologicznej. Oczywiście może zagrozić Strombergowi wyjawieniem wszystkiego, co mu wiadome. Wiedział jednak, że za sprawą pierwszorzędných adwokatów, zatrudnionych przez chlebodawcę i tak jego życie stanie się piekłem.

Męczyła go i przysparzała cierpienie również świadomość, że już nigdy nie znajdzie się blisko kamiennego oka. To cenne znalezisko zniknie w jakimś laboratorium, zostanie dokładnie przebadane, a potem umieszczone w jakimś muzeum za pancerną szybą. Nigdy więcej Chris nie dotknie go i nie poczuje jego energii... Ogarnął go strach. Czy jest uzależniony? Cierpi tak, jak na odwykowiec...

- Cholera!

Ostry ból przeszył jego lewą nogę. Z krzykiem padł na ziemię.

- Co jest? Zwariowałeś? Czemu się tak wydzierasz! - Albert przystanął i przyglądał mu się podejrzliwie. - Nie próbuj żadnych sztuczek!

- To ma być sztuczka? - Chris podniósł do góry zakrwawiony odłamek bazaltu, który wyciągnął sobie z nogi. Przeklinając, odrzucił go w kąt.

- Mógłbyś iść wolniej? Lecisz jakby cię diabeł gonił. Nie ma przecież znaczenia, czy dojdziemy pół godziny później.

Albert wymamrotał coś niezrozumiałego, odwrócił się i w tym samym tempie pomaszzerował dalej.

- Do pioruna! Nie słyszałeś, co powiedziałem? - krzyknął Chris.

Technik dźwięku zignorował wołanie i przepadł za następnym rogiem. Gdy Chris stracił go z oczu, pozostał bez światła. Przeszły go ciarki na samą myśl i mimo palącego bólu pokuśtykał śladem Alberta. Po następnym zakręcie ujrzał ku swojej wielkiej radości, że kamienne schody i otwarta płyta kamienna znajdują się bezpośrednio przed nimi. Udało się. Resztkami sił poczłapał do góry i padł w jaskini na ziemię. Z wyczerpania nie był zdolny do żadnej myśli. Po niecałych dwóch minutach zapadł w głęboki sen.

Obudził go zapach pieczeni i ziół. Z mozołem, podpierając się związanymi rękami, wstał i rozejrzał się dookoła. Albert siedział na kamieniu i trzymał w ręku radiotelefon. Ustawił kuchenkę turystyczną, na której stał garnek z gotującym się ryżem. Patelnię trzymał nad ogniem.

- Hm, pachnie wyśmienicie. Mam nadzieję, że i dla mnie coś zostanie.

- Jeśli lubisz wołowinę z puszki i suszone pomidory...?

- Chyba żartujesz. Szczerze mówiąc, za to jedzenie sprzedałbym własną babkę. Nie wiem, jak było z tobą, ale mnie pod koniec ta papka z prosa stawała w gardle. Praktycznie żywiłem się tylko orzechami i rodzynkami.

Skąpy uśmiech pojawił się na twarzy Alberta. Chris zdążył go ledwo dojrzeć w niebieskim świetle kuchenki gazowej.

- Ja rzuciłem się na daktyle. Chyba poza mną nikt ich specjalnie nie lubił - odparł - ale możesz sobie wyobrazić, jaki miały wpływ na moje trawienie. Gdyby nie Abdu, już wcześniej ugotowałbym coś takiego - wskazał łyżką czerwono-brązową zawartość patelni.

- Normalne jedzenie. Nie jest ciężkostrawne, choć na to wygląda. Masz ochotę? Częstuj się!

- Kusząca oferta, tylko muszę cię poprosić o zdjęcie pętli. Chyba nie chcesz ryzykować, że zawartość patelni wyląduje w piasku.

- Wybij sobie z głowy. Nie ma szans - Albert potrząsnął głową. - Mogę cię nakarmić, jeśli chcesz.

- Psiakrew, Albert, myślisz, że masz przed sobą wytrenowanego zabijakę? Przed tobą siedzi głodny naukowiec, który przypadkowo pracuje dla konkurencji. Znamy się już kawał czasu, jestem absolutnie nieszkodliwy! Ponadto to ty masz broń, możesz trzymać mnie na muszce podczas jedzenia.

- Szczerze mówiąc, nie wiem, co mam o tobie myśleć. Twoja praca dla Stromberga nie jest tak nieszkodliwa, jak to przestawiasz. Nakarmię cię, albo umrzesz z głodu.

Chris spojrział chmurnie, lecz pogodził się z losem. Usiadł obok Alberta.

- A co będzie, gdy będę musiał siusiu? Potrzymasz mi fiuta?

Po dziesięciu minutach zadowolony Chris siedział oparty o ścianę. Wprawdzie miał nieco poparzony język i usta, ale ciepłe pożywienie i uczucie sytości wynagrodziły mu to z nawiązką.

- Żarcie było pyszne. Mam nadzieję, że mamy jeszcze trochę tych suszonych pomidorów. Nie wiedziałem, że tak dobrze smakują.

Spojrzął na Alberta i stwierdził, że czas pogawędki minął.

- Dobra. Co dalej?

Technik dźwięku zeskrobał resztki z patelni, a następnie wypolerował ją piaskiem. Potem nalał wody z manierki do metalowego kociołka i postawił na kuchence, chcąc zaparzyć kawę. Sięgnął po radiotelefon.

- Dalej będę próbował coś zrobić, żeby nas uratować.

- Dobry pomysł. Ale z walkie-talkie skorzystałbym dopiero po wykorzystaniu innych możliwości. Nie uważasz, że powinniśmy najpierw sprawdzić przejście? Może Patrick przesadził mówiąc, że jest całkowicie zasypane. Dobrowolnie przejmuję pierwszą zmianę przy rozkopywaniu!

- Przyjrzałem się przejściu, kiedy spałeś. Nie ma szans na przebicie. Nawet wówczas, gdybyśmy mieli przy sobie młot pneumatyczny. Istnieje tylko jedna możliwość - wysadzenie.

Mówiąc, włączał i wyłączał radiotelefon. Klik, klak, klik, klak. Chris patrzył na niego zdezorientowany. Przez moment myślał, że Beck stracił rozum.

- Co ty robisz? Myślałem...

- Nie myśl za dużo. Wszystko wyjaśni się w odpowiednim czasie. Zaskoczy cię, jakie to wszystko proste. A teraz zamknij gębę, bo jestem zajęty.

Z wyrazem skupienia na twarzy powrócił do dziwnej czynności. Włączał i wyłączał, w określonym rytmie.

Chris nabrał okropnego podejrzenia. To on! Łamiącym się, cienkim głosem podjął próbę ponownego nawiązania rozmowy.

- Wierz mi, Albert, wystarczy włączyć telefon i przycisnąć klawisz odbioru... Chcesz porozmawiać z kimś z naszej grupy?

Wzrok Alberta przyprawił go o ciarki na plecach. Albert nie odezwał się, lecz z uśmiechem kontynuował rytmiczne włączanie i wyłączanie urządzenia. Chris zamknął oczy i



zaczął liczenie. Dwa długie sygnały, potem dwa krótkie. Przerwa, następnie dwa krótkie, przerwa, jeden krótki. Alfabet Morse'a.

Gdy usiłował przypomnieć sobie dawno temu poznane znaki Morse'a, przyszło mu nagle do głowy podejrzenie.

- Durand, prawda? - pytanie Chrisa brzmiało cienko i słabo. - Dlaczego? Dlaczego chcesz, aby Durand dowiedział się, gdzie jesteśmy?

Uśmiech Alberta stał się szerszy i drwiący.

Chris mógłby sam sobie odpowiedzieć na to pytanie, chciał jednak potwierdzenia, że jego podejrzenie było słuszne. Ponadto potrzebował czasu na zastanowienie. Jeżeli Beck był rzeczywiście tym kimś, za kogo go uważał, to musi jakoś zapobiec dalszemu wysyłaniu sygnałów.

- Dlaczego nie zostawisz wiadomości na automatycznej sekretarce? Byłoby o wiele prościej.

Uśmiech Alberta zniknął. Miał dość ciągłego przeszkadzania. Zdenerwowany wyłączył telefon.

- Ty naprawdę masz szczególny talent, by grać komuś na nerwach. OK. Porozmawiajmy wprost i tak twoje dni są policzone. Durand czeka na sygnał. Jeszcze coś?

Chris był oszołomiony, że przeciwnik odsłonił karty. Nigdy by nie pomyślał, że spokojny, trzymający się na uboczu facet, który w ostatnim czasie zdobył jego sympatię, prowadził podwójną grę. Ponadto za fasadą wrażliwego muzyka krył się zimny, wyrachowany morderca. Albert Beck go zabije. „Będę musiał umrzeć” - myślał Chris. Gdy to pojął, jego umysł skoncentrował się na ucieczce. Musi wiać stąd tak szybko, jak to możliwe.

Dyskretnie próbował rozplatać supły i uwolnić związane ręce. Uświadomił sobie, z jakim zimnym wyrachowaniem Beck mówił o jego śmierci. W jego słowach nie znać było żadnych emocji, obaw ani nerwowości. Jakby mówił o pogodzie. Tak potrafi mówić tylko ktoś, kto już raz kogoś zamordował. Chris musi zyskać na czasie.

- Dlaczego wlokłeś mnie ze sobą? Mogłeś załatwić mnie przecież po drodze.

- Widać, że nie posiadasz za grosz rozumu, Carter. Mogło się przecież zdarzyć, że ktoś z grupy chciałby z tobą porozmawiać, choć to mało prawdopodobne po twoim głupim wystąpieniu tam, na dole. Ponadto chciałem obejrzeć zasypaną drogę. Może przydałbyś się do odgruzowania - wzruszył ramionami. - Masz pecha, że nie jesteś mi już potrzebny.

Gdy Beck rozkoszował się swoim sukcesem, Chrisowi udało się znaleźć ostry kawałek kamienia i rozpoczął przecinać węzły, zachowując się przy tym możliwie naturalnie.

- Wiesz, co mnie interesuje? Chciałbym wiedzieć, dla kogo ty pracujesz i jaki to ma związek z Durandem? Muszę przyznać, że twoja reakcja na widok pomordowanych Tuaregów była świetnie zagrana.

Albert uśmiechnął się chępliwie. - Była niezła, nie? Uczciwie muszę przyznać, że byłem faktycznie zaskoczony szybkością i okrucieństwem ataku rebeliantów.

- Rebeliantów?

- Oczywiście. Myślisz, że taki człowiek, jak pułkownik Durand, będzie paprał sobie ręce? Napaści dokonał Ibrahim Hassad, naturalnie na zlecenie Duranda. Ostrzegałem was, abyście nie lekceważyli pułkownika. Pod jego kontrolą znajduje się cała północna Nigeria.

- Nie rozumiem. Skąd Durand wiedział, że jesteśmy blisko znalezienia meduzy? - Chris potrząsnął ze zdziwieniem głową.

- Dziecinnie proste. Nie było mowy o pomyłce. Jak rozmawiałeś przez telefon z Hannah o znalezisku w krypcie, inskrypcjach i tak dalej, wiedziałem od razu, że chodzi o ukryte wejście do świątyni, gdzie znajduje się rzeźba szukanej przez nas od dawna meduzy. Nim nadeszła grupa, miałem akurat tyle czasu, aby wysłać wiadomość przez odbiornik satelitarny. Zresztą bardzo sprzyjający był fakt, że Malcolm to ciebie podejrzewał o korzystanie z aparatu. W ten sposób, bez przeszkód, mogłem wysyłać, co mi się podobało. Naumann miał zawsze aktualne wiadomości.

- Naumann?

- Nie znasz go? Nie dziwi mnie to. Kamuflaż to jego specjalność. Długo pracował dla Stromberga, był agentem, tak jak ja i ty. Potem poróżnili się. Naumann był najlepszym, jakiego Stromberg miał. Posiadał cechy, których tobie brak. Dyscyplinę i wytrzymałość. Nabył je przez lata treningu w Legii Cudzoziemskiej. Durand był wówczas jego przełożonym.

Chris poczuł pot na czole. Wyglądało na to, że organizatorzy akcji mieli długie ręce. Czuł, jak zaciska się wokół niego pętla zdrady i oszustwa. Na dodatek nie mógł rozciąć przeklętych węzłów - stawiwały opór kamieniowi.

- Przypuszczam, że Naumann nie pracuje na własny rachunek? - zapytał.

- Zgadza się - potwierdził Beck. - Za tym stoją Japończycy. Ale Naumannowi jest wszystko jedno, dla kogo wykonuje tę robotę, jeżeli tylko może szkodzić Strombergowi. Musisz wiedzieć, że nie rozstali się w zgodzie.

Albert sięgnął do kieszeni w kamizelce i wyjął paczkę papierosów. Nie proponując Chrisowi, jednego włożył sobie do ust. Z uśmiechem wypuścił dymek.

- Nie masz w ogóle pojęcia, z czym mamy do czynienia. O ile znam Stromberga, trzymał cię w absolutnej nieświadomości. To do niego podobne.

Twarz Chrisa pozostała bez wyrazu, co utwierdziło go w tym przekonaniu. Oparty o skałę Albert z rozkoszą delectował się dymem. Nagle jego oczy zaiskrzyły. Carter natychmiast przestał rozcinać węzły. Było jednak za późno.

- Miła próba, Carter. Jeśli koniecznie chcesz wiedzieć, jaki to ból, gdy kula rozwali twoje kolano, to rób tak dalej!

Beck skierował broń na nogi Chrisa, który rzucił odłamek, przeklinając. Zmarnował szansę. Skończyło się. Dlaczego jednak dotychczas go nie załatwił? Chce cieszyć się zwycięstwem? Jeśli tak, to nie był tylko mordercą, lecz również przeklętym sadystą. Po głowie krążyły mu gorączkowo myśli, gdy przerażony usiłował znaleźć wyjście z sytuacji. Musiał zyskać na czasie.

- To meteoryt, prawda?

Albert Beck zdjął okulary w złotej oprawce i schował do kieszeni koszuli. Z jego twarzy wywnioskował, że poruszył właściwy temat. Technik podniósł się i podszedł ku niemu wolno. W słabym świetle lampy gazowej można było w oczach Alberta rozpoznać zimny błysk. Usta rozciągnął w krzywym uśmiechu, kierując lufę na pierś Chrisa.

- Tylko meteoryt, tak uważasz? Dużo więcej! Nie jestem ekspertem, ale mogę cię zapewnić, że chodzi o najcenniejszy kamień, jaki kiedykolwiek spadł z nieba. Przed dwudziestu laty pewna francuska ekspedycja znalazła niedaleko stąd, w Tenere, kilka odłamków. Detektory odkryły je 10 metrów pod piaskiem pustyni. Kilka tygodni po wydobyciu uległy niestety rozpadowi wskutek reakcji chemicznych. Niezwłocznie zlecone pomiary na szybko utleniających się resztkach wzbudziły tyle sensacji, iż postanowiono prowadzić dalsze poszukiwania, zanim informacja dotrze do wiadomości publicznej. Od tego czasu jest poszukiwany obiekt macierzysty, od którego pochodziły odłamki. O tym, że były to tylko odłamki, świadczą badania i pomiary obszaru promieniowania.

- Promieniowania?

- Tak, promieniowania, emisji w nieznaną dotąd skalę. Nie wiadomo, czym jest wywoływana. Znany jest natomiast jej olbrzymi wpływ na ludzką psychikę. Już krótki dotyk wywołuje wizje. Większość testowanych osób powracało do przeszłości i przeżywało dawno zapomniane zdarzenia, tak samo jak ty. Potem wizje uległy zmianie. Badani widzieli nieznanne przedmioty, na przykład aparaturę. Nie potrafiliśmy wyjaśnić zasady jej działania, lecz ogromny zakres możliwości urządzenia nie budził żadnych wątpliwości. Olbrzymi postęp w nanotechnologii, który miał miejsce w ostatnich latach, opiera się głównie na wynikach badań

tychże fragmentów. Jeśli nawet zabrzmiałoby to paradoksalnie, to wiadomo, że w odłamkach tkwi coś w rodzaju przesłania. Zostaliśmy nawet poinformowani o miejscu pochodzenia materiału. Informacje dotyczyły pozycji gwiazd, odległości i tak dalej. Niestety, nie obyło się bez negatywnych skutków. Im dłużej trwa kontakt z kamieniem, tym bardziej posuwa się proces zmian w psychice. Takie osoby oddalają się coraz bardziej od rzeczywistości.

- Co to oznacza?

- Oni wariują, Carter. Tracą kontakt z otoczeniem. Stają się agresywni i nieobliczalni. Wszystkie 40 osób, na których przeprowadzono doświadczenia, przebywa na oddziałach zamkniętych w szpitalach psychiatrycznych.

- Czterdzieści? Doprowadziliście do szaleństwa czterdziestu ludzi? Ilu jeszcze chcecie? A co z tymi, którzy są teraz na dole, koło kamienia? Co z Irene, Malcolmem i Patrickiem?

Ostatnie pytania prawie wykrzyczał.

- Może zabrzmiałoby to cynicznie, lecz to są naprawdę sprawy uboczne. Ludzie nie są niezastąpieni. Nawet nie możesz sobie wyobrazić, ile tajnych ekspedycji wysłano. Wróciły z pustymi rękami. Ilu ludzi straciło życie! Między innymi mój brat, ale to osobna historia... - Albert wzruszył ramionami, patrząc złym wzrokiem na Christa. - Najprzeróżniejsze instytucje podejmowały bezskuteczne próby. Wkrótce przyjęto, że ktoś już zdobył trofeum. Innego wyjaśnienia nie było. Nie wiedzieliśmy, kto był tym szczęśliwcem, ale jasne było, że główna wygrana nie znajdowała się już tam, gdzie się jej spodziewano. Cały świat rzucił się na stare przekazy, łapał się każdej wskazówki, dotyczącej miejsca pobytu kamienia - Albert zaśmiał się złośliwie. - Wyobrażasz sobie, na jakim niepewnym gruncie znajduje się ten, kto próbuje odcyfrować zapiski, chociaż nie odnaleziono jeszcze klucza do ich wytłumaczenia? Ma gorzej niż poszukiwacze Atlantydy, możesz mi wierzyć. No, cóż, ostatecznie trzeba było pogodzić się z faktem, że kamień wiedzy - tak go ochrzczono - nie pojawi się nigdy więcej - Beck zaciągnął się papierosem i puścił dym prosto w twarz Chrisa. - Po co ja tyle gadam, zamiast urządzić ci krótki proces!

Odbezpieczył broń, lecz coś na sekundę odwróciło jego uwagę. Chrisowi przemknęła myśl: Teraz! Jedyna szansa! Nabrał stopami piasku i sypnął nim w twarz przeciwnika, po czym błyskawicznie przetoczył się na bok. Ani moment za wcześnie, bowiem tam, gdzie właśnie leżał, trafił grad kul. Beck przeklinał i usiłował usunąć piasek z oczu, gdy Chris potężnym kopnięciem podciął mu nogi. Technik runął na ziemię. Słysząc było jego ciężki oddech. Chris rzucił się na niego całym ciężarem i z zadowoleniem przyjął odgłos trzasku w klatce piersiowej Becka. Właśnie chciał go rozbroić, gdy potężne uderzenie kolby karabinu

trafiło go w głowę. Przed oczami zobaczył czerwoną mgłę, ale walczył z utratą przytomności. Każda cząstka jego ciała chciała zapaść w wyzwalające z cierpienia omdlenie, lecz Chris nie ulegał. Musiał zachować jasny umysł, jeśli chciał przeżyć następne sekundy. Beck był twardym typem, albo nie został, jak mogło się wydawać, zbyt ciężko poturbowany. W każdym razie niespodziewanie szybko odzyskał kontrolę, potoczył się na bok i silnie kopnął Chrisa w żołądek. Chrisowi wydawało się, że rozerwały mu się wnętrzności. Czas jakby stanął w miejscu. Odgłosy, zdolność czucia, ruchy - wszystko to Chris postrzegał w zwolnionym tempie. Resztkami sił podniósł się i schował za potężną kamienną płytę, która była jego jedyną ochroną. Nie miał jednak dokąd uciekać.

- I co dalej? - głos Alberta brzmiał arogancko. - Schowałeś się i myślisz, że pozostaniesz w ukryciu. Nic z tego, przyjacielu! Wyłaź, a ja obiecuję ci szybką i bezbolesną śmierć. Gdy będziesz się ościagał, przekonasz się, że egzekucja może długo potrwać - przerwał, bo nagle złapał go suchy, męczący atak kaszlu.

Chris pomyślał, że przynajmniej złamał mu żebro. Rozejrzał się i spostrzegł u swoich stóp palącą się kuchenkę turystyczną i ognisko. Natychmiast przytrzymał ręce nad płomieniem. Poczul ostry ból, ale nareszcie pozbył się więzów.

Chwycił butlę gazową, schował ją za plecami i wstał. Ból w rękach był nie do zniesienia, lecz zmusił się do wykorzystania ostatniej szansy. Wolnym krokiem wyszedł zza skalnej osłony.

- Tak, tak jest dobrze, mój chłopcze - Albert wyszczerzył zęby w uśmiechu. U ust płynęła mu po brodzie cienka smużka krwi. Trzymając broń w pogotowiu, rozkazał Chrisowi podejść do ściany. Obszedł go półkolem i znalazł się na krawędzi płyty. To był moment, na który Chris czekał. Gdy ognisko znalazło się dokładnie pośrodku, przystąpił do działania. Potężnym szarpnięciem wyrwał zawór palnika i rzucił płonąca butlę pod nogi przeciwnika. Gaz zapłonął silniej. Zamigotał płomień wybuchu i butla eksplodowała z olbrzymim hukiem. Podmuch był tak silny, że Chrisa powaliło na ziemię. Alberta Becka wyrzuciło w powietrze, a potem spadł z hukiem obok kamiennej płyty. Jego ciało bezwładnie leżało na ziemi.

Nagle w pomieszczeniu rozległ się łomot. Chris patrzył wytrzeszczonymi oczami na opadającą płytę. Nie byłby w stanie sam jej podnieść i ponownie otworzyć. Gdy płyta zamknie się, będę w pułapce - pomyślał. Chwycił lampę i ostatkiem sił usiłował dojść do prowadzących w dół schodów. Już myślał, że mu się powiodło, gdy nagle coś uchwyciło go z tyłu. Obejrzał się. To Albert Beck trzymał go kurczowo. Siła eksplozji tylko na krótko wyłączyła go z walki. Jego oczy błyszczały jak u obłąkanego.

- Zostaniesz tutaj! - wysyczał, czepiając się kamizelki Chrisa. - Nie uciekniesz ode mnie! Wcześniej spalę się w piekle niż ty stąd wyjdiesz!

Chyba wskutek eksplozji stracił trzeźwą ocenę sytuacji. Nie zauważył, że ciężka kamienna płyta osuwa się prosto na nich. Chris wrywał się jak oszalały. Z nadludzkim wysiłkiem udało mu się przesunąć na krawędź schodów.

- Zostaw, idioto! - krzyczał, lecz jego przeciwnik nie ustępował.

Ostatnie, co zobaczył, to diabelski, szydrczy uśmiech technika. Potem usłyszał krzyk i niesamowity zgrzyt, a wokół niego zapadła głęboka ciemność.

## 21

Był chłodny ranek.

- Komendancie! Komendancie! - rozległo się wołanie.

Durand golił się właśnie, gdy nagle odchyłono płachtę zasłaniającą wejście do jego namiotu. Pułkownik spojrział na podnieconego radiotelegrafistę.

- Komendancie, odebraliśmy meldunek alfabetem Morsa. Sygnał był bardzo słaby, ale na pewno pochodzi z wyznaczonego terenu. A to udało się nam odczytać - podał Durandowi wąski pasek papieru, na którym było napisane: *Obiekt znaleziono - powtarzam, obiekt znaleziono, usytuowanie: dolina na północ od Djebar-Pass, wejście zasypane, trzeba wysadzić. Oczekuję przybycia w ciągu następnych godzin. A. B. stop.*

- A. B.? - radiotelegrafista nie mógł powstrzymać ciekawości.

Durand wytarł pianę z twarzy i założył koszulę. - Albert Beck, nasz łącznik. Zlokalizowano miejsce nadawania sygnału?

- Oui, Monsieur. Nie ma wątpliwości. Sygnał pochodzi z wnętrza pasma skalnego. Położenie jest zgodne z odebraną informacją. Stąd dwie godziny marszu.

Pułkownik machnął ręką z dezaprobatą. - Połączcie mnie z fortem. Chcę helikopter. Ma zabrać materiał wybuchowy.

Radiotelegrafista zasalutował i biegiem ruszył wypełnić rozkazy komendanta. Durand założył beret i z zadowoleniem przeglądał się w lustrze. Człowiek Naumanna zrobił dobrą robotę. Jeśli reszta planu pójdzie też tak gładko, to już dziś będą mieli kamień. Poglądził swoje złote guziki i wypił ostatni łyk kawy.

Hannah spojrzała na zegarek. Według wskazówek powinno być wpół do ósmej rano, a wokół niej panowała ciemna noc. Abdu i Gregori smacznie spali, a ona była zbyt wzburzona, by zasnąć ponownie. Życie bez naturalnego rytmu nocy i dnia było okropne. Z przerażeniem

myślała, jak to jest, gdy trzeba spędzić pół roku na stacji polarnej albo kosmicznej. To nie dla niej. Nigdy nie uważała się za osobę dotkniętą klaustrofobią, lecz czuła, że już najwyższy czas wyjść na światło dzienne.

Te bezsenne godziny, gdy zwinięci na podłodze mężczyźni smacznie chrapali, ona spędziła na zastanawianiu się nad możliwościami wydostania się stąd. Podziemny labirynt wydawał się być bez końca. Nie odnaleźli żadnego znaku wskazującego na to, że istnieje inne wyjście. Było jednak mało prawdopodobne, żeby ludzie ówczesnej kultury nie pomyśleli o dodatkowym wyjściu w przypadku jakiegoś zagrożenia. W rejonie wulkanicznym należało liczyć się na przykład z trzęsieniem ziemi. Przekonali się sami, jak szybko może dojść do zasypania wejścia. Nie, nie, muszą istnieć „okna na świat”. Po prostu jeszcze ich nie znaleźli.

Hannah zmusiła się do koncentracji. Oprócz olbrzymiej jamy, poznali dotychczas górną kryptę i pomieszczenie, w którym przebywali. Co było dla obu charakterystyczne? Okrągły kształt i rysunki na ścianach. Ponadto podłogę, wysypaną drobnym piaskiem. Ale to nie mogło być wszystko. „Pomyśl, Hannah, zastanów się” - upominała samą siebie. Oba pomieszczenia były prawie identyczne, jedyną różnicę stanowiła rzeźba dźwiękowa, stojąca tylko tutaj. Jaka była funkcja rzeźb dźwiękowych, czemu służyły?

Może spełniały rolę strażniczek, bo progi świątyni mogły przekraczać tylko osoby upoważnione? Jeśli tak było, to nasuwał się wniosek, że i tutaj musiały znajdować się jakieś drzwi. Jej oczy bacznie wpatrywały się w podłogę w poszukiwaniu nierówności, jednakże bez skutku. Aby stwierdzić, że i tutaj, pod ich stopami, znajduje się ruchoma kamienna płyta, musieliby wszystko rozkopać. Chociaż wyjście powinno być umiejscowione wyżej. Ta komora znajduje się przynajmniej dwieście metrów głębiej, a zatem przypuszczenie, że drzwi umieszczono pod ich stopami, nie miało sensu.

Rozmyślała o wydającej dźwięki rzeźbie. Tak! Odkryli ją na poziomie niższym niż krypta! To na pewno ma znaczenie. Powędrowała wzrokiem na sklepienie sufitu. Poczowała dreszczyk emocji. Coś podobnego! W połowie drogi do sklepienia wyraźnie odznaczał się prostokąt, którego cienkie krawędzie były nieco ciemniejsze od otaczającej go powierzchni kamienia. Biorąc pod uwagę wielkość prostokąta, mogło faktycznie chodzić o drzwi. Wstała i przeszła kilka kroków. Wyciągnęła ręce i palcami dotknęła dolnej krawędzi. Wyczuła wąską wilgotną szczelinę. Potarła to miejsce silniej i powąchała palce. Nie ma żadnych wątpliwości... woda. Tu muszą być drzwi. Od dawna szukane wyjście.

Przyglądała się dokładnie. Nie było niczego, co przypominałoby uchwyt ani żadnego wgłębienia. Przyszła jej do głowy nieprzyjemna myśl. Może to zbyt łatwy sposób wyjścia na zewnątrz? Może to pułapka dla takich jak oni, którzy bezprawnie wtargnęli do świątyni?



Przeżrana odwróciła się. Jej spojrzenie padło znowu na meduzę. Oby w *Tassili N'Ajjer* nigdy nie odkryła jej rzeźby! Dotychczas przynosiła tylko nieszczęście.

Na obrobionej dłutem twarzy była mądrość. Hannah zauważyła w kąciку ust grymas, przypominający szydery śmiech.

- Śmieję się, maskaro - szepnęła - nadejdzie jeszcze czas, gdy to ja będę śmiać się z ciebie.

Nagle usłyszała znowu ten głos, ten dziwny, bezcielesny głos. - „Przeszukaj rzeźbę”! Słowa same formowały się na jej ustach. Otarła czoło, jakby chciała zetrzeć z siebie obcy głos. Lecz to, co mówił, miało przecież sens. Badali wszystkie przedmioty, karygodnie pomijając zbadanie rzeźby meduzy. Z wyjątkiem Gregori. To jemu przyszło na myśl, że figury meduz pełnią jakieś funkcje. Hannah przypomniała sobie dyskusję na temat węzowatych ramion wydających dźwięki. Doszli do wniosku, że były związane z religią. Ale możliwe, że to nie wszystko. Może rzeźba dźwiękowa stanowi część mechanizmu zamykania i otwierania?

Chciała właśnie zabrać się za zbadanie cokołu, gdy odezwał się walkie-talkie.

- Malcolm do grupy pierwszej. Hannah, Gregori, słyszycie mnie? Odbiór.

Hannah chwyciła telefon i nadusiła przycisk nadawania.

- Tu Hannah. Co nowego? Odbiór.

- Hannah, dobrze, że udało mi się z tobą połączyć. Są problemy. Od kilku godzin nie mamy kontaktu z Albertem. Próbowaliśmy na różne sposoby. W telefonie głucha cisza.

- Może to wina baterii. Odbiór.

- Nie, wykluczone. Wydajność baterii, mogła wystarczyć na tydzień. Ponadto stwierdziliśmy, że telefon Alberta nastawiony jest na odbiór. Po prostu nikt nie odbiera. Nie powiedziałem jeszcze najgorszego. Patrick poszedł sprawdzić co się dzieje, lecz musiał zawrócić. Płyta jest zamknięta. Powtarzam. Wejście jest zablokowane. Nie mamy powrotu. Odbiór.

- O mój Boże! Dlaczego ktoś miałby to zrobić? To szaleństwo. Na pewno Patrick dokładnie sprawdził?

- Tak. Nawet próbował unieść płytę. Zauważył w kącie wilgotną plamę. Z całą pewnością była to świeża krew.

Zapanowała krótka przerwa. Hannah myślała już, że połączenie zostało przerwane, gdy ponownie usłyszała słaby głos Malcolma. Mówił powoli.

- Hannah, nie wiem, co się stało, ale powinniście jak najszybciej wrócić do bazy.

Malcolm oddychał ciężko, jakby bardzo zmęczyła go ta krótka rozmowa.

- Dobrze się czujesz? - zapytała Hannah.

- Przyjdźcie jak najszybciej! Tu wydarzyło się tyle rzeczy. Cudownych rzeczy, rozumiesz? Słyszemy pieśni. Przepiękne. To meduza. Muszę już iść. Mam nadzieję, że zobaczymy się wkrótce. Odbiór.

Telefon zatrzeszczał i zamilkł.

- Malcolm? Odpowiedz! - Hannah dusiła wielokrotnie przycisk nadawania. Nikt nie odbierał. Wzburzona wrzuciła telefon do torby. - Cholerny drań!

Gregori, Abdu, obudźcie się! Musimy wracać! Słyszycie? Pobudka! - szturchała stopami śpiochów, aby jej słowa odniosły szybszy efekt.

Abdu po sekundzie pojął, że wydarzyło się coś nadzwyczajnego i natychmiast oprzytomniał.

Gregori potrzebował więcej czasu. Przeciągał się i smacznie ziewał.

- Co się stało? Zdrzemnąłem się?

- W rzeczy samej. Przegapiłeś bardzo osobliwą rozmowę. Rozmawiałam z Malcolmem. Był dziwny, jakby pijany - odpowiedziała Hannah.

- To nie nowość. Jeszcze coś?

Zmarszczyła czoło. - To nie są żarty. Nie wydaje mi się, że faktycznie się upił. Coś się wydarzyło. Zaczynam się bać, choć nie wiem, dlaczego. W drodze powrotnej opowiem wam, co udało mi się odkryć.

- W drodze powrotnej? Myślałem, że tutaj będziemy szukać wyjścia.

- Już chyba znalazłam i wydaje mi się, że... - nie skończyła, gdyż w tym momencie ktoś wszedł przez wąski otwór tunelu. Jej oczy stały się wielkie ze strachu. Gregori spojrzał na intruza i chwycił za broń.

- Co jest, do diabła?

Uniósł gotowy do strzału karabin. Lecz ledwo postać weszła do środka, osunęła się na ziemię, jakby nagła jasność zwała ją z nóg. Hannah złapała się za głowę. Chris!

- Gregori, odłóż broń!

Podeszła do leżącego bez życia. Czy to naprawdę Chris? Im bliżej podchodziła, tym ogarniała ją większa niepewność.

Mężczyzna był nie do poznania umazany krwią, z poranionymi rękami, ubranie miał brudne i podarte. Gdy otworzył oczy, Hannah wiedziała, że nie myliła się. Świeciły jak tamtego dnia, kiedy spotkali się po raz pierwszy.

- Chris, co się stało?

Poruszył ustami i wyciągnął rękę w kierunku butelki z wodą.

- Podaj wodę, Gregori, szybko! - zawołała Hannah.

Grek odłożył broń i napełnił naczynie. Gdy Chris przyłożył kubek do ust wydawało się, że woda paruje na jego spieczonych wargach. - Bogu dzięki - wyszeptał - myślałem, że nie dam rady.

Abdu zbliżył się i położył mu na rozpalone czoło *gris-gris*.

- *Hamdoullah*. Opowiedz nam, co się stało.

Oczy Chrisa patrzyły w pustkę, gdy przerażony usiłował przypomnieć sobie zdarzenia z ostatnich godzin.

- Była walka. Albert... nie wiem, czy żyje. Prawdopodobnie nie. Duża płyta zamknęła się, ja odsunąłem głowę w ostatnim momencie. Potem biegłem, biegłem, biegłem. Szedłem tym przejściem, bo wiedziałem, że chcecie je badać.

Hannah mimowolnie spojrzała na jego stopy i przeraziła się. Podeszwy stóp były pokryte skorupą krwi.

- Chciałem cię znaleźć, Hannah. Chciałem cię ostrzec.

- Ostrzec? Przed czym?

- Przed meduzą i kamieniem. Albert pracował dla innych, tak samo jak ja - uśmiech wkradł się na jego twarz. - Jesteś zaskoczona? Ja nie jestem. Kamień jest zbyt cenny, aby nie walczyły o niego dwie rywalizujące siły. Nigdy jednak nie myślałem, że tym kimś może być Albert. Obserwowałem go, jak nadawał meldunek do Duranda.

- Do pułkownika?

- Tak. To na jego rozkaz napadnięto na nasz obóz. Od początku czułem, że ten człowiek jest niebezpieczny. A teraz jest w drodze do nas.

- Co ty opowiadasz? Albert był szpiegiem? Nie mogę w to uwierzyć.

- Wiem, że dużo wymagam, szczególnie po tym, co się stało. Musisz mi uwierzyć. Bo to prawda - miał spojrzenie uczciwego człowieka. - Albert był agentem tak samo jak ja, tylko o wiele lepszym. On wiedział, czego szukamy. Opowiedział mi. Ten kamień jest niebezpieczny. Zmienia ludzi. Musisz wrócić i ostrzec Malcolma i innych. Jeśli już nie jest za późno - wyszeptał.

Hannah nabrała głęboko powietrza. Czuła, że mówi prawdę.

- OK - skinęła głową. - Wierzę ci, ale jedno muszę wiedzieć. Zabiłeś go?

Chris położył na jej ramieniu swoją poranioną rękę.

- To on mnie chciał zastrzelić. Próbowałem uciec, a przy tym... to było działanie w obronie własnej, Hannah. Musisz mi uwierzyć - mówił coraz ciszej, a gdy wypowiedział ostatnie słowa, osunął się bezwładnie do tyłu.

Hannah podniosła głowę i zwróciła się do swoich towarzyszy.

- Abdu, chciałabym, abys tu pozostał i zajął się nim. Opatrz mu rany. Zobacz w torbie, chyba mamy maść. Załóż mu bandażę i nakarm. On jest wycieńczony. My z Gregori wrócimy do bazy zobaczyć, co się dzieje. Słyszeliście, co Chris mówił o kamieniu. Takie właśnie wrażenie mam od dłuższego czasu. Coś się nie zgadza. Na razie! Do widzenia, uważajcie na siebie!

- Co będzie, gdy nie wrócicie? - oczy Abdu świeciły w ciemności.

- Zaufaj mi... Tam na górze - pokazała sklepienie sufitu - znajduje się wyjście. Nie znam jeszcze zasady otwierania. Wydaje mi się, że mechanizm ma związek z dźwiękami ramion meduzy. Będziemy nad tym pracować po powrocie. Gregori, chodź!

Szybko zapakowała do torby pistolet i latarkę, a w ciemnościach udało jej się nie dojrzeć smutnego wzroku Abdu. Gregori usiłował dotrzymać jej kroku.

- Hannah, zaczekaj! On ma rację. Co stanie się z nimi, gdy nie wrócimy?

- Wtedy znajdzie ich pułkownik. Nie wiem, co wtedy będzie. Obawiam się najgorszego. Nie możemy zawieść, rozumiesz? Nie chodzi o mnie ani o ciebie, nie chodzi o ekspedycję. To oko jest niebezpieczne, czułam to od momentu tej historii z hipnozą. Wiedziałam, że ja nie mam kontroli nad Patrickiem, tylko ten kamień. Pełniłam rolę czegoś w rodzaju katalizatora. Obojętne, czym jest ten przedmiot, on zmienia ludzi w bezwolne stworzenia!

- Chyba przesadzasz.

- Słyszałeś opowiadanie Chrisa. Przypomnij sobie, o czym mówił Albert. A potem przypomnij sobie rysunki na skałach i wymordowanych ludzi całej kultury. Stworzyli sobie raj na ziemi, a następnie pozabijali nawzajem. Ostatnie kobiety, które przeżyły, schowały kamień głęboko pod ziemią w nadziei, że nikt go nie znajdzie. - Pokiwała głową. - Przez dziesięć tysięcy lat było wszystko dobrze. Przeze mnie i moje odkrycie kamień stał się znowu przedmiotem zainteresowania w pewnych kręgach. Wszystko świadczy o tym, że nie można dłużej mówić o przypadkach i urojeniach.

- Jak powinniśmy się teraz, twoim zdaniem, zachować?

- Musimy coś zrobić, aby kamień zniknął - Hannah przystanęła i spojrzała mu głęboko w oczy. - Wierz mi, to jest jedyna słuszna droga. Tyle czasu marzyłam o znaczącym odkryciu! To znalezisko byłoby dziełem mojego życia, zapewniłoby mi miejsce wśród najwybitniejszych naukowców - wytarła rękawem brudną twarz. - Jednak spostrzegłam, że nie tędy droga. Wszystko, co do tej pory przeżyłam i widziałam, utwierdza mnie w przekonaniu, że ten kamień nie może trafić do nieodpowiednich rąk. Doprowadził już do

zniszczenia jednej kultury i nie wolno dopuścić, żeby historia się powtórzyła. Muszę przekonać Malcolma i innych, aby kamień przepadł.

- A gdy odmówią?

Hannah nie odpowiedziała. Ruszyła w ciemność ze spuszczoną głową.

## 22

Ich kroki stłumiła mgła, gdy wkroczyli do wielkiej jaskini. Gnani niedobrym przecuciem biegli w zielonkawym mroku do brzegu jeziora, a stamtąd wałem dalej. Przed nimi wyłaniała się zamglona sylwetka świątyni jak nocna zjawa. Hannah zauważyła natychmiast, że coś uległo zmianie. Po kilku sekundach wiedziała, co to jest. Gregori zauważył również i stanął u stóp wzniesienia jak trafiony piorunem.

- Oczom nie wierzę - powiedział. - Zobacz! Oni ją przystroili. Ci przekłęci idioci zmarnowali tyle czasu na dekorację świątyni!

Widok był niesamowity. Dawniej ciemna i odpychająca fasada obsydianu świątyni była teraz ozdobiona liśćmi, gałęziami i kwieciami. Zdumiewający był trud, jaki zadali sobie przy tej pracy ich koledzy. Świątynia sprawiała wrażenie, że czas nie zaznaczył na niej swojego upływu - jakby archaiczna kultura, z której pochodziła, nadal egzystowała. Pracę mogli wykonać jedynie Irene, Malcolm i Patrick, bo przecież nikogo innego tutaj nie było. Hannah poczuła skurcze w żołądku na myśl, w jakim stanie umysłu muszą być członkowie wyprawy, skoro podjęli takie działanie. Nie chciała w ogóle zastanawiać się nad tym, co działo się tutaj w ciągu tych wielu godzin, gdy ona, Gregori i Abdu starali się znaleźć inne wyjście. Wiedziała, że nie ma jednak innego wyboru i musi stawić czoła sytuacji. Lodowatymi palcami ścisnęła broń. Nie dotarli jeszcze na górę, gdy z wnętrza świątyni wyszła Irene. Zewnętrznie prawie nie zmieniła się, chociaż Hannah zauważyła wyczerpanie na jej twarzy. Przez moment Irene była speszona, lecz zaraz podniosła rękę i pokiwała przyjaźnie. Hannah spadł kamień z serca. W duchu obawiała się, że zamiast swoich kolegów zastanie hordę półnagich szaleńców. Na szczęście tak nie było. Pogada sobie jeszcze z nimi na temat roślinnych dekoracji!

- Hannah, Gregori, wspaniale, że was widzę! Malcolm mówił, że jesteście już w drodze - Irene była uosobieniem uprzejmości. - Wybaczcie proszę, że tak rzadko zgłaszaliśmy się, ale jak widzicie, mieliśmy pełne ręce roboty.

Jej oczy błyszczały, gdy prezentowała dzieło.

- Jeśli macie ochotę, umyćcie się i dotrzyście nam towarzystwa. Potem pomożecie w dalszej dekoracji świątyni. Jeszcze sporo pracy nas czeka. Ale jak wszyscy zabierzemy się do roboty, to za kilka godzin będzie gotowe - na twarzy Irene pojawił się anielski uśmiech.

Hannah opanowało na nowo złe przecucie.

- Durand jest w drodze. Nie mamy czasu na takie wygłupy.

Irene uśmiech zamarł.

- Wygłupy?

- Dokładnie - mówiła ostro Hannah. - Gdy my szukaliśmy drogi, która nas wszystkich ma stąd wyprowadzić na wolność, wy nie mieliście nic lepszego do roboty, jak dekorowanie tego monstrem! Myślałam, że macie zamiar badać kamień obcego pochodzenia. Jestem rozczarowana - ignorując zdumienie Irene, Hannah wmaszerowała do środka.

Musi działać szybko, zanim podda się własnemu strachowi. Każde słowo Irene świadczyło o tym, jak dalece przestała być sobą. Przejmowała ją groza na wspomnienie opowiadania Chrisa. Miała nadzieję, że zostanie przy zdrowych zmysłach przynajmniej Malcolma i Patricka.

Irene, która po krótkim osłupieniu doszła już do siebie, pobiegła za nimi.

- Nie możecie tutaj wejść. Nie jesteście czyści! - krzyczała. Dysząc, chwyciła Hannah za ramiona. - Progi świątyni mogą przekroczyć tylko ci, którzy mają czyste serca i przynieśli ofiarę dla bogini!

Hannah zatrzymała się i odtrąciła ręce Irene jak natrętną muchę. - Co ty opowiadasz? Szkoda, że siebie nie słyszysz. Otrząśnij się! Nie jesteś sobą! Zrozum, ten kamień jest niebezpieczny. Jesteście na najlepszej drodze, by postradać zmysły. Musicie szybko opuścić to miejsce. Gregori, zajmij się nią, ja pójdę porozmawiać z innymi.

- Hannah, to niebezpieczne. Nie wiadomo, w jakim są stanie. Lepiej pójdę z tobą.

Hannah spojrzała na niego z wdzięcznością, lecz potrząsnęła głową.

- Dziękuję. Poradzę sobie. Przynajmniej jedno z nas musi zachować trzeźwość umysłu. Niebezpieczeństwo, że oboje znajdziemy się pod wpływem kamienia jest zbyt duże. Poza tym ona ciebie teraz potrzebuje - wskazała wzrokiem Irene i zatroskana weszła do wnętrza świątyni.

Idąc w ciemności pomyślała, że ostrzeżenia Gregori są uzasadnione. Jak zareaguje, jeśli ci dwaj będą też niepoczytalni? Przeszły ją dreszcze.

Ciemność ustąpiła miejsca zimnemu blaskowi lampy, ustawionej obok głowy meduzy. Malcolm i Patrick siedzieli ze skrzyżowanymi nogami i dotykali kamienia wyciągniętymi rękami. Mieli przymknięte powieki. Nieprzerwany strumień wody płynął po ich palcach i ramionach. Wbrew umowie skierowali światło bezpośrednio na kamień. Hannah zmrużyła oczy. Zauważyła nasilone działanie higroskopijnej substancji, wchodzącej w skład oka. To nie przypadek ani przywidzenie. Kamień wchłaniał wilgoć bardzo intensywnie. Pasma mgły wpadały do świątyni, jakby przyciągała je niewidzialna siła. Strach pomyśleć, co stałoby się, gdyby wyniesiono go na światło dzienne. Nagle poczuła niepokój. Jak higroskopijność odbija się na przebywających w pobliżu żywych istotach? Jak zachowuje się organizm ludzki, poddany długotrwałemu odwodnieniu? Czy odwodnienie wpływa na psychiczny stan człowieka? Jak szybko przebiega ten proces? Jak wytłumaczyć powstawanie głosów? - zastanawiała się.

W tym momencie Patrick i Malcom zmienili pozycję. Spostreżli jej nadejście. Mimo to sprawiali wrażenie nieobecnych duchem, jak ludzie wybudzeni z głębokiego transu. Chwiejąc się, zeszli na dół. Hannah zauważyła, że mają zapadłe policzki i spieczone wargi.

„Wyraźne symptomy odwodnienia” - pomyślała.

- Jestem! - zawołała, usiłując ukryć troskę w głosie. - Co chcieliście mi pokazać? Dlaczego ustawiliście tutaj światło? Przecież uzgodniliśmy, że to może być niebezpieczne.

Pierwsze oznaki przytomności okazał Malcolm. Pewnie dzięki solidniejszej budowie ciała.

- Hannah - mamrotał, wycierając twarz wilgotnymi rękami. - Co ty tu robisz? Czy coś się stało? - jego głos nabierał wyrazu.

Patrick również wyzwalał się powoli spod wpływu meduzy.

- Owszem. Stało się. Nie pamiętasz naszej rozmowy? Dzwoniłeś i opowiedziałeś o zablokowaniu wyjścia u góry i braku łączności z Albertem i Chrisem.

- A, tak! Przypominam sobie. To było kilka dni temu - potarł głowę. - Od tego czasu tyle się wydarzyło! Odkryliśmy cudowne rzeczy. Chodź i przekonaj się sama. Wszystko inne jest nieważne.

- Jeszcze jak ważne! - fuknęła Hannah. - Wydarzyły się niepokojące rzeczy. Znaleźliśmy Chrisa. Mówił, że Albert okazał się zdrajcą i pracował dla Duranda. Rozumiecie? Pułkownik jest o wszystkim poinformowany, a teraz jest w drodze do nas. Wie, gdzie jesteśmy i odbierze nam kamień! Nie zawaha się użyć siły!



Mówiła z takim zaangażowaniem, że nawet najgłupszy słuchacz musiał serio potraktować jej słowa. Reakcja była inna od oczekiwanej. Malcolm objął ją ramieniem.

- Uspokój się, wszystko jest w porządku. Nikt i nic nie zagraża wszechwiedzącemu oku. Ono nie podlega regułom czasu i przestrzeni. Chodź, Hannah, przyłącz się do nas! Poznaj mądrość meduzy, rozwijaj się przy niej! - mówił rozmarzonym głosem.

- Czy ktoś z was pojmuje, o czym ja mówię? - głośno zawołała, aż echo odbiło się od szklanych ścian. - Zrozumcie wreszcie, idioci! Wszyscy umrzemy, gdy pozostaniemy tutaj dłużej. Zabierajmy oko i w nogi!

Ze wzroku Malcolma i Patricka wywnioskowała, iż posunęła się za daleko.

- Zabrać oko? - Malcolm patrzył ze zdumieniem i złością. - Nikt nie może bezkarnie zabrać oka! - mięśnie drgały na jego twarzy, jakby nie kontrolował już swojego ciała, opanowanego przez ciemne moce.

Hannah zrozumiała, że zarówno on, jak i Patrick, są pod wpływem tajemniczej siły kamienia i jest za późno na prowadzenie dalszych dyskusji. Wystarczyło kilka godzin, aby z normalnych ludzi zrobić bezwolne marionetki. Uniosła broń.

- Ani kroku dalej! Jeden i drugi. Pod ścianę!

Broń była nieporęczna i ciężka, gdy kierowała lufę w ich stronę. Nigdy jeszcze nikomu nie groziła bronią. Wiedziała jednak, że nie może cofnąć się i nie ma szans na ugodę. Będą przegrani i zwycięzcy. Przegrani zapłacą życiem.

Pułkownik Durand spojrział na zegarek. Trzy... dwa... jeden. Głuchy grzmot rozniósł się po wąwozie i rozbił o ściany. Tuman kurzu uniół się do nieba i porwał go wicher. Durand podniósł rękę i przywołał swoich żołnierzy, którzy dla własnego bezpieczeństwa schronili się przed wybuchem za skały.

Pułkownik jeszcze raz spojrział na zegarek, założył okulary ochronne i poszedł ku dolinie, by na własne oczy zobaczyć i ocenić sytuację. Podoficer Sada Koutubi, rosły chłop o wzroście prawie dwóch metrów, przerzuciwszy przez ramię broń i plecak, ruszył za dowódcą. W drodze nie odzywali się do siebie. Pułkownik nienawidził zbytecznych rozmów, a ludzie z jego otoczenia byli podobni. Nie znosili niepotrzebnych pytań i niekończących się dyskusji. Robili swoją robotę i doceniali ciszę. Tylko ten, kto nauczył się milczenia, mógł radować się śpiewem wiatru i mądrością kamieni. Po trzech kwadransach, gdy dotarli do doliny, nie było niestety mowy o ciszy. Ponad ich głowami dudnił silnik helikoptera, unoszącego się w

powietrzu jak potężna wrona. Ze względu na prognozę pogody zdecydowano się odesłać helikopter do fortu. Pierwsze chmury kłębiaste zapowiadały już ponowną nawałnicę.

Durand zmusił się, aby nie śledzić lotu helikoptera i skoncentrować na pracy. Wiatr przynosił podniecone krzyki jego ludzi. Chyba znaleźli coś szczególnego. Po kilku minutach i Durand mógł obejrzeć wynik wybuchu. Był zdumiony, co może osiągnąć jeden, jedyny człowiek, który precyzyjnie umieści ładunek trotylu. W tym wypadku uznanie należało się weteranowi z plemienia Tubu, ekspertowi o nazwisku Habre. Był to człowiek skał. Habre jak nikt inny potrafił radzić sobie ze skałami. Na widok pułkownika podniósł fajkę do góry w pozdrawiającym geście. Fajkę zrobił sobie z łuski naboju. Aromatyczny zapach tytoniu wypełniał wąwóz. Durand obejrzał jego robotę i poklepał starego po plecach.

- Tres bien, mon ami. Formidable!

Ten uśmiechnął się z zadowoleniem pokazując złote zęby. Tam, gdzie jeszcze przed chwilą znajdowała się lita skała, stała otworem droga, pokryta odłamkami kamieni i luźnego żwiru, łatwymi do usunięcia.

Durand zbadał otwór i z satysfakcją stwierdził, że od celu oddziela go tylko kilka łopat żwiru. Miał nadzieję, że przed burzą znajdzie się we wnętrzu gór. Wszystko wskazywało na to, że spełni się jego życzenie. Bóg był po stronie odważnych. Durand zaklaskał w dłonie.

- W porządku. Do roboty!

Zmysły Malcolma i Patricka były wprawdzie znacznie przytępione, jednak rozumieli, że lepiej wykonać polecenie. Z zaciśniętymi zębami podporządkowali się żądaniom Hannah. Nie spuszczać ich z oczu, Hannah wchodziła po schodach. Czuła obecność obcego kamienia, lecz nie odważyła się na niego spojrzeć. Jeszcze nie teraz. Posuwała się krok za krokiem, stopień za stopniem. Obeszła rzeźbę. Cały czas broń miała skierowaną na mężczyzn.

Doszła do celu. Tuż obok niej sterczało nienawistne oblicze meduzy, a z jej oka nieustannie spływała woda. Nie przypominała sobie, aby kiedykolwiek widziała coś bardziej wzruszającego. Mimo odpychającego wyglądu, meduza emanowała smutkiem i chwytającą za serce melancholią. Wydawało się, że płacze nad ludzkością i nad nieszczęściem, które jej zgotowała. Hannah zacisnęła zęby. Wyjęła z torby skórzane rękawiczki, a następnie stalową kolbą karabinu waliła w głowę. Raz, dwa, trzy!

Gdy już straciła nadzieję, rozległ się trzask. Na szklistej powierzchni pojawiła się rysa. Hannah uderzyła jeszcze raz. Nad nosem meduzy odłamał się duży kawałek obsydianu i spadł w dół, a tam z brzękiem roztrzaskał się o podłoże. Jeszcze jedno uderzenie i twór wielkości

pomarańczy był uwolniony. Szary, połyskujący zimno i pokryty nieforemnymi brudami, pocił się w świetle lampy. Hannah bez zwłoki chwyciła resztkę komety, zawinęła w stary sweter i włożyła do skórzanej torby. Zawiodła się, sądząc, że rękawiczki uchronią ją przed działaniem kamienia. Kaskady migoczących świateł zajęły całe jej pole widzenia, a w uszach brzmiał hałas tysięcy dzwonów. Jednakże, gdy kamień znalazł się w torbie i jej palce straciły z nim kontakt, czar ulotnił się. Pozostało uczucie chaosu, brak orientacji oraz odgłosy, których nie potrafiła zidentyfikować.

Z wielkim trudem zachowała kontrolę nad panującym w głowie zamętem. Potrząsnęła głową, lecz hałas w uszach nie ustępował. Słyszała długi, przeraźliwy krzyk. Przerażona Hannah schodziła na dół, trzymając mocno broń. Stwierdziła, że ten nieludzki krzyk wydobywał się z gardła Patricka. Rękami przyciskał uszy i wrzeszczał potwornie, spoglądając na nią nienawistnie. Malcolm stał obok z zaciśniętymi pięściami. Hannah czuła mrowienie na karku. Jej wyczyn miał swoje uzasadnienie, ale w ich oczach była świętokradcą i zasługiwała na jedną karę - śmierć. Była przekonana, że zaraz rzucą się na nią. Broń wydawała się w tym momencie słabym zabezpieczeniem.

- Nie ważcie się ruszyć! - syknęła.

Metr za metrem posuwała się w stronę wyjścia. Złe oczy uporczywie śledziły każdy jej ruch. Oczy, pałające złością i przerażeniem. Każdy jej krok był szczegółowo obserwowany i analizowany. Nigdy w życiu nie czuła się tak zagrożona, jak w tej chwili.

Po wejściu do ciemnego tunelu nie mogła dłużej zapanować nad uczuciem paniki. Wzięła nogi za pas i biegła ile sił. Oby jak szybciej wyjść z tej wąskiej i ciemnej świątyni!

Na zewnątrz czekała ją konfrontacja z nowym niebezpieczeństwem. Gregori leżał na ziemi, dysząc. Irene siedziała na nim i trzymała ręce na jego gardle. W jej oczach był szal. Grek kręcił się i wyginał, lecz Irene dysponowała najwidoczniej niewiarygodną siłą. Hannah oddała strzał w powietrze. Irene odwróciła głowę i na sekundę zwolniła uścisk. Geologowi udało się uwolnić i potężnym uderzeniem odrzucił od siebie ogarniętą furiją kobietę. Podniósł się, kaszlał i z trudem łapał powietrze. Hannah chciała właśnie pospieszyć mu z pomocą, gdy nagle powaliło ją z nóg potężne uderzenie. Szybkostrzelny karabin wypadł jej z rąk, zatoczył w powietrzu łuk i spadł w zielony mrok kilka metrów dalej. Hannah padła na ziemię i krzyknęła. Stojący z tyłu cień rzucił się na nią jak drapieżne zwierzę. Instynktownie przetoczyła się na bok.

- Malcolm, ty przeklęta świni! - parsknęła, odgarniając z twarzy włosy. Skoczyła na równe nogi.

- Całkiem straciłeś rozum? - Hannah próbowała nadać swemu głosowi miękki, ugodowy ton.

- Możemy o wszystkim porozmawiać. Chcę tylko waszego dobra - szeptała. - Musimy stąd uciekać. Chodźcie z nami. Znaleźliśmy drugie wyjście, które wyprowadzi nas górą na wolność. Wszystko będzie dobrze. Zaufaj mi, Malcolm. Tylko ten jeden jedyny raz!

- Oddaj kamień! - kamerzysta wyciągnął rękę. Siedział nadal w kucki w miejscu, gdzie przed chwilą leżała Hannah. - Dawaj!

Gdy oddasz, nic wam się nie stanie i pozwolimy wam odejść. W przeciwnym razie czeka was śmierć.

Hannah była przerażona. Żadne słowo nie docierało. Nic i nikt nie był w stanie wyciągnąć go ze stanu opętania. Na domiar złego Patrick podniósł broń i zbliżał się z diabelskim uśmiechem. Towarzyszyła mu Irene. Była już na nogach, więc stosunek sił wynosił dwa do trzech.

Hannah podniosła do góry skórzaną torbę.

- W porządku. Zwyciężyliście. Chodźcie ze mną do wyjścia i dam wam, czego chcecie. Bez walki i rozlewu krwi - powiedziała wolno i wyraźnie.

Nagle wpadła na pewien pomysł.

- Kamień przemówił do mnie - oznajmiła. - On chce, abyście odłożyli broń i zawarli pokój z tymi, którzy nie są zdolni docenić waszej mądrości. Macie być pobłażliwi i ugodowi. Bogini powiedziała: *Anethot, Imlaran i Farass!*

- Co ty bredzisz? - zapytał szeptem Gregori.

- Cicho! Gram w to samo, co oni.

Z ulgą stwierdziła, że jej słowa odniosły pożądaną skutek. Na twarzach nie było już napięcia, a Patrick nawet opuścił broń. To był prawie cud.

- Mów dalej, Hannah, mów dalej - zachęcał Gregori, obejmując ją ramieniem. Uśmiechnęła się i właśnie miała zamiar kontynuować, gdy nagle zatrzęsła się ziemia pod ich nogami. Podniósł się olbrzymi tuman kurzu, podrażniając nos i oczy Hannah. Kichnęła i na sekundę opuściła torbę z cenną zawartością. Był to fatalny moment i jeszcze po latach Hannah zadawała sobie pytanie, co by się stało, gdyby wówczas nie straciła kontroli nad sytuacją.

Padł strzał. Hannah poczuła, że Gregori osuwa się na ziemię, próbując jeszcze uchwycić ją za ramię. Postrzegła w zwolnionym tempie rozgrywające się sceny. Nie miała już torby, nad nią stał w rozkroku Patrick, z wycelowaną, dymiącą jeszcze lufą karabinu, w drugiej ręce trzymał torbę. Ciało Gregori było ciężkie i bezwładne. Rzuciła na niego krótkie

spojrzenie. Wiedziała, że już nie żył. Nigdy więcej nie usłyszy jego śmiechu i nie poczuje ciepła jego rąk. Ogarnął ją wielki smutek. Smutek i niepohamowana złość. Była wściekła, że straciła przyjaciela, że zamilkł jego śmiech i że to wszystko było kompletnie niedorzeczne. Jej oczy zwęziły się w szparki i rosła w niej zimna nienawiść. Teraz ona nada wszystkiemu sens i zakończy to natychmiast!

Rozległ się huk. W panującej sytuacji był niemal pożądany. Wszystko trwało już zbyt długo i graniczyło z urojeniem. Zaniepokojone twarze innych utwierdziły ją w przekonaniu, że grzmot był realny. Uświadomiła sobie, że wstrząsu nie spowodowało trzęsienie ziemi, jak początkowo przypuszczała. Wysadzono tunel i odgłosy wybuchu rozniosły się w głębinach Tamgak. Zbliża się Durand!

Hałas wzrastał się. Rumor odbijał się o ściany narastając z piekielną mocą. To była szansa dla niej. Zmobilizowała wszystkie siły i kopnęła Patricka w podbrzusze. Patrick zwinął się z bólu, wydał krótki jęk i padł na ziemię. Puścił torbę, tylko broń nadal trzymał mocno. Huk nie ustawał. Irene i Malcolm rozglądali się niepewnie na wszystkie strony. W zielonkawym półmroku nie mogli niczego dojrzeć. Była to korzystna sytuacja dla Hannah. Nie mogła zmarnować szansy. Zręcznie wydostała się spod ciała Gregori, złapała torbę i rzuciła się do ucieczki. Czuła wiatr we włosach i ziemię pod stopami. Pędziła jak nigdy dotąd w swoim życiu - przez groble i kamienie. Wpadła do strefy ciemności i tam wreszcie dała upust swoim emocjom. Połały się łzy.

## 23

Pułkownik Durand wszedł do jaskini i rozejrzał się dookoła. Uważał się za laika, lecz czuł, że odkrycia z tych miejsc przejdą do historii. Pomieszczenie wypełniały obrazy o nieporównywalnym pięknie i sile wyrazu. Naturalnie Durandowi znane były malowidła z Air, przedstawiające polowania, wspólnoty wiejskie i zwierzęta. W porównaniu z mistrzostwem tych tutaj tamte wypadały jednak blado i nadawały się ewentualnie do zamieszczenia o nich wzmianki w przypisach archeologicznych. Durand przysiągł sobie pogłębić i odświeżyć wiedzę z tego zakresu. Zrobi to po zakończeniu misji, jeśli pozwolą mu na to inne obowiązki.

Wrócił do rzeczywistości, gdy spostrzegł nogi, sterczące przed nim jak dwie złamane zapalki. W swoim życiu widywał już wiele trupów i rannych, lecz ten widok był nadzwyczaj odrażający. Rozkazał swoim ludziom czekać. Najpierw chciał sam ocenić sytuację. Ślady na piasku, przewrócona gazowa maszyna turystyczna, zdeptane ognisko - to wszystko wskazywało na odbytą walkę. To z kolei oznacza, że musiały być przynajmniej dwie osoby, a jedną z nich był prawdopodobnie Albert Beck. Durand łamał sobie głowę, kim była druga osoba. Kto był z Albertem? Dlaczego doszło do kłótni? Pułkownik Durand chodził tam i z powrotem, a w myślach odtwarzał zdarzenia. Czy druga osoba dowiedziała się o podwójnej grze Becka? Bardzo prawdopodobne. To mogło być powodem sporu i rękoczynów.

Dlaczego Beck zabrał ze sobą tego człowieka? Dlaczego nie prowadził akcji w tajemnicy? Na pewno Beck uważał, że nie musi obawiać się tej osoby. Pułkownik zeszytniał, gdy znalazł wyjaśnienie - to był więzień.

Nagle wyobraził sobie przebieg zdarzeń, jakby oglądał obrazki w książce. Tym drugim był John Evans, alias Chris Carter. Tak z pewnością było. Zespół odkrył jego tożsamość. Ktoś musiał go pilnować. Carter był pewnie związany lub inaczej

unieszkodliwiony. Pytanie, jak i czy udało mu się uwolnić. Odpowiedź jest ukryta gdzieś tutaj...

Durand podszedł do miejsca ze śladami ogniska i uklęknął. Pomiędzy spalonym drewnem leżały zwęglone sznurowadła. Podniósł je i przyglądał się im badawczo.

Wstał i głęboko odetchnął. Związany trzymał ręce nad ogniem i w ten sposób pozbył się pętli. Trzeba mieć ogromną siłę woli, aby zdobyć się na coś takiego. Durand czuł, że jego podejrzenie jest słuszne. Chodzi o Cartera. Innym członkom ekspedycji zabrakłoby odwagi. Mimowolnie poczuł respekt. Zaczynał rozumieć, dlaczego Naumann uważał go za najlepszego człowieka Stromberga. Jak dotąd wszystko jasne. Durand dalej badał ślady na piasku. Zatem klimatolog uwolnił się i stanął do decydującej walki. Durand chodził wkoło ciężkiej kamiennej płyty, ukrywającej rozwiązanie zagadki. Niewątpliwie jeden z przeciwników jest pogrzebany pod płytą. Mógł mieć tylko nadzieję, że to Carter jest właścicielem nóg sterczących nienaturalnie w powietrzu.

Inna ewentualność niezmiernie skomplikowałaby sytuację. Zobaczył dosyć. Skinął na swoich ludzi i nakazał podniesienie płyty, przygotowując się w duchu na mało apetyczny widok. Błyskawicznie zamocowano zaczepy, przywiązano sznur i na znak Duranda ośmiu ludzi zaczęło ciągnąć ze wszystkich sił. Płyta uniosła się z zadziwiającą lekkością.

Widok był straszny. Durand miał rację. Na taką śmierć nie zasłużył nawet najgorszy łotr. Na domiar złego, w potwornie zniekształconym ciele rozpoznał po złotych oprawkach okularów i ciemnych włosach Alberta Becka. Chris Carter był blondynem. To oczywiste, że Carter zdołał zbiec. Schody prowadziły na dół w ciemną czeluść!

- Zabierzcie go - rozkazał Durand. - Resztki zasypcie piaskiem. Nie chcę widzieć ani śladu, gdy wrócę. Sada, weź czterech ludzi i chodźcie ze mną.

Odpowiedzią było skinienie, lecz Durand niczego więcej nie oczekiwał. Spojrzał na zegarek, a potem przeniósł wzrok na resztę swoich ludzi.

- Habre, chciałbym, abyś pod moją nieobecność przejął dowodzenie. Na moim zegarku jest 15,29. Gdy do 20,00 nie otrzymasz ode mnie wiadomości, poślij za nami następną grupę. Najprawdopodobniej na dole nie funkcjonują radiotelefony. Trzymajcie się planu. Zrozumiano? W porządku. W drogę!

Chris odzyskał przytomność i niespokojnie rzucał się z boku na bok. Był wyczerpany, a rany na rękach i nogach piekły i nie pozwalały mu spać. Abdu opatrzył mu okaleczenia i posmarował maścią, lecz ból ustąpi dopiero za kilka dni. Milczący Tuareg unikał go jak

parszywego psa. Chris usiłował zamienić z nim parę słów, ale były to daremne próby. Abdu nigdy nie był specjalnie rozmowny, teraz zaś zachowywał się jak niemy. Wyglądało na to, że osobiście dotknęła go zdrada grupy, przede wszystkim Hannah. Siedział w drugim końcu jaskini.

Zegarek pokazywał 17.30. Chris nie wiedział, ile czasu minęło od wyjścia Hannah i Gregori. W drodze z krypty stracił poczucie czasu. Postanowił myśleć o czymś innym. Nie dawały mu spokoju słowa Hannah, że gdzieś pod sufitem znajduje się drugie wyjście, a mechanizm otwarcia jest ukryty w meduzie. Spróbuje zastanowić się, może mu się powiedzie. Zbrzydły mu wąskie przejścia i ciemne pieczary. Tęsknił za widokiem Słońca i gwiazd, za wiatrem we włosach. Zdecydowanym ruchem chwycił lampę gazową i przesiadł się bliżej cokołu.

Podobnie jak w pierwszych dniach ekspedycji i teraz postawił lampę tuż przy rzeźbie. Płaskie promienie światła dawały wyraźniejszy obraz struktury rysunków, które były lepszej jakości niż w *Tassili N'Ajjer*. W jaskini ryciny nie były narażone na wpływy atmosferyczne. Wyglądały świeżo, jakby artyści dopiero wczoraj zakończyli swoją pracę.

Zmrużył oczy. Znowu gwiazdy. Węże i gwiazdy we wszystkich możliwych konfiguracjach. Co wiązało ludzi z tymi symbolami? Czy był to rodzaj języka albo kult? Już w *Tassili N'Ajjer* zauważył, że występują nader często. Wtedy sądził, że chodzi o szczególnie wymyślny sposób oznakowania drogi do świątyni. Lecz znajdowały się one i tutaj, chociaż świątynia mieściła się tuż obok. Były niemal wszechobecne. Jednakże, bez dysponowania innymi danymi, nie zdoła rozwikłać przyczyny ich nagminnego występowania. Ciekawe było, iż jeden ze znaków powtarzał się wielokrotnie. Mógł przysiąc, że widział go już, lecz nie mógł sobie przypomnieć gdzie. Wpatrywał się w symbole, aż poczęły łzawić mu oczy. Podniósł się z westchnieniem. To było bezsensowne. Z tych znaków nie odczyta żadnej wiadomości. Musi znaleźć inną drogę.

Zaczął dokładnie badać figurę. Ostukiwał kamienny cokół z nadzieją wykrycia pustej przestrzeni. Przesuwał palcami po węzowatych wypukłościach na głowie. Napotykał jedynie złośliwe spojrzenia kamiennego oka. Chciał już odejść, gdy przez przypadek dotknął zegarkiem jedno z ramion. Rozległ się żalospny dźwięk. Chris zamarł. Znał ton tego dźwięku, już go słyszał. Jeszcze raz przesunął zegarkiem po szorstkim kamieniu. Znowu słyszał ów dźwięk, tym razem pełniej i wyraźniej. Chris poruszył ustami, jakby nucił krótką melodyjkę. Nagle przypomniał sobie, skąd ją zna. Melodię słyszał, gdy dotykał oka.

- Boże, to przecież niemożliwe. Czy to jest klucz do zagadki?



W głowie huczało mu od myśli jakby zagnieżdżył się w niej rój pszczół. Jeżeli mechanizm drzwi jest czymś w rodzaju pułapki, albo testem, to tylko dla tych, którzy nie są wtajemniczeni, czyli dla niewierzących, wątpiących, heretyków, oraz tych, którzy nie dotykali kamienia.

Gorączkowo dopasowywał teorię do praktyki. Usłyszał pięć tonów. Teraz musi je znaleźć. Było to niełatwe zadanie, gdyż meduza posiadała dwadzieścia dziewięć ramion. Zlokalizowanie tonów i poukładanie ich w odpowiedniej kolejności zajmie trochę czasu.

Wkrótce jaskinia rozbrzmiewała obco brzmiącymi tonami. Zaciekawiony Abdu podszedł bliżej. Po dziesięciu minutach Chrisowi udało się jednoznacznie zidentyfikować cztery tony. Właśnie próbował odkryć piąty, gdy nagle zadudniło i ziemia zadrżała pod nogami. Chris osłupiał. Miał wrażenie, że to rozlegające się tony spowodowały drżenie. Ponownie wygrał końcówkę melodii. W jaskini zadygotało. Chris poczuł rękę Abdu na swoim ramieniu. Tuareg stał jak wryty i wpatrywał się w sufit. Początkowo prawie niewidoczny prostokąt na sklepieniu był teraz bardzo wyraźny na tle skał. Chris podszedł do prostokąta. Wilgotność wyraźnie wzrosła. Powoli przesunął palec wzdłuż szpary, aż w kąciaku po lewej stronie zebrały się krople wody. Po chwili z kropli powstała wąska strużka, która ze zwiększającą się prędkością spływała po ścianie jaskini.

- Co o tym myślisz, Abdu? - zapytał Chris. - Nie sądzisz, że po drugiej stronie jest zbiornik z wodą?

Abdu podszedł bliżej, włożył palec do wody i posmakował.

- Stojąca i bardzo zimna - stwierdził. - Musi być głęboka. Na twoim miejscu nie próbowałbym dalej.

Chris nie chciał pogodzić się z pogrzebaniem nadziei na uwolnienie. Marzył o opuszczeniu tego podziemnego labiryntu i bronił się przed rezygnacją z dalszych prób, zwłaszcza, że cel wydawał się być tak blisko.

- Naprawdę twoim zdaniem nie powinniśmy spróbować? Może mylisz się i po drugiej stronie jest tylko strumień.

- Znam się na wodzie. Ona jest najważniejsza na pustyni - powiedział Abdu z nutką dumy w głosie. - Na Saharze jest wiele głębokich dołów, wypełnionych wodą. Ale tam jest połowa oceanu. Gdy kłapa na suficie otworzy się, zginiemy wszyscy.

- Niech cię cholera weźmie - mruzczał Chris bardziej do siebie niż do Abdu. - Zginiemy tak czy owak. To jest ostatnia szansa na wydostanie. Nie ma innej drogi.

W tym momencie rozległy się kroki i stłumiony szloch. Chris obejrzał się i zobaczył Hannah. Zamarł z przerażenia na widok jej twarzy. Była u kresu sił. Abdu podskoczył, by ją

podtrzymać. Chciał podać jej butelkę z wodą, lecz ona potrząsnęła przecząco głową i wskazała na przejście, z którego przed chwilą wyszła.

- Nie ma czasu, nie ma czasu - wyjąkała. - Oni idą. Zupełnie zwariowali. Chcą nas zabić i chcą to - wskazała skórzaną torbę, na której widoczna była wypukłość. Chris od razu zorientował się, o czym mówi.

- Boże święty, masz go - wykrztusił. - Ten przeklęty kamień. Skinęła głową, a jej twarz przysłonił cień.

- Tak, mam. Za jaką cenę! - zasłoniła twarz rękami i drżała na całym ciele. Chris spojrzał w kierunku ciemnego przejścia i domyślił się. - Gdzie jest Gregori? - wystękał - czy on...?

Hannah wyprostowała się, wytarła twarz brudnym rękawem i spojrzała na niego wzrokiem, który powiedział więcej niż tysiące słów.

- Wiecie już, jak funkcjonuje mechanizm otwierania? Jeśli tak, to najwyższy czas, żebyście mi powiedzieli.

- Owszem - Chris opowiedział o dźwiękach, zidentyfikowanych pięciu tonach i ostrzeżeniach Abdu.

- Kolejność tonów - wyszeptała Hannah. - Tak, to ma sens. Spojrzała na niego przenikliwym wzrokiem. - Zrób to! - powiedziała.

- Nie słyszałaś, co mówił Abdu? Jego zdaniem po drugiej stronie jest wielkie jezioro. Woda zmyje nas jak muchy. Nie wolno nam otworzyć tych drzwi.

Nagle usłyszeli dochodzący z tunelu odgłos kroków. Abdu, który miał najlepszy słuch podbiegł do wyjścia i nasłuchiwał. Jego spojrzenie nie wyrażało niczego dobrego. Hannah zrobiła kilka kroków w jego kierunku. Zamieniła z Abdu krótkie spojrzenie, potem zwróciła się do Chrisa.

- Ciężkie wojskowe buty, i to dużo! - jej głos załamał się. - Pułkownik nas znalazł. Otwieraj klapę, do licha, bo zginiemy!

Chris podniósł do góry ręce. - Bez paniki. To mogą być ludzie z naszej ekspedycji. Zanim nie upewnimy się, nic nie zrobię.

W tym momencie w świetle lampy ukazała się Irene. Szła wolno, krok za krokiem, z przyjaznym uśmiechem.

- No widzisz - Chris odetchnął z ulgą. Wtem za Irene zauważył pochylony cień. Cień poruszył się i przez sekundę widoczny był błysk lufy.

- Chowajcie się! - krzyknął Chris do Hannah i Abdu.

Padły strzały. Huk odbił się od ścian. Chris nie zwlekał już ani sekundy. Doskoczył do rzeźby i zaczął wywoływać dźwięki, obserwując kątem oka, co dzieje się w jego polu widzenia. Abdu wyciągnął nóż i zasłonił Hannah. Padł następny strzał i jego ciało osunęło się bezwładnie na ziemię. Hannah krzyknęła i padła na ciało przyjaciela. Cień oderwał się od ściany i pojawił w świetle - pułkownik Francois Philippe Durand.

Hannah cofnęła się wolno i oparła plecami o ścianę. - Stój! - warknęła - ani kroku dalej!

- Pani doktor Peters! - głos Duranda brzmiał ciepło i uspakajająco. Opuścił broń.

- Przykro mi z powodu pani towarzysza. To był wypadek, proszę mi wierzyć. Zobaczyłem nóż i musiałem się bronić. To nie ma nic wspólnego z nami.

- Milczeć! Jest pan diabłem. Niech pan zostawi nas w spokoju!

- Niestety, nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności nie mogę tego zrobić. Chyba, że odda mi pani kamień. Widzi pani, dla mnie i mojego zleceniodawcy jest on bardzo cenny. Na pewno to pani rozumie. Pani koledzy... - wskazał do tyłu - podzielają moje zdanie. To powinno być wystarczającym powodem, aby mi zaufać.

Na jego skinienie do przodu wyszła Irene. Za nią Chris zauważył Malcolma i Patricka. Na ich twarzach malowała się kompletna obojętność. Sprawiali wrażenie, że w ogóle nie wiedzą, jaka tragedia rozgrywa się przed ich oczami. Być może właśnie ich apatia zmobilizowała Chrisa do intensywniejszego działania. Jeszcze chwila i znajdzie piąty, ostatni dźwięk.

- Nigdy panu nie zaufam! - krzyczała Hannah. - Gdy dostanie pan kamień, zabije pan nas, jak zabito wszystkich w obozie. Wiemy, na czyj rozkaz rebelianci zrobili masakrę!

Oczy Duranda zapłonęły złością.

- Dziwi pana, że o tym wiem? Nie jesteśmy tacy naiwni, jak pan myśli. Pana wierny informator, Albert Beck, był przed śmiercią bardzo rozmowny. Napad to pańskie dzieło, a teraz chce pan pozbyć się nas! - krzyczała dalej Hannah.

- Do was też nie mam już zaufania - zwróciła się do Irene, Malcolma i Patricka, którzy niepewnie spoglądali raz na Hannah, raz na Duranda. - Jesteście opętani przez kamień i wierzycie w najgorsze kłamstwo! Każdego zdradzicie, by go zdobyć. Nikt go nie dostanie! Chris, teraz!

Uwaga wszystkich skierowała się nagle na Chrisa. Oczy Duranda rozszerzyły się. Zrozumiał. Wyciągnął broń, lecz było za późno. Zabrział ostatni, piąty ton. Potężny łomot zatrzęsł całym pomieszczeniem. Pułkownik zachwiał się, niemniej wystrzelił, ale chybił o parę centymetrów. A potem stało się.

Chris miał akurat tyle czasu, by chwycić Hannah i kurczowo przytrzymać się meduzy. Na suficie najpierw powiększyła się szpara, a potem wielka masa ciemnozielonej wody zalala jaskinię niczym biblijny potop.

## 24

Francois Philippe Durand, naczelny wódz Legionów Północnych Nigerii, odznaczony najwyższymi, przyznawanymi w Legii Cudzoziemskiej, orderami i zwycięzca w niezliczonych walkach, pierwszy raz w swoim życiu poczuł strach. Patrzył szeroko otwartymi ze zgrozy oczami na otwierający się sufit i spadającą ścianę wody. Bezlitosna fala porwała go, unosząc w głąb gór. Wkoło panowała czarna noc. Przerażony Durand wyciągał ręce, szukając jakiegoś zaczepienia. Bezskutecznie. Nieludzka siła szarpała jego ciałem, ciągnęła w odmęty, a dookoła szalało i bulgotało piekło. Wydawało się, że minęła wieczność, gdy wreszcie uchwycił skalny występ, którego uczepił się resztkami sił. Kołatało mu w głowie, miał wrażenie, że pęknie mu czaszka. Jego niezłomna wola przeżycia tego potopu zdawała się już go opuszczać, gdy raptem wszystko ustało. Prąd osłabł, woda wsiąkła w głąb podziemi. Durand upadł na grunt, jęcząc i drżąc. Leżąc twarzą w błocie, miał jedno jedyne życzenie, aby udało mu się uciec z tej apokaliptycznej gry.

Już po kilku sekundach wróciła mu zdolność myślenia oraz żołnierska rutyna. Wyprostował się jak automat i rozpoczął badanie swojego ciała. Systematycznie, kawałek po kawałku, z góry do dołu. Okazało się, że ma niezliczone rany na skórze i stłuczenia oraz złamane przynajmniej jedno żebro. Do tego pogruchotany obojczyk. Głowa pozostała cudem bez obrażeń. Chyba dlatego udało mu się przeżyć.

Z towarzyszącej mu załogi nie było nikogo. Chwiejąc się, wrócił do komory - miejsca, gdzie rozpoczęło się nieszczęście. Rzeźba meduzy była otulona szarym światłem, dochodzącym z zachmurzonego nieba przez otwór w suficie. Durand spostrzegł po chwili, że jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, ukazały się schody prowadzące chyba na powierzchnię. Po Carterze i Peters nie było śladu. Co powinien teraz zrobić? Kontynuować pościg, czy wrócić do fortu po posiłki?

Kłucia w piersiach i w stawie barkowym zadecydowały, że postanowił pozbiierać swoich ludzi i wycofać się. Jeżeli Carter i Peters żyją, nie uda im się daleko zbiec.

Z bolesnym grymasem na twarzy, zataczając się, wszedł w przejście prowadzące do świątyni.

Śmierć asystenta był ciosem dla Hannah. Głos Chrisa, przedarł się przez jej myśli, gdy było już za późno. - Wstrzymaj oddech! - krzyknął.

Hannah zawładnęła olbrzymią siłą. Ciśnienie wyrywało duszę z ciała. Fale miały i bulgotały, szarpały i ciągnęły na wszystkie strony. Silny uścisk Chrisa chronił ją przed porwaniem w głębinę. Otworzyła oczy. Wszędzie była kipiąca woda. Tańczące bańki otaczały twarz meduzy Rzeźba sprawiała wrażenie żywej.

Hannah zauważyła szyderczy uśmiech na twarzy meduzy. Uśmiech, za którym kryła się tajemnica. Peters z przykrością pogodziła się z myślą, że nigdy jej nie pozna i zamknęła oczy.

Nagle pojawiła się znowu ta potężna siła, która ciągnęła ją na dno. Fale były jak oszalałe o ściany jaskini. Hannah z trudem łapała powietrze i zanosila się kaszlem, usiłując napelnić płuca powietrzem. Teraz każdy oddech oddalał ją od wejścia do królestwa zmarłych, gdzie była już jedną nogą.

Po chwili doszła do siebie i rozejrzała się dookoła. Leżała u stóp meduzy, nad którą widać było przesuwające się szare chmury. U góry, między ramionami meduzy, wisiał Chris jak szmaciana kukielka. Kaszlał i krztusił się, ale był przytomny. Hannah zerwała się i pomogła mu uwolnić się z pułapki. Chris był słaby i wycieńczony.

- Wszystko w porządku? - zapytała.

On zdobył się jedynie na uśmiech i gestem kciuka pokazał, że jest OK. Hannah ujęła jego mokrą, ociekającą wodą, twarz i pocałowała w czoło.

- Spójrz na te chmury - wyszeptała, prowadząc go do kamiennej płyty, która otworzyła się pod wpływem ciśnienia wody.

Za nią była droga do wolności. Hannah ciągnęła swojego towarzysza na świeże powietrze. Gdy znaleźli się na górze, przymknęła na chwilę oczy. Poczowała światło na twarzy i wiatr we włosach. Jakże długo o tym marzyła! Beznadziejna sytuacja z ostatnich dni i godzin stawała się przeszłością. W Hannah wstępowała otucha i wiara. Skoro udało im się pokonać tyle trudności, poradzą sobie również na ostatnim etapie.

Pułkownik Durand nie doszedł zbyt daleko, gdy za jednym z zakrętów natrafił na makabryczny kłęb ludzkich ciał, wśród których było przynajmniej trzech jego ludzi. Strzępy mundurów wisiały na porozrywanych ciałach, karabiny były dziwacznie powyginane. Durand zacisnął usta i usiłował oddzielić od siebie szczątki. Zidentyfikował zwłoki Malcolma Neadry i Patricka Flannery, leżące obok siebie w spazmatycznym uścisku. Oczy mieli szeroko otwarte, na ich twarzach malował się ból - całość przedstawiała widok godny ubolewania. Im jednak litość nie była już potrzebna. Byli martwi jak żwir, na którym leżeli. Na ratunek było za późno. Poczuł żal, chociaż nie chciał się do tego przyznać. Czy tych dwóch na początku podróży wyobrażało sobie tak dramatyczny koniec? Z pewnością nie. Gdy poszukiwania dobiegną końca, powróci tutaj, wydobędzie i pochowa ich ciała. Nie wcześniej.

Pomiędzy zmarłymi nie było Irene Clairmont. Czy przeżyła?

Raptem usłyszał ludzki odgłos, jęk albo westchnienie, wyraźnie kobiece. Ostry wzrok Duranda przenikał ciemności i odkrył przy następnym zakolu, pod występem skalnym, skuloną postać. Pobiegł do niej z nadzieją, że nie jest ciężko ranna, ponieważ nie miał teraz czasu na transportowanie chorych.

Jego troski były zbyteczne. Dziennikarka wyprostowała się, a po zwymiotowaniu litra wody, spojrzała na niego zdumiona, jakby nie rozumiała, co się wydarzyło.

- Pomogę pani - Durand wyciągnął do niej rękę. - Niech pani spróbuje utrzymać się na nogach.

Irene chwiała się. Cudem nie odniosła żadnych obrażeń. Nic sobie nie złamała, nie miała żadnych otarć skóry ani stłuczeń. Jakby chronił ją anioł stróż. Wykaszała resztę wody i wytarła ręką usta.

- Gdzie jest kamień? - wykrztusiła.

- Kamień? - Oczy Duranda zwęziły się.

Nie spodziewał się, że jej pierwsza myśl będzie związana z tym przeklętym meteorytem. Bardzo dziwne. Przypomniał sobie, jak dwie godziny temu spotkał w jaskini Neadry, Flannery i Clairmont. Już wtedy ich zachowanie było podejrzane. Mówili o bogini, oku i inne bzdury. Dopiero po chwili zrozumiał, że chodziło im o kamień.

Spojrzał z boku na Irene. Nawet teraz, gdy zdarzyło się tak wiele, pomyślała tylko o meteorycie. Cóż to za obiekt, który tak bardzo zmienia ludzi? Dobrze pamiętał, jaką rezolutną i pewną siebie była Irene w forcie. Miała jasne oczy, przyjazny uśmiech, otwartość i serdeczność. Durand zaczynał się poważnie martwić, co będzie, gdy i on dotknie tego kamienia. Czy będzie gotowy go oddać? A może zmieni się tak samo, jak ci ludzie? Czy to w

ogóle możliwe? Czy w materii może tkwić taka siła? Naumann nie wspomniał o tym słowem. Mówił, że chodzi o materię z kosmosu.

Pierwszy raz w życiu Durand zastanawiał się, czy nie byłoby lepiej, gdyby odrzucił zlecenie Naumanna. Jednak było już za późno.

- Proszę pójść ze mną, musimy wracać. Carter i Peters uciekli z kamieniem. Nie mogą być daleko. Zaraz zorganizujemy pościg. Jeśli pani ma ochotę, może mi pani pomóc - mówił, obserwując Irene. - Oczywiście tylko wtedy, gdy pani tego zechce.

Skinęła głową.

- Idziemy! - niezdarnie odwrócił się i pokuśtykał w mrok.

Stali na dnie kamiennego zbiornika. Hannah rozglądała się. Wreszcie niebo i świeże powietrze! Czowała, jak z piersi spada jej olbrzymi ciężar, jak lekko robi się na sercu, chociaż pogoda nie dawała powodów do optymizmu. Chmury deszczowe zbierały się nad ich głowami, a silny wiatr uderzał piaskiem w twarze.

Hannah patrzyła na wierzchołki skał i stanęła jak wryta.

- Chyba zwariowałam! - powiedziała. - Chris, zobacz! Byliśmy już tutaj?

Chris potrzebował trochę więcej czasu na orientację. Uśmiechnął się szeroko. Bez słowa podniósł rękę i wskazał na meduzę, której wyryta dłutem twarz widniała na wąskiej ścianie zbiornika. Hannah poznała znajome rysy.

- Boże! - wyszeptała. - Czy to basen, w którym pływaliśmy pierwszego dnia? Pamiętasz? Zobacz, skały zabarwione są na ciemniejszy kolor aż po górną krawędź. Aż tam sięgała woda!

Chris przytaknął.

- Wtedy głowa meduzy była całkiem przykryta, zauważyłem ją w czasie nurkowania.

- A te schody na kamiennej płycie?

- Widzieliśmy je oboje. Pamiętasz te dziwaczne żłobienia na dnie basenu? - nabrał głęboko powietrza. - Skąd mogliśmy wiedzieć, że jesteśmy tak blisko celu?

- Boże drogi, ile milionów litrów wody nas zalewało tam, w dole! Cud, że przeżyliśmy. - Po chwili dodała. - Co z innymi? Czy oni...?

- Chcesz wrócić i zobaczyć?

Pokręciła głową. - Nie - szepnęła. - To tylko...

Chris podszedł do niej, kulejąc. Położył jej na ramieniu swoją poranioną rękę.



- To byli moi przyjaciele - powiedział. - Nawet, jeśli oni temu zaprzeczyliby - dodał z niepewnym uśmiechem. - Lecz czy można tak długo przebywać z ludźmi i nie być sobie bliskim? Co się stało, to się nie odstanie. Pod koniec nie byli już tymi, z którymi wyruszyliśmy na wyprawę.

- My też nie. Ale los pozostawił nas przy życiu. Dlaczego?

Chris milczał. Podniósł głowę i spojrzał na nią przenikliwie.

- Masz go jeszcze?

Hannah położyła rękę na torbie. - Dlaczego chcesz wiedzieć?

- Może dlatego, aby z sensem odpowiedzieć na twoje pytanie. Może los wybrał nas, abyśmy umieścili kamień w bezpiecznym miejscu? To dziwne, że poświęcamy tyle uwagi rzeczy, o której nic nie wiemy. Może zabrzmiało to idiotycznie, lecz po tym wszystkim, co wydarzyło się, sam już nie wiem, w co mam wierzyć - patrzył na ciemne chmury. - Fakty, na których opierałem się w kiedyś, rozplynęły się w wielkie nic. Czuję się, jakbyśmy wyważyli drzwi do zabronionego świata i widzieli rzeczy, których nie powinniśmy zobaczyć.

Potem zwrócił się znowu do Hannah.

- Można różnie na to spojrzeć, ale faktem jest, że mamy kamień, a oni nie pozwolą nam na triumf. Musimy jak najszybciej stąd zniknąć.

Hannah spojrzała na niego badawczo. - Czy ty w ogóle jesteś w stanie poruszać się? Jak twoje stopy?

Jego wzrok powędrował na nogi. Bandaże na stopach były brudne, nasiąknięte wodą i zaczynały spadać. Zdjął je zręcznymi ruchami i począł badać skórę na stopach.

- Dobrze nie wygląda - oznajmił. - Ale wytrzymam przez pewien czas.

- Czekaj. Mam lepszy pomysł.

Hannah miała przy sobie dwa skórzane worki, opróżniła je teraz, rozcięła boczne szwy i rozprostowała materiał. Kazała stanąć Chrisowi na przygotowanych kawałkach skóry i przywiązała je do stóp bandażami. Chris wyglądał jak w sandałach, które nosili Rzymianie przed dwoma tysiącami lat. Zrobił kilka kroków.

- Zdumiewająco dobre,

- Wszystko polega na improwizacji. Wierz mi, po dziesięciu latach na pustyni, też byś potrafił. Dobrze. Teraz szybko napełnię nasze manierki wodą z tego bajora i ruszamy!

Oczy Chrisa stały się wąskie. - Tak mówisz, jakbyś wiedziała, że uda nam się wyjść z tych piekielnych gór.

- Góry nie są problemem - odpowiedziała Hannah, napełniając butelki i wkładając je do torby, w której znajdował się kamień.

- A potem?

- Mówiłam ci, że mam pewien pomysł.

Zaśmiała się cynicznie. - No, to wszystko jest w najlepszym porządku. Ale nie masz ochoty mi o tym opowiedzieć?

Potrząsnęła głową.

- W porządku. Wobec tego nie muszę się o nic martwić.

- No właśnie.

## 25

Pułkownik Durand bębnił nerwowo w kierownicę, jadąc na czele kolumny samochodów w kierunku Iferouane. Nic nie poszło po jego myśli. Na razie niczego nie osiągnął. Podczas tragedii w jaskini stracił swoich pięciu wiernych podwładnych, między nimi Sadę, który był jego prawą ręką. Przekłęta burza piaskowa nie miała końca i helikopter nie mógł brać udziału w akcji ścigania. A samochody? Z równym skutkiem można prowadzić pościg z zawiązanymi oczami. Piasek przesłaniał widoczność i każdy ruch. Mogli dojść do poszukiwanych na odległość pięćdziesięciu metrów, a mimo to ich nie zauważyć. Zorganizowałby obławę, gdyby wiedział, w jakim kierunku uciekają. Do dyspozycji było 15 jeepów, a ponadto hummery. Taka akcja mogłaby mieć powodzenie. Ale czy to był dobry pomysł? Rzecz, którą chcieli zdobyć, była tak niebezpieczna, iż pożądana była dyskrecja. Nie wtajemniczył swoich ludzi i był z tego rad. Niewyobrażalne byłyby konsekwencje, gdyby kamień dostał się do ich rąk. Byłoby jeszcze więcej trupów i rannych. Nie, ten pościg musi kontynuować sam, najlepiej z Irene Clairmont u swego boku. Ona może mu się przydać, ale co pocnie z nią po odnalezieniu kamienia? O tym pomyśli później - jak nadejdzie czas.

Spojrzał w niebo i zaklął. Zgodnie z prognozą, burza ma trwać jeszcze trzy dni. Przez ten czas Hannah Peters i Chris Carter będą mieli najgorsze za sobą. Zakładając naturalnie, że przeżyją nawałnicę.

Kątem oka obserwował Irene, która siedziała na siedzeniu dla pasażera i wpatrywała się w pustynię. W oczy rzucały się jej kurczowo zaciśnięte dłonie.

- Jak pani się czuje? Wszystko w porządku?

Jak manekin odwróciła głowę i spojrzała na niego.

- Bardzo dobrze - to była cała jej odpowiedź.

Próbował wciągnąć ją do rozmowy.

- Proszę posłuchać, madame Clairmont. Naprawdę bardzo mi przykro z powodu tego, co stało się tam w górach z innymi uczestnikami ekspedycji. Musi mi pani uwierzyć. Nikt nie mógł przewidzieć tej katastrofy. Chciałbym pani pomóc w odnalezieniu kolegów - Cartera i Peters. Tych dwoje ma nikłe szanse w tej burzy.

- Czy to prawda, co Hannah mówiła o panu? Że to pan maczał palce w napaści?

Durand zastanowił się krótko, czy powiedzieć prawdę.

- Tak. Naszym celem było odebranie wam kamienia, jak tylko go odnajdziecie. Nie chciałem, aby zginęli ludzie, proszę mi wierzyć. Winę ponosi wyłącznie Ibrahim Hassad i jego rebelianci. Na nich spoczywa cała odpowiedzialność i odpowiedzą za to, co zrobili.

Irene wyjrzała przez okno. Durand mówił dalej.

- Ta sprawa jeszcze nie jest zakończona. Mamy realną szansę ich znaleźć. Proszę opowiedzieć mi wszystko; to może być bardzo przydatne. Co zamierzaliście zrobić z kamieniem? Czy istnieje jakaś umowa, w jaki sposób miał być wywieziony z kraju? Proszę spróbować sobie przypomnieć. Każda drobnostka może mieć ogromne znaczenie. Od tego zależy życie pani przyjaciół.

- Monsieur Durand, pan jest kłamcą.

Durand poprawił się na siedzeniu. - Co, proszę?

- Panu wcale nie zależy na Peters i Carterze. Dla pana mogą być już kupką kości bielejących na piasku. Pan chce zdobyć kamień... dokładnie jak ja.

Durand uśmiechnął się.

- Pani nie da się oszukać, tu przynajmniej mamy jasność.

Sięgnął do skrytki, wyciągnął paczkę Gauloises i poczęstował Irene. Pokręciła przecząco głową, więc zapalił sam.

- Lubię odważnych ludzi, którzy nie robią ceregieli i przechodzą od razu do rzeczy. Boi się mnie pani?

- Nie, jeszcze nie. Jestem panu potrzebna, w przeciwnym razie już dawno byłabym załatwiona. Myślę, że pożyję, dopóki pan nie dostanie meteorytu. Będę się bać, gdy pan osiągnie swój cel.

Ręce pułkownika zacisnęły się kurczowo na kierownicy. Pierwszy raz w życiu zdarzyło mu się spotkać człowieka, który czytał w nim jak z książki. Nienawidził tego. Z drugiej strony był zafascynowany tą kobietą. Była nie tylko ładna, ale przede wszystkim mądra. Bardzo niebezpieczna mieszanka, o tym wiedział z doświadczenia.

- Proszę się nie martwić, madame Clairmont, obiecuję, że nic się pani nie stanie. Daję słowo.

Zaskoczyła go własna odpowiedź, ponieważ stanowiła dokładne przeciwieństwo polecenia Naumanna. Jednakże im bardziej wciągał się w tę historię, tym większego nabierał przekonania, iż jego były kolega wykorzystuje go do brudnej roboty. Dlaczego nie przyjechał osobiście, skoro tak bardzo zależy mu na kamieniu? Czy zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa i specjalnie o nim nie wspominał, aby nie ryzykować, że Durand mu odmówi? Przeczucie mówiło mu, że ma rację. Jest wykorzystywany. Nadszedł czas podjęcia decyzji. Mówiąc uczciwie, nie uświadomił sobie jeszcze, że już ją podjął. Jasne, że nie będzie dalej robił za pachółka, tylko weźmie sprawę w swoje ręce. Wiedział, że będzie miał kłopoty, lecz jego postanowienie było ostateczne. Irene chyba spostrzegła zmianę, jaka w nim nastąpiła. Spojrzała przenikliwie.

- Mówi pan poważnie?

- Może pani na mnie polegać. Nigdy nie zламаłem słowa. Niektórzy może powiedzą o mnie, że jestem skorumpowany, żądny władzy, ba, nazwą mnie intrygantem, ale każdy przyzna, że słowo Francoisa Duranda cieszy się autorytetem na całym świecie. Prawdą jest, że zgodnie z poleceniem, nie miało być świadków i nikt z ekspedycji nie miał przeżyć.

- Co skłoniło pana do zmiany stanowiska?

Durand spociał się. Mokry kołnierzyk od koszuli nieprzyjemnie ocierał mu szyję. Czy ona oczekuje wyznania miłosnego? To śmieszne. Nie kochał jej. Fascynuje go, to prawda, ale miłość? Nie wiedział nawet, co to jest. Nigdy nie wydarzyło się nic poważnego między nim a kobietą. Wizyty w burdelach garnizonowych nie liczyły się. Była to krótka przyjemność, trochę odmiany w ponurym życiu, nic więcej. Opowiadanie o żołnierskim honorze nie pasowało do sytuacji. Irene nie zrozumie. Ale coś musi odpowiedzieć. Czuł na sobie jej wzrok.

- Wierzy pani w przeznaczenie?

- Co pan przez to rozumie?

- Chodzi o to, czy miała pani kiedyś uczucie, że coś nie stało się przypadkowo, lecz wskutek jakiegoś zrzędzenia? Że tak los chciał, jeśli to pani bardziej odpowiada.

Irene milczała.

- Gdy zjawiliście się w moim biurze, miałem wrażenie, że panią znam. Pewnie, że pani twarz nie była mi obca dzięki różnym programom telewizyjnym i artykułom w gazetach. Lecz to, co wtedy poczułem, było rodzajem duchowej więzi. Proszę się nie śmiać, nie potrafię dobrać odpowiednich słów.

Czuł się na sobie jej wzrok i był przekonany, że jego następne słowa będą decydujące.

- W pewnym momencie byłem pewien, że natrafiliście na świątynię - mówił dalej. - Proszę mnie nie pytać, jak to możliwe, po prostu wiedziałem. Znałem też dokładnie miejsce pobytu pani i kolegów z ekspedycji. A przecież nigdy tam nie byłem. Po katastrofie, gdy odnalazłem panią na dole w wąwozie, byłem pewien, że pani żyje, chociaż szanse były równe zeru. Po prostu wiedziałem. To wszystko przekonuje mnie o tym, że między nami jest więź, której nie chciałbym lekceważyć. To wszystko. Teraz może pani zacząć się śmiać.

Usiadł wygodniej, w fotelu i wciągnął głęboko powietrze. Irene Clairmont nie śmiała się. Nawet nie zachichotała. W milczeniu spoglądała w bezkresną dal. Durandowi przychodziły do głowy tysiące myśli. Nagle poczuł na kolanie rękę Irene. Była lekka jak piórko.

Hannah obejrzała się i oceniła pokonaną trasę. W drodze byli już dostatecznie długo i zasłużyli na przerwę. Stroma ściana, po której wspinali się tamtego pierwszego dnia, teraz okazała się dla Chrisa nie do zdobycia. Dlatego wybrali ścieżkę, która biegła łagodniej.

- Poczekaj, muszę odetchnąć - Chris przysiadł za skałą, chroniącą przed silnymi podmuchami piasku.

Hannah zagryzła wargi. Chris budził litość swoim wyglądem, był blady i wycieńczony. Był tak samo pozbawiony energii jak piasek, na którym siedział.

„Nie poradzimy sobie” - pomyślała.

Sprawa była beznadziejna. Nie przychodził jej do głowy żaden pomysł. Uklękła obok niego i odgarnęła mu włosy z twarzy. Obdarował ją zmęczonym uśmiechem, co przekonało ją, że był u kresu sił.

- Cóż, moja piękna - powiedział cicho. - Obawiam się, że moja droga się tutaj kończy. Głupio. Wysiadam akurat teraz, gdy jest szansa powodzenia. Ale nic na to nie poradzę. Jest tylko jedna rzecz, której mi szkoda, pomijając fakt, że między nami nie wyszło - zaniósł się kaszlem, a jego oczy błyszczały słabo, jakby miały zaraz zgasnąć.

- Żałuję, że nigdy nie poznam tajemnicy komety. Gdybym mógł - jak to dzieje się w bajkach - wyrazić jedno życzenie, to życzyłbym sobie, abyś dotknęła jej odłamka i zobaczyła, co się stanie. Ty rozwiążesz tę zagadkę. Wiem o tym.

Zamilkł, zajęty swoimi myślami.

- Przestań opowiadać bzdury - powiedziała Hannah z oburzeniem, energiczniej niż zamierzała. - Oczywiście, że nie zostawię ciebie tutaj, chociaż byłoby to dobrym wyjściem z sytuacji. Dlaczego wy mężczyźni zawsze litujecie się nad sobą? Jak ty mnie, tak ja tobie - jest

takie powiedzonko, prawda? Uratowałeś mi życie, a teraz przyjmij do wiadomości, że przyzwoitość wymaga ode mnie, bym uratowała twoje. Coś wymyślę. Posiedzisz teraz tutaj i będziesz pilnować naszych rzeczy, a ja rozejrzę się po okolicy. Uczciwie przyznaję, że nie wiem dokładnie, gdzie jesteśmy. Może uda mi się znaleźć kryjówkę, gdzie będziemy mogli odpocząć kilka godzin.

Dała mu dla otuchy klapsa i znikła w cieniu gór. W jej głowie kołatało się tysiąc myśli. Ręka spoczywała na wypukłości torby. Chris ma rację. Kiedyś musi dotknąć tego kamienia. Nie ma innej możliwości, by poznać jego tajemnicę.

W zasnutym piaskiem powietrzu okoliczne skały wyglądały jak przedziwna dekoracja, chociaż pochylając się ku niej sprawiały wrażenie olbrzymich kamiennych istot. Było wąsko i ponuro, a jednocześnie dziwnie swojsko. Innym ludziom może wydaje się, że tutaj wszystko wygląda tak samo. Hannah w czasie lat spędzonych na pustyni nabyła zdolność nieomylnego rozpoznawania skalnych form. W *Tassili N'Ajjer* poznawała po kształtach skał, bez mapy i bez kompasu, gdzie jest. Ta pamięć fotograficzna i tym razem podpowiadała jej, że już była w tym miejscu. Zatrzymała się i rozejrzała uważnie dookoła. Dwa kamienie po obu stronach drogi wydawały się jej znajome, chociaż przykryte były powłoką kurzu. Naturalnie! Znalazła się przed wejściem do jaru. Tutaj byli przed dwoma tygodniami po raz pierwszy. To jest wąwóz w kształcie sierpa, przecinający Adrar Tamgak od zachodu na wschód. Odnalazła starą drogę. Świetnie! Teraz wiedziała już dokładnie, jak iść dalej. Oglądała mapę na tyle często, by zapamiętać obszar w promieniu stu kilometrów. W odległości około pięćdziesięciu kilometrów znajdowała się oaza Iferouane. Tam czyha wróg. Muszą spróbować jak najszybciej oddalić się od niej, najlepiej na wschód, gdzie zaczyna się trzydziestokilometrowy kanion w kształcie łuku. Droga jest wygodna, prowadzi wzdłuż skał, które chronią przed wiatrem i innymi złymi warunkami pogodowymi. Po pokonaniu tej trasy, musieliby przejść jeszcze czterdzieści kilometrów przez Tenere. To była droga, która ją przerażała, gdyż znajdowały się na niej zdradzieckie piaski i regi, pokryte ostrymi odłamkami kamieni. Jak Tenere coś chwyci, to już nie odda - mówiło stare przysłowie. Doświadczony i zdrowy badacz potrzebowałby dwóch dni na jej przejście. Chris nie był ani zdrowy, ani doświadczony. Będzie musiała dzielić się z nim swoimi umiejętnościami i wiedzą, aby go nie stracić.

Im dłużej zastanawiała się, tym bardziej absurdalny wydawał się ten plan, lecz był jedyny, który mogła brać pod uwagę. Bezradnie opuściła ręce i udała się w drogę powrotną. Nagle usłyszała dziwny ryk.

Wzdrygnęła się, przestraszona. Odgłos przyszedł z wiatrem i wielokrotnie odbił się o skały. Początkowo myślała, że zbliża się jakiś samochód, że odnaleźli ich żołnierze Duranda.

Potem znowu usłyszała ten sam hałas. Nie, to nie był samochód. Silnik nie wydaje tak nietypowych dźwięków. To na pewno głos dużego zwierzęcia. Hannah poszła w stronę, z której dochodził hałas. Najpierw zobaczyła zasłonę z piasku. Wiatr z południowego zachodu wiał nieustannie. Powoli wyłonił się kształt długiej szyi, muskularnych nóg, tors i garb. Nie było mowy o pomyłce - to dromader.

Hannah ostrożnie zbliżała się z boku, aby nie przestraszyć zwierzęcia. Torby, umocowane na wielbłądzie, ich barwa i kształt świadczyły bez cienia wątpliwości, że dromader pochodził ze stada, utraconego podczas napadu na obóz. Gdy dromader zadarł łeb, zaśmiała się wesoło. To był prawdziwy cud, że akurat ten uratował się ze wszystkich zwierząt.

Dziwny, lecz znany dźwięk obudził Chrisa z głębokiego snu. Przestraszył się, gdy po otwarciu oczu ujrzał nachyloną nad sobą mordę z wielkimi oczami, futrzanymi uszami i przeżuwającym pyskiem z ogromnymi żółtymi zębami.

- Boucha? - jęknął.

Podniósł rękę, aby spłoszyć widziadło, lecz bezskutecznie. Zjawa zaczęła skubać jego koszulę.

- Co to jest, na miłość boską? - próbował wydostać rękaw z żółtych zębów.

Za zwierzęciem pojawiła się Hannah. Na jej twarzy malował się szeroki uśmiech.

- Chyba miło jest zobaczyć starego przyjaciela - mówiła zadowolona. - Wydaje mi się, że i Boucha tęsknił za tobą. Jak chcecie pobyć parę chwil sami, nie będę przeszkadzać.

Chris energicznie wyciągnął rękaw z pyska Bouchy. Obrażony dromader odwrócił się od niego.

- Gdzie, do diabła, odnalazłaś starego Bouchę?

- Przed zboczem, które groziło obsunięciem. Tym samym, przez które go przeprowadzałaś. Był pewnie zdecydowany czekać na ciebie aż zaprowadzisz go z powrotem - odpowiedziała.

- No, Boucha, teraz ty poprowadzisz nas na wschód, prawda?

Poklepała wielbłąda po boku, a on odwdzieczył się zadowolonym pomrukiem.



- Znalazłam w torbach resztki naszego prowiantu i zbiorniki na wodę, które w międzyczasie napełniłam. Nic już nie stoi na przeszkodzie, zwłaszcza, że burza stanowi dla nas doskonałą ochronę przed Durandem i jego kompanią.

- Ochronę? Sam nie wiem... - mamrotał niepewnie Chris, patrząc do góry.

- Groźnie wyglądające niebo na Hannah nie robiło wrażenia. Owiązała twarz chustą.

- Naturalnie! - materiał tłumił jej wesoły głos. - Ich technika pracuje tylko przy ładnej pogodzie. Helikoptery, noktowizory, nawet obserwacja satelitarna. Te wszystkie rupiecie stoją w tej chwili bezużyteczne. Pozostały im samochody i wielbłądy, a to stwarza nam dobrą pozycję wyjściową, przynajmniej siły są mniej więcej równe. Zresztą to my mamy decydującą przewagę. Wiemy dokładnie, dokąd chcemy iść, mianowicie na wschód. A teraz, hop, na siodło!

Chris nie miał najmniejszego pojęcia, o czym ona mówi. Na wschód od Adrar Tamgak był tylko piasek, żwir i kilka skał, wyglądających jak wyspy na martwym morzu. Następna osada znajdowała się w Ahaggar, a zatem na północy - w odległości czterystu kilometrów, czyli poza ich zasięgiem. Ale na wschód? Na to pustkowie? Chris zmusił się, aby zatrzymać dla siebie wszystkie wątpliwości, bo mogłoby dojść do przykrew dyskusji. Hannah udawało się dotychczas działać z zaskoczenia. Być może powinien powoli przyzwycząić się i nabrać zaufania do jej umiejętności. Zawiązał sobie również na twarzy chustę i sapiąc, wgramolił się na siodło.

Dał znak, że jest gotowy. - Możemy ruszać!

## 26

Fort nawiedził potężny atak burzy. Wiatr z hukiem wstrząsał i szarpał budynkami, naruszając ich słabą konstrukcję. Lotny piasek, jak papier ścierny, szlifował szyby w oknach, deszcz chłostał dziedziniec, a ciężkie chmury wisiały nisko nad ziemią. Od czasu, gdy Durand stacjonował w tym forcie, nie przeżył podobnej nawałnicy

Irene Clairmont siedziała przy biurku z drzewa cedrowego i wpatrywała się w jego deseń.

Herbata stygła, a ona wciąż nie okazywała chęci do rozmowy. Durand kontaktował się ze swoimi oddziałami, które ciągle jeszcze nic nie znalazły. Powoli tracił nadzieję na wiadomość o miejscu pobytu Hannah Peters i Cartera.

Durand próbował nawiązać rozmowę z Irene. Podobny efekt osiągnąłby, namawiając głaz do pogawędki. Palila go ciekawość. Ona była kluczem do jego zlecenia, ona знаła tajemnicę, którą krył meteoryt, ona znalazła kamień i dotykała go.

Wypił ostatni łyk herbaty, odstawił szklankę i usiadł naprzeciwko Irene. Podjął ostatnią próbę.

- Nie chce pani mi o tym opowiedzieć? - zapytał, uważając na ton swojego głosu, by nie pomyślała, że to przesłuchanie.

Irene gładziła płytę stołu, przesuwając palcem po słojach drewna. Sprawiała wrażenie, że myślami jest bardzo daleko.

- Irene, bardzo panią proszę, niech mi pani opowie! To bardzo ważne.

Smutny uśmiech pojawił się na jej twarzy, a palce nadal gładziły mazerunek.

- I tak pan nie zrozumie - odpowiedziała cicho.

- Proszę spróbować - gorąco prosił pułkownik. Był rad, że wreszcie zareagowała.

- Jestem dobrym słuchaczem - dodał.

Palec Irene zatrzymał się. Podniosła głowę.

- Nie wierzę, że potrafi pan pojąć, czym jest dla mnie ten kamień - powiedziała prowokacyjnym tonem. - To jak uczucie miłości do kogoś, kto zna mnie lepiej niż ja sama. Absolutne spełnienie. Nigdy nie czułam się tak bezpieczna. Czy kochał pan kiedyś głęboko, odczuwał pan czystą miłość? - zapytała z kamiennym wzrokiem.

Durand potrząsnął głową.

- Widzi pan. Nie ma sensu opowiadać panu o kamieniu.

- Błagam, proszę spróbować. Chciałbym to zrozumieć. Wszystko, co jest w jakiś sposób związane z kamieniem. Irene, proszę!

Spojrzała na niego i dojrzała powagę w jego oczach.

- No, dobrze - westchnęła.

Popijając herbatę, opowiadała mu szczegółowo zdarzenia w Adrar Tamgak do momentu, gdy on ją tam odnalazł. Opowiadanie było długie, a gdy skończyła, czuła się bardzo słabo. Skuliła się i znowu wpatrywała w biurko.

Pułkownik Durand oparł się wygodnie, usiłując uporządkować w myślach usłyszaną historię. Nie ulegało wątpliwości, że Irene nadal nie była przy zdrowych zmysłach.

Bardzo sugestywnie opisywała urojenia. Robiła jednakże wrażenie całkowicie normalnej. Historia była zbyt oryginalna, aby zaakceptował ją bezkrytycznie i trzeźwo myślący Durand. Nie okazywał sceptycyzmu, aby kobieta znowu nie zamknęła się w swojej skorupie, ponieważ miał jeszcze sporo pytań. Kamień pokazuje człowiekowi przeszłość i przyszłość? Kamień mądrości, poszukiwany przez ludzkość od zarania dziejów, kamień posiadający wiedzę o gwiazdach? Pomimo uzasadnionych wątpliwości poczuł się niepewnie. A może ta historia zawiera trochę prawdy? Może Naumann dokładnie wie, czego szukają? Może chciał wykorzystać jego, pułkownika Francois Philippe Duranda, w charakterze królika doświadczalnego? Uczciwie przyznawał jednak, że to tylko podejrzenia.

Tylko Irene zna prawdę. Czy jej historia jest wiarygodna?

Próbował odsunąć od siebie nieprzyjemne myśli.

- Niezmiernie mi przykro z powodu wydarzeń w Tamgak. Pani przyjaciele... - czuł, że powtarza się.

- Nie wszyscy byli moimi przyjaciółmi - przerwała Irene. - Niektórzy to tylko dobrzy koledzy, z którymi pracowałam od wielu lat. Razem byliśmy na pustyni Gobi, w Kongo i Andach. Wspólne przeżycia łączą. Boli, że już nie żyją.

- Pani nie mogła nic zrobić, żeby ich uratować. Proszę mi wierzyć. Gdybym znał zamiary Cartera, natychmiast bym strzelił. Nie przypuszczałem, że zamierza otworzyć prastare wyjście. Z tym nikt nie mógł się liczyć - mówił Durand niskim głosem.

- Carter! - powiedziała Irene z goryczą. - Przyniósł nam nieszczęście! Wiedział pan, że on pracował dla Normana Stromberga, tego multimiliardera?

Durand nie miał zamiaru kłamać, lecz nie miał wyjścia. Potrząsnął głową, udając zdumienie.

- Chodziło mu wyłącznie o kamień. Dla niego gotów był sprzedać nas wszystkich - kontynuowała Irene. - A ta lafirynda Peters pomagała mu jeszcze! Prawdopodobnie byli od samego początku w zмовie, a teraz uciekli z kamieniem. Nienawidzę jej!

W tym momencie Durand uświadomił sobie, że Irene nie ma pojęcia, co faktycznie rozgrywa się za kulisami. Wyglądało na to, że nie wie, iż on jest poinformowany o podwójnej grze Cartera, jak również o tym, że i Albert Beck działał na dwa fronty. Irene nie zdawała sobie sprawy ze skali całego spisku. Okoliczność ta była dla niego niezmiernie pomyślna i musiał ją wykorzystać.

- Proszę pójść ze mną - zachęcał. - Coś pani pokażę.

Ujął ją delikatnie za ramię i zaprowadził do stołu, na którym rozłożona była mapa Air i przyległego obszaru.

- To jest najdokładniejsza mapa tego rejonu. Osobiście uczestniczyłem przy jej opracowywaniu - powiedział nieskromnie. - Proszę spokojnie przejrzeć mapę. Może niektóre miejscowości wydadzą się pani znajome.

Pułkownik wytarł kurz z wyblakłej na słońcu mapy i przyniósł filiżankę ze świeżo zaparzoną herbatą. Irene pochyliła się nad stołem. Wodziła wzrokiem po delikatnych liniach hipsometrycznych oraz punktach ich załamania, nie dając po sobie poznać, który rejon interesuje ją szczególnie. Jeżeli wiedziała, dokąd uciekali Perters i Carter, to potrafiła to doskonale ukryć.

- Nie smakuje pani herbata? - zapytał z nadzieją, że Irene zdradzi się nieprzemysłanym ruchem albo słowem. Rozczarował się. Pokręciła głową i nadal uporczywie wpatrywała się w arkusz.

- Jak to możliwe, że pańska mapa jest dokładniejsza niż nowoczesne zdjęcia satelitarne?

- O, to można łatwo wytłumaczyć.

Durand z radością przyjął jej zainteresowanie i chęć do rozmowy nawet na temat topograficznej jakości map. Pokazał punkt w dolinie, gdzie mieściło się wejście do jamy.

- Proszę przyjrzeć się dokładnie i porównać to miejsce ze zdjęciem satelitarnym. Mimo, że zdjęcie satelitarne zawiera więcej szczegółów niż mapa wojskowa, trudniej jest wyrobić sobie pogląd o rzeczywistych warunkach, panujących na tym obszarze. Dlaczego?

Przede wszystkim zdjęcie satelitarne zawiera zbyt dużo informacji. Rzeczy nieistotne przedstawiane są z taką samą precyzją, co rzeczy ważne. Nie ma selekcji, jeśli pani rozumie, co mam na myśli.

Podszedł bliżej. Wydawało się, że nie przeszkadza jej jego bliskość.

- Uważa pan, że kreślarze przy pracy nad mapą zwracają uwagę na informacje o większym i mniejszym znaczeniu?

- Tak istotnie jest. Ten rodzaj map zawiera tylko informacje ważne dla ludzi. W ten sposób są bardziej przejrzyste i lepsze do wykorzystania. Orzeł i sęp odróżniają się od siebie na ujęciach satelitarnych, my jednak chętniej korzystamy z dobrych starych map wojskowych.

„Nie było to specjalnie dowcipne” - pomyślał. Irene nie roześmiała się.

Durand nie chciał dopuścić do przerwania rozmowy. Tłumaczył więc dalej.

- Drugim ważnym aspektem jest światło, które znacząco wpływa na czytelność fotografii. Można prześledzić wiele różnych ujęć na komputerze, lecz zawsze będą na nich fałszujące obraz cienie. Wyłącznie rozeznany w terenie kartograf jest w stanie usunąć te optyczne iluzje.

Chyba nadszedł właściwy moment. Durand chwycił rękę Irene.

- Zdradzi mi pani, dokąd ucieka tych dwoje?

Irene zachowała się tak, jakby oczekiwała tego pytania.

- Czy to tylko dlatego jeszcze żyję? - spojrzała na niego wyzywająco. - Ta informacja jest moim jedynym zabezpieczeniem. Byłoby głupio z mojej strony, gdybym zdradziła ją przedwcześnie.

Durand przeczuwał, że usłyszy taką właśnie odpowiedź. Jeszcze raz przekonał się, że to ona jest panią sytuacji. Jeśli chce dowiedzieć się od niej czegokolwiek, musi być wytrawnym dyplomatą. Zebrał w sobie całą odwagę i odgarnął włosy z jej twarzy.

- Ile pani ma lat, Irene?

Zaskoczona podniosła głowę. - Dlaczego pan o to pyta?

- Ponieważ chciałbym przekonać panią, aby mi zaufała.

Po krótkim zastanowieniu, podniosła brodę i odpowiedziała. - W styczniu skończę czterdzieści trzy.

Durand usiłował zdobyć się na uśmiech, po którym obiecywał sobie, że sprawi wrażenie serdecznego.

- Tak przypuszczałem. Niech pani nie myśli, że staram się być szarmancki, ale wygląda pani najwyżej na trzydzieści pięć. Docenia pani jednak istotę problemu, dlatego

pomyślałem sobie, że musi być pani starsza. Można to nazwać mądrością albo życiowym doświadczeniem, jak pani woli.

Durand przystąpił do zdecydowanego ataku. Gdy nie powiedzie się, sytuacja będzie beznadziejna.

- Z pewnością dużo pani widziała i przeżyła. Proszę posłuchać swojego wewnętrznego głosu! Czy kłamię, zapewniając panią, że nic pani nie grozi? Proszę odpowiedzieć uczciwie. Niezależnie od decyzji, czy pomoże mi pani, czy nie, na pewno nie spotka panią nic złego. Daję na to słowo honoru. Jeśli jednak pani zachce mi pomóc, proszę zdecydować o tym szybko. Do jutra rana ma pani czas na zastanowienie. Sabu przyniesie pani kolację. Proszę wybrać sobie, według uznania, książki z mojej biblioteki i czuć się jak u siebie w domu.

Francois Philippe Durand podniósł się i ruszył w kierunku drzwi. Chciał właśnie opuścić pokój, gdy usłyszał jej głos.

- Montagnes Bleues.

Stanął jak wryty z ręką na klamce. Potem z ociąganiem odwrócił się.

- Co pani powiedziała? To oznacza, że uciekają na wschód? To szaleństwo. Tam nie ma nic. Błękitne Góry leżą na skraju Tenere, pustynnej krainy o niewyobrażalnie dużym obszarze. Droga na piechotę jest niemożliwa. Jest pani pewna?

Zauważył, że Irene wskazywała na mapie pewien punkt.

- Hannah Peters opowiadała mi o spotkaniu z pewnym Tuaregiem. On pokazał jej znaleziska w *Tassili N'Ajjer*. Wspominała często, że odwiedzi go po uwieńczonej sukcesem ekspedycji i podziękuje za pomoc. Jestem pewna, że u niego Hannah poszuka schronienia. Nazywa się Kore.

Twarz Duranda spochmurniała.

- Kore Szejh Mellah z plemienia Kel Ajjer?

Irene uniosła ze zdziwieniem brwi. - Pan go zna?

- Owszem. To *amahar*, dumny i uparty chłop, urodzony i wychowany na pustkowiu. Ma szlachetne pochodzenie i jest bardzo zamożny. Przybywa rokrocznie na te tereny i dotychczas oparł się próbom zwerbowania go do rebeliantów. Mówi, że nie obchodzi go polityka, że jest odpowiedzialny jedynie przed Allachem i tym podobne rzeczy. To chyba ostatni z prawdziwych Tuaregów.

- Pan mówi o nim z podziwem.

Durand zaśmiał się.

- W pewnym stopniu jesteśmy do siebie podobni. Wierność tradycji i upór. Miałem z jego powodu wiele kłopotów. Gdy Carterowi i Peters uda się faktycznie dotrzeć do niego, będą problemy Tuaregowie są bardzo gościnni.

- Wiem tylko, że dla nich gościnność jest świętością, a złamanie tego zwyczaju graniczy z bluźnierstwem.

- Właśnie. Jeżeli on ich przyjmie, wiara zobowiązuje go do obrony gości, nawet za cenę własnego życia. W przypadku Kore może to być twardy orzech do zgryzienia.

Popatrzył na nią z wdzięcznością.

- Dziękuję za pomoc.

- Radził mi pan posłuchać mojej intuicji i tak zrobiłam. Mam nadzieję, że nie popełniłam błędu.

- Ma pani moją gwarancję. Czy pani będzie mi nadal pomagać?

- To zależy od tego, co pan zamierza zrobić po zdobyciu kamienia.

Durand skrzyżował ręce na piersiach i gładził swój nieogolony podbródek.

- Człowiek, który prosił mnie o tę przysługę jest moim byłym kolegą. Teraz pracuje dla japońskiego konsorcjum, które za wszelką cenę chce mieć ten kamień.

Uśmiechnął się szarmancko, pewny, że to, co teraz zaproponuje, spodoba się Irene.

- On oczekuje, że będzie to z mojej strony czysto braterska przysługa. Podejrzewam, że chce mnie oszukać. Ja mam zamiar domagać się zastrzeżenia pani nazwiska jako właścicielki kamienia. Pani otrzyma wszelkie prawa. Naturalnie nie może go pani zatrzymać, ponieważ jest zbyt cenny. Jednakże pani będzie obecna przy poznawaniu tajemnicy, jaką kamień kryje. Będzie okazja to zarobienia majątku.

- A co pan będzie miał z tego? Nie chce pan pieniędzy?

Durand potrząsnął przecząco głową.

- Źle mnie pani ocenia. Inaczej wiedziałyby pani, że nie przywiązuję wagi do pieniędzy. Tutaj mam wszystko, co mi potrzebne - pokazał otaczający ich fort. - Tutaj mogę postępować według mojego uznania, nikt mi nie rozkazuje. Przyznaję, że noce są bardzo samotne, lecz być może uda się to zmienić. Chciałaby pani usłyszeć jeszcze jedną propozycję?

Irene ironicznie uniosła brwi.

- Wielki Boże, Durand, pan chyba nie chce mnie poprosić o rękę?

Durand zaśmiał się. - Nie, proszę się nie niepokoić. W każdym razie jeszcze nie - dodał z czarującym uśmiechem. - Moja propozycja jest inna. Nawet bez kamienia, wasze odkrycie wzbudzi sensację - świątynia, rzeźby oraz cała ta okolica przyciągną tłumy

naukowców. Zdjęcia powędrują w świat i wzbudzą zainteresowanie Saharą i skarbami archeologicznymi. Nie chce pani zająć się ich sprzedażą? Ekskluzywny interes, to jasne. Gubernator w Agades, Ben Jamar, jest moim dobrym przyjacielem. Znamy się od wielu lat. Darzy mnie zaufaniem i poprze moją propozycję. Myślę, że National Geographic Society też zechce mieć udział w tym przedsięwzięciu. A to z kolei oznacza pobyt pani w tych. stronach przez dłuższy czas. Dostatecznie długi, abyśmy mieli czas na bliższe poznanie. Co pani o tym sądzi?

Puls Irene przyspieszył. Gdy mówił ostatnie słowa, jej twarz rozjaśnił uśmiech.

- Philippe Durand, szczywany lis z pana, muszę również przyznać, że ma pan wyjątkowy dar przekonywania. Kiedy ruszamy?

- Jeśli pani sobie życzy, już jutro rano. Tylko my dwoje. Nie ma sensu wtajemniczać innych. Przekażę pierwszemu oficerowi kierownictwo fortu. Może weźmiemy hummera? Te wozy robią wrażenie, że poradzą sobie z burzą.

- Zgoda - szepnęła Irene. - Jeśli nie ma pan nic przeciwko, nie będę jadła kolacji, tylko zaraz położę się.

- To najlepsze, co pani może zrobić - odparł Durand. - Mamy przed sobą uciążliwą podróż. *Bonne nuit.*

Podszedł do drzwi i uchylił już je w połowie, gdy Irene lekko chrząknęła.

- Monsieur Durand?

- Tak? - poczuł, że robi mu się gorąco. - Czy mogę jeszcze coś zrobić dla pani?

- Chciałabym dzisiaj w nocy mieć towarzystwo.

Stał nieruchomo przez sekundę, a potem zamknął drzwi i cofnął się na środek pokoju.



## 27

Chris obudził się z głębokiego snu. Miał dziwny sen. Śniło mu się, że spędził wiele dni na głębokim morzu, trzymając się deski, która uratowała go przed utonięciem, że był częścią kołyszących się fal, które jak wewnętrzny motor utrzymywały go przy życiu. Z jednego stanu półświadomości popadał w następny. Sny przerywane były na krótko, gdy męczyło go pragnienie. Nie mógł sobie dokładnie przypomnieć, ile dni i nocy spędził na morzu. Było ich chyba wiele, bo czuł się wyczerpany i słaby. Nawet otwarcie oczu sprawiało mu ból, gdyż powieki kleiły się od morskiej soli. Gdy nieśmiało spojrział na otaczającą go rzeczywistość, był pewien, że nadal śni. Otaczały go niebiesko pobłyskujące góry lodowe, wyłaniające się spośród bałwanów żółtego morza. Widział liczne, załamujące się linie prądu, które łączyły się, tworząc labirynt.

Do jego świadomości przenikały pełne obaw myśli. Być może to nie jest sen, być może już umarł i przeżywa właśnie ostatnią tajemniczą podróż, która czeka każdego. Śmierć była inna niż w opisach poetów i filozofów. Nie wzbudzała strachu. Była spokojna, ciepła i pełna doskonałości.

Wieczny spokój zakłócił nagle hałas, dochodzący ze środka gór lodowych. Odgłos nie pasował do sytuacji. Chris przetarł oczy, lecz obraz nie zmieniał się. Chyba śnię, pomyślał, lecz hałas rozległ się ponownie, tym razem wyraźniej i uporczywiej zwielokrotniony przez echo. Symfonia dysonansów. Jakby przeżyć było za mało, w pole jego widzenia wtargnęła okropna morda i przysunęła się bardzo blisko.

Z krzywego pyska wysunął się język i polizął go po twarzy. Chris krzyknął i rozbudził się na dobre.

Natychmiast powróciła świadomość, że żyje.

- Jak się czujesz? - twarz Hannah owinięta była chustkami, chroniącymi przed piaskiem nawiewanym przez wschodni wiatr. Trudno ją było rozpoznać.

- Krzyknęłaś. Jak się czujesz? - ponownie zapytała Hannah, dając dromaderowi klapsa. Boucha odwrócił się i wydał pełen protestu ryk.

Chris usiadł i bóle natychmiast wróciły. Zmusił się, by je ignorować. Rozejrzał się po okolicy.

- Co to za góry lodowe? - wykrztusił, wskazując na błękitne skały - myślałem, że mi się śnią.

- Nie, nie przyśniły się - Hannah odsunęła chustkę i posłała mu zmęczony uśmiech. Jej oczy były podkrążone.

- To Montagnes Bleues, Błękitne Góry. Myślałeś, że lodowe. W ich skład wchodzi szczególnie gatunek marmuru. Mają krystaliczną strukturę, a w świetle odbijają się jedynie niebieskie cząsteczki.

Zachwiała się.

- Jesteśmy w drodze dwie noce i cały dzień. Niedługo dobijemy do celu. Mieliliśmy dużo szczęścia. Wprost nie do uwierzenia.

- Montagnes Bleues? W Tenere? To środek nie wiadomo czego. I ty mówisz o szczęściu? Tutaj jest tylko piach! - gderał Chris. - Czego my tutaj szukamy, do diabła?

- Kogoś szukamy - butnie odparła Hannah. - Jeśli dokładnie chcesz wiedzieć, szukamy Tuarega, który pokazał mi wtedy kryjówkę w *Tassili N'Ajjer*. Gdzieś tutaj jest jego letni obóz.

- Kore?

- Przypomniałeś sobie! Obiecałam go odnaleźć i spędzić u niego pewien czas.

- Minęły miesiące od czasu, kiedy rozmawialiście na ten temat. Co ty o nim w ogóle wiesz? Co będzie, gdy go nie zastaniemy? Pomyślałaś o tym, co wtedy zrobimy? Wokół nas jest tylko piach, skały i kamienie. Spójrz, tu nie ma żadnych wiosek, chałup, nawet palm. Będziemy mieć szczęście, gdy natrafimy na źródło i uzupełnimy zapasy wody. Oj, Hannah, dlaczego nie porozmawiałaś wcześniej ze mną na ten temat, może mógłbym wyperswadować ci ten szalony pomysł!

Hannah rzuciła mu zza okularów złe spojrzenie.

- Właśnie dlatego milczałam. Wywołałabym niekończące się dyskusje i nigdy nie dotarlibyśmy tutaj. Tobie było łatwo, przez cały czas siedziałeś i spałeś na grzbiecie Boucha. Ja szłam w burzy przez piach.

Chris dojrzał w jej oczach łzy. Postępując z bólu, zszedł z siodła i wziął ją w ramiona. Na początku broniła się, lecz potem przycisnęła zapłakaną twarz do jego ramienia.

Rzeczywiście była u kresu sił.

- Poczekaj tutaj - zaproponował. - Odpocznij trochę, zrobiłaś już wystarczająco dużo. Pójdę na poszukiwania. Jeśli Kore jest tutaj, odnajdę go z pewnością.

Hannah spojrzała na niego niepewnie. - A co z twoimi stopami?

- Jakoś sobie poradzę, nie martw się. Piasek jest miękki i mam na nogach twój genialny wynalazek - pokazał skórzane podeszwy. - Poza tym rany są prawie zagojone. Połóż się i odpocznij, niedługo wrócę!

Hannah była zbyt słaba, aby protestować, skinęła tylko głową i usiadła na piasku obok Boucha.

- Wróc szybko! - usłyszał jej szept, potem położyła się na boku i natychmiast zasnęła. Chris wyciągnął z torby kompas, zorientował się szybko w terenie i ruszył w środek Błękitnych Gór.

Nie uszedł daleko, gdy usłyszał dźwięk dzwonka. Dziwny dźwięk na tym pustkowiu. Za chwilę rozległ się inny dźwięk, również niepasujący do okolicy. Było to beczenie kozy.

Przyspieszył kroku, idąc w kierunku dzwonek. Wkrótce ujrzał za skałą owłosioną mordkę, brodę i dwa wygięte rogi. Chyba znalazł już to, czego szukał. Z trudem obszedł skałę i stanął naprzeciwko kozy z dzwonkiem na szyi. Ktoś musi tutaj być. Serce zabiło mu radośnie.

- Chodź, malutka - wabił kozę tak słodkim głosem, na jaki mógł się zdobyć. - Pokaż, gdzie jest twój pan?

Zwierzę odpowiedziało groźnym mruknięciem. Chris cofnął się o pół metra. Nie wiedział, że kozy potrafią tak groźnie warczeć. W tym momencie zza kozy podniosło się smukłe zwierzę i Chris pojął natychmiast, skąd się brał groźny warkot. Chris nabrał głęboko powietrza i stanął oko w oko z sięgającym mu do bioder i wyszczerzającym zęby psem myśliwskim. Carter nie miał przy sobie broni, ba - nawet kija. Odsuwał się powoli do tyłu, krok za krokiem. Pies sprawiał wrażenie gotowego na wszystko. Po kilku krokach Chris natknął się na miękką przeszkodę. Zanim ponownie usłyszał warknięcie, wiedział, że jest w pułapce. Drugie zwierzę było równie duże i tej samej rasy. Oba psy sprawiały wrażenie dobrze dobranej pary, gdyż nie pozwalały Chrisowi na najmniejszy ruch. Choć, przyznać trzeba, były tak dobrze wytresowane, że od razu nie rozszarpały go na kawałki. Stały, obserwowały go uważnie i reagowały groźnym warczeniem na każdy jego ruch.

„Szach-mat” - pomyślał Chris.

Nagle psy podniosły łby, nastawiły uszy i pokręciły ogonami. Po chwili zza skał wyszła ciemna, wysoka postać i spieszyła ku nim długimi krokami. Chris zauważył, że zbliżająca się osoba zrobiła krótki ruch ręką. Psy natychmiast opuściły swoje stanowiska i podbiegły do pana. Minęły sekundy. Mężczyźni stali w milczeniu naprzeciwko siebie. Według opisu Hannah, chyba był to poszukiwany przez nich Tuareg.

- Kore? Kore Szejh Mellah? Zagadnięty zmarszczył czoło.

- Skąd pan zna moje nazwisko? Kim pan jest? - głos nie brzmiał nieuprzejmie, lecz wyraźnie czuć było rezerwę. Zachowywał się inaczej od znanych z serdeczności Tuaregów, których Chris poznał dotychczas.

Carter położył palec na czole i skłonił się.

- Przepraszam za wtargnięcie na pański teren. Nazywam się Chris Carter. Jestem tutaj z kobietą, prowadzącą w tej okolicy badania. Nazywa się Hannah Peters. Czy pan ją sobie przypomina?

- Kobieta, która rozmawia z kel essuf. Naturalnie, że sobie przypominam.

Jego oczy rozjaśniły się przyjaźnie. Tuareg zdjął ochraniającą usta chustę i odsłonił szeroki uśmiech.

- Naprawdę dotrzymała obietnicy? Przyjechała mnie odwiedzić? Gdzie ona jest?

- Niedaleko stąd. U stóp góry. Wędrówka z Air bardzo ją wyczerpała.

Z twarzy Kore zniknął uśmiech. - Przychodzicie z Air? Piechotą, przy takiej pogodzie? Chyba straciliście rozum!

- Uciekamy i nie mieliśmy innego wyjścia. Czy może pan nam pomóc?

Kore zamyślił się, potem założył chustę i gwizdnął na psy.

- Nie mogę od razu podjąć decyzji. Proszę zaprowadzić mnie do niej.

Hannah obudziła się i natychmiast powróciły wspomnienia - marsz bez końca, piasek osuwający się spod jej stóp i niemiłosierny wiatr prosto w twarz. Czowała się bardziej jak trup niż osoba żywa. Krótki sen nie przyniósł odpoczynku. Hannah wypila z manierki łyk wody i resztą polala sobie twarz. Uświadomiła sobie w tym momencie, że zapasy wody zostały wyczerpane. Jeżeli Chris nie odnajdzie Tuarega, tutaj będzie przystanek końcowy. Nie przeżyją następnego dnia. Z zazdrością spojrzała na Bouche, który ze stoicką miną przyglądał się burzy. On wyruszy na poszukiwanie źródła wody, podczas gdy oni z Chrisem wyschną, a ich zmumifikowane ciała przysypie piasek. Nie po raz pierwszy w swoim życiu życzyła sobie być dromaderem.

Boucha podniósł łeb i zaryczał, jakby potrafił czytać jej myśli. Hannah obejrzała się i ujrzała dwóch zbliżających się ludzi. Chris i ...Kore! Znalazł go! Podniosła się na słabych nogach i zataczając, ruszyła im naprzeciw.

- Kore - wyszeptała i padła na piasek.

Gdy obudziła się ponownie, otaczał ją chłodny półmrok. Potrzebowała trochę czasu, aby spostrzec, że tym razem nie przebywa w khaima, lecz we wnętrzu pieczary. Z ulgą stwierdziła, że nie jest to wąska, cuchnąca pieczara, lecz pomieszczenie wielkości około pięćdziesięciu metrów kwadratowych, posiadające otwory po obu stronach, przez które wpadało chłodne nocne powietrze.

Na zewnątrz rozpoznała Bouchę w towarzystwie innych dromaderów. Poszukiwali kępek traw w świetle księżyca. Burza w końcu ustała. Nad Hannah, na suficie jaskini, przymocowane były patelnie i garnki. Poruszone przez niemrawe podmuchy nocnego wiatru, uderzały o siebie. Hannah ze zdziwieniem rozejrzała się wokoło. Leżała na kolorowym dywanie, rozłożonym na miękkim podłożu z piasku. Otaczały ją miękkie poduszki i koce. Kilka metrów dalej, przy ognisku, siedzieli zajęci rozmową Kore i Chris. Palili długie fajki, od których dochodził przyjemny zapach. Słyszała ich stłumione głosy, lecz z pojedynczych słów zrozumiała, na jaki temat toczy się rozmowa.

Usiadła i spostrzegła, że ma na sobie, zamiast brudnego i podartego ubrania, jasną gandura - tradycyjną, lnianą koszulę Tuaregów oraz sznurowane, sięgające do łydek spodnie. Instynktownie spojrzała na poduszki i obok jednej z nich ujrzała znajomy kształt torby. Obmacała ją i z ulgą stwierdziła, że oko wielkości pomarańczy jest na swoim miejscu.

Chris opowiadał o ich przygodach, lecz chyba nie wspomniał o kamieniu. Poczowała ulgę.

W tym momencie gospodarz spostrzegł, że już nie śpi. Podeszedł do niej.

- *Mademoiselle Peters, comment allez-vous?* Cieszę się bardzo, że ma się pani lepiej. Chciałaby pani przysiąść się do nas i coś zjeść? Mogę zaproponować herbatę, owoce, świeży chleb i kozie mięso - głos Kore był taki, jaki zapamiętała - ciepły i przyjazny.

- Miło pana znowu zobaczyć - odparła. - Tak, chętnie zjadłabym cokolwiek. Czuję się, jakbym spała wieki.

- Tak było. Dokładnie siedemnaście godzin.

Kore pomógł jej wstać i zaprowadził do ognia. Położył kawałek soczystego koziego mięsa na przypieczonym chlebie, polał jogurtem i udekorował oliwkami i świeżymi daktylami. Hannah połykała jedzenie, jakby od tygodni nie miała nic w ustach. Było pyszne. Nareszcie świeżo przygotowane, a nie z konserw, które jadła w ostatnim czasie. Po jedzeniu

wypiła trzy kubki wody źródlanej i zadowolona oparła się wygodnie. Twarz gospodarza promieniała i już szykował się, aby przygotować następną porcję. Z uśmiechem odmówiła.

- Dziękuję, Kore. Było wspaniale, ale nie mogę więcej zjeść. Jeżeli pan nie chce, abym w pana domostwie utuczyła się i wydawała odgłosy starego Bouchy, powinien być pan ostrożny z częstowaniem mnie tymi pysznościami. *Lebes*.

Skłoniła się i rozejrzała.

- Ładnie pan mieszka.

- To jedno z najpiękniejszych miejsc w ogrodach proroków. Przebywam tutaj tylko latem. Jaskinia jest dobrze chroniona, panuje w niej przyjemny chłód i ma własne źródło. Dla obcych jest niewidoczna. Idealne miejsce na stare lata. Gdy przeprowadzki będą dla mnie zbyt uciążliwe, osiedzę tutaj na stałe.

- Nie ma pan krewnych, u których mógłby pan zamieszkać? Uśmiechnął się z zakłopotaniem.

- Była w moim życiu kobieta, moja targia, jedyna prawdziwa wielka miłość, lecz zmarła przed wieloma laty. Potem nie chciałem się z nikim wiązać. Urodziła mi dwóch synów. Wyrosli z nich przystojni mężczyźni. Są moją dumą. Nie chcieli zostać na pustyni i przenieśli się do Agadir. Tam mieszkają z rodzinami. Raz do roku przyjeżdżają mnie odwiedzić - starego, upartego pustelnika.

Na jego usta wkradł się uśmiech.

- Kocham ich bardzo, ale nigdy nie zrezygnuję z życia tutaj. Urodziłem się na pustyni i tutaj chcę umrzeć. Miasto nie jest dla mnie.

Hannah pokiwała głową ze zrozumieniem.

- Bardzo dobrze pana rozumiem. Nie chciałam być niedyskretna. Proszę wybaczyć ciekawość.

Chris, który długo w milczeniu palił fajkę, zabrał głos.

- Powiedział pan, że kto nie zna tych okolic nie znajdzie jaskini? Czy dotyczy to również naszego prześladowcy?

- Niestety - Kore potrząsnął przecząco głową. - Pułkownik Durand i jego rebelianci znają to miejsce. Prędzej czy później przyjadą. Tutaj nie jest bezpiecznie.

Zwracając się do Hannah mówił dalej:

- Proszę wybaczyć, że pani towarzysz opowiedział mi o waszej sytuacji, gdy pani spała. Uważał, że to konieczne. W pełni go popieram. Pod przyjazną fasadą pułkownika Duranda kryje się niebezpieczny człowiek. Musicie jak najszybciej opuścić to miejsce, zanim wpadnie na wasz ślad. Mam wprawdzie kilka sztucerów myśliwskich, ale są stare i nie mogą

konkurować z nowoczesną bronią. Jeśli Durand wie, dokąd uciekliście, zamieni to miejsce w gruzy i popiół.

Hannah zadrżała. Miała nadzieję, że będą mogli zaszyć się u Kore, a tu coś takiego! Czy ten pościg nigdy nie dobiegnie końca?

- Nie ma żadnej możliwości ukrycia się w tej okolicy? Jesteśmy u kresu sił i nie mamy już nadziei, że zdołamy uciec przed Durandem. Jego nic nie zatrzyma. Zamordował już mojego wieloletniego przyjaciela, Abdu.

- Opowiadał o tym pani towarzysz. Jednakże jeszcze raz podkreślam, że pozostanie tutaj byłoby szaleństwem. Nie wystarczy też przejść przez granicę do Algierii. Pas graniczny ciągnie się dwieście kilometrów po pustyni. Kreska na mapie nie zatrzyma Duranda. Ponadto on ma helikopter, a w powietrzu nie ma granic.

Kątem oka uważnie obserwował Hannah.

- Wydaje się, że pani ma przy sobie rzecz, którą on chce koniecznie przejąć.

Hannah spojrzała pytająco na Chrisa.

- Nie mówiłem jeszcze o naszym znalezisku. Uważałem, że to twój obowiązek - powiedział.

Hannah zawahała się. Postanowiła zaufać Kore. Zawsze był wobec niej lojalny.

Nabrała głęboko powietrza, podniosła się i poszła po skórzaną torbę.

Usiadła, założyła grube rękawiczki do prac archeologicznych i wyjęła drogocenną zawartość. Wydawało się, że ucichł wiatr, a milczącą pustynię ogarnęło pełne napięcia oczekiwanie. Hannah zaczęła opowiadać, a na jej kolanach ciążył wilgotny sweter, chroniący przed światłem tajemniczy kamień.

- Nie wiem, jak zacząć - powiedziała niepewnie i poczuła pot na czole. Pomimo, że panował przyjemny chłód, jej zrobiło się gorąco.

- Na moich kolanach leży przedmiot, poszukiwany przez ludzi we wszystkich epokach. Właściwie jest to materia, o której opowiadają mity i legendy. Przedmiot jest tak realny jak ja i pan, chociaż ostatnio coraz częściej marzę o tym, aby egzystował jedynie w mojej fantazji. Kore, pan przypomina sobie na pewno ten dzień, kiedy pokazał mi pan wejście do ukrytej doliny w *Tassili N'Ajjer*?

- Tak, jakby to było wczoraj.

- Czy kiedyś doszedł pan do końca wąwozu, aby zobaczyć, co tam jest?

Stary Tuareg poruszył się niespokojnie, jakby zadane pytanie było dla niego bardzo nieprzyjemne. Po pewnym czasie odpowiedział:

- Tak, jeden raz, gdy byłem bardzo młody.

- Co pan widział?

Kore mówił coraz ciszej, słychać było tylko szept.

- Wieloramienną matkę kel essuf, strzegącą wszechwidzącego oka Allacha. To, co uczyniłem, było grzechem. Nam, muzułmanom, nie wolno przekraczać tego miejsca.

- Ale mnie pan tam posłał. Dlaczego?

- Pani nie jest związana nakazami naszej wiary. Pani wolno tam przebywać i prowadzić badania. Może chciałem, aby pani wszystko zobaczyła i opowiedziała mi o tym później?

Pierwszy raz Hannah odniosła wrażenie, że Kore boi się. Odczucie to było niespodziewane, gdyż dotychczas sądziła, że nie jest łatwo wyprowadzić Kore z równowagi.

- Proszę nie zapominać, że już sama wiedza może być przekleństwem lub błogosławieństwem. Figura w *Tassili N'Ajjer* jest pomniejszonym odbiciem rzeźby znajdującej się w głębinach Tamgak. Odkryliśmy tam świątynię, zbudowaną przez naszych - pana i moich - przodków przed tysiącami lat. Wzniesiono ją, aby oddać cześć bogini, która dzisiaj poszła w zapomnienie. Bogini ma tylko jedno oko, które zagląda do ludzkich serc. Gdyby pan przeżył to, co nam było dane, wiedziałby pan, że oko stanowi najcenniejszy i najbardziej tajemniczy przedmiot, jaki kiedykolwiek znaleziono. Proszę, oto on!

Mówiąc to, odkryła poły wilgotnego swetra i przerażony Tuareg ujrzał błyszczącą kulę. W bladym świetle ognia widać było, że woda pokryła powierzchnię materii. Cienka strużka płynęła po rękawiczkach Hannah i wsiąkała w piasek na podłodze jaskini. Przez kilka minut Kore obserwował cząstkę komety oraz powstały z niczego strumień wody. Dźwięk płynącej wody brzmiał dziwnie twardo i zimno w przytulnej jaskini. Hannah poczuła, że jej rękawiczki są już nasączone wodą i wydawało się, że pojawiły się pierwsze oznaki zmian w jej podświadomości, gdy Kore nagle wstał i dotknął kulistego kamienia. Stało się to tak nagle, że Hannah nie zdążyła zareagować. Gdyby znała jego zamiary, z pewnością zabrałaby kulę.

Kore zamknął oczy i trwał tak przez chwilę. Na jego twarzy pojawił się wyraz pełnego szczęścia. Odciągnął rękę, opadł na swoje miejsce i spojrzał na Hannah. Widać było, że przeżycie go bardzo poruszyło. Na jego odprężonej twarzy pojawiła się nagle troska.

- Czy pani też dotykała kamienia?

Pytanie padło tak niespodziewanie, że Hannah nie bardzo wiedziała, co powinna odpowiedzieć.

- Nie - to było wszystko, co zdołała wykrztusić. - Bałam się, nie widziałam, co stanie się ze mną.



Opuściła głowę zawstydzona, że ona, jako jedyna z ekspedycji, w zasadzie nie wiedziała, o czym mówi.

- Rozumiem pani obawy. Kiedyś nadejdzie jednak czas, gdy pani będzie zmuszona go dotknąć. Dotknie go pani, to pewne - Kore wykazał zrozumienie dla jej ostrożności, chociaż jego słowa wywołały u Hannah złe przeczucie. Uświadomiła sobie, że ma rację.

Tuareg wstał, poszedł w głąb jaskini i powrócił z prastarą, oprawioną w skórę, księgą.

- Muszę wam coś pokazać.

Z bliska Hannah zobaczyła, że to stare wydanie Koranu. Tak pięknego wydania nie widziała nigdy przedtem. Uniósł się kurz i piasek, gdy Kore otworzył ciężką okładkę. Z uwagą i koncentracją przerzucał strony. Księga przepisana była odręcznie i zawierała kolorowe symbole. Po krótkim czasie Kore znalazł szukaną stronę. Odwrócił książkę, aby Hannah i Chris mogli lepiej oglądać. Wielkim palcem wskazał pewien wizerunek. Mimo że islam zabrania przedstawienia figur, w nieregularnych, skłębionych liniach można było wyraźnie dostrzec kształt. Hannah wstrzymała oddech. To był zarys głowy, z wężowatymi naroślami na czaszce. Na czole widoczne było jedno oko. Kore pokiwał głową, widząc zaskoczenie Hannah.

- Wszechwidzące oko Allacha - powiedział chropawym głosem. - Płacze nad ludzkością - wskazał błękitne łzy, płynące z oka. Odnaleźliście oko, tak jak przed setkami lat powiedział prorok. Przepowiedziano w tym czasie nadejście wielkiej ciemności, unicestwienie ludzkości i zagładę oblicza Ziemi. Księga ta jest odpisem wydania, którego dzisiaj już nie ma. Od setek lat znajduje się w posiadaniu mojej rodziny i przekazywana jest następnym pokoleniom. W żadnym nowym wydaniu Koranu nie odnajdzie się takich wizerunków.

Zamknął księgę i odniósł na miejsce. Gdy powrócił do ogniska, jego mina zdradzała powagę i zdecydowanie.

- My, zwykli śmiertelnicy, nie mamy wprawdzie prawa zmieniać proroctwa, ale ten przypadek jest inny. Rzeczy, które poszły w niepamięć, niechaj pozostaną w zapomnieniu. Nie możemy dopuścić, by oko dostało się do rąk Duranda. Pomogę wam, ale pod jednym warunkiem.

- Czego pan żąda?

Uśmiechnął się i Hannah zauważyła figlarny błysk w jego oczach.

- Mówiąc dokładnie, są trzy warunki. Pierwszy: musicie dołożyć starań, aby oko pozostało w stanie nienaruszonym, aby dać szansę przyszłym pokoleniom na rozszyfrowanie słów Allacha. Drugi: musicie sprawić, że kamień pójdzie znowu w niepamięć. Istnieje zbyt

duże ryzyko, że ludzie nieodpowiedzialnie wykorzystają jego niezwykle właściwości. Może dojść do sporów i wojen. Nie, stary porządek musi być zachowany. Ma być tak, jak było, zanim wy zakłóciliście spokój.

Chris krytycznie patrzył na Tuarega.

- Jaki jest trzeci warunek?

Kore zaśmiał się chytrze.

- Hannah panu powie. Ona wie, o czym mówię.

Hannah wypła ostatni łyk herbaty, aby dodać sobie odwagi.

- Będę musiała dotknąć oka jako ostatni człowiek teraz, następny zrobi to po upływie 1000 lat. Chociaż robi mi się miękko w kolanach na samą myśl - dodała.

Kore przytaknął z zadowoleniem.

- *Inshallah!* Uważam pani odpowiedź za zgodę.

Potem poderwał się i zaczął pakować prowiant.

Chris spoglądał zirytowany.

- Nie rozumiem! Mamy stąd uciekać? Myślałem, że zabarykadujemy się tutaj i poczekamy na atak.

- Tutaj? Nie słyszał pan, co mówiłem o przeciwniku? Nie będziemy walczyć bronią, gdyż on tego oczekuje. Nie, jeśli chcemy go zatrzymać, musimy postępować sprytnie. Istnieje tylko jedna potęga na świecie, która potrafi pokonać Duranda. Tuaregowie korzystali z niej od wieków.

Hannah ogarnęło niedobre przeczucie.

- Czy to oznacza, że pan chce ich... zabić?

Spojrzenie Kore trafiło ją jak *tukaba*, miecz Tuaregów z podwójnym ostrzem.

- Czy pani naprawdę sądzi, że on poprosi nas uprzejmie o kamień i puści wolno, gdy pani odmówi? On panią zabije, zabierze kamień, a pani zwłoki zagrzebie w piasku. My tu nie prowadzimy gry jak Europejczycy, tutaj panuje prawo silniejszego. Jeżeli chce pani przeżyć, to proszę mi pomóc w przygotowaniach.

Jakby dla podkreślenia tych słów, wsunął jednym, zręcznym ruchem swój ostry, zakrzywiony *gumia* do pochwy przy pasie.

## 28

Kore zarządził pierwszą przerwę na odpoczynek. Chris miał wrażenie, że południowa spiekota paraliżuje jego ciało. Ze wszystkich stron rozpościerała się martwa, bezludna płaszczyna, jak daleko oko sięgało. Większego odludzia nie ma chyba na Księżycu. Od wielu godzin jechali na swoich *meharis*, bez odpoczynku i bez postoju. Chris już przy wsiadaniu na siodło stwierdził, że nie zagoiły mu się poślądki po uciążliwej podróży z Air, a teraz, po czterech godzinach jazdy jego kręgosłup sprawiał mu taki ból, jak odsłonięty nerw w zębie. Przynajmniej ustał wschodni wiatr, który cały czas sypał im piasek do oczu. Było cicho. Powietrze było nieruchome jak w szklarni.

Chris zmrużył oczy i obserwował Kore. Stary Tuareg zsiadł z wielbłąda i badał grunt. Odsuwał nogą na bok piasek, przechodził dalej i powtarzał czynność. Czegoś szukał. Chris spojrzał pytająco na Hannah. Ją również dziwiło zachowanie przewodnika.

- Co on robi? - zapytał szeptem, aby głos nie doszedł do obdarzonego wyostrzonym słuchem Tuarega.

- Też nie wiem. Mogę sobie jedynie wyobrazić, że szuka *fesch-fesch* - również szeptem odpowiedziała Hannah. - Chociaż *fesch-fesch* nie występuje w zasadzie w tej okolicy.

- ????

- Wprawdzie tego nie widziałam, lecz wśród Tuaregów chodzą przeróżne pogłoski na ten temat. Podobno zapadły się w nim całe karawany, ale to bezsens. Chodzi o strefy piasku, które faktycznie mogą być bardzo niebezpieczne. Czasami u podnóża wysokich wydm tworzy się pod warstwą piasku oczko wodne. Piasek, jak cienka kora, nie wytrzymuje ciężaru wędrowca czy wielbłąda. Można zapaść się w ciągu sekund. Ale w tej okolicy nie ma wydm, tylko to przerażające pustkowie.

- Jak on tutaj może się orientować? - pytał dalej Chris, którego powoli zaczynała ogarniać groza. - Od wielu godzin teren wygląda tak samo. Ani drzewa, ani krzewu, niczego, co mogłoby służyć do orientacji.

Kore w międzyczasie oddalił się od nich o dwadzieścia metrów. Coraz ostrożniej stawiał kroki, pod koniec obmacywał ziemię rękami. Nagle zatrzymał się. Wykopał kilka centymetrów gorącego piasku i zagwizdał.

- Jest! Znalazłem!

Gdy zobaczył, że Hannah z Chrisem mają zamiar podejść, ostrzegawczo podniósł rękę.

- Stop, zatrzymajcie się, ani kroku dalej! Idę do was.

- Czego pan właściwie szuka? - zapytał Chris. Ciekawość rozpierała go i nie mógł już wytrzymać. - Szuka pan *fesch-fesch*?

Miał nadzieję, że zaimponuje Tuaregowi swoją wiedzą, lecz stary człowiek spojrzał na niego ze zmarszczonym czołem.

- Skąd to panu przyszło do głowy? Czy wygląd tej okolicy wskazuje na występowanie kurzawki?

Chris nie miał pojęcia, jak wygląda strefa kurzawki, więc wzruszył tylko ramionami.

Kore zawrócił swojego dromadera.

- Nie, to jest coś znacznie niebezpieczniejszego. Tutaj jest królestwo *sebkah*, przekleństwo Allacha dla niewierzących. Na całym świecie nie znajdziecie czegoś podobnego.

- Słone jezioro? - wyrzuciła z siebie Hannah. - Gdzie ono może być? Nie mogę nic rozpoznać.

Kore pokazał miejsce oddalone od nich o kilka metrów.

- Zauważa pani obniżenie poziomu? Ciągnie się tak daleko, jak sięga oko. To jest była strefa nadbrzeżna ogromnego jeziora śródlądowego. Kilkaset lat temu była w nim jeszcze woda. Jezioro wyschło, a jego powierzchnia pokryła się skorupą. Na ogół już z odległości kilku kilometrów widać oślepiająco białą linię z soli. Ostatnia burza pokryła piaskiem *sebkah*. Musimy poruszać się bardzo ostrożnie i pospieszyć się. Niedługo może nadejść Durand.

Kore popędzał swojego dromadera. Łagodnym łukiem skręcił w prawo, nie zbliżając się zbyt do linii nadbrzeża. Chris jechał za nim, starając się bardzo uważać i poruszać wyłącznie po śladach wielbłąda Kore. Trudno było wypatrzeć delikatne ślady na piasku. Dziwił się coraz bardziej, jak Kore orientuje się na tym pustkowiu. Nie do pomyślenia, czym mogłaby skończyć się nieuwaga.

Po przebyciu dwóch kilometrów, przewodnik zsiadł ponownie. Sprawdził grunt i zadowolony pokiwał głową.

- Tutaj jest to miejsce! Na tej linii jest bezpiecznie. Trzymajcie się jednak nadal moich śladów, bo kilka metrów dalej skorupa jest znowu cienka - powiedział z poważną miną.

- Koniecznie musimy? - zawołał za nim Chris. Czuł, że ogarnia go panika.

- Nie możemy iść dalej wybrzeżem?

- Tylko w przypadku, gdybyśmy chcieli uciekać, a my chcemy stawić Durandowi czoła.

- Stawimy mu czoła? Myślałem, że tego właśnie nie chcemy robić. Do wymiany ognia odpowiedniejsza była jaskinia. Dlaczego pan przyprowadził nas na to odludzie?

- Daj spokój, Chris - Hannah położyła mu uspokajająco rękę na ramieniu. - Przestań go krytykować. Jestem pewna, że Kore wie, co robi.

- My, Tuaregowie, walczyliśmy od tysięcy lat tym samym sposobem - powiedział Kore z dumnie podniesioną głową. - Nie kryjemy się w dziurach jak szczury, lecz podejmujemy walkę na otwartej przestrzeni. Stajemy oko w oko z naszym wrogiem. Jak lew i antylopa. Dzięki tej metodzie udało nam się obronić przed wojowniczymi ludami ze Wschodu oraz hordami z Południa, trudniącymi się grabieżą. Pozostanę wierny tradycji.

To było wszystko, co udało się Chrisowi wyciągnąć od niego w ciągu następnych trzydziestu minut.

Kore nie widział potrzeby udzielania informacji, a Chrisowi niezręcznie było nalegać. Nie po ostatnim wymownym spojrzeniu, jakie rzucił mu Kore.

Po pewnym czasie przewodnik zatrzymał się. Upał zmęczył Chrisa do tego stopnia, że bezwładnie wisiał w siodle.

- Tutaj rozbijemy obóz - słowa Kore dochodziły jakby z daleka do jego uszu. Ich treść sprawiła jednakże, że natychmiast powrócił do rzeczywistości.

- Nie rozumiem. To znaczy, że zostaniemy na środku słonego jeziora?

- Dokładnie.

Rozejrzał się dokoła, na ile pozwalała mu oślepiająca i kłująca niemiłosiernie w oczy powierzchnia piasku. Powietrze gotowało się. Odbijające się od piasku promienie słońca zamazywały pole widzenia. Wyglądało, jakby otaczała ich woda. Chris nigdy wcześniej nie podejrzewałby się o to, że w biały dzień dostanie napadu strachu. W morderczej temperaturze i otoczeniu zdradzieckiego jeziora czekają jak kozły ofiarne na pożarcie przez lwa w postaci Duranda. On nie wytrzyma tego dłużej!

Cicho przeklinając, obserwował poczynania Kore. Tuareg obszedł dromadery i przyłożył im palec do nozdrzy. Wielbłądy położyły się i zaczęły miarowo ruszać szczękami, przeżuując resztki niestrawionej paszy.

- Zostawię was samych na pewien czas. Usiądźcie w cieniu meharis; ja muszę coś załatwić.

Zanim Chris zdążył zapytać, co to znowu ma znaczyć, Kore ruszył długimi krokami w kierunku, z którego przyszli. Chris pokiwał głową.

- Co on ma zamiar zrobić?

- Nie wiem, ale Kore nie pozostawia nic przypadkowi, możesz być tego pewien. Chodź, siadaj.

Chris zdjął z twarzy chustkę, usiadł obok Hannah i oparł się o bok Bouchy. Bliskość Hannah przywołała wspomnienia czasów, gdy często siadali obok siebie i prowadzili rozmowy. Wydawało się, że od tego czasu upłynęła wieczność. Westchnął.

- Ponure myśli?

- Proszę? Nie, wprost przeciwnie. Myślałem właśnie o dniu, gdy znaleźliśmy wejście do krypty. Zanim wszystko się zaczęło...

- Rozumiem.

- Wydaje mi się, że byłem wtedy innym człowiekiem.

Kiwnęła głową. - Sporo wydarzyło się od tamtego dnia. Niewiele z tego było dobre.

Siedziała przez chwilę zamyślona, zanim dodała: - ...ale to między nami było dobre.

- Cieszę się, że też tak to widzisz. Dlaczego wszystko poszło na opak? Przykro mi, że...

Położyła palec na jego ustach i zmusiła do milczenia. Pogładziła go po karku i przyciągnęła do siebie.

Podczas pocałunku Chris stwierdził, że jej wargi są spieczone i popękane. Nie takie, jak w dniu, w którym się kochali. Było mu jednak wszystko jedno. Taki pocałunek potrafił pobudzić do życia umarłego. Był jak obietnica na przyszłość...

Gdy oderwali się od siebie, nastąpiła jakaś zmiana. Spojrzał jej w oczy i poczuł, że pęka mur między nimi. Jakby po raz pierwszy ujrzeni się takimi, jakimi naprawdę byli - ze swoimi ułomnościami i słabościami. Było to wspaniałe uczucie.

Chyba Hannah odczuwała podobnie, gdyż zamiast słów, ujęła jego rękę i mocno uścisnęła. Oparła się o ciepły bok wielbłąda i zamknęła oczy.

Chris zastanawiał się, dokąd poszedł Kore. Zrobił daszek z ręki i oglądał obszar aż po horyzont. Po chwili zauważył w oddali mały, błyszczący, dziwnie drgający punkcik. Czasem

wydawał się wyprostowany i duży, czasem mały i skulony albo sprawiał wrażenie chodzącego na czworakach. Punkt posuwał się powoli na prawo, nadal przyjmując dziwne pozycje. Chris sądził, że to złudzenie i sylwetkę Kore zniekształca migoczące z gorąca powietrze.

Stwierdził jednak, że nie jest to aż tak ważne, by budzić Hannah z półsnu. Zachowanie przewodnika było jednak bardzo dziwne. Nagle wyprostował się i stał przez kilka minut nieruchomo. Chris pomyślał, że Kore idzie po pozostawionych przez nich śladach do miejsca na brzegu jeziora. Ale po co? Znowu wydawało się przez moment, że Kore nie rusza się, a za chwilę zarys jego sylwetki stawał się coraz wyraźniejszy. Chris zmrużył oczy. Kore wracał, idąc po cienkiej skorupie solnej. Od czasu do czasu pochylał się i coś robił na piasku. Chris nareszcie zrozumiał. On tworzył ślady dromaderów! Powoli dotarło do niego, co właściwie Kore zrobił i zawstydził się, że w niego wątpił. Kiedy Kore zbliżył się Chris wstał, przywitał go uśmiechem i lekkim ukłonem. W międzyczasie obudziła się Hannah i również obserwowała przewodnika.

I ona zrozumiała, na czym polegał jego podstęp.

Kore w milczeniu rozpakował i ustawił mały namiot nomada. Hannah pomagała mu i po krótkim czasie cała trójka znalazła się pod osłoną materiału.

Czekali w środku wielkiej równiny.

Powoli, w tempie marszu, ciemnoniebieski hummer przejechał przez ostatnią wydmę. Od tego miejsca rozciągał się widok nieskończonej przestrzeni. Wóz zatrzymał się. Durand gniewnie kiwał głową, patrząc w dal. Coś nie było w porządku. Czy tych troje zgłupiało? Co kryje się za ich postępowaniem? Dotychczas wszystko odpowiadało jego oczekiwaniom - opuszczona jaskinia, zabrudzone bandaże i ubrania, przewrócony dzbanek do herbaty, nieporządnie zrolowane maty do spania, unoszący się zapach pieczeni i gorący popiół. Oznaki opuszczenia jaskini w wielkim pośpiechu.

A zatem Chrisowi i Hannah udało się przekonać starego Tuarega, aby im pomógł. Durand w zasadzie niczego innego nie oczekiwał. Byłby nawet rozczarowany, gdyby znalazł ich opuszczonych i bez pomocy za następną wydmą. Obecność Kore utrudniała wprawdzie pościg, lecz czyniła go bardziej interesującym.

Durand był ciekawy, co wymyśli ten stary lis, aby przed nim uciec. Nie przyszło mu jednak do głowy, że pójdą do Tenere.

Durand otworzył masywne drzwi samochodu i wysiadł. Powierzchnia piasku błyszczała od Słońca. Pod stopami ujrzał ślady trzech dromaderów. Były wyraźne, o pomyłce nie było mowy.

Ślady od kilku kilometrów prowadziły w jednym kierunku - na środek pustyni najstraszniejszej na świecie. Tam był tylko pył, piasek i spiekota. Na dodatek pustynia obejmowała obszar tysiąca kilometrów. Durand przeklął i wpadł na górę piasku. Gdyby przypuszczał, że ten przebiegły pies uda się na to pustkowie, zawróciłby i skorzystał z helikoptera. Wtedy sprawa zostałaby załatwiona w ciągu kilku minut. Z drugiej strony taka akcja stałaby się głośna. To nie był dobry pomysł. Tak czy owak niedługo dopadnie zbiegów. Durand miał przeczucie, że Kore przygotował się na spotkanie i sama myśl o tym wywoływała skurcz żołądka. Mruczając pod nosem, pułkownik wsiadł do wozu i zatrzasnął drzwi.

- I?

- Nic nie rozumiem. Będąc na ich miejscu pojechałbym w góry Ahaggar albo wzdłuż peryferii do Algierii. Tam jest mnóstwo kryjówek, gdzie mogliby się schronić. Uciekałbym nocą, zgodnie ze zwyczajem panującym u Tuaregów, a on idzie w biały dzień na pustynię. Nie rozumiem.

Potrząsał głową ze zdziwieniem, wyglądając przez okno.

- Może nie jest aż tak sprytny, jak sądziłeś - odparła Irene, siedząca za kierownicą ciężkiego pojazdu. Durand po kilku kilometrach oddał jej bez sprzeciwu kierownicę, gdy przekonał się, jak ciężko prowadzić taki samochód.

- Być może faktycznie przeceniłem jego możliwości - burczał z niezadowoleniem - może Słońce padło mu na rozum, albo postarzał się po prostu. Chociaż nie mogę w to uwierzyć. On coś knuje. Nie wiem, co to jest. Można oszaleć. Jedź po prostu po śladach.

Irene pocałowała go przelotnie w policzek. - Nie martw się. Przy naszym tempie dogonimy ich migiem. Czuję, że on jest blisko.

Duranda zmartwiły błyski w jej oczach.

Przez następne pół godziny jechali po podłożu twardym jak kamień. Irene musiała zwiększyć ciśnienie w kołach. Samochód sunął teraz jak po lodzie. Temperatura wewnątrz samochodu rosła. Irene spojrzała na termometr i zaklęła.

- Coś nie w porządku?

- Klimatyzacja nie daje rady. Silnik zaczyna się przegrzewać. Na zewnątrz musi być gorąco jak w hucie.

- Co chcesz zrobić?



- Co można zrobić? Trzeba wyłączyć klimatyzację i włączyć ogrzewanie. Musimy ochłodzić obudowę silnika. Otwórz okno.

Durand bez sprzeciwu wykonał polecenie. W duchu cieszył się, że rozkazuje mu doświadczona kobieta. Ściągał właśnie mokrą od potu koszulę, i chciał ją położyć na nogach, aby chronić je przed dopływem gorącego powietrza, gdy nagle coś zauważył.

- Stop, zatrzymaj się natychmiast!

Irene nacisnęła hamulec, ale hummer posuwał się jak sanki jeszcze przez kilka metrów, zanim stanął. Durand chwycił lornetkę, wskoczył na dach samochodu i przez chwilę obserwował okolicę.

Ogarnęło go uczucie triumfu. - Są! Mamy ich!

## 29

- Wiedziałem, że ich złapiemy - Durand przyciskał lornetkę do oczu. - Chyba schronili się przed upałem w namiocie. Zaraz nas spostrzegą.

Powiedziawszy te słowa, zsunął się do wnętrza i nachylił do tyłu, gdzie w bagażniku przechowywali precyzyjną broń. Durand nie chciał nic pozostawiać przypadkowi, a niemiłą pracę mieć jak najszybciej za sobą. W gruncie rzeczy czuł wstręt do zabijania, lecz w tym wypadku było to konieczne. Musiał zaatakować, zanim zrobi to Kore. Nie może być żadnych świadków. Naciśnie spust karabinu, jak tylko ktoś wychyli się z namiotu albo spróbuje ratować ucieczką. Strzał w głowę był najlepszym rozwiązaniem - szybkim, precyzyjnym i humanitarnym. Durand wychylił się ponownie i celował w obiekt. Celownik optyczny pozwalał mu zobaczyć stopy zbiegów, jak również częściowo ich ramiona i nogi. Twarze były ukryte w cieniu. Nie było innego wyjścia - trzeba było wywabić ofiary na zewnątrz.

- W porządku - powiedział do Irene - skończmy tę robotę! Jedź wolno prosto na nich. Trzymam ich na muszce i wystrzelę, jak tylko ktoś wychyli głowę.

Hannah czuła, że pada na nią blady strach. Ciemnoniebieski pojazd zbliżał się jak złośliwy chrząszcz, którego pokrywy skrzydeł błyszczą błękitnie w zimnym świetle Słońca. Początkowo wyglądał jak miraż, kołyszący się nad horyzontem niby ciemna chmura. Z czasem chmura nabrała konturów, stawała się kanciasta i przysadzista, aż w końcu dotknęła ziemi i pełza prosto na nich. Hannah czuła zawsze wstręt do tych samochodów, a teraz jej antypatia zamieniła się wielką paniką. Zagrożenie było nie do wytrzymania.

- Musimy uciekać - syknęła, próbując wstać.

Ciężki uchwyt Kore zmusił ją do pozostania na miejscu.

- Nie ruszać się - fuknął. - Kto wyjdzie z cienia, jest trupem. Założę się, że Durand trzyma nas na muszce. Jest wyśmienitym strzelcem. Nawet nie usłyszysz pani strzału, a już rozerwie panią na strzępy. Proszę pozostać w cieniu i zachowywać się spokojnie.

- Co będzie, jeżeli on coś podejrzewa? - rozważał Chris - jest spryciarzem i dobrze zna pustynię. Może wiedzieć, że tutaj jest słone grzęzawisko.

- Ale on nie wie dokładnie, gdzie jest. Jego pozycja stale zmienia się. Ponadto piasek jest złudny. Ale naturalnie, ma pan rację. Możliwe, że rozpozna podstęp.

- Co stanie się wtedy?

Kore patrzył tylko i milczał.

- Zaraz będziemy na miejscu! - głos Irene dochodził na dach hummera - wkrótce będę miała kamień! Błyszczą jak gwiazda. Widzisz go? Jego światło jest jaśniejsze od Słońca w zimowy poranek.

Durand odwrócił uwagę od obiektywu i spojrzał na nią.

- Wszystko z tobą w porządku?

- Błyszczą jak światło w ciemną noc. Słyszysz śpiew gwiazd?

Nie mogę doczekać się chwili, kiedy i ty dotkniesz go pierwszy raz. Będzie tak, jakbyś jednocześnie spotkał przeszłość, teraźniejszość oraz przyszłość. To ta bogini, rozumiesz? Nie mogę wprost doczekać się...

Pułkownik zaklął w duchu. Tego mu jeszcze brakowało. Pozostało jeszcze 150 metrów. Akurat teraz Irene zaczyna wariować, a taką miał nadzieję, że zachowa się rozsądnie. Jednak w tej chwili było to sprawą drugorzędną. Nie może troszczyć się teraz o jej samopoczucie. Każda sekunda była na wagę złota. Zmusił się do obserwacji terenu przez lornetkę, gdy nagle na nosie usiadł mu mały moskit. Durand rozejrzał się. Powietrze roiło się od krwiożerczych drobnych owadów. Dziwne, przecież moskity żyją w środowisku wodnym. Na piasku widoczne były wyraźne ślady dromaderów. Wtem Durand zauważył niewielką zmianę poziomu na powierzchni, ciągnącą się aż po horyzont. Obniżenie płaszczyzny? Tutaj? W ułamku sekundy doznał olśnienia. Chyba dają się wciągnąć w zasadzkę!

- Zatrzymaj się natychmiast! Irene, słyszysz? Mówię do ciebie!

Zamiast odpowiedzi docierały do niego strzępy jej słów Ogarnęła go panika. Irene nie reagowała. Wprost przeciwnie. Jechała dalej, nie zmniejszając prędkości. Durand opadł jak kamień do wnętrza wozu, by ratować to, co pozostało do uratowania. W tym momencie szarpnęło samochodem co znaczyło, że minęli próg i znaleźli się w płytkiej niecce.

- Zatrzymaj się! - krzyczał, usiłując wyrwać jej kierownicę - hamuj, do jasnej cholery!  
Irene rzuciła mu nieprzeniknione spojrzenie sfinksa i nacisnęła gaz.

Usłyszeli odgłos jakby pękającego lodu. Zadrżała ziemia. Hannah, która spędziła ostatnie minuty z głową wciśniętą w ramiona Chrisa, wyrzała, by sprawdzić, co się dzieje. Czarne monstrum zapadało się w piasek. Tył samochodu obniżał się nieprzerwanie, centymetr po centymetrze. Widok był wstrząsający. Hannah nie mogła opanować się dłużej. Musiała zobaczyć ten dramat z bliska.

- Stop, dokąd? - Chris złapał ją za ramię. - To niebezpieczne. Powłoka solna jest krucha. Zapadniesz się tak jak oni. Weź to! - podał jej małą lornetkę, którą zawsze nosił przy sobie.

- Boże, tam jest Irene! Durand, ta świnia, więzi Irene! - zawołała po chwili Hannah.

Podowała lornetkę Chrisowi, aby przekonał się na własne oczy.

- Masz rację, wygląda na to, że walczą ze sobą - powiedział Chris.

- Musimy jej pomóc! Musimy uwolnić ją z samochodu. Chodź! - Hannah zerwała się i pobięła.

Przechylający się na bok pojazd wydawał straszne odgłosy. Przypominały one mlaskanie ogromnego, głodnego ślimaka, wysysającego zdobycz. Przerażony Durand patrzył na skorupę, która pękając odsłoniła ukrytą pod jej powłoką zielonkawą maź. Strach jak żelazna pięść ścisnął mu serce. Wiedział, co oznacza zatonać w takim bagnie. Przed laty stracił w *sebkah* przyjaciela. Była to powolna i pełna cierpień śmierć. Długo prześladowały go w snach krzyki przyjaciela.

Samochód zanurzał się coraz głębiej, słona breja sięgała już drzwi. Bliskość śmierci uczyniła Duranda nagle spokojnym, a jego żołnierski rozum zaczął pracować z precyzją zegarka.

- Wychodź, Irene! Na dach, prędko!

Zręcznie sam przedostał się przez okienko na mocno już przechylony dach i ciągnął za sobą Irene. Patrzyła na niego szalonym wzrokiem. Zorientował się, że Irene nie rozumie powagi sytuacji. Skulona, kurczowo trzymała się Duranda jak wystraszone dziecko. Pogładził ją uspokajająco po głowie, oceniając równocześnie położenie. Wokół samochodu skorupa była rozerwana na odcinku wielu metrów. Z przerażeniem stwierdził, że są zgubieni. Tuaregowie nazywają *sebkah* przekleństwem Allacha, a on mógł w tej chwili całkowicie

zgodzić się z tą opinią. *Sebkah* nie odda niczego, co wziął w swoje posiadanie. Nie było ucieczki.

W tej chwili zauważył, że jedna osoba opuściła namiot i zbliża się, ostrożnie stawiając kroki. Była to Hannah Peters.

Chce pomóc, czy napawać się widokiem ich nieszczęścia?

- Hannah, wracaj! To szaleństwo! - nad równiną rozlegał się głos Cartera. On również wyszedł z namiotu i chciał pobiec za Hannah. Jego zamiar udaremnił owinięty w chusty Tuareg. Mężczyźni zmagali się ze sobą, lecz Tuareg pokonał Cartera. Szczupła, wysoka sylwetka Tuarega wskazywała, że był to Kore Szejh Mellah z plemienia Kel Ajjer, stary przeciwnik Duranda.

- Proszę, zatrzymaj się! - wołał Carter.

Hannah nie miała zamiaru posłuchać jego prośby. Znalazła się 30 metrów od samochodu. Durand mógł rozpoznać jej twarz, na której widoczne były przeżycia ostatnich dni. W jej oczach była litość. Ta kobieta nie przyszła, aby być świadkiem ich zatonięcia, tyle było pewne. Stała i patrzyła na nich szeroko otwartymi oczami. Irene zakląła, wrywając Durandowi broń. Z wściekłym krzykiem strzeliła do Hannah. Kula trafiła kilka metrów dalej, garstka piachu uniosła się w powietrze. Siła odrzutu była tak duża, iż Irene straciła równowagę. Zatonęła się, zatrzepotała rękami i spadła z dachu. Z pluskiem wylądowała w bagnie, wymachując rękami i nogami w wielkiej panice.

- Przestań! Nie ruszaj się! - krzyczał Durand.

Przedostał się na klapę silnika i usiłował złapać Irene za nogę. Odległość była jednak za duża. Jedna strona pojazdu zanurzała się powoli. Durand przedostał się przytomnie na drugą stronę, by zrównoważyć ciężar. Z rozpaczą obserwował, jak jego przyjaciółka zapada się u jego stóp w zielonobiałą maź. Odwrócił głowę.

Hannah stała jak skamieniała, patrząc na rozgrywającą się przed nią tragedię. Już wiedziała, dlaczego przyszła. Oczekiwała odpowiedzi. Odpowiedzi na pytanie, które ją najbardziej nurtowało. Dlaczego? Pościg, zabijanie, nienawiść - po co to wszystko?

Była świadkiem następnej ofiary kamienia. Widziała obłęd w oczach Irene w chwili, gdy sięgnęła po broń i wycelowała oraz jej rozczarowanie z powodu chybienia. Gdy ostatni raz na nią spojrzała, Irene miała twarz rozczarowanego dziecka, a zaraz potem pochłonęły ją głębiny *sebkah*.

Zaległa cisza. Pułkownik Durand zasłonił z rozpaczy twarz. Drżał na całym ciele. Wyglądało na to, że nie utracił więźnia, lecz kochankę.

Hannah była tak zaszokowana, że nie uroniła nawet jednej łzy. Odnieśli fiasko. Jakże nienawidziła tego kamienia! Za jego sprawą wrogowie stali się przyjaciółmi, a przyjaciele wrogami. Postawił wszystko na głowie, zmienił ludzi, czynił z nich bezwolne istoty. Jeśli było na świecie wielkie zło, to był nim właśnie ten kamień.

Powzięła nagle postanowienie. Zakończy tę nieszczęsną historię. Koniec zabijania i umierania! Teraz zaraz.

- Pułkowniku Durand! - jej głos drżał z emocji - proszę powiedzieć, co mogę zrobić, aby panu pomóc? Zawrzyjmy pokój! Oddam panu ten kamień! Dostyc zabijania i bezsensownej śmierci!

W odpowiedzi usłyszała głos załamanego mężczyzny.

- Irene - powtarzał Durand. Podniósł głowę i wpatrywał się w miejsce zatonięcia dziennikarki. - Miałem tyle nadziei, tyle pragnień. Wszystko daremnie. Nie ma ratunku. Nie ma dla nas ratunku!

Wypowiedziawszy te słowa, wolno wyciągał pistolet z pochwy, odbezpieczył go i lufę skierował na Hannah.

- Nie pozwolę pani zwyciężyć po raz drugi - mówił - nie dopuszczę do pani triumfu!

Ona spojrzała mu w oczy. Dziwne, ale w ogóle nie odczuwała strachu. Śmierć przestała być straszna. Durand skinął w jej stronę, uśmiechnął się smutno, prawie przepaszająco, a potem przystawił broń do swojej skroni i wystrzelił.

Noc była chłodna i gwiazdzista, gdy podróżni wrócili do jaskini Kore. Poczekali na pustyni aż samochód całkiem zanurzy się w odmętach słonego bagna, a potem wyruszyli. Nikt nie będzie w stanie rozpoznać, co się wydarzyło. Hannah czuła w sobie pustkę. Irene i Durand byli ostatnimi ludźmi, którzy poza Chrisem i Kore, wiedzieli o istnieniu kamienia. Zabrali tajemnicę do grobu. Ludzie Duranda byli wprawdzie w podziemnej świątyni, ale nie miało to znaczenia. Z pewnością wkrótce zostaną przeprowadzone badania, prawdopodobnie budowla świątyni poddana będzie szczegółowej analizie, będą założone kartoteki i powstanie pełna dokumentacja. Badanie materiału zajmie dziesiątki lat. Zostaną zwołane naukowe kongresy, ukaza się publikacje i będą wygłaszane prelekcje. Pojawią się ludzie żądni sławy, którzy będą starali się, by to ich uznano za odkrywców, ale z czasem szum wokół nich minie i przygasną jak gwiazdy w obliczu Słońca. Nikt nie dowie się o kamieniu. Przedmiot, wokół którego toczyły się wszystkie wydarzenia ostatnich dni, powinien pójść w niepamięć.

Hannah miała świadomość, że ostateczna decyzja należy wyłącznie do niej. Ani Chris, ani Kore nie zdejmą z niej tego ciężaru. Ona, nim ją podejmie, musi dotknąć kamienia. Nie ma innego wyjścia.

W jaskini było ciemno. Gospodarz w milczeniu zajął się rozpaleniem ognia. Przy świetle buchających płomieni ognia zauważyli, że prześladowcy przeszukali jaskinię, lecz uszanowali własność Tuarega. Nie uszkodzono żadnego z cennych dzbanów, nie ukradziono ozdób ani unikatowego wydania Koranu. Wiele można było zarzucić Durandowi, lecz z pewnością nie był złodziejem.

- Czy jest tu jakieś miejsce, gdzie mogłabym być sama? - zapytała Hannah siedzącego obok ognia Kore.

- Chce pani mieć to za sobą, prawda?

Stary Tuareg spojrział w jej oczy i uśmiechnął się ze zrozumieniem.

- To jest najlepsze, co pani może zrobić. Czy chciałby pani najpierw posilić się trochę?

- Nie, muszę działać szybko, dopóki nie straciłam odwagi.

Kore ujął jej rękę i wyprowadził na zewnątrz, na leżący powyżej jaskini płaskowyż, skąd rozciągał się czarujący widok na okoliczne skały.

- To jest plac modlitwy - wyjaśnił. - Nie ma lepszego miejsca, aby stanąć przed Stwórcą. Życzę pani wszystkiego dobrego - pogłaskał ją po głowie i wrócił do jaskini.

Hannah uklękła i przyglądała się pustyni, otoczonej mrokiem nocy. Niebo było jasne i wydawało się, że spadają gwiazdy. Księżyc rzucał na świat srebrne światło i nawet krople rosy połyskiwały jak diamenty. Leniwy wietrzyk przynosił odgłosy cykania świerszczy, a w oddali rozlegało się wołanie kozodoja, samotnie wylatującego na nocne łowy.

Hannah zebrała się na odwagę i otworzyła torbę. Wyjęła z niej cenną zawartość. Szybkim ruchem odsunęła wilgotny materiał. Przed nią leżał odsłonięty kamień. Jego nierówna, jakby bliznami pokryta powierzchnia, nierealnie mieniła się w świetle księżyca. „Nadszedł czas” - pomyślała Hannah. Nie może się wycofać.

Wstrzymała oddech, zamknęła oczy i położyła obie ręce na kuli.

Chris przesypywał między palcami piasek. Nienawidził czekania.

- Myślę, że to lekkomyślność zostawiać ją samą tak długo. Może powinniśmy zobaczyć, co się z nią dzieje.

Kore mocno pociągnął fajkę.

- Proszę zostawić ją w spokoju. Da sobie radę. Od czasu, jak przybyła przed wieloma laty do tego kraju, radziła sobie zawsze sama.

- Pan tego nie rozumie. Oko meduzy posiada potęgę, której nie jest w stanie sprostać żaden człowiek. Wiem, o czym mówię, widziałem, do czego jest zdolny.

- Niech pan nie robi błędów, próbując porównywać siebie do niej. Wola tej kobiety jest silniejsza niż nas obu.

Chris prychnął ze złością, ale Kore spokojnie mówił dalej.

- Chce pan ją ochraniać, prawda? Na to jest za wcześnie. Niech pan najpierw nauczy się uważać na siebie.

Chris miał definitywnie dość. - Dlaczego właściwie pan mnie nie lubi? Przecież nie zna mnie pan wcale. Zrobiłem panu coś złego?

Kore pokiwał głową.

- Jej zadał pan wielki ból, czuję to. Wiem, że ludziom z cywilizowanego kraju trudno jest to zrozumieć, ale między nami żyjącymi na pustyni - istnieje więź i zrozumienie. Nam nie potrzebne są słowa.

- Proszę mi oszczędzić pańskiego pustynnego mistycyzmu. Zbyt długo miałem styczność z różnymi narodami w wielu krajach, abym miał przywiązywać wagę do tych bredni.

- Możliwe, że spędził pan tam wiele czasu, ale czy był pan tam istotnie? Interesował pan się ludźmi, wśród których pan żył? O co panu chodziło? Aby kręcić sensacyjne filmy, które tanio zabijają czas ludziom z pana świata? Czy chciał pan podstępnie wyłudzić od nich skarby? Aha, widzę, że nie pomyliłem się zbytnio.

Chris czuł się nieswojo. Tuareg patrzył czystym spojrzeniem prosto w jego serce. Chciał coś odpowiedzieć, lecz słowa utknęły mu w gardle.

- Nie musi pan robić sobie z tego powodu wyrzutów, to ludzkie. Ani pan, ani ja, nie jesteśmy bez skazy. Niewielu ludzi ma czyste serce. Hannah jednak do nich należy i dlatego zda ten egzamin - mówił Kore.

Chris podniósł wzrok i czuł, że stary Tuareg miał rację. On miał rację, do stu piorunów, nawet, jeśli Chrisowi trudno było to przyznać. Uśmiechnął się do Kore i wyciągnął rękę na zgodę. Tuareg przyjął wyciągniętą dłoń i podał mu fajkę.

Mężczyźni w milczeniu siedzieli obok siebie około godziny, gdy Hannah wreszcie weszła do jaskini. Chris zerwał się i zaprowadził ją do ognia. Widać było że jest osłabiona,



lecz Chris zauważył, że zaszła w niej jakaś zmiana. Zaniepokojony spojrzał jej w oczy w obawie, czy ona, tak jak inni, też padła ofiarą uzależnienia. Lecz zaraz spostrzegł, że się myli. Na twarzy Hannah był wyraz głębokiego zadowolenia, jakby uwolniła się od ciężaru.

- Wszystko w porządku z tobą? - pytanie zabrzmiało w jego uszach naiwnie i głupio, ale ucieszył się, gdy przytaknęła.

- Tak, teraz jest wszystko w porządku. Dziękuję, Kore, że nalegałeś, abym uczyniła ten niełatwy krok.

Chris nie mógł już wytrzymać napięcia.

- Mów, co widziałaś? Odkryłaś coś? Powędrowałaś, tak jak ja, do przeszłości?

- Do przeszłości, do przyszłości i do miejsc, których nie możesz sobie wyobrazić.

Oddychała ciężko.

- Nie mogę jednak o tym opowiedzieć. Jeszcze nie. Teraz, gdy dowiedziałam się, co to jest, czuję jedynie zmęczenie. Mogłabym spać i spać.

- Proszę położyć się, odpocząć. Jutro będzie nowy dzień - Kore ujął rękę Hannah i zaprowadził ją do miejsca spoczynku. Położył jej palec na czole.

- Życzę miłych snów, mademoiselle. Jestem z pani dumny.

Chris usłyszał odpowiedź Hannah. - Kore, co mam uczynić z kamieniem? Nie mogę zabrać go do mojego świata, a tutaj też nie mogę zostawić. Jest zbyt niebezpieczny.

Tuareg pokiwał głową.

- Proszę się nie martwić. Proszę odpocząć. Za kilka dni zawiozę panią z powrotem do Dżanet. Tam znajdzie pani odpowiedź.

## 30

Dwa tygodnie później...

Jak co dzień od niepamiętnych czasów Słońce wschodziło nad skałami w *Tassili N'Ajjer*. Jednak tego ranka było inaczej. Chris poczuł to natychmiast po przebudzeniu. Rozejrzał się, lecz wszystko było takie, jak zapamiętał. Za nimi sterczała stroma ściana skalna z przejściem pośrodku, prowadzącym do magicznego kręgu. Chrisa przechodziły dreszcze na wspomnienie dnia, gdy po raz pierwszy wszedł do wąwozu i spojrzął na rzeźbę meduzy. Nie zapomni tego momentu do końca życia.

Hannah siedziała obok, wpatrując się w równinę na dole. Czuła się, jakby opadła mgła i przestała przysłaniać jej oczy. Mogła znowu swobodnie patrzeć i oddychać.

Chris przeciągał się w śpiworze, kulił i przewracał, ale i tak było mu zimno. Nagle rozejrzał się zaskoczony.

- Gdzie jest Kore?

Hannah stawiała właśnie garnek z wodą na kuchence gazowej.

- Odszedł wczoraj w nocy, gdy już spałeś. Uważał, że spełnił swoje zadanie i wrócił do letniego obozu. Zabrał Bouchę. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.

- Szkoda. Chętnie pożegnałbym się z nimi i podziękował Kore za wszystko.

- Nie chciał ci przeszkadzać. Ponadto Tuaregowie nie lubią długich pożegnań i podziękowań. Wiesz o tym.

Chris potrząsnął głową.

- Nigdy ich nie zrozumiem. Oni należą do innego świata. Hannah zamyśliła się, spoglądając na kamienie u swoich stóp.

Podniosła jeden z nich, przesuwając go między palcami.

- Masz rację. Nawet dla mnie, mieszkającej tutaj od lat, stanowią zagadkę. Kocham ich, ale pozostaną mi obcy, tak samo jak pustynia. Myślę, że nadszedł czas, abym zrobiła sobie przerwę. Wyjadę stąd.

- Wiesz już, co chcesz robić?

Dużym łukiem rzuciła kamień poza krawędź skały.

- Nie mam pojęcia. Jednego nie chcę - wracać do domu. Jeszcze nie.

- Jedź ze mną. Poproszę Stomberga o zwolnienie z pracy. Wrócę do mojego starego zawodu. Mogłabyś w Waszyngtonie starać się o profesurę.

- Naprawdę tego chcesz?

- Bardziej niż cokolwiek innego. Szczególnie, że tutaj zostało wszystko załatwione.

Spojrzała na niego zza okularów.

- Wszystko? Nie. Istnieje sprawa, której nie doprowadziliśmy do końca. Wczoraj długo rozmawiałam z Kore na ten temat. Myślę, że teraz wiem, co należy zrobić. Pójdiesz ze mną?

- Co za pytanie! - wyskoczył ze śpiwora, podał jej rękę i przyciągnął do siebie. Skłonił się uprzejmie. - Jak pani sobie życzy, *mademoiselle*.

Hannah wróciła do niskiego namiotu i wzięła drewnianą, kunsztownie ozdobioną szkatułkę, którą podarował im Kore nalegając, aby oko przechowywane było w godnym miejscu.

- Chcesz naprawdę tutaj zostawić oko?

Hannah przytaknęła. Chcąc podkreślić, jak nieodwołalne jest jej postanowienie, szybkim krokiem ruszyła w półmrok między skałami.

Chris podążył za nią. Po kilku minutach znaleźli się w magicznym kręgu, na owym ukrytym placu modlitwy Tuaregów, gdzie wszystko się zaczęło. Hannah podeszła do wyschniętej studni w cieniu cyprysa. Usiadła na krawędzi i kiwnęła na Chrisa.

- Jeśli chcesz, to teraz opowiem ci, co przeżyłam tej nocy, gdy dotknęłam kamienia.

„Nareszcie” - pomyślał Chris. Od tylu dni paliła go ciekawość poznania tajemnicy, lecz Hannah do tej pory nie chciała o tym rozmawiać.

- Naturalnie - odparł i przysiadł się do niej. Milczała przez moment, jakby chciała zebrać siły.

- Myślę, że mogę pominąć pierwszą część. Doświadczyłeś jej osobiście. Wiesz, te iskierki i fragmenty z przeszłości. Widziałam wszystko ze szczegółami jak ty i mogę cię zapewnić, że było to najboleśniejse wspomnienie z mojego życia. Przykre było jeszcze raz

przeżyć rozdźwięk między mną a ojcem. W pewnym momencie to minęło i znalazłam się w zamkniętej kuli, poruszającej się z olbrzymią prędkością po wszechświecie.

Uśmiechnęła się z zakłopotaniem. - Może zabrzmiało to śmiesznie, lecz w tamtej chwili naprawdę czułam obecność Boga. Przestrzeń kosmiczna jest tak olbrzymia, że brak słów. Widziałam rzeczy, których opisanie jest niemożliwe. Widziałam planetę, zamieszkałą przez istoty żyjące. Były one bliźniaczo podobne do naszej meduzy. Rosły tam wydające dźwięki drzewa i padał srebrny deszcz. Widziałam wielki, mówiący niskim głosem ocean, podczas gdy świat dookoła tonął w milczeniu. Widziałam konstelacje gwiazd, których rysunki odnaleźliśmy na skałach. Był to widok gwiazd obserwowanych przez meduzy ze swojej planety.

Następny etap poświęcony był nauce. Wprowadzono mnie w tajniki wiedzy o wodzie. Dowiedziałam się, że jest ona najcenniejszą substancją we wszechświecie - podstawą życia. Dzięki wodzie powstaje życie na planetach, które wydają się szare i puste. Widziałam inne światy. Sahara jest rajem w porównaniu z nimi. Obserwowałam, jak z gorącej kuli kamiennej, dzięki sile wody, tryska nowe życie. Przedstawiono mi technologie, które w prosty sposób umożliwiają przeistoczenie wszystkich planet w kwitnące rajskie ogrody. Korzystaj ze swojej mocy i powołaj życie z martwoty! To przesłanie ukrywa głębia oka.

- A dlaczego każdy kto spędził dłuższy czas z okiem wariował?

- Sądzę, że przyczyną jest coś w rodzaju mechanizmu bezpieczeństwa. Nadawcy przesłania w oku chcieli mieć pewność, że informacja dotrze tylko do tych żywych istot, które osiągnęły określony poziom rozwoju. Każdy, kto chce zostać wtajemniczony, poddawany jest pewnemu testowi. Nadawcy chcieli zapobiec wykorzystaniu oka przez jednostki nieprzygotowane. Myślę, że obowiązuje tu zasada - poznaj najpierw siebie, dopiero potem będziesz gotowy do poznania nowego.

Chris zmarszczył czoło. - Oko zawiera zapis danych, dostępnych pod warunkiem, że zna się hasło? Hannah zawahała się. Ten kamień to dla mnie raczej ziarno, rozsiane w milionach na spotkanie inteligentnego odbiorcy. Uśmiechnęła się do niego. - Coś takiego, jak album Beatlesów, jeśli wolisz inne porównanie.

- Proszę?

- Przypominasz sobie sondy międzyplanetarne Voyager 1 i 2, wysłane w 1977 na Jupitera i Saturna? Zabrały ze sobą płyty, dzięki którym było można zobaczyć obrazy i usłyszeć dźwięki z Ziemi, między innymi song Beatlesów. Na okładce przedstawiono położenie Ziemi w kosmosie za pomocą jaskrawo pulsującego punktu. Płyty miały opowiadać

obcym istotom o naszej egzystencji i pokazać, gdzie jesteśmy. Może oko spełnia dokładnie taką samą funkcję, choć bardziej zróżnicowaną.

- Wysłane, aby zapłodnić Ziemię - mruczał Chris. - Wysłane do pępka świata.

- Co mówisz? Pępka świata?

- Ach, przyszło mi to do głowy podczas rozmowy z Gregori.

Chris zamyślił się, wspominając, jak chętnie prowadził rozmowy z sympatycznym geologiem.

- Dlaczego nikomu, poza tobą, nie udało się pokonać tej przeszkody? Wychodzę z założenia, że ludzkość osiągnęła dostateczny stopień rozwoju, by odnosić profity z tej wiedzy.

- Wygląda na to, że nie. W każdym razie dotyczy to większości mieszkańców tej planety. Wszyscy, łącznie z Irene i Malcolmem, nie zdali pierwszego testu. Stali się więźniami własnej przeszłości. Dlatego stale szukali kontaktu z okiem. Wpadli w nałóg poszukiwania samego siebie i nie zgadzali się dzielić oka z innymi. Przypomnij sobie te cztery wyrosnięte kobiety na malowidłach skalnych - nad ich głowami były aureole. Wyglądały na silne, one na pewno pokonały przeszkodę i uzyskały dostęp do ukrytej wiedzy. Inni rozpoczęli wojnę o kamień, okropną wojnę, która doprowadziła wszystkich do zagłady. Tylko te cztery uciekły i zaniósły kamień w bezpieczne miejsce w głębinach Tamgak. Korzystając z nowo nabytej wiedzy wzniosły cudowną świątynię z obsydianu, która miała służyć jako miejsce spoczynku oka. One były spośród wszystkich ludzi jedynymi, które oko uznało za godne obdarzenia swoją mądrością.

Chris spojrzał głęboko w oczy Hannah.

- Jedyne poza tobą - uśmiechnął się.

Hannah westchnęła. - Tak, z wyjątkiem mnie. Nie czuję się jednak na siłach, by bronić oka przed resztą świata. Dlatego postaram się, aby ponownie poszło w zapomnienie. Na czas potrzebny do osiągnięcia przez ludzkość wyższego stopnia rozwoju, gdy przestanie myśleć wyłącznie o sobie.

- Co zamierzasz zrobić? Nie chcesz chyba oka...

- Owszem. Zrobię dokładnie to, czego żądał ode mnie Kore. I to natychmiast i w tym miejscu.

Ujęła szkatułkę, trzymała ją chwilę na krawędzi wyschniętej studni i upuściła. Po kilkunastu sekundach rozległ się słaby odgłos uderzenia, jakby szkatułka osiadła na miękkim podłożu.

Chris spojrzał na Hannah i zauważył, że płacze. To musiała być dla niej olbrzymia strata. Doskonale to rozumiał. Znaleźisko było nadzieją jej życia, dla niego pracowała. Teraz

dobrowolnie rozstała się z nim. A może był to dowód mądrości, dzięki której należała do wybranych?

Wziął ją w ramiona i poczuł, że drży. Po chwili uspokoiła się i uwolniła z jego objęć.

- Ojej, zmoczyłam twoją kurtkę!

Próbowała wytrzeć mokre miejsca rękawem, lecz on przytrzymał jej ramię, przyciągnął do siebie i pocałował. Gładził jej włosy i mokre od łez policzki, aż znowu uśmiechnęła się.

- Kocham cię - szepnął. - Kocham cię tak bardzo, że aż boli.

Jeszcze raz ujął jej twarz i namiętnie pocałował.

Gdy oderwali się od siebie, oczy Hannah błyszczały, a jej uśmiech zaczarował to miejsce. Wydawało się, że zakwita i nawet stary cyprys budzi się do życia. Było to naprawdę godne miejsce spoczynku dla oka meduzy!

Chris ujął Hannah za rękę i pociągnął.

- Chodź! - powiedział. Nagle coś sobie przypomniał. - Co stało się właściwie z tymi czterema kobietami, gdy opuściły jaskinię?

Hannah wpatrywała się z zadumą w prastare drzewo.

- Na ten temat można tylko spekulować. Myślę, że osiągnęły coś w rodzaju nieśmiertelności. Udały się przez morze na północ i korzystając ze swojej zaawansowanej wiedzy założyły miasto... i wprowadziły matriarchat - mrugnęła filuternie. - Miało to miejsce przed wieloma tysiącami lat. Miasto jest godne uwagi, ponieważ zdaniem wielu badaczy chodzi o najstarsze miasto na świecie. Starsze od Jerycha. Nigdy nie wyjaśniono, kto był jego założycielem.

- Skąd ci przyszedł do głowy związek z meduzą?

Hannah uśmiechnęła się.

- Ponieważ tam modlono się do takiej samej bogini, a jego mieszkańcy potrafili wykonywać przedmioty z obsydianu.

- Jak nazywa się to miasto?

- Catalhuyuk.

Dwa lata później, pewnego deszczowego i chłodnego dnia w listopadzie, Kore Szejh Mellah z plemienia Kel Ajjer, powrócił na tereny polowań u stóp *Tassili N'Ajjer*. To będzie ostatnia zima, którą tutaj spędzi. Czuł, że jest już za stary na dalekie podróże. Chciał jednak

jeszcze raz zobaczyć piękno i przepych gór, w których cieniu narodził się przed wieloma laty. Ostatni raz chciał zapolować na antylopy.

Nogi same zaprowadziły go na miejsce ostatniego spotkania z Hannah Peters. Wyczuwał, że coś uległo zmianie w jego ojczystych górach. Nie wiedział jednak czy odmiana była dobra, czy zła.

Był niespokojny. Zwinnie przeskakiwał przez skały jak lampart na tropie. Instynkt myśliwego prowadził go do wąwozu. Przeszedł między potężnymi skałami i znalazł się w magicznym kręgu, ukrytym w cieniu cyprysa miejscu modlitwy Tuaregów. Nie zauważył jeszcze niczego szczególnego, gdy nagle usłyszał plusk wody. Odbezpieczył broń, minął skały i przetarł oczy ze zdumienia.

Pośrodku wyschniętej pustyni powstała oaza. Zielona trawa pokrywała ziemię, a na skałach był mech. Wyschnięta od lat studnia tryskała czystą górską wodą. Stare cyprysy wyglądały młodo i zdrowo. Kore poczuł się jak wewnątrz ogromnego, szlachetnego kamienia - szmaragdu o niespotykanej wielkości.

Pokiwał głową z zadowoleniem. Hannah Peters zrozumiała. Podjęła mądrą decyzję i wybrała wszechwidzącemu oku Allacha godne miejsce spoczynku. Już jutro rozgłosi na wszystkie strony świata, że zapomniany święty plac jest znowu miejscem modlitwy.

Gdy nasycił oczy widokiem, zauważył, że coś porusza się na drugim końcu kręgu, tam, gdzie strumień z wody ze studni znikał między skałami. Pochylone zwierzę gasiło pragnienie. Przestraszone nadejściem Kore, podniosło łeb i spoglądało bojaźliwie.

Był to adaks. Wspaniały kozioł z okazałym porożem.

Kore uśmiechnął się.

Opuścił broń, odwrócił się i odszedł bez słowa.

# Podziękowanie

Wszystkim, którzy poświęcili swój czas, aby mnie inspirować, dodawać odwagi bądź krytykować, jestem bardzo zobowiązany.

Mojej partnerce życiowej, Bruni Fetscher, dziękuję za wsparcie słowem i czynem, za zapewnienie koniecznego spokoju, co nie jest łatwym zadaniem w domu, gdzie są dwaj małeletni synowie.

Rainerowi Wekwerth, który podnosił mnie na duchu, gdy opuściła mnie odwaga oraz udzielał profesjonalnych rad.

Andreasowi Eschbach, który dzielił się ze mną swoimi doświadczeniami, dając przykład swojej wspaniałej powieści, przekonując o tym, co mogą zdziałać słowa.

Michaelowi Marrak, którego przeróżne propozycje poprawy tekstu uświadomiły mi, jak ważne są szczegóły.

Meike Marrak dziękuję za krytykę i słowa zachęty do pracy.

Profesorowi doktorowi Gerhardowi Bischoff dziękuję za wnikliwe spojrzenie we fragmenty, które opisują procesy zachodzące w Ziemi.

Bastianowi Schluck, mojemu agentowi, dziękuję za cierpliwość i niewyczerpany optymizm.

Jurgenowi Bolz, mojemu lektorowi, którego wiedza fachowa, dotycząca zarówno sfery literackiej jak i treści, nadała powieści ostateczny szlif.

*A last but not least* Carolinie Graehl, mojej lektorce z wydawnictwa, dziękuję za odwagę, że w tych ciężkich czasach dała szansę nieznanemu autorowi.